

1. MIEJSCE NA LIŚCIE BESTSELLERÓW „NEW YORK TIMESA”  
NAJLEPSZA POWIEŚĆ YA 2016 ROKU WG AMAZON

○○○○○

*Sto istnień za jedno, które odebrałeś.  
Jedno życie, jeden świt.*

# GNIEW i ŚWIT

RENÉE AHDIEH

FILIA

# **GNIEW i ŚWIT**

RENÉE AHDIEH

Przełożyła  
Katarzyna Agnieszka Dyrek

**FILIA**

*Viktorowi,  
żyjącej w moim sercu baśni.  
I Jessice,  
pierwszej gwiazdce na moim nocnym niebie.*

*Miałem niegdyś tysiąc pragnień,  
lecz wszystkie zniknęły  
w pojedynczym pragnieniu poznania ciebie.  
~ Dżalal al-Din Rumi*

## PROLOG



To nie miał być upragniony świt.

Srebrna poświata na horyzoncie zapowiadała smutny koniec.

Młody mężczyzna stał obok ojca na tarasie znajdującym się na dachu marmurowego pałacu. Patrzyli, jak mrok nocy powoli niknie w bladym świetle poranka.

– Gdzie on jest? – zapytał młodszy z mężczyzn.

Ojciec nie spojrzał na niego.

– Od wydania rozkazu nie opuścił komnaty.

Młodzieniec przeczesał palcami lekko kręcone włosy, dosadnie wzdychając.

– To wywoła zamieszki.

– A ty natychmiast je stłumisz. – Padła lakoniczna odpowiedź pod wciąż ponuro rozjaśniającym się niebem.

– Natychmiast? Sądysz, że matka czy ojciec, niezależnie od społecznego statusu, nie będą walczyć, by pomścić śmierć dziecka?

Ojciec w końcu spojrzał na syna. Jego oczy były zmęczone i zapadnięte, jakby jakaś siła wciągała je do środka. – Będą walczyć. Powinni. A ty dopilnujesz, by do niczego nie doprowadzili. Wypełnisz swój obowiązek wobec władcy. Zrozumiałeś?

Młodzieniec milczał przez chwilę.

– Zrozumiałem.

– Generale al-Chouri?

Ojciec odwrócił się do stojącego za nim żołnierza.

– Tak?

– Wykonane.

Ojciec skinął głową, a żołnierz odszedł.

Mężczyźni ponownie wpatrywali się w niebo.

Czekali.

Na suchą posadzkę pod ich stopami spadła kropla deszczu, znikając

na jasnym kamieniu. Kolejna uderzyła w żelazną poręcz, by wnet spłynąć po niej w nicość.

Po chwili padał już wokół rześisty deszcz.

– Masz swój dowód – powiedział generał głosem pełnym cichej rozpaczy.

Młodzieniec nie odpowiedział od razu.

– On tego nie wytrzyma, ojczy.

– Wytrzyma. Jest silny.

– Nigdy nie rozumiałeś Chalida. Nie chodzi o siłę. Raczej o jego wnętrze. To, co nastąpi, do reszty zniszczy uczucia, które jeszcze w nim drzemią. Pozostawi jedynie ślad, cień tego, kim niegdyś był.

Generał się skrzywił.

– Myślisz, że tego dla niego pragnę? Wolałbym tonąć we własnej krwi, by temu zapobiec. Jednak nie mamy wyboru.

Młodszy mężczyzna pokręcił głową i otarł krople deszczu z podbródka.

– Nie wierzę.

– Dżalalu...

– Musi być jakiś inny sposób – powiedział młodzieniec, odsunął się od poręczy i szybko zniknął na schodach.

W całym mieście suche studnie zaczęły wypełniać się wodą. W popękanych, spieczonych słońcem zbiornikach zaśniła nadzieja. Mieszkańcy Reju odzyskiwali radość życia. Wybiegali na ulice i wznosili ku niebu uśmiechnięte twarze. Ale nie znali ceny.

W głębi pałacu z marmuru i kamienia osiemnastoletni chłopak siedział samotnie przy stole z polerowanego hebanu...

Wsluchiwał się w deszcz.

Wątki promień światła w pomieszczeniu odbijał się w jego bursztynowych oczach.

Światła nękanego przez mrok.

Młodzieniec oparł łokcie na kolanach i, tworząc z palców koronę, wsparł na niej czoło. Zamknął oczy, a zewsząd dały się słyszeć echa słów, napełniając serce obietnicą życia nierozzerwalnie zjednoczonego z przeszłością.

Życia będącego pokutą za grzechy.

*Sto istnień za jedno, które odebrałeś. Jedno życie, jeden świt. Jeśli któregoś ranka zawiedziesz, obróć wniwecz twoje marzenia, a twoje miasto zrównam z ziemią.*

*I odbiorę te życia po tysiackroć.*

## ROZMYŚLANIA O JEDWABNEJ ZASŁONIE I ZŁOCIE



Nie były delikatne. Dlaczego miałyby takie być?

Nie oczekiwały przecież, że dotrwa do jutrzejszego dnia.

Ręce, które przesuwaly grzebień z kości słoniowej przez długie do pasa włosy Szahrzad i które wcierały masę z drzewa sandałowego w brązowe ramiona kobiety, czyniły to z nieludzką obojętnością.

Szahrzad przyglądała się młodej służącej obsypującej jej nagie ramiona złotym pyłem migoczącym w świetle zachodzącego słońca.

Lekki wiatr poruszał jedwabnymi zasłonami zdobiacymi ściany komnaty. Słodki zapach kwiatów i drzew cytrusowych przedostawał się przez rzeźbione drewniane okiennice, zasłaniające wyjście na taras, i szeptał o wolności, tak bardzo w tej chwili nieosiągalnej.

*To był twój wybór. Pamiętaj o Sziwie.*

– Nie noszę naszyjników – powiedziała Szahrzad, gdy inna dziewczyna zaczęła zapinać zdobiony kamieniami, masywny klejnot wokół jej szyi.

– To upominek od kalifa. Musisz go włożyć, pani.

Szahrzad z rozbawieniem i niedowierzaniem spojrzała na drobną dziewczynę.

– A jeśli tego nie zrobię? Zabije mnie?

– Pani, proszę, ja...

Szahrzad westchnęła.

– Przypuszczam, że to nie czas na sprzeczki.

– Tak, pani.

– Mam na imię Szahrzad.

– Wiem, pani. – Skrępowana dziewczyna odwróciła wzrok, następnie pomogła Szahrzad założyć haftowany kaftan. Kiedy dwie młode służki ułożyły ciężki materiał na jej błyszczących ramionach, Szahrzad ujrzała w lustrze efekt ich starań.

Czarne pukle jej włosów lśniły niczym polerowany obsydian, piwne oczy,

podkreślone *kohlem* i muśnięte płynnym złotem, jaśniały bardziej niż kiedykolwiek. Pośrodku jej czoła widniał rubin w kształcie łyzy wielkości kciuka. Podobny kołysał się na cienkim łańcuszku oplecionym wokół jej nagiej talii, ocierając się o jedwabną szarfę szarawarów. Kaftan, uszyty z jasnego adamaszku, był wytłaczany misternym srebrno-złotym wzorem, który stawał się coraz bardziej nieokreślony, migocząc u jej stóp.

*Wyglądam jak pozłacany paw.*

– Wszystkie były wystrojone tak niedorzecznie? – zapytała Szahrzad.

Zawstydzone dziewczyny ponownie odwróciły spojrzenia.

*Jestem pewna, że Sziwa nie wyglądała tak śmiesznie...*

Twarz Szahrzad zastygła.

*Sziwa musiała wyglądać pięknie. Pięknie i wspaniale.*

Zacisnęła dłonie w pięści, wskutek czego na jej skórze odbiły się małe półksiężycy.

Na dźwięk cichego pukania odwróciły się wszystkie trzy głowy – kobiety czekały z zapartym tchem.

Mimo żarliwej determinacji serce Szahrzad zaczęło bić niespokojnie.

– Mogę wejść? – Miękki głos jej ojca przełamał ciszę, jednocześnie prosząc i niosąc przeprosiny.

Szahrzad odetchnęła powoli... ostrożnie.

– Baba, co ty tu robisz? – zapytała cierpliwie i nieufnie zarazem.

Jahandar al-Chajzuran wszedł do komnaty. Jego brodę i skronie znaczyła siwizna, niezliczone kolory błyszcząły w piwnych oczach, burząc się niczym morze podczas sztormu.

W rękę trzymał pojedynczy różany pąk, który pośrodku pozbawiony był koloru, lecz krańce jego płatków barwił piękny odcień różu.

– Gdzie Irsa? – zapytała zaniepokojona Szahrzad.

Ojciec uśmiechnął się smutno.

– W domu. Nie pozwoliłem jej przyjść, chociaż kłóciła się i walczyła do ostatniej chwili.

*Przynajmniej nie zignorował mojej prośby.*

– Powinieneś z nią być. Będzie cię dzisiaj potrzebowała. Proszę, zrób to dla mnie, Baba. Zrób tak, jak mówiliśmy. – Wzięła go za wolną rękę i ścisnęła lekko, prosząc tym gestem, by postąpił zgodnie z planem, który przedstawiła mu kilka dni wcześniej.

– Nie... nie mogę, dziecko. – Jahandar pochylił głowę, szloch wymknął się



z jego piersi, wątłe ramiona zadrżały z żalu. – Szahrzad...

– Bądź silny. Dla Irsy. Przyrzekam, wszystko będzie dobrze. – Szahrzad uniosła dłoń do jego naznaczonej czasem twarzy i otarła łzy z policzka.

– Nie mogę. Myśl, że może to być twój ostatni zachód słońca...

– Nie będzie ostatni. Zobaczę i jutrzejszy. Przysięgam.

Jahandar skinał głową, chociaż nie złagodziło to jego cierpienia. Uniósł różę.

– Ostatnia z mego ogrodu. Nie rozwinęła się w pełni, ale chciałem ci ją dać na pamiątkę po domu.

Uśmiechnęła się, sięgając po kwiat. Ich miłość wykraczała daleko poza wdzięczność, jednak ojciec powstrzymał córkę. Kiedy zrozumiała powód, zaczęła protestować.

– Nie. Przynajmniej w tym wypadku mogę coś dla ciebie zrobić – mruknął niemal do siebie. Wpatrywał się w różę, zaciskając usta i ściągając brwi. Jedna ze służek odkaszlnęła w dłoń, druga spojrzała pod nogi.

Szahrzad czekała cierpliwie. Wiedziała.

Róża zaczęła się rozwijać. Jej skulone płatki otworzyły się, pobudzone do życia niewidzialną ręką. Gdy się to stało, przestrzeń między nimi wypełnił wspaniały zapach – słodki, przez chwilę idealny... Jednak z każdym momentem woń stawała się coraz bardziej intensywna, w pomieszczeniu zrobiło się duszno, a krawędzie kwiatu w okamgnieniu przybrały inną barwę. Zamiast efektownego, głębokiego różu widniał teraz ciemny, rdzawy kolor.

Róża zaczęła więdnąć.

Skonsternowany Jahandar przyglądał się suchym płatkom opadającym na biały marmur pod ich stopami.

– Prze... przepraszam, Szahrzad – załkał.

– Nieważne. Nigdy nie zapomnę, jaka przez moment była piękna, Baba. – Objęła go za szyję i przytuliła. Tuż przy jego uchu, głosem tak cichym, że tylko on mógł usłyszeć, powiedziała: – Udaj się do Tarika, jak obiecałeś. Weź Irsę i jedź.

Przytaknął, jego oczy znów zaczęły błyszczeć.

– Kocham cię, dziecko.

– I ja cię kocham. Dotrzymam obietnic. Wszystkich.

Wzruszony Jahandar zamrugał, patrząc w ciszy na starszą córkę.

Tym razem pukanie do drzwi było stanowcze.

Szahrzad obróciła głowę w ich kierunku, przy tym ruchu zakołysał się

krwawy rubin. Wyprostowała ramiona i uniosła szpiczasty podbródek.

Jahandar odsunął się na bok, zasłaniając twarz rękoma, gdy jego córka pomaszerowała przed siebie.

– Przykro mi... tak bardzo mi przykro – szepnęła do niego, nim przekroczyła próg, by podążyć za strażnikami prowadzącymi procesję. Gdy Szahrzad zniknęła za rogiem, Jahandar osunął się na kolana i załkał.

Szloch ojca niosący się korytarzami sprawił, że stopy Szahrzad odmówiły jej posłuszeństwa, nie była w stanie przebyć stopni wiodących w dół olbrzymiego pałacu. Dziewczyna zatrzymała się, kolana zadrżały jej w jedwabnych szarawarach.

– Pani? – odezwał się znudzonym tonem jeden ze strażników.

– Musicie poczekać – wydyszała Szahrzad.

Strażnicy wymienili spojrzenia.

Dziewczyna przycisnęła dłoń do piersi. Gorzkie łzy zostawiały wymowny ślad na jej policzkach. Nieświadomie dotknęła krawędzi grubego złotego naszyjnika wysadzanego klejnotami przeróżnej wielkości i odmiany, który spoczywał na jej szyi. Wydawał się ciężki... przytłaczający. *Jak drogocenne kajdany.* Zacisnęła palce na biżuterii, zastanawiając się przez chwilę, czy nie zerwać jej z siebie.

Bolesne wspomnienia i wściekłość pokrzepiały ją.

*Sziwa.*

Jej najlepsza przyjaciółka. Jej zaufana powierniczka.

Podwinęła palce w sandałach ze złotymi frędzlami i ponownie się wyprostowała. Bez słowa ruszyła przed siebie.

Strażnicy znów na siebie spojrzeli.

Gdy dotarli do masywnych podwójnych drzwi wiodących do sali tronowej, Szahrzad poczuła, że jej serce gwałtownie przyspieszyło. Drzwi rozwarły się z głośnym jękiem, a ona skoncentrowała się na swoim celu, ignorując wszystko wokół.

Na samym końcu ogromnej komnaty stał Chalid al-Raszid, kalif Chorasanu.

Król Królów.

*Potwór z moich koszmarów.*

Z każdym krokiem Szahrzad czuła rosnącą we krwi nienawiść, która jeszcze bardziej utwierdzała ją w przekonaniu o słuszności powziętego przez nią celu. Wpatrywała się w Chalida z determinacją. Duma widoczna w jego postawie wyróżniała go spośród mężczyzn w całym orszaku. Im bardziej dziewczyna się

do niego zbliżała, tym więcej dostrzegała szczegółów.

Był wysoki i szczupły, miał sylwetkę młodego mężczyzny sprawnego w walce. Jego ciemne, proste włosy zdradzały, że uwielbia porządek.

Kiedy wszedł na podwyższenie, spojrzała na niego bez najmniejszego wahania, zupełnie jakby nie patrzyła w oblicze króla.

Ciemne brwi mężczyzny uniosły się nieznacznie. Znajdujące się pod nimi oczy miały barwę jasnego bursztynu i przy padającym świetle przypominały niemal oczy tygrysa. Oblicze władcy pozostawało niewzruszone, gdy ten bacznie obserwował swą wybrankę.

Jego spojrzenie było przenikliwe, twarz przystojna.

Wyciągnął do niej rękę.

Gdy podała mu swoją, przypomniała sobie o ukłonie.

W całym jej ciele pulsował gniew, więc rumieniec spowił jej twarz.

Gdy ponownie spojrzała w oczy władcy, ten mrugnął.

– Małzonko. – Skinął głową.

– Mój władco.

*Doczekam jutrzejszego zmierzchu. Nie popełnię błędu. Przymierzam, dożyję tylu zachodów słońca, ilu będzie trzeba.*

*I zabiję cię.*

*Własnoręcznie.*

## TA JEDYNA



Samica sokoła szybowiała po parnym południowym niebie. Jej rozpostarte szeroko skrzydła chwyciły każdy podmuch wiatru, wzrok przeczesywał zarośla na ziemi.

W jednej chwili ptak niemal bezszelestnie złożył skrzydła i pomknął ku ziemi niczym granatowo-szara plama piór i szponów.

Futrzanę zwierzę piszczało, próbując przedrzeć się przez zarośla, jednak nie miało szans na ucieczkę. Wkrótce rozległ się tętent końskich kopyt, które wzbiliły tuman piachu.

Dwaj jeźdźcy zatrzymali się w stosownej odległości od samicy sokoła i jej ofiary.

Pierwszy jeździec, siedzący na grzbiecie lśniącego, ciemnego ogiera *al-Chamsa*, zwrócił się tyłem w stronę słońca, wyciągnął lewą rękę i cicho gwizdnął.

Samica sokoła spojrzała w jego stronę i zmrużyła żółtawe oczy. Ponownie wzbijała się w powietrze, by po chwili zacisnąć szpony na skórzanym karwaszu okalającym rękę jeźdźcy od nadgarstka aż po łokieć.

– Niech cię diabli, Zoraja. Przegrałem kolejny zakład – jęknął drugi jeździec, przeklinając ptaka.

Sokolnik uśmiechnął się do Rahima, swojego przyjaciela z dzieciństwa.

– Przestań narzekać. To nie jej wina, że nie potrafisz przyswoić nawet jednej lekcji.

– Masz szczęście, że jestem taki głupi. Któż inny mógłby tak długo znosić twoje towarzystwo, Tariku?

Tarik prychnął pod nosem.

– W takim razie może powinienem przestać kłamać twojej matce o tym, jak mądry się stałeś.

– Jasne. Czy ja kiedykolwiek okłamałem twoją?

– Niewdzięcznik. Zejdź i zabierz jej zdobycz.

– Nie jestem twoim sługą. Sam to zrób.

– Dobrze. Przytrzymaj ją. – Tarik wyciągnął rękę z Zorają czekającą cierpliwie na swoim miejscu. Gdy ptak zdał sobie sprawę, że jest przekazywany Rahimowi, nastroszył pióra i zaskrzeczał w proteście.

Zdenerwowany Rahim aż się cofnął.

– Ten diabelny ptak mnie nie znosi.

– Ponieważ dobrze potrafi ocenić charakter. – Tarik się uśmiechnął.

– Jest temperamentna – narzekał Rahim. – Prawdę mówiąc, jest gorsza niż Szazi.

– Kolejna z doskonałym gustem.

Rahim przewrócił oczami.

– Biorąc pod uwagę, że jedyne, co je łączy, to ty, czy nie wydaje ci się, że zbyt sobie schlebiasz w tej ocenie?

– Umniejszanie Szahrzad al-Chajzuran może być powodem, dla którego Zoraja zawsze ujawnia przy tobie swój temperament. Zapewniam cię, że ona i Szazi mają ze sobą znacznie więcej wspólnego. A teraz przestań trwonić czas i zejdź z tego przekłętą deresza, żebyśmy mogli wrócić do domu.

Nie przestając narzekać, Rahim zsiadł z szarej achal-tekińskiej klaczy, której grzywa lśniła w pustynnym słońcu niczym polerowana cyna.

Tarik rozejrzał się po suchym piachu i wyschniętych zaroślach ciągnących się aż po horyzont. Żar bił od bezmiaru umbry i gliny, falując w powietrzu pod błękitno-białym niebem.

Gdy umocował już zdobycz Zorai w skórzanym saku przy siodle, Rahim wskoczył na konia, wykazując się przy tym gracją młodego szlachcica szkolonego w tej sztuce od dziecięcych lat.

– A jeśli chodzi o wcześniejszy zakład... – urwał Rahim.

Tarik jęknął, kiedy zobaczył wyraz determinacji na twarzy przyjaciela.

– Nie.

– Ponieważ wiesz, że przegrasz.

– Jesteś lepszym jeźdźcem.

– A ty masz lepszego konia. Twój ojciec jest emirem. Poza tym przegrałem już dziś jeden zakład. Daj mi szansę się odkuć – nalegał Rahim.

– Jak długo zamierzasz w ten sposób pogrywać?

– Aż cię pokonam. W każdym z zakładów.

– W takim razie będziemy zakładać się w nieskończoność – zażartował Tarik.

– Drań. – Rahim stłumił śmiech i chwycił wodze. – Jeśli tak, to nawet nie będę próbował być uczciwy. – Wbił pięty w bok klaczy, zmuszając ją do ruchu w przeciwnym kierunku.

– Głupiec. – Tarik zaśmiał się, uwolnił Zoraję i pochylił się nad szyją swego wierzchowca. Cmoknął, na co koń potrząsał grzywą i parsknął. Tarik ściągnął wodze, więc arab poruszył masywnymi kopytami i puścił się galopem przez piasek, pozostawiając za sobą chmurę pyłu.

Biała *rida* Tarika powiewała za nim. Ruch powietrza mógłby zerwać kaptur z głowy mężczyzny, gdyby nie skórzany pas przytrzymujący materiał.

Gdy okrążyli ostatnią wydmnę, z piasku wyłoniły się przed nimi mury kamiennej twierdzy. Sklepienia miedzianych wieżyczek układały się w spirale pokryte przez czas patyną o barwie turkus.

– Przybywa syn emira! – wykrzyknął strażnik, gdy Rahim i Tarik zbliżyli się do tylnej bramy, która otworzyła się wolno tuż przed ich wjazdem. Służący i pomocnicy uciekali z drogi, gdy Rahim galopował przez środek przy dźwiękach skrzypiącego wciąż metalu, zaś Tarik deptał mu po piętach. Kosz z owocami persymony runął na ziemię. Jego zawartość potoczyła się we wszystkich kierunkach, więc starzec pochylił się i zaczął zbierać rozrzucone pomarańczowe kule.

Nieświadomi wywołanego przez siebie chaosu, dwaj młodzi szlachcice wstrzymali konie w pobliżu centrum rozległego dziedzińca.

– Jakie to uczucie zostać pokonanym przez głupca? – drwił Rahim, rozglądając się wokół błyszczącymi, ciemnoniebieskimi oczami.

Tarik z rozbawieniem uniósł kącik ust, po czym zeskoczył z konia i zdjął z głowy kaptur *ridy*. Przeczesał palcami niesfornie poplątane włosy. Ziarenka piasku posypały się na jego twarz, więc zamrugał, by nie wpadły mu do oczu.

Za plecami zabrzmiał zdławiony śmiech Rahima.

Tarik uniósł powieki.

Stojąca przed młodzieńcem służka odwróciła wzrok, jej policzki oblały się czerwienią. Trzymana przez nią taca, na której stały dwa srebrne puchary z wodą, zaczęła drżeć.

– Dziękuję. – Tarik uśmiechnął się i sięgnął po jeden z nich.

Rumieniec służącej przybrał mocniejszą barwę, taca mocniej zadrżała.

Rahim się zbliżył. Podniósł drugi z pucharów i skinął dziewczynie głową, nim ta obróciła się i pobiegła przed siebie tak szybko, jak tylko zdołały ponieść ją nogi.

Tarik mocno pchnął przyjaciela.

– Idiota!

– Wierzę, że ta biedaczka się w tobie podkochuje. Po kolejnej jeździeckiej porażce powinieneś być wdzięczny, że los zsyła ci te spojrzenia.

Tarik zignorował go i się obrócił. Spojrzał w stronę podwórza. Zauważywszy starszego służącego stojącego nad rozsypanymi wokół jego stóp owocami persymony, podszedł do niego, przyklęknął i pomógł mu powkładać z powrotem do kosza wysypane dary natury.

– Dziękuję, *sahibie*. – Mężczyzna pochylił głowę i dotknął palcami prawej ręki czoła, okazując szacunek.

Spojrzenie Tarika złagodniało, jego oczy zabłysnęły. Ich jasnosrebrne tęczówki wtapiały się w iskrzące źrenice o barwie najciemniejszego popiołu. Czarne rzęsy poruszały się przy delikatnej skórze. Surowość spowijająca czoło młodzieńca zdawała się zanikać, gdy tylko na jego twarzy zagościł uśmiech. Ślady jednodniowego zarostu podkreślały precyzyjnie zarysowaną kwadratową linię żuchwy, współtworząc symetrię rysów męczyzny.

Tarik skinął głową, więc starszy człowiek odwzajemnił gest.

Ponad nimi na niebie rozległ się pisk Zorai, która w ten sposób dopominała się o uwagę. Tarik z udawaną irytacją pokręcił głową i gwizdnął na ptaka. Ten, skrzecząc dziko, co spowodowało, że niemal cały dziedziniec opustoszał, poszybował ku niemu. Wylądował na karwaszu Tarika i zaczął pielęgnować swoje pióra. Sokolnik niósł go do stajni, by nakarmić zwierzę.

– Nie uważasz, że ten ptak jest nieco... rozpieszczony? – Rahim przyglądał się samicy sokoła, która w jednej chwili pochłonęła cały pas suszonego mięsa.

– Jest najlepszym łowcą w królestwie.

– Niemniej jestem przekonany, że temu przeklętemu ptaszysku uszłoby płazem nawet morderstwo. Przyznaj się więc, w jakim celu go tresujesz.

Nim Tarik zdołał odpowiedzieć, w wejściu do przedsionka pojawił się jeden z najbliższych doradców jego ojca.

– *Sahibie*? Emir nalega na twą obecność.

Tarik ściągnął brwi.

– Coś się stało?

– Niedawno przybył posłaniec z Reju.

– To wszystko? – mruknął Rahim. – Przyniósł list od Szazi? To niewarte formalnej wizyty.

Tarik wciąż przyglądał się doradcy. Dostrzegł głębokie bruzdy na jego czole

i mocno zaciśnięte palce.

– Coś się stało?

Mężczyzna nalegał:

– Proszę, *sahibie*, pójdź ze mną.

Rahim podążył za Tarikiem i doradcą. Minęli przedsionek z marmurowymi kolumnami i otwarty krużganek przy fontannie wyłożonej mozaiką ze szkliwa. Połyskująca woda wypływała jednostajnie z paszczy lwa wykonanego z połączanego brązu.

Weszli do głównej komnaty, gdzie ujrzeli Nasira al-Zijada, emira czwartej najbogatszej twierdzy Chorasanu. Siedział wraz z małżonką przy niskim stole. Nietknięty posiłek leżał przed nimi na blacie.

Było oczywiste, że matka Tarika płakała.

Na ten widok młodzieniec zamarł.

– Ojczy?

Emir westchnął i uniósł strapione spojrzenie.

– Tariku, po południu dostaliśmy list z Reju. Od Szahrzad.

– Daj mi go – nakazał cicho, lecz stanowczo.

– Był zaadresowany do mnie. Jest też część, która przeznaczona była dla ciebie, ale...

Matka Tarika zalała się łzami.

– Jak mogło do tego dojść?

– Do czego? – zażądał wyjaśnień syn, podnosząc głos. – Dajcie mi ten list.

– Za późno. Nie możesz nic zrobić. – Westchnął emir.

– Najpierw Sziwa, potem moja pogrążona w żałobie siostra odebrała sobie... – Zadrżała kobieta. – A teraz Szahrzad? Jak to możliwe? Dlaczego? – Łkała.

Tarik zamarł.

– Wiesz dlaczego – wychrypiał cicho emir. – Z powodu Sziwy. Dla Sziwy. Dla nas wszystkich.

Po tych słowach matka Tarika wstała od stołu i odeszła, z każdym jej krokiem szloch stawał się coraz głośniejszy.

– O Boże, Szazi. Coś ty zrobiła? – szepnął Rahim.

Tarik stał w bezruchu z twarzą bez wyrazu.

Emir wstał i zbliżył się do młodzieńca.

– Synu...

– Daj mi list – powtórzył Tarik.



Z ponurą rezygnacją emir oddał zwój.

Znajome pismo Szahrzad, jak zawsze niezgrabne, lecz zdecydowane, pokrywało stronę. Tarik przestał czytać, gdy kobieta zwróciła się bezpośrednio do niego. Wyrażała żal spowodowany własną zdradą. Przepraszała, równocześnie prosząc o zrozumienie.

I nic więcej. Nie mógł tego znieść. Nie od niej.

Zacisnął palce na krawędzi pergaminu.

– Nic nie możesz już zrobić – powtórzył emir. – Ślub... jest dzisiaj. Jeśli jej plan się powiedzie... Jeśli ona...

– Nie mów tego, ojcie. Błagam.

– Nie możemy temu zaprzeczać. Trudno pogodzić się z taką prawdą. Jednak nie wolno zbywać jej milczeniem. Jako rodzina musimy sobie z tym poradzić. Twoja ciotka i wuj nigdy nie pogodzili się ze stratą Sziwy. Zobacz tylko, do czego doprowadziła śmierć ich córki.

Tarik zamknął oczy.

– Nawet jeśli Szahrzad przeżyje, nie możemy już nic zrobić. To koniec. Musimy się ze wszystkim pogodzić bez względu na to, jak trudne może się to wydawać. Wiem, co do niej czujesz, w pełni to rozumiem. Będziesz potrzebował czasu. Jednak niedługo pojmiesz, że znajdziesz szczęście z kimś innym, że gdzieś tam na świecie jest inna młoda kobieta. Przekonasz się po pewnym czasie – powiedział emir.

– Nie będzie takiej potrzeby.

– Słucham?

– Wszystko już zrozumiałem.

Zaskoczony emir spojrzał na syna.

– Rozumiem twoje słowa. Naprawdę, ale spróbuj zrozumieć także moje racje. Wiem, że na świecie istnieją inne kobiety. Wiem, że prawdopodobnie znajdę szczęście u boku którejś z nich. Z upływem czasu wszystko może się wydarzyć.

Emir skinął głową.

– Tariku, to dla twojego dobra.

Rahim patrzył na nich oniemiały.

Tarik kontynuował, srebrne iskry błysnęły w jego oczach:

– Jednak bez względu na to, ile idealnych młodych kobiet postawisz na mojej drodze, dla mnie zawsze będzie istniała tylko Szahrzad – powiedział. Zaraz potem rzucił zwój na podłogę, odwrócił się na pięcie i uderzył

pięściami w drzwi, otwierając je.

Rahim wymienił zatroskane spojrzenie z emirem, po czym pospieszył za przyjacielem. Wyszli na dziedziniec. Tarik kazał sprowadzić konie. Rahim odezwał się dopiero wtedy, gdy przyproawdzone wierzchowce stały już przed nimi.

– Jaki jest plan? – zapytał ostrożnie. – Masz w ogóle jakiś plan?

Tarik milczał przez chwilę.

– Nie musisz ze mną jechać.

– No i kto w tej chwili jest głupcem? Nie jesteś jedyną osobą, która kocha Szazi i która kochała Sziwę. Może nie łączą nas więzy krwi, ale te kobiety zawsze będą moją rodziną.

Tarik obrócił się w stronę przyjaciela.

– Dziękuję, Rahim-*dżanie*.

Wyższy i szczuplejszy młodzieniec uśmiechnął się do Tarika.

– Nie dziękuj mi jeszcze. Wciąż potrzebny nam jest plan. Powiedz, co zamierzasz? – dociekał Rahim. – Możesz jeszcze coś zrobić?

Tarik zacisnął usta.

– Póki żyje władca Chorasanu, mam czas, by coś zrobić... – Położył lewą rękę na rękojeści zakrzywionej szabli, którą nosił przy pasie. – To, w czym jestem najlepszy.

## ZA WOALEM



Szahrzad była w komnacie sama. Siedziała na miękkim łożu pośród niezliczonych poduszek wykonanych z tkanin o żywych kolorach. Wokół rozciągała się zasłona z cienkiego jedwabiu. Przy najmniejszym podmuchu wiatru poruszała się delikatnie niczym pajęczna sieć. Dziewczyna przyciągnęła kolana do piersi, splatając palce dłoni przy kostkach.

Utkwiła wzrok w zamkniętych drzwiach.

W tej pozycji spędziła prawie całą noc. Za każdym razem, gdy próbowała zmienić pozycję, zdenerwowanie dawało jej się we znaki.

*Gdzie on jest?*

Westchnęła głośno i jeszcze mocniej objęła nogi.

Panika, z którą walczyła przez ostatnie godziny, teraz zaczęła brać nad nią górę.

*A jeśli on dziś do mnie nie przyjdzie?*

– O Boże – mruknęła, przerywając ciszę.

Okaże się, że wszystkich okłamałam, że złamałam wszelkie złożone obietnice...

Szahrzad potrząsnęła głową. Jej serce przyspieszyło gwałtownie, a każdy kolejny oddech był cięższy niż poprzedni.

*Nie chcę umierać.*

Te okropne myśli zawładnęły nią do reszty. Traciła nad sobą panowanie, zapadała się w nieprzeniknioną sferę lęku – lęku, który do tej pory potrafiła umiejętnie od siebie odsunąć.

*Jak Baba poradzi sobie, gdy umrę? A Irsa?*

*Tarik.*

– Przestań! – Słowo odbiło się echem w spowijającej ją ciemności. Było to głupie, ale potrzebowała czegoś, co choć przez chwilę wypełniłoby dźwiękiem przeszywającą ciszę.

Przycisnęła dłonie do skroni, walcząc z oganiającym ją przerażeniem...

próbując wrócić pod stalową ochronę własnego serca.

Właśnie wtedy z cichym zgrzytem rozwarły się drzwi.

Szahrzad opuściła ręce i oparła je na miękkiej poduszce.

Do środka komnaty weszła służka trzymająca świece z aloesu i ambry. Rzuciły one wokół delikatne światło i roztaczały swój ulotny aromat. Po chwili weszła kolejna dziewczyna, niosąca tacę z jedzeniem i winem. Służące zostawiły wszystko w komnacie i wyszły, nie spoglądając nawet w stronę Szahrzad.

Chwilę później w progu stanął kalif Chorasanu.

Na początku czekał tam, jakby się nad czymś zastanawiał, następnie wszedł do komnaty i zamknął za sobą drzwi.

W słabym świetle świec jego tygrysie oczy wydawały się jeszcze bardziej wyrachowane i wyniosłe. Gdy młody mężczyzna odsunął się w mrok, jego twarz spowił cień, który wyostrzył jej rysy.

Miał surowe oblicze. Zimne i groźne.

Szahrzad splotła palce pod kolanami.

– Powiedziano mi, że twój ojciec służył mojemu jako jeden z wezyrów. – Jego głos był cichy i skromny. Niemal... przyjemny.

– Tak, *sajjidi*. Był doradcą twego ojca.

– A teraz pełni rolę kustosa.

– Tak, *sajjidi*, zajmuje się starożytnymi tekstami.

Władca obrócił do niej twarz.

– To znaczna zmiana stanowiska.

Szahrzad zdusiła irytację.

– Prawdopodobnie. Wcześniej nie był wysokiej rangi wezyrem.

– Rozumiem.

*Nic nie rozumiesz.*

Odpowiedziała na jego spojrzenie, mając nadzieję, że odbijająca się w jej oczach mozaika barw zdoła przesłonić szaleńczą gonitwę jej myśli.

– Dlaczego zgłosiłaś się dobrowolnie, Szahrzad al-Chajzuran?

Nie odpowiedziała.

Ciągnął dalej:

– Co zmusiło cię do zrobienia czegoś tak głupiego?

– Słucham?

– Chęć poślubienia władcy? A może próżna nadzieja, że będziesz jedyną, która się spodoba i zdobędzie serce potwora – mówił, nie okazując emocji

i przyglądając się jej uważnie.

Serce Szahrzad przyspieszyło jeszcze bardziej, gotowe na starcie.

– Nie cierpię na urojenia, *sajjidi*.

– W takim razie dlaczego zgłosiłaś się dobrowolnie? Dlaczego chcesz poświęcić własne życie w wieku siedemnastu lat?

– Szesnastu. – Spojrzała na niego ostro. – I nie rozumiem, jakie to ma znaczenie.

– Odpowiedz.

– Nie.

Milczał przez chwilę.

– Zdajesz sobie sprawę, że możesz umrzeć?

Zacisnęła palce niemal boleśnie.

– Nie jestem zaskoczona tą wiadomością, *sajjidi*, jednak jeśli naprawdę pragniesz otrzymać odpowiedź, moja śmierć ci w tym nie pomoże.

Na jego twarzy pojawił się cień emocji, coś zawisło na krańcach jego warg. Jednak zniknęło tak szybko, że nie można było z nich już niczego odczytać.

– Domyślam się, że nie – urwał, jakby znów o czymś myśląc. Dostrzegła jego wycofanie. Widziała, jak wyuczona srogość stopniowo niknie z jego twarzy, a rysy zdają się łagodnieć. Jego oblicza nie spowijał już woal surowości.

*Nie.*

Szahrzad wstała z łoża i podeszła do mężczyzny.

Gdy na nią spojrzał, przysunęła się jeszcze bliżej.

– Mówiłem ci, nie myśl, że będziesz tą, która zaburzy postanowienia.

Szahrzad zacisnęła zęby.

– A ja mówiłam, że nie mam żadnych złudzeń.

Wciąż się zbliżała, aż znalazła się przed nim na wyciągnięcie ręki, jej kroki były niezachwiane.

Spojrzał jej w twarz.

– Twoje życie już jest stracone. Nie oczekuję... niczego więcej.

W odpowiedzi Szahrzad uniosła ręce i zaczęła odpinać naszyjnik.

– Nie. – Złapał ją za rękę. – Zostaw.

Zawahał się, ale przesunął palcami po jej karku.

Jego dotyk był niepokojąco znajomy. Przewyciężyła chęć ucieczki, nie cofnęła się ze wstrętem i nie okazała mężczyźnie bólu oraz wściekłości, które w sobie tłumiała.

*Nie bądź głupia. Będiesz miała tylko jedną szansę. Nie zmarnuj jej.*

Ten król młokos, morderca... Szahrzad nie pozwoli, by zniszczył kolejną rodzinę. By pozbawił przyjaciółki inną kobietę, pozostawiając ją ze wspomnieniami, które wryły się w pamięć, i z marzeniami, które nigdy się nie spełnią.

Uniosła głowę i przełknęła żółć podchodzącą jej do gardła, lecz gorycz utrzymywała się na języku.

– Dlaczego tu jesteś? – szepnął, wpatrując się w nią tygrysimi oczami.

W odpowiedzi uniosła kąciki ust w sarkastycznym uśmiechu.

Ostrożnie położyła palce na jego dłoni.

Następnie stopniowo zdjęła z ramion ciężki kaftan i upuściła go na podłogę.



Irsa siedziała okrakiem na grzbiecie swej jabłkowitej klaczy w alejce nieopodal budynku w Reju, mieszczącego najstarsze i najmroczniejsze teksty. Biblioteka miejska, której ściany zdobione były starannie ciosanymi kamieniami dobowanymi z najlepszych kopalni w Tirazis, mieściła się niegdyś w wielkim gmachu otoczonym kolumnami. Z biegiem lat jego fasada pociemniała, a na ścianach powstały pęknięcia. Najgorsze z nich w nieudolnych próbach naprawy zostały niedbale wypełnione zaprawą. Każda krawędź była starta, a chwalebny blask przeszłości wyblakł. Pozostały po nim tylko nieregularne szare i brązowe plamy.

Irsa przeprasząco spojrzała przez ramię, gdy w ciszy tuż przed świtem poruszyły się konie znajdujące się za nią. Już otwierała usta, by uspokoić młodego woźnicę, jednak drżenie w jej głosie sprawiło, że – nim się odezwała – musiała odchrząknąć.

– Przepraszam – szepnęła do chłopaka, dyskretnie kaszląc. – Nie wiem, dlaczego zajmuje mu to aż tyle czasu. Jestem pewna, że niedługo wróci. – Klacz zastrzygła lewym uchem, gdy dziewczyna poprawiła się w siodle.

– Nie moja sprawa, panienko, dopóki otrzymuję zapłatę. Jednak ojciec panienki pragnął opuścić bramy miasta przed świtem, więc wkrótce powinniśmy ruszać.

Skinęła głową. Słowa chłopaka sprawiły, że ponownie poczuła ucisk w żołądku.

Wkrótce opuści miasto swego dzieciństwa – miasto, w którym żyła przez czternaście lat. Stojąc pod nocnym niebem, zaledwie w jednej chwili wrzuciła

do powozu wszystko, co mogłoby okazać się dla niej wartościowe. Wiedziała, że jej życie już nigdy nie będzie takie samo.

Odnosiła dziwne wrażenie, że żadna z tych rzeczy nie miała dla niej większego znaczenia. Przynajmniej na razie.

Nie zastanawiała się nad tym dłużej, mogła myśleć jedynie o Szahrzad, co tylko zwiększało ucisk w gardle i ścisnęło mocniej żołądek.

Uparta starsza siostra.

Odważna i lojalna przyjaciółka.

Gorące łzy ponownie napłynęły jej do oczu, mimo że wcześniej zarzekała się, że nie uroni już ani jednej. Sfrustrowana, otarła wierzchem dłoni piekące policzki.

– Coś się stało, panienko? – zapytał woźnica ze współczuciem.

Oczywiście, że się stało. Jednak musieliby pozostać z dala od wścibskich oczu, by mogła mu o tym opowiedzieć. Szahrzad zawsze była ostrożna w podobnych sytuacjach.

– Nie. Nic się nie stało. Dziękuję za troskę.

Chłopak skinął głową i ponownie przybrał obojętny wyraz twarzy.

Irsa pomyślała o czekającej ich podróży. Nim dotrą do Talekan, rodzinnej twierdzy Tarika, mają przed sobą trzy dni ciężkiej drogi. Pokręciła głową z niedowierzaniem – po tym wszystkim, co zaszło, Szahrzad miała czelność wysłać ich do domu swojego ukochanego z dzieciństwa. Za każdym razem, gdy Irsa przestawała myśleć o Tariku i jego rodzinie, na jej twarzy malowało się zmartwienie... i żal.

Westchnęła ciężko i spojrzała na wodze. Jej nakrapiany biały koń szarpnął łbem, poruszając grzywą, gdy poryw wiatru dostał się na uliczkę.

– Co mu tak długo zajmuje? – zastanawiała się na głos.

Wtem, jak na zawołanie, ciężkie drewniane drzwi z boku biblioteki otworzyły się i z mroku wyłonił się jej ojciec okryty kapturem.

Ścisnął w rękach jakiś przedmiot, przytrzymując go mocno przy piersi.

– Baba? Wszystko w porządku?

– Przepraszam, kochanie. Wszystko dobrze. Teraz możemy jechać – mruknął Jahandar. – Tylko... musiałem dopilnować, by wszystkie drzwi były zabezpieczone.

– Co to? – zapytała Irsa.

– Hmm? – Jahandar podszedł do swojego konia i wyciągnął rękę w kierunku sakwy.

- Co tam masz?
- Och, nic takiego. Księgę, która mi się podobała. – Lekceważąco machnął ręką.
- Przebyliśmy tę całą drogę po księgę, Baba?
- Tę jedną, moje dziecko. Tę jedną.
- Musi być wyjątkowa.
- Wszystkie takie są, kochanie.
- A ta? Jaka jest?

Jahandar starannie schował do sakwy stary, oprawiony w skórę wolumin, po czym zręcznie wskoczył na konia. Gestem nakazał woźnicy, by ruszał.

Niewielka karawana podążyła naprzód sennymi jeszcze ulicami Reju.

Irsa prowadziła klacz tak, by ta szła tuż obok czarnego ogiera jej ojca. Kiedy Jahandar z łagodnym uśmiechem spojrzał na córkę, ta wyciągnęła do niego rękę, szukając pocieszenia.

– Wszystko będzie dobrze, drogie dziecko – powiedział niemal z roztargnieniem.

Przytaknęła.

Nie zapomniała jednak, że ojciec nie odpowiedział na jej wcześniejsze pytanie.



## MAGNETYCZNA GÓRA



W chwili, w której Szahrzad wzięła go za rękę, poczuła, jak obmywa ją zimna fala apatii. Jakby wyszła z siebie i nie czuła swojego ciała.

Na szczęście nie próbował jej pocałować.

Ból również nie trwał długo, momentalnie się ulotnił, zagłuszony natłokiem myśli. Kalif też nie wydawał się uszczęśliwiony. Nawet jeśli czerpał z tego jakąś przyjemność, była ona krótka i powierzchowna. Gdy Szahrzad sobie to uświadomiła, poczuła dreszcz satysfakcji.

Po wszystkim bez słowa wstał z łoża i odsunął na bok cienką jedwabną zasłonę osłaniającą podwyższenie.

Szahrzad przyglądała się, jak starannie, niemal z wojskową precyzją, zakładał ubranie. Na jego plecach lśniła niewielka warstwa potu, smukłe mięśnie spinały się i rozluźniały przy najmniejszym jego ruchu.

Był od niej silniejszy. Nie było co do tego wątpliwości. Nie mogła pokonać go fizycznie.

*Ale nie jestem tu po to, by walczyć. Jestem tu, by zwyciężyć.*

Dziewczyna usiadła i sięgnęła po piękną *szamlę* ułożoną na ozdobnym zydłu stojącym obok. Nim podeszła do mężczyzny, wsunęła ręce w błyszczące brokatowe rękawy i związała srebrne koronkowe troczki. Kiedy mijala łoże, delikatna haftowana materia zawirowała wokół niej niczym derwisz w trakcie *samy*.

Kalif zbliżył się do stojącego w rogu komnaty niskiego stolika, który otoczony był jeszcze bardziej okazałymi, mniejszymi i większymi poduszkami. Na puszystym materiale lśniły ozdobne kamienie szlachetne w szerokiej gamie odcieni.

Mężczyzna nalewał sobie wina, cały czas milcząc. Szahrzad minęła go i opadła na jedną z poduszek leżących przy stole.

Na tacy znajdowały się pistacje, migdały, figi, winogrona, pigwy, małe ogórki i cały asortyment świeżych ziół. Kosz z tradycyjnym cienkim

pieczywem stał niedaleko owinięty serwetą.

Starając się odwzajemnić jego subtelne lekceważenie, Szahrzad zaczęła skubać winogrona leżące na tacy i wkładać je sobie do ust.

Kalif przyglądał się jej przez dłuższą chwilę, nim sam zajął jedną z poduszek. Siedział i popijał wino, podczas gdy Szahrzad moczyła kawałki pieczywa w słodkim, pikantnym sosie *chutney*.

Gdy nie była w stanie już dłużej znieść ciszy, uniosła smukłą brew, patrząc na niego.

– Nie masz zamiaru jeść, *sajjidi*?

Wypuścił powietrze przez nos, kąciki jego oczu zmarszczyły się, jakby rozważał jej słowa.

– Chutney jest przepyszny – zauważyła bezceremonialnie.

– Nie boisz się, Szahrzad? – zapytał tak cicho, że nieomal niedosłyszała.

Odłożyła pieczywo.

– A chcesz, żebym się bała, *sajjidi*?

– Nie. Chcę, byś była szczerą.

Dziewczyna się uśmiechnęła.

– Ale skąd będziesz wiedział, jeśli skłamię, *sajjidi*?

– Nie jesteś utalentowanym kłamcą. Wydaje ci się tylko, że nim jesteś. – Pochylił się nad stołem i wziął garść migdałów z tacy.

Jej uśmiech niebezpiecznie się powiększył.

– A ty nie jesteś tak dobry w odczytywaniu ludzi. Jedyne się za takiego uważasz.

Przechylił głowę na bok, mięsień drgnął na jego policzku.

– Czego chcesz? – Jego słowa znów były tak ciche, że Szahrzad musiała wyteńczyć słuch.

Otrzeпаła dłonie z okruchów – grała na zwłokę, obmyślając kolejną intrygę.

– Mam umrzeć o świcie. Prawda?

Przytaknął krótko.

– I pragniesz się dowiedzieć, dlaczego się zgłosiłam? – ciągnęła. – Cóż, byłabym skłonna...

– Nie. Nie będę grał w twoje gierki. Gardzę manipulacją.

Szahrzad natychmiast zamknęła usta, tłumiąc gniew.

– Być może powinieneś spędzać mniej czasu na rozważaniu zasad gry, a więcej na nauce cierpliwości – niezbędnej, jeśli chcesz wygrywać.

Kalif zamarł. Na krótką chwilę pobielały mu knykie. Wreszcie rozluźnił

dłonie.

Szahrzad obserwowała, jak napięcie opuszcza jego ciało. Na chwilę wstrzymała oddech. Emocje zawrzały w jej piersi, siejąc spustoszenie w umyśle.

– Odważne słowa jak na dziewczynę, której pozostało kilka godzin życia. – Jego ton był lodowaty.

Usiadła prosto i ułożyła luźno rozpuszczone ciemne włosy tak, by opadały na jej ramię.

– Interesują cię zasady gry czy nie, *sajjidi*? – Milczał, więc kontynuowała, ukrywając drżące dłonie w rękawach *szamli*. – Jestem gotowa odpowiedzieć na twoje pytanie, *sajjidi*. Jednak zanim to zrobię, zastanawiam się, czy byłbyś gotów spełnić moją jedną małą prośbę... – urwała.

Na jego twarzy pojawił się cień bezdusznego rozbawienia.

– Tym tanim chwytem próbujesz targować się o swoje życie?

Roześmiała się, a dźwięk ten zatańczył w pomieszczeniu niczym odgłos dzwonek na wietrze.

– Moje życie jest stracone. Jasno się wyraziłeś. Być może powinniśmy zostawić ten problem i skupić się na bieżącej kwestii.

– Koniecznie.

Milczała przez chwilę, by się uspokoić.

– Chcę opowiedzieć ci pewną historię.

– Słucham? – Po raz pierwszy ujrzała wyraźne emocje malujące się na jego obliczu.

*Zaskoczony? Bądź pewien, że to nie ostatni raz, Chalidzie Ibn al-Raszidzie.*

– Opowiem ci pewną historię. Wysłuchasz jej. A kiedy skończę, odpowiem na twoje pytanie. – Czekwała na jego reakcję.

– Historię?

– Tak. Zgadzasz się na te warunki, *sajjidi*?

Z wyrazem twarzy, z którego nie sposób było nic wyczytać, odchylił się i oparł na łokciu.

– Dobrze. Zgadzam się. Możesz zaczynać. – Jego słowa brzmiały jak zaczepka.

*Właśnie rzuciłeś mi wyzwanie, potworze. A ja je przyjąłem.*

– Oto historia Agiba, biednego żeglarsza, który stracił cały swój majątek, by znaleźć klucz do samopoznania.

– Opowieść o moralności? Zatem starasz się dać mi lekcję.  
– Nie, *sajjidi*. Staram się zaciekawić cię moją opowieścią. Mówiono mi, że dobry gawędziarz już jednym zdaniem jest w stanie zainteresować słuchających.

– Więc ci się nie powiodło.

– Jedyne dlatego, że jesteś wyjątkowo trudnym słuchaczem. Poza tym nie dałeś mi dokończyć. Widzisz, Agib był złodziejem, najlepszym ze wszystkich złodziejów w Bagdadzie. Na oczach okradanej osoby potrafił zwędnąć z jej ręki złotego dinara. Czając się w cieniu, był w stanie opróżnić kieszeń nawet najostroźniejszego wędrowca.

Kalif skłonił głowę z uwagą.

– Jednak pochłaniała go pycha. Jego czyny stawały się coraz bardziej śmiałe, coraz bardziej rosła w nim arogancja. Pewnego dnia został przyłapany na próbie obrabowania zamożnego emira i ledwo udało mu się ująć z życiem. Spanikowany, szukając schronienia, rzucił się do ucieczki ulicami Bagdadu. W pobliżu portu napotkał niewielki statek opuszczający właśnie miasto. Kapitan pilnie potrzebował kolejnego członka załogi. Pewien, że żołnierze emira znajdą go, jeśli pozostanie w mieście, Agib zgłosił się na ochotnika do rejsu.

– Brzmi ciekawiej. – Cień uśmiechu odmalował się na ustach kalifa.

– Cieszę się, że ci się podoba, *sajjidi*. Mogę kontynuować? – Szahrzad posłała mu sztywny uśmiech, walcząc z pragnieniem, by chlusnąć mu resztką swojego napoju w twarz.

Młody mężczyzna skinął głową.

– Pierwsze dni na pokładzie statku były dla Agiba trudne. Nie był żeglarzem i miał niewielkie doświadczenie w tego rodzaju wyprawach. Dlatego przez większość czasu cierpiał z powodu choroby morskiej. Pozostali członkowie załogi drwili z niego otwarcie, dawali mu do wykonania najbardziej niewdzięczne zadania, czym umacniali tylko jego pozycję nieudacznika. W ich świecie szacunek, który Agib zdobył w Bagdadzie jako najlepszy złodziej, był kompletnie bez znaczenia. Mimo wszystko nie mógł okradać pozostałych żeglarzy. Nie było miejsca, gdzie mógłby uciec i się ukryć.

– A to ci nowina – przerwał ironicznie kalif.

Szahrzad zignorowała tę uwagę.

– Po tygodniu na morzu rozpętała się potworna burza. Statek porwały fale i zniosły go daleko z kursu. Niestety nie to było najgorsze: gdy dwa dni później

wody w końcu się uspokoiły, nigdzie nie było kapitana. Pochłonęły go słone odmęty morza.

Szahrzad umilkła. Przesunęła się, by wziąć winogrono, jednocześnie ukradkiem spojrzała przez ramię kalifa na ozdobne parawany ułożone przy wyjściu na taras. Wciąż spowijał je mrok nocy.

– Załoga wpadła w panikę. Znajdowali się na środku morza i nie było wśród nich osoby, która mogłaby naprowadzić statek na właściwy kurs. Zaczęły się spory o to, który z marynarzy ma przejąć rolę kapitana. Pochłonięta walką o władzę załoga nie zauważyła, że na horyzoncie majaczył fragment lądu. Agib pierwszy go wskazał. Wydawało się, że to mała wyspa, pośrodku której znajdowała się ogromna góra. Początkowo załoga ucieszyła się na ten widok, jednak pewien stary marynarz mruknął pod nosem coś, co na nowo wywołało zamieszanie.

Kalif przysłuchiwał się opowieści, a jego bursztynowe oczy koncentrowały się tylko na Szahrzad.

– Powiedział: „Niech Bóg ma nas w swojej opiece. To Magnetyczna Góra”. Na te słowa podniósł się głośny krzyk. Agib zapytał więc, co czyni tę górę tak przerażającą, że dorośli mężczyźni drżą na jej widok. Stary marynarz wyjaśnił, że Magnetyczna Góra posiada mroczną moc – przyciąga statki, ponieważ ich kadłuby zawierają metalowe elementy. Gdy okręt już znajdzie się w jej uścisku, potężna siła odczepi wszystkie gwoździe od desek, tym samym posyłając łajbę na dno i skazując wszystkich na śmierć w słonych odmętach.

– Może zamiast tracić czas na lamenty powinni spróbować odpłynąć w przeciwnym kierunku – zasugerował oschle kalif.

– To właśnie doradził Agib. Żeglarze podjęli natychmiastowe działania, by wyzwolić statek spod niszczycielskiego wpływu góry, jednak było już za późno. Gdy w oddali dojrzy się ciemność, niewiele można zrobić. Góra trzymała statek w swej mocy. Niestety, mimo wysiłku coraz szybciej dryfowali – nieuchronnie zbliżali się do góry. Wkrótce dało się słyszeć przerażający zgrzyt dochodzący z kadłuba okrętu. Statek zaczął drżeć. Trząsał się i chwiało, jakby na jego dziobie znalazł się cały ciężar świata. Przerazona załoga przyglądała się, jak pod wpływem ogromnej siły gwoździe odrywają się od drewnianych ścian statku, które ich otaczały. Okręt pękał i rozpadał się niczym zabawka pod stopami dziecka. Agib miał zaraz podzielić los innych marynarzy, którzy z jękiem wpadali do morza i odtąd byli zdani wyłącznie na siebie.

Szahrzad uniosła kielich i sięgnęła po dzban wina. Ukryła zaskoczenie, gdy kalif bez słowa napełnił jej puchar.

Krawędź parawanu stojącego za mężczyzną zaczęła się rozjaśniać.

– Agib doczołgał się na rufę, ostatnią nienaruszoną część okrętu. Po drodze zauważył, że obok niego w kierunku góry przesuwa się żelazny garnek. Wykorzystując zręczność swych złodziejskich rąk, chwycił naczynie i przyłgnał do niego. Wyrzuciło go za burtę i wpadł do bezkresnej wody. Garniec natychmiast zaczął go ciągnąć na dno, więc młodzieniec walczył, by pozostać na powierzchni, jednocześnie szukając czegoś, czego mógłby się złapać. Krzyki tonących wokół niego żeglarzy tylko wzmagały jego desperację. Nie wypuszczając garnka, chwycił wolną ręką kawałek strzaskanego masztu, który znalazł się obok.

Kalif słuchał z przejęciem, a jego surowe oblicze łagodniało.

– Agib postępował słusznie. Miał nadzieję, że garniec zaciągnie go wprost na wyspę.

Szahrzad się uśmiechnęła.

– Istotnie. Po wielu godzinach instynkt Agiba przywiódł go na ląd. Wyczerpany, drżący ze strachu potknął się o stromy brzeg wyspy, którego czerń lśniła znacząco. Zemdlał w cieniu góry i przez wiele godzin nie odzyskiwał przytomności. Ocknął się dopiero o świcie, zaczął szukać wody i pożywienia, lecz szybko zdał sobie sprawę, że naprawdę znalazł się w miejscu śmierci i zniszczenia. Nie otaczały go żadne ślady życia, na tym pustkowiu niewiele było nawet wody. Zrozpaczony, upadł nieopodal sterty kamieni, uświadamiając sobie nieszczęście, które go spotkało. Leżące za nim głazy poruszyły się i zza szczeliny pomiędzy nimi wychynął niewielki metalowy kielich. Wyszczerbione brzegi wskazywały, że naczynie musiało być bardzo stare.

Niebieskie światło sączyło się przez parawan. Ożywiało jego wzory, przesuając się między pięknie rzeźbionymi listwami.

– Agib przyglądał się kielichowi, który oblepiony był piaskiem i mułem. Mężczyzna chwiejnym krokiem ruszył z powrotem na brzeg, by obmyć przedmiot. Kiedy błoto zniknęło z powierzchni naczynia, Agib dostrzegł, że kielich pokrywały znaki, których jeszcze nigdy nie widział. Uniósł go do słońca. Na powierzchni wciąż znajdowała się woda, zaczął więc wycierać ją rękawem, by do końca osuszyć przedmiot...

Parawan jaśniał od bieli zbliżającego się świtu. Promienie słońca

przepluwające przez listwy skupiały się na marmurowej posadzce niczym napięte złote struny.

Serce podeszło Szahrzad do gardła.

– Kielich zaczął drżeć. Z jego wnętrza wydobywał się dym koloru jasnego południowego nieba. Smuga dymu zaczęła wirować i wzrastać, aż zawisnął wysoko niczym szafirowy pióropusz. Przerażony Agib upuścił naczynie i upadł w tył na czarne kamienie. Dym rósł jeszcze bardziej, wreszcie w samym jego środku uformował się cień.

Kalif się pochylił.

– Cień gęstniał i po chwili... wybuchnął śmiechem.

Szahrzad urwała.

Za kalifem w przerażającej chwale nastał świt.

– Dlaczego przerwałaś? – zapytał.

Dziewczyna zwróciła spojrzenie w kierunku tarasu. Kalif objął wzrokiem to miejsce.

– Możesz dokończyć opowieść – powiedział.

Szahrzad odetchnęła ostrożnie.

– Obawiam się, że to niemożliwe, *sajjidi*.

– Słucham?

– Dopiero ją zaczęłam.

Władca zmrużył oczy. Przypominały teraz szparki o barwie ochry.

– Dokończ historię, Szahrzad.

– Nie.

Z gracją poderwał się z miejsca.

– Zatem taki był twój plan?

– O jakim planie mówisz, *sajjidi*?

– Podstępny. O taktyce, która miałaby opóźnić twoją egzekucję... Zaczęłaś opowieść, nie mając zamiaru jej dokończyć. – Jego głos był w tej chwili okrutnie cichy.

– Zamierzam ją dokończyć, ale w nocy. To, czy do tego dojdzie, zależy wyłącznie od ciebie. – Spojrzała na niego, zaciskając dłonie w pięści pod rękawami *szamli*.

– Mówiłaś, że rozumiesz, iż twoje życie jest stracone. To było jasne od samego początku.

Szahrzad wstała. Wyprostowała się i uniosła podbródek.

Gdy przemówiła, uszczypliwy, choć miękki ton jej głosu pasował do tonu

kalifa:

– Każde życie kiedyś się kończy, *sajjidi*. Pozostaje tylko pytanie – kiedy. Ja chciałabym mieć jeszcze jeden dzień.

Kalif spiorunował ją wzrokiem. Rosnący głęboko gniew wydobywał się z niego i powodował, że ostre rysy jego twarzy stawały się jeszcze groźniejsze.

W komnacie dało się słyszeć krótkie pukanie do drzwi.

– Tylko jeden – szepnęła.

Spojrzenie tygrysiich oczu kalifa przesunęło się po niej, jakby oceniał on szanse ofiary i rozważał jej możliwości.

Serce dziewczyny zatrzymało się na chwilę.

*Nie będę błagała.*

Ponownie rozległo się ciche pukanie.

Szahrzad postąpiła naprzód, przesywając kalifa spojrzeniem swych piwnych oczu.

Mężczyzna zawahał się, zanim powoli podszedł do drzwi.

*Nie. Proszę. Zatrzymaj się!*

Gdy sięgnął do klamki, zatrzymał się i nie patrząc na dziewczynę, powiedział:

– Jeden. – Słowo kalifa zabrzmiało niczym cicha obraza. Zaraz potem wyszedł.

Kiedy zatrasnęły się za nim drzwi, Szahrzad opadła na podłogę i przycisnęła rozpalony policzek do chłodnego marmuru.

Nawet płacz był dla niej w tej chwili zbyt wielkim wysiłkiem.



## DESPINA I RADŹPUT



Taca z trzaskiem uderzyła o stół.

Szahrzad natychmiast się wyprostowała, sen wciąż gościł pod jej powiekami. Przetarła więc oczy. Na skórze dłoni dostrzegła ślady płynnego złota i czarnego proszku.

– Jesteś, pani, zbyt drobna, by móc wywołać tak wielkie zamieszanie – powiedział śpiewny kobiecy głos.

– Słucham? – Szahrzad skupiła uwagę na jego właścicielce.

– Powiedziałam, że nikt nie mógł przypuszczać, że tak mała istota spowoduje tak wielkie zamieszanie. – Krępa dziewczyna mniej więcej w jej wieku stanęła w nogach jej łoża i jednym pociągnięciem rozsunęła jedwabne zasłony. Miała jasną skórę i gęste miodowobrazowe włosy związane na czubku głowy w typową grecką fryzurę. Jej podkreślone *kohlem* oczy, pomalowane wprawną ręką, jaśniały błękitem Morza Egejskiego. Usta, ściągnięte w idealny grymas, błyszczały różem karminu i pszczelego wosku. Biała lniana tunika opinała jej pełną sylwetkę we wszystkich właściwych miejscach. Jej lewe ramię obejmowała gruba srebrna bransoleta.

Szahrzad rozbudziła się i próbowała zachować pozory godności.

– Słyszałam cię za pierwszym razem.

– Więc dlaczego prosiłaś, pani, abym powtórzyła?

– Ponieważ cię nie znam i nie mam pojęcia, dlaczego tu jesteś i wypowiadasz takie nedorzeczości z samego rana – odparła natychmiast Szahrzad.

Dziewczyna parsknęła głośnym śmiechem.

– Chyba zaczynam rozumieć, skąd to całe zamieszanie. Poza tym trudno nazwać tę porę dnia porankiem. Jest południe. – Dziewczyna podeszła do okiennic i rozwarła je szeroko. W komnacie ukazało się słońce, które stało wysoko na czystym błękitnym niebie.

Szahrzad skrzywiła się na widok ostrego światła.

– Przyniosłam jedzenie. Powinnaś, pani, coś zjeść. Jesteś taka drobna – powiedziała dziewczyna.

– Nie do końca rozumiem, dlaczego mój rozmiar jest taki ważny.

– Ponieważ tak wąła istota jak ty nie poradzi sobie w walce, a tym bardziej nie może jej wygrać. A ja chciałabym zobaczyć twoje zwycięstwo, pani.

Nieufna Szahrzad przyciągnęła kolana do piersi i zamruła.

– Zwycięstwo?

– Na Zeusa, jesteś, pani, zabawna! Wspomniałam, że życzę ci zwycięstwa, mając na myśli to, że chciałabym widzieć cię żywą. Nie podoba mi się, że śmierć młodych dziewcząt wynika z kaprysu naszego enigmatycznego władcy. A tobie, pani?

Szahrzad przyglądała się przez chwilę dziewczynie, nim położyła bosc stopy na zimnej, marmurowej posadzce i wstała z łóża.

*Bądź ostrożna.*

– Nie. Nie podoba mi się – odparła.

Dziewczyna wyszczerzyła zęby w uśmiechu.

– Jesteś, pani, wyższa, niż zakładałam. Lekko zaokrąglona tam, gdzie trzeba. Wciąż zbyt chuda, ale widywałam gorsze. Jestem pewna, że odpowiednio przygotowana, będziesz, pani, olśniewająca.

– Przepraszam, ale kim jesteś? – dopytywała Szahrzad.

– Jestem Despina. Twoja służka... przynajmniej póki wygrasz, pani.

– Nie potrzebuję służącej.

– Obawiam się, że nie ty, pani, o tym decydujesz. – Uśmiech Despiny się poszerzył, a jej niebieskie oczy zabłysnęły, prowokując Szahrzad do reakcji na bezczelność tej obcej osoby. Przerwała Despinie, zastanawiając się otwarcie:

– Przysłał cię więc, byś mnie szpiegowała?

Despina uśmiechnęła się, odsłaniając białe zęby.

– Tak.

– A jesteś w tym dobra?

– Najlepsza.

– Dobry szpieg ukrywa swoją tożsamość.

– Najlepszy nie musi tego robić.

Szahrzad uśmiechnęła się mimowolnie na to stwierdzenie.

– Jesteś arogancka.

– Podobnie jak ty, moja pani Szahrzad. Jednak nie sądzę, by było to naszą

wadą. Czyż bez szczypty arogancji można osiągać niemożliwe?

Szahrzad zesłała z podwyższenia i stanęła przed Despina.

Dziewczyna była od niej o pół głowy wyższa, dostatecznie przekonana o roli, którą ma do spełnienia w życiu. Od umiejętnie skrojonego stroju do nienagannie poprawionych rysów twarzy była nie lada pewnością – było jasne, że Despina posiada siłę, z którą należało się liczyć.

Jednak to jej oczy zwracały najbardziej uwagę Szahrzad.

Były jak baczne oko myśliwego. Jak jej własne w lustrzanym odbiciu.

*Ostrzegła mnie, że jest szpiegiem. Dlaczego to zrobiła?*

– Chcesz coś zjeść, pani? A może planujesz głodować? Jeśli tak, nie krępuj się. Uważam, że głód zabije takiego małego diabła na długo przed tym, zanim zrobi to kalif.

Szahrzad zaśmiała się ironicznie.

– To najgorszy komplement, jaki kiedykolwiek słyszałam.

– Nie ma za co. – Despina obróciła się w wirze białego materiału, a zapach jaśminu nasycił powietrze wokół niej. Szahrzad poszła za nią do stojącego w rogu komnaty stolika. Na tacy znajdował się chleb *lawasz*, okrągły kozi ser otoczony słodkimi konfiturami, waza z zupą i połówki granatu, którego nasiona lśniły w ciepłym świetle dochodzącym z tarasu. Ozdobny srebrny dzban herbaty z kardamonem podgrzewał się na niewielkim ogniu.

Despina ściągnęła pokrywę z dzbanka i zaczęła przygotowywać herbatę, umieszczając kryształki cukru na spodzie małej filiżanki z grawerowanego szkła.

Szahrzad usiadła się na poduszkach i wzięła kawałek chleba.

Gdy naląła sobie herbaty z wysokiego naczynia, służąca spojrzała na nią przez rzęsy.

– Mówiłam poważnie, mam nadzieję, że ci się uda, pani. – Jej cichy głos był pełen ostrożności.

– Proszę, mów mi Szahrzad.

– Szahrzad. – Despina uśmiechnęła się do niej.

Szahrzad nie mogła się powstrzymać przed odwzajemnieniem uśmiechu.

*Bądź bardzo ostrożna.*



Godzinę później Szahrzad z pomocą Despiny była już po kąpieli, ubrana w wymyślny strój z jedwabiu i adamaszku. Srebrny diadem wysadzany

perłami i drobnymi niebieskimi szafirami zdobił jej czoło. Na jej szyi wisiał dopasowany do niego naszyjnik. Przy każdym ruchu jej lewej dłoni bransolety na nadgarstku połyskiwały brylantami.

– Mogę wyjść? – zapytała, gdy Despina zakończyła nakładanie *kohlu* na jej powieki.

Służąca przytaknęła.

– Możesz przechadzać się po większości pałacowych komnat, dopóki będziesz z radźputem.

– Radźputem?

Skóra w kącikach oczu Despiny zmarszczyła się, na jej twarzy ponury humor mieszał się ze współczuciem.

– Najwyraźniej tak bardzo oczarowałaś kalifa, że przydzielił ci swojego osobistego ochroniarza.

Szahrzad zacisnęła dłonie w pięści.

– Mam więc teraz osobistego szpiega i gotowego do działania kata?

– Mniej więcej.

*Nawet „nienawiść” nie jest słowem, które wyraziłoby w pełni moje uczucie do tego człowieka.*

– Kim jest ten radźput? – zapytała ostro Szahrzad.

– Był czas, że zwano go Zgubą Hindustanu. To najlepszy szermierz w Reju, być może nawet w całym Chorasanie. Jest wielbicielem szabli *talwar*. W Reju jest tylko jeden szermierz, który może się z nim równać, ale nigdy nie pokonał radźputa.

Ta informacja może być cenna na przyszłość.

– A kto jest tym drugim szermierzem?

Despina ściągnęła brwi.

– Spodziewałam się po tobie czegoś więcej.

– Słucham?

– Myślałam, że w tym względzie będziesz lepiej poinformowana.

– Wybacz zaniedbanie w zakresie znajomości listy dziesięciu najlepszych szermierzy w Chorasanie – rzuciła w odpowiedzi Szahrzad.

– Przypuszczam, że ta informacja nie jest łatwo dostępna dla młodej dziewczyny, która ma ojca bibliotekarza. Nie zamieszczają jej w przeznaczonych do wiadomości publicznej obwieszczeniach.

– Mój ojciec jest kustoszem starożytnych tekstów i najmądrzejszym znanym mi człowiekiem. Był wezyrem poprzedniego kalifa. – Szahrzad spiorunowała

ją wzrokiem.

– Słyszałam, że po śmierci żony postradał rozum i został pozbawiony stanowiska. Teraz jest bibliotekarzem.

*Nie mogę stracić panowania nad sobą. Ona wyraźnie próbuje mnie rozdrażnić. Ale dlaczego?*

Szahrzad milczała, mając nadzieję, że cisza ją uspokoi. Bawiła się srebrnym naszyjnikiem, nie bacząc na jego ciężar.

– Nadal chcesz wiedzieć, kto jest drugim najlepszym szermierzem w Reju? – zapytała Despina, zmieniając taktykę.

– Nieważne. To nie ma znaczenia.

Służąca uśmiechnęła się znacząco.

– Drugim szermierzem Reju jest Chalid Ibn al-Raszid, nasz znamienity Król Królów.

Serce Szahrzad zamarło. Utalentowani szermierze zwykle bywali również znamienitymi strategami. Szybko wyczuwali podstęp.

Stanowiło to kolejną przeszkodę. Jeśli kiedykolwiek kalif będzie podejrzewał ją o zdradę, będzie jej trudno zaplanować jego śmierć i go zaskoczyć.

Z trudem przełknęła ślinę.

– To naprawdę nie ma znaczenia.

– Zapewne dla ciebie mieć go nie powinno. Jednak pomyślałam, że mimo wszystko chciałabyś to wiedzieć.

W co ona gra?

– To źle myślałaś. – Szahrzad podeszła do drzwi komnaty i pociągnęła za klamkę. Gdy tylko przekroczyła próg, ukazała jej się potężna sylwetka mężczyzny. Miał skórę w odcieniu polerowanej miedzi i przewyższał Szahrzad wzrostem. Na głowie nosił misternie zawinięty turban. Jego nagie ramiona były masywne i umięśnione, czarna broda została starannie przystrzyżona tuż przy podbródku. Oczy miały barwę bezksiężycowej nocy, gdy surowo i bezlitośnie patrzył na Szahrzad.

– Um, tak. Musisz być... Przepraszam, jak masz na imię? – wyjąkała dziewczyna.

– Mówiłam ci, jest radżputem – odparła Despina za jej plecami.

– Ale musi mieć jakieś imię – rzuciła Szahrzad przez ramię.

– Jeśli je ma, to ja go nie znam.

Z westchnieniem rozdrażnienia Szahrzad stanęła odważnie ze swoim

potencjalnym katem twarzą w twarz.

– Jestem Szahrzad. – Patrzyła mu w czarne oczy.

Spojrzał na nią groźnie, nim odsunął się na bok, pozwalając jej przejść.

Gdy go mijała, zauważyła długą szablę *talwar* zawieszoną przy jego biodrze, połyskującą złowrogo w popołudniowym słońcu.

*Ten milczący brutal jest więc jedynym szermierzem, który mógłby pokonać mojego wroga...*

*Jak mam znaleźć jakąkolwiek słabość Chalida Ibn al-Raszida, gdy otaczają mnie jego szpiegzy śledzący każdy mój ruch?*

Westchnęła dosadnie.

*Mogę mieć z tym poważny problem.*

## NAPIĘTA CIĘCIWA



Pałac został wzniesiony niespełna trzysta lat temu przez władcę, który lubował się w przepychu. Przez wiele lat dobudowano kilka skrzydeł, powiększając budynek z marmuru i wapienia. Korytarze rozgałęziały się niczym kręte dróżki prowadzące do niewidocznego w oddali celu.

*W takim miejscu łatwo się zgubić.*

– Jak mogę się dostać na podwórze? – zapytała Szahrzad Despiny, gdy od pół godziny wędrowali świetlistymi korytarzami.

Despina w zamyśleniu przechyliła głowę na bok.

– Przypuszczam, że tędy będzie dobrze. Nikt wyraźnie nie zabronił wychodzić ci na zewnątrz.

Szahrzad oparła się pokusie, by odpowiedzieć, gdy służka skręciła w prawo. Radżput zbliżył się do Szahrzad, jego postura była sztywna i nieugięta, podobnie jak wyraz jego twarzy. Po chwili cichej wędrówki dotarli do krużganku. Na zewnątrz prowadził szereg podwójnych łukowych drzwi.

Odźwierny otworzył jedno z nich, pozwalając przejść trzem osobom. Szahrzad wyszła na tarasowy dziedziniec, składający się z kilku kondygnacji. Szerokie schody wiodły na dół. Pierwszy z tarasów pełen był kwitnących drzew, znajdowała się tu również wyszukana woliery, zamknięta z każdej strony przez misternie kutą kratę. Drewno akacjowe zostało pokryte cienką warstwą białej farby i przymocowane wkrętami z polerowanego brązu. Bujne niebiesko-zielone trawy kwitły między płytami gruboziarnistego granitu.

Szahrzad przeszła obok woliery, przyglądając się kolorowym, śpiewającym w jej wnętrzu ptakom: słowikom, skowronkom, szczygłom, kanarkom...

Za jej pleców dobiegł głośny pisk. Odwróciła się i zobaczyła pawia dumnie przechadzającego się pośrodku trawnika. Malachitowo-złoty ogon, rozłożony w wachlarz, chwycił promienie słońca.

Szahrzad się przysunęła. Paw przystanął, by na nią spojrzeć, nim opuścił ogon i odszedł.

Zaśmiała się do siebie.

– Taki był dumny, a tak szybko uciekł.

– O czym mówisz? – zapytała Despina.

Szahrzad pokręciła głową.

– Masz na myśli mężczyznę? – parsknęła.

Szahrzad bez słowa przeszła przez górny taras i zeszła kamiennymi schodami wiodącymi do następnego. Zadrzewiony ogród tryskał bielą kwiatów drzew cytrusowych i zielenią zwisających z konarów fig, niecierpliwie pragnących dojrzeć.

Szahrzad mijala to miejsce, zatrzymując się chwilami, jakby rozkoszowała się jego wonią.

Despina spojrzała na nią w zamyśleniu.

– Co zamierzasz zrobić? – zapytała z cieniem podejrzliwości.

Szahrzad uniosła rękę, by przysłonić oczy. Skupiła wzrok na oznakach ruchu przenikających kamienną, pełną piasku przestrzeń znajdującą się tuż pod miejscem, w którym stała.

– Jeśli mi powiesz, co planujesz, będę mogła pomóc – zaoferowała Despina.

– Niczego nie planuję. Szukam czegoś.

– Czego?

– Służącej, która nie będzie zadawała tylu pytań.

Despina zachichotała.

Szahrzad przyspieszyła kroku, pokonując ostatnie schody w drodze do miejsca pełnego piasku i kamienia.

Radżput mruknął z dezaprobatą, gdy zbliżyli się do wyjścia.

*Mimo wszystko nie jest niemy.*

Despina sapnęła głośno.

– Jestem pewna, że nie powinnaś tu przychodzić.

– Mówiłaś, że mogę chodzić, gdzie chcę, jeśli tylko jest ze mną radżput – wypomniała jej Szahrzad.

– Nie sądzę, by ktokolwiek spodziewał się, że zejdziesz na pole treningowe.

Bystre spojrzenie Szahrzad przemknęło po zastępach mężczyzn zatraconych w sztuce szermierki, w rzucaniu włócznią oraz w doskonaleniu zadawania śmiertelnego ciosu podobnym do topora *tabarzinem*.

*Nie ma go tutaj.*

– Szukasz kalifa? – pytała Despina.

– Nie.



*Ale zakładam, że drugi szermierz Reju będzie dzisiaj ćwiczył... jeśli zamierza utrzymać swój tytuł.*

*Muszę poznać jego słabości, bym z tą wiedzą mogła go zniszczyć.*

– Kłamiesz – parsknęła Despina.

– Właściwie przyszedłam tu, bo chciałam... – Szahrzad rozejrzała się, aż jej spojrzenie natknęło się na coś, co doskonale знаła. – Chciałam się nauczyć korzystać z łuku i strzał.

– Co? – pisnęła służka.

Udając obojętność, Szahrzad podeszła do stojaka z bronią.

Radżput uniósł rękę, by zablokować jej drogę, ostrzegając ją przy tym spojrzeniem onyksowych oczu.

Szahrzad przygotowała się w duchu, nim odwzajemniła jego agresywny wzrok.

– Nauczysz mnie strzelać? Zawsze chciałam wiedzieć, jak się to robi.

Pokręcił głową.

Udała, że się dąsa.

– Nic mi się nie stanie. Poza tym pojutrze nie będziesz musiał się już o mnie martwić. Proszę, spełnij tę niewielką prośbę.

– A skąd wiesz, że on się o ciebie martwi... – rzuciła zgryźliwie Despina.

Szahrzad usiłowała ominąć potężne ramię. Gdy radżput znów pokrzyżował jej szyki, zacisnęła usta.

– Musisz być taki uparty? – zapytała ostrym tonem.

– Nie jest uparty. Zachowuje się tak na co dzień – powiedział głęboki męski głos za nimi.

Zarówno Despina, jak i Szahrzad obróciły się i zobaczyły rozbawionego młodego mężczyznę z burzą mahoniowych kręconych włosów i ciepłym, uprzejmym wyrazem twarzy.

Radżput zeszywniał.

– Może ja zdołam w czymś pomóc? – zaproponował z uśmiechem nowo przybyły.

Szahrzad posłała mu uwodzicielski uśmiech.

– Mam nadzieję. Jestem...

– Wiem, kim jesteś, pani. Do tej pory wszyscy w pałacu zdążyli cię poznać.

– Jego brązowe oczy zaśniły psotnie, gdy puścił oko do Despiny. Służąca odwróciła wzrok, a na jej policzkach pojawił się rumieniec.

*Flirciarz z niego.*

– Zatem masz nade mną zdecydowaną przewagę, *sahibie* – przyznała Szahrzad.

– Jestem Dżalal. – Skłonił głowę, palcami dotykając czoła.

– Jest kapitanem straży i synem generała Arefa al-Chouriego... *szahrwana* Reju – wyrecytowała z pamięci Despina.

– Niech cię nie zwiedzie ten tytuł, pani. Nie jestem nikim ważnym, mimo że mój ojciec to najwyższej rangi generał w całym Chorasanie.

– Poniekąd dzielimy żalony status, ja również nie jestem nikim ważnym – stwierdziła Szahrzad.

– Wątpię w to, moja pani Szahrzad. Szczerze wątpię. – Dżalal uśmiechnął się, wnosząc nieco więcej pogody do swojego i tak już niefrasobliwego zachowania.

Radżput ponownie chrząknął. Jego utrzymujący się gniew przypomniał Szahrzad o jej prośbie.

– Kapitanie al-Chouri, mógłbyś nauczyć mnie używać łuku i strzał? – zapytała.

– To zależy od kilku rzeczy. Zrobię to, jeśli przestaniesz być tak oficjalna i zaczniesz nazywać mnie Dżalal i jeśli Chalid nigdy nie dowie się, że brałem udział w tym występku.

*Chalid? Zwraca się do władcy po imieniu?*

– Z przyjemnością przyjmę te warunki, jeśli ty również je wypełnisz.

Dżalal przysunął się konspiracyjnie.

– Więc chodź za mną, Szahrzad.

Dziewczyna się roześmiała. Despina skrzyżowała ręce na pełnych piersiach.

– To kiepski pomysł – ostrzegła, a spojrzenie jej niebieskich oczu wylądowało na łobuzerskiej twarzy Dżalala.

– Dla kogo? Dla mnie czy dla ciebie? – odparła Szahrzad. – Dobrze mi zrobi, jeśli ostatni dzień swojego życia spędzę, robiąc rzeczy, których zawsze pragnęłam.

Despina westchnęła z rezygnacją i podążyła za Szahrzad i Dżalalem. Radżput pozostał w cieniu. Jego niesmak mieszający się z irytacją był wyraźnie widoczny, choć nawet kapitan straży posłał mu naganne spojrzenie.

Dżalal poprowadził Szahrzad do stojaków z łukami. Kilka kołczanów zwisało ze stalowego pręta, gęsie pióra tkwiące w strzałach zostały zabarwione na jaskrawe kolory, by można było lepiej rozpoznać właściwy rodzaj broni. Szahrzad wyciągnęła jedną strzałę z kołczanu. Jej grot został

specjalnie ścięty na potrzeby treningu. Starając się wyglądać nonszalancko, zgięła strzałę przy końcu, na tyle tylko, by móc określić jej napięcie.

Nie była elastyczna.

– Strzelałaś kiedyś z łuku? – zapytał Dżalal, obserwując ją z nieoczekiwaną jak na kogoś tak beztroskiego uwagą.

– Niespecjalnie. – Próbowала brzmieć lekceważąco.

– Mogę więc zapytać, co próbujesz zrobić z tą strzałą?

– Jestem po prostu ciekawa. – Wzruszyła ramionami i odłożyła strzałę do kołczanu. Wzięła kolejną o innym zabarwieniu lotek. Wykonała ten sam test.

*O wiele lepsza.*

Zdjęła kołczan z drążka.

– Zdaje się, że mimo wszystko nie potrzebujesz mojej pomocy – skomentował Dżalal lekkim tonem.

– Nie, nie... – Szahrzad starała się ukryć swój błąd. – Mój... kuzyn powiedział mi kiedyś, że jeśli nie ma się wiele siły, łatwiej wystrzelić strzałę, która nie jest zbyt sztywna.

– Rozumiem – stwierdził Dżalal z powątpiewaniem. – A co miał do powiedzenia twój... kuzyn na temat łuku?

– Nic. Komentarz na temat strzały rzucił mimochodem.

Na jego twarzy odmalowało się jeszcze większe powątpiewanie.

– Oczywiście. Mimochodem. – Przejrzał pospiesznie różne łuki spoczywające w stojakach. Gdy jego dłoń zatrzymała się na wysokim, prostym łuku, zerknął przez ramię na Szahrzad.

Uśmiechnęła się do niego.

Wciąż się jej przyglądając, przesunął dłoń na nieco mniejszy, z zakrzywionymi końcami, które odginały się, gdy cięciwa została napięta.

Łuk refleksyjny.

Szahrzad wciąż się uśmiechała, nie chcąc dać się przyłapać na wyborze broni.

– Masz jakieś preferencje? – zapytał.

– Wybierz swoim zdaniem najlepszy.

Przytaknął.

– Myślę, że ten będzie odpowiedni. – Z wymownym uśmiechem wyjął łuk refleksyjny ze stojaka i podszedł do linii, za którą w odległości pięćdziesięciu kroków ustawiono tarcze.

Szahrzad poszła za nim, mając do siebie żal, że tak bezmyślnie ujawniła swoje umiejętności.

*Co się stało, to się nie odstanie. Jednak na przyszłość lepiej się postaraj.*

Zwinęła swoje czarne pofalowane włosy w węzeł na karku, po czym zrzuciła ciężki płaszcz i podała go Despinie. Lekki powiew pustynnego wiatru owiał jej nagą skórę ramion i brzucha. Miała na sobie dopasowany srebrny top o kwadratowym dekolcie i małych, bufiastych rękawach. Jedwabna kobaltowo-niebieska *tikka* wisiała nisko w poprzek bioder, jej zakończone perłami końce spływały ku ziemi. Srebrne pantofle wzniecały obłoczki kurzu przy każdym kroku.

Szahrzad zarzuciła kołczan na ramię, a Dżalal podał jej łuk.

Wokół zaczął gromadzić się tłum ciekawskich. Radżput i Despina stali na jego czele, wciąż posyłając dziewczynie spojrzenia pełne obaw i niezadowolenia.

Szahrzad postawiła stopy blisko siebie, wyciągnęła strzałę z kołczanu i spróbowała naciągnąć cięciwę.

Dżalal wyraźnie jej nie wierzył.

Gdy dziewczyna oparła strzałę na cięciwie, cienkie drewno uderzyło o konstrukcję łuku, a ten zadrżał w udawanym niewprawnym chwycie.

– Tak dobrze? – zapytała Dżalala.

– Nie. Niedobrze. – Parsknął. – Ale o tym wiesz, prawda?

– Oczywiście, że nie.

– Jesteś pewna?

– Masz zamiar mnie uczyć czy nie? – nalegała.

Roześmiał się.

– Wysuń lewą stopę, tak, byś stała na szeroko rozstawionych nogach.

Spełniła polecenie.

– A teraz rozluźnij nieco uścisk i opuść łokcie. Użyj znaków na grzbiecie łuku, by wycelować.

Szahrzad niemal prychnęła szyderczo. Nie potrzebowała ich, odkąd skończyła trzynaście lat. Tarik to wiedział.

– Kiedy wycelujesz, naciągnij strzałę tak mocno, jak tylko możesz, a potem ją wypuść.

Wykonała polecenie, ale strzała nie poleciała zbyt daleko, upadając na ziemię jakieś dwadzieścia kroków od celu.

Szahrzad spojrzała na Dżalala, który nadal jej nie ufał.

– Czy kuzyn nie wyjaśnił ci, jak naciągać cięciwę?

Pokręciła głową.

Westchnął i podszedł do niej.

– Wybrałem ten łuk, ponieważ potrzebuje on mniejszego naciągu. Podejrzewałem, że dlatego wybrałaś właśnie ten kołczan ze strzałami. Ten łuk i strzały pracują w tandemie, więc naciągając cięciwę, nie trzeba wkładać dużo siły. Jest to szczególnie korzystne w przypadku drobniejszych osób – jak ty.

– Więc przy naciąganiu cięciwy chodzi o rozmiar?

– Raczej o szybkość i precyzję. Jeśli nie stracisz dużo siły, by wypuścić pojedynczą strzałę, łatwiej będzie ci umieścić w łuku kolejną. Gdy nie będziesz tak spięta, dokładniej też wymierzysz.

– Brzmi sensownie – zgodziła się.

– Niewątpliwie. – Uśmiechnął się.

Zignorowała jego wymowny ton i sięgnęła po kolejną strzałę. Umieściła ją w łuku, naciągnęła cięciwę, po czym spojrzała Dżalalowi w twarz.

– Musisz dobrze znać kalifa – zaczęła.

Jego entuzjazm nieco osłabł.

– Znam go, odkąd był małym chłopcem.

– Jesteście przyjaciółmi?

– Nie.

– Rozumiem. – Naciągnęła cięciwę jeszcze mocniej, po czym wypuściła strzałę. Tym razem doleciała ona znacznie bliżej celu. Mimo to i tak opadła na piasek.

– Jestem starszy od niego o dwa lata. Wychowywałem się z jego bratem Hassanem, byliśmy zżyci. Po śmierci Hassana próbowałem wyciągnąć rękę do Chalida, ale... – Wzruszył ramionami. – Nigdy jej nie przyjął.

Szahrzad zwróciła się twarzą ku niemu.

– Przykro mi.

– Dlaczego ci przykro?

– Niełatwo stracić przyjaciela. Przynajmniej nie potrafię sobie wyobrazić, by było łatwo.

– Dziękuję za te słowa. Jednak Chalid stracił starszego brata. Jego ojciec zmarł następnego roku. A przez okropny incydent z matką... Miał jedynie czternaście lat, gdy zasiadł na tronie. Miał czternaście lat i był sam. Jestem pewien, że wiesz, co było potem.

*Nie obchodzi mnie to. To żadna wymówka, by stać się potworem. Miał cztery lata, żeby nauczyć się, jak być władcą. A jeśli chodzi o to, co przyszło później...*

Kiedy Dżalal dostrzegł minę Szahrzad, zbliżył się do niej.

– Zrozum proszę, nie staram się go... usprawiedliwiać. – Jego głos był cichy.

Szahrzad odwróciła się od niego i sięgnęła do kołczana na plecach po kolejną strzałę. Zamarła, gdy zdała sobie sprawę, że włożyła strzałę na miejsce i naciągnęła cięciwę płynnym ruchem, zbyt naturalnym jak na nowicjuszkę.

Dżalal się zaśmiał.

– Przepraszam, ale teraz jestem pewien, że mam prawo prosić o przysługę, Szahrzad.

– Dlaczego tak uważasz? – zapytała pod nosem.

– Ponieważ moje milczenie ma swoją cenę.

Zamrugła.

– Słucham?

Przysunął się jeszcze bardziej.

– Nie mam pojęcia, co próbujesz zrobić Chalidowi, ale jesteś pierwszą od lat osobą, która nim wstrząsnęła. A on potrzebuje kogoś takiego.

Szahrzad spojrzała w jego nieruchome oczy, strzała wciąż spoczywała przyciśnięta do jej szyi.

– O jaką przysługę chodzi?

– Chalid nie jest moim przyjacielem. Nie jest też moim wrogiem. Jest moim władcą. Pamiętam chłopca, który był dość czuły... dobry. Miał jasny, dociekliwy umysł i duszę poszukiwacza. A stał się zniszczoną istotą... Jestem nią zmęczony. Pomożesz mi go poskładać, Szahrzad?

Dziewczyna patrzyła na niego w ogłuszającej ciszy, zastanawiając się, skąd bierze się u niego ta ślepa wiara. Tak nieuzasadniona wiara w chłopca z morderczą przeszłością i dziewczynę ze zdradzieckimi intencjami.

Dżalal przyglądał się jej, a ogorzała od słońca twarz znajdowała się o centymetr od jej własnej.

W tej samej chwili Despina wysunęła się z cienia, na jej obliczu malowało się przerażenie. Gdy Szahrzad powiodła wzrokiem w miejsce, które było źródłem jej niepokoju, poczuła, jak powietrze jednym gwałtownym westchnieniem opuszcza jej pierś.

Po drugiej stronie dziedzińca stał kalif Chorasanu, przyglądając się im z chłodnym, opanowanym wyrazem twarzy. Było to niczym cisza przed burzą.

## PRZY ŚWIETLE ŚWIECY



Na okrzyk Szahrzad Dżalal spojrział przez ramię. Radość powróciła na jego twarz, mieszając się z odrobiną przekory.

– Najwyraźniej żadne z nas nie będzie musiało dotrzymać wcześniejszej umowy.

– Najwyraźniej. – Bursztynowe oczy wroga więziły spojrzenie jej piwnych oczu.

– Ale mam nadzieję, że uda nam się później dokończyć rozmowę. – Dżalal odsunął się od niej z szyderym ukłonem.

Kalif wszedł na dziedziniec. Miał na sobie *kamiz* z najlepszego białego lnu i szare szarawary. Zakrzywiona szabla, której rodzaju Szahrzad nie rozpoznała, przywieszona została do czarnej *tikki*, którą owinięte miał biodra. Jak zawsze stanowił przeciwieństwo wszystkiego, co uważała za ciepłe i dobre na świecie.

Wszelki ruch na dziedzińcu ustał. Po prawej stronie Chalida stał starszy mężczyzna, z twarzy i postawy bardzo przypominający Dżalala. Po lewej zaś – wyglądający na zdenerwowanego człowiek, który trzymał naręczce zwojów. Za nimi ciągnął się orszak żołnierzy i strażników.

Przez jedną krótką chwilę Szahrzad rozważała, czy nie wymierzyć strzały w kalifa. Wiedziała, że mogłaby go trafić z tej odległości, ale grot był stępiony – broń służyła jedynie do ćwiczeń.

*Nie uda mi się go zabić.*

Opuściła broń.

*Nie warto ryzykować.*

Gdy się zbliżył, jej serce irracjonalnie przyspieszyło biegu. Jeśli zamierzała pokonać tego potwora, najpierw musiała wyzbyć się wobec niego strachu. I to szybko.

Zatrzymał się zaledwie kilka kroków przed nią i zwrócił do Dżalala:

– Kapitanie al-Chouri. – Jego głos był zabójczo cichy.



– *Sajjidi*. – Dżalal pochylił głowę, dotykając palcami czoła. – Pokazywałem właśnie królowej, jak strzelać z łuku.

– Widzę. Pytanie jednak brzmi: dlaczego?

– Ponieważ go o to prosiłam – wtrąciła nieco za głośno Szahrzad.

Kalif spojrział na nią beznamiętnie. Dziewczyna nie prezentowała się najlepiej – bez płaszcza, z niechlujnie związanymi włosami... i kołczanem zwisającym na ramieniu.

– Zatem kieruję to pytanie do ciebie – powiedział.

Zacisnęła usta, powstrzymując nagły przypływ bezczelności.

– A muszę mieć powód?

– Prosiłem o wyjaśnienie. Nie o powód.

– To to samo.

– Niekoniecznie.

– Właściwie tak. Niezależnie od punktu widzenia chciałam się po prostu uczyć, a Dżalal zgodził się zostać nauczycielem. – Kiedy mówiła, węzeł z włosów na karku zaczął się rozwiązywać.

– Dżalal? – Władca uniósł brwi, co było jedyną jego reakcją na jej śmiałe, bezceremonialne oświadczenie.

– Tak. Dżalal. – Kosmyk włosów opadł jej na twarz, więc założyła go za ucho.

– I czego nauczyłaś się od Dżalala?

– Słucham? – zapytała, nie mogąc ukryć zaskoczenia z powodu zainteresowania kalifa.

– Jeśli uczył cię strzelać z łuku, powinnaś mi coś zademonstrować. Chyba że był beznadziejnym nauczycielem.

Dżalal parsknął śmiechem.

– Jeśli zechcesz sobie przypomnieć, *sajjidi*, wierzę, że dobrze cię uczyłem, gdy byłeś chłopcem.

– Dżalal-*dżanie* – upomniął *szahrban* syna, a jego twarz zdradzała oznaki konsternacji.

– Choć łucznictwo nigdy nie było moją mocną stroną – ciągnął kalif.

– To ty powiedziałaś, *sajjidi*, nie ja. – Dżalal wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Dżalalu! Wystarczy – powiedział ostro *szahrban*. – To twój król.

Dżalal skłonił się, choć jego posłuszeństwo wciąż zakrawało na śmieszność.

– No i? – Kalif ponownie spojrział na Szahrzad.

Odwzajemniła jego wyczekujące spojrzenie, po czym bez słowa przyłożyła

strzałę do cięciwy i przytrzymała łuk.

Zdesperowana chciała mu zademonstrować, jak dobrze potrafi strzelać, pokazać tym wszystkim gapiom, że nie można jej lekceważyć. Doceniała wiele lat lekcji u boku cierpliwego Tarika.

Gdy w wieku jedenastu lat poprosiła go, aby nauczył ją strzelać z łuku, spodziewała się, że dwunastoletni wówczas syn potężnego emira zignoruje jej głupią dziecinną zachciankę. To właśnie tamtego lata, ściskając na pustyni łuk i strzały, zakochała się po raz pierwszy w Tariku Imran al-Zijadzie. W jego orzeźwiającej szczerości i wiecznej pogodzie ducha. W uroku jego pięknego, zawadiackiego uśmiechu. Nie było to nic ponad zauroczenie błyszczącymi oczami, jednak właśnie z tych cennych wspomnień czerpała siłę, ilekroć czuła, że pochłania ją mrok.

*Cudu pierwszej miłości nie da się z niczym porównać.*

Zamknęła oczy.

*Tarik.*

*Nie. Dzisiaj nie czas, by o tym myśleć.*

Wzięła wdech.

*Dzisiejszy dzień nie jest również dniem, by zdradzać swoje słabości.*

Z zamkniętymi wciąż oczami uniosła łuk i naciągnęła cięciwę.

Nie musiała celować. Dokładnie wiedziała, gdzie chce postać strzałę.

Od trzynastego roku życia celowała instynktownie, ufając własnej zdolności do oceny otoczenia jednym rzutem oka.

Powoli wypuściła powietrze.

Gdy otworzyła oczy, wypuściła strzałę, która zmierzała do celu idealnym spiralnym ruchem.

I trafiła dokładnie tam, gdzie chciała dziewczyna.

– Niesamowite. Choć nie celowałaś, tym razem naprawdę trafiłaś – powiedział oschle Dżalal.

– Istotnie. Ponieważ jesteś dobrym nauczycielem – odparła Szahrzad beztrasko.

Przeptywające nad nimi chmury zdawały się rzucać cień niewielkiego uśmiechu na twarz kalifa.

– Doprawdy? – mruknął Dżalal.

– W rzeczy samej. – Uśmiechnęła się. – Mimo że nie sięgnęłam tarczy... trafiłam w jedną z jej nóg.

– Co byłoby niesamowitym wyczynem, gdybyś zrobiła to celowo.

– Już ustaliliśmy, że nie celowałam. Niezależnie od efektu uważam, że dobrze sobie poradziłam, nieprawdaż?

– Co myślisz, *sajjidi*? – zapytał Dżalal. – Czy według ciebie królowa się sprawdziła?

Było to bezczelne pytanie z jego strony. Szahrzad spojrzała na kalifa i poczuła, że się rumieni.

Przyglądał się ich wymianie zdań w zupełnej ciszy.

– Nie trafiła w cel – stwierdził.

Szahrzad zmrużyła oczy. Kiedy niesforny kosmyk włosów ponownie zsunął się na jej twarz, z nienaturalną gwałtownością założyła go znów za ucho.

– Może mój władca zechciałby mi pokazać odpowiednią technikę? – zasugerowała chłodnym tonem. Sięgnęła do tyłu, wyjęła strzałę z kołczanu i podała ją razem z łukiem kalifowi.

Znajomy niezrozumiały błysk emocji przemknął po jego ostrym obliczu.

Szahrzad była coraz bardziej ciekawa, jakie myśli się za nim kryją.

*Nie ma znaczenia, o czym myśli. Nigdy nie będzie miało.*

*Nigdy nie powinno mieć.*

Kalif przysunął się i wziął broń z jej rąk. Kiedy jego palce musnęły jej dłoń, zawahał się, nim się odsunął. Gdy się cofnął, jego tygrysie spojrzenie spochmurniało, a wyraz twarzy stał się nieczytelny. Bez słowa umieścił strzałę na cięciwie.

Szahrzad przyglądała się, jak przyjmuje pozycję. Jego szczupła sylwetka przyjęła irytująco idealną linię, gdy naciągnął mocno cięciwę. Łuk wykrzywił się, a jego końce stały się niemal proste.

Kalif wypuścił powietrze, mierząc do celu.

Szahrzad powstrzymała cisnący się na jej usta uśmiech.

Używał znaczników.

Strzała poleciała doprecyzowanym spiralnym ruchem, uderzając w poblizsze centrum tarczy, jednak nie w sam jej środek.

Król opuścił łuk.

– Nieźle, *sajjidi* – powiedział Dżalal z uśmiechem.

– Do przyjęcia – odparł pod nosem. – Nie ma się czym chwalić.

Kalif wyciągnął lewą rękę, by oddać Szahrzad łuk. Nie chciał patrzeć jej w oczy. Po chwili odwrócił się, by odejść.

– *Sajjidi*? – zawołała.

Zatrzymał się, ale nie zwrócił do niej twarzy.

– Może nie miałbyś nic...

– Działal może cię uczyć. Jest w tym bardziej wprawny niż ja.

W Szahrzad zawrzała irytacja na myśl, że mogłaby czegoś od niego chcieć. Poza jego śmiercią.

– Dobrze – rzuciła.

Odszedł kilka kroków, nim ponownie się zatrzymał.

– Szahrzad?

– Tak?

– Zobaczymy się dziś wieczorem.

Wyciągnęła strzałę z kołczanu i umieściła ją w łuku.

*Gardzę nim. Jakby naprawdę mógł mnie czegokolwiek nauczyć o strzelaniu... Chłopak, który używa znaczników! Tarik by go rozniósł. Drugi najlepszy szermierz w Reju. Ha!*

Próbowała zignorować ukłucie niepewności w żołądku.



Jahandar wpatrywał się w ścianę namiotu, łopoczącą na chłodnym, wieczornym wietrze.

Leżał na boku, nasłuchując. Czekał.

Kiedy upewnił się, że miękki oddech Irsy pogłębił się w spokojnym śnie, obrócił się bardzo ostrożnie i uniósł koce.

Córka poruszyła się po drugiej stronie namiotu, więc zamarł. Kiedy obróciła się do niego plecami, odetchnął z ulgą i wstał. Usilnie próbował odeprzeć całodniowe zmęczenie po podróży.

Jahandar powoli zbliżył się do swojej sakwy.

Najciszej jak potrafił, uniósł jej klapę i wyjął ze środka księgę w zniszczonej skórzanej oprawie. Jego serce zabiło mocniej, gdy poczuł w piersi ciepło i surową moc, którymi emanowały stronice znajdujące się w tej chwili w jego rękach...

Przesunął się w róg namiotu i ułożył starożytny manuskrypt na stosie ubrań. Zapalił świecę.

Wziął głęboki wdech.

Oprawa księgi była zniszczona, jej krawędzie obszarpane, litery nieczytelne. Pośrodku zaś znajdował się zardzewiały zamek.

Mężczyzna wpatrywał się w poczerniałą, starą księgę przed sobą.

Jeśli podąży tą drogą...

Zamknął oczy i przełknął ślinę. Pomyślał o żonie i jej ostatnich dniach, gdy leżała, z trudem łapiąc oddech i błagając o jeszcze jedną chwilę z dziećmi.

Błagając Jahandara, by ją ocalił od wyniszczającej choroby.

Pomyślał o chwili, w której ją zawiódł, o bezradności, którą czuł, gdy tulił jej martwe ciało w ramionach.

I o morderczej bezsilności, którą przeżywał zaledwie dwa dni temu, patrząc, jak starsza córka odchodzi w kierunku potwora.

Zamierzał naprawić to za wszelką cenę. Jeśli Szahrzad udało się przetrwać do świtu, Jahandar pragnął udowodnić, że jest wart takiej córki. A jeśli nie miała szczęścia...

Zacisnął mocno palce na grzbiecie książki.

Nie. Nie pozwoli, by ponownie ogarnął go mrok zwątpienia.

Jahandar sięgnął pod koszulę nocną i wyciągnął zawieszony na szyi długi srebrny łańcuszek. Na jego końcu kołysał się czarny klucz. Mężczyzna pochylił się nad antycznym tomem i wsunął klucz w zamek. Kiedy książka została otworzona, z jej stron zaczęło promieniować srebrne światło. Jahandar dotknął pierwszej strony...

Stłumił okrzyk.

Karta sparzyła jego rękę.

To nie miało znaczenia.

Naciągnął rękaw na palce i spróbował ponownie.

Tekst zapisany był wczesną odmianą języka czagatajskiego. Przekład miał być żmudnym procesem, nawet dla człowieka tak uczonego jak Jahandar. Zwłaszcza że czas naglił.

To również nie miało znaczenia.

Jego serce załomotało, gdy przysunął świecę i rozpoczął pracę.

Dla swoich dzieci poruszyłby góry.

Nie zawiedzie ponownie.

## ALADYN I CUDOWNA LAMPA



Tym razem Szahrzad dobrze wiedziała, by na niego nie czekać.

Nie była zaskoczona, gdy pojawił się dopiero późną nocą.

Służący, którzy przynieśli jedzenie i wino, nie znaleźli Szahrzad w komnacie. To kalif zastał ją stojącą na tarasie, wpatrzoną w boczne wyjście otoczone fontannami.

Nie odwróciła się do niego, gdy przyszedł. Pochyliła się tylko ku balustradzie i uśmiechnęła do siebie.

Przystanął na chwilę, ale wkrótce do niej dołączył.

Półksiężyc wisiał wysoko na niebie, odbijając się w błyszczących wodnych sadzawkach.

– Nie widać ich, ale uwielbiam stąd wąchać zapach kwitnących drzew cytrusowych... Opowiadają o czymś pięknym i żywym – zaczęła.

Nie odpowiedział od razu.

– Masz słabość do kwiatów?

– Tak. Najbardziej kocham róże. Ojciec ma piękny różany ogród.

Zwrócił się do niej, w świetle księżyca spoglądając w jej profil.

– Myślę, że ojciec, który lubi kwiaty, musiał protestować przeciwko... temu. Szahrzad nadal patrzyła przed siebie.

– Myślę, że władca, który ma nadzieję, że jego lud będzie go uwielbiał, nie powinien zabijać jego cór o świcie.

– Kto powiedział, że pragnę być uwielbiany? – zapytał kalif monotonie.

W tym momencie Szahrzad obróciła się, by spojrzeć mu w oczy.

– Biorąc pod uwagę cały ten czas, mogłabym przysiąc, że jesteś inteligentny.

– Wypowiedziała tę uwagę, naśladowując jego powściągliwy ton, jednak nie umknęła mu jej subtelna drwina.

Kącik jego ust drgnął.

– Biorąc pod uwagę cały ten czas, mógłbym przysiąc, że nie chcesz umrzeć.

Szahrzad zamrugła.

A potem się roześmiała.

Dźwięk ten poniósł się po tarasie i popłynął w noc, wzbijając się w niebo wraz z dźwięczącą muzyką dzwonek.

Kalif jej się przyglądał. Iskra zaskoczenia została pospiesznie zamaskowana przez ponure zamyślenie.

– Jesteś bardzo dziwny – skomentowała dziewczyna, gdy jej śmiech ucichł.

– Tak jak ty, Szahrzad al-Chajzuran.

– Ja przynajmniej o tym wiem.

– Ja również jestem tego świadom.

– Ale ja nie karzę za to ludzi.

Westchnął.

– Zazdroszczę tym, którzy widzą świat tak jak ty.

– Insynuujesz, że jestem głupia? – W jej słowach zabrzmiał gniew.

– Nie. Widzisz rzeczy tak, jak żyjesz. Bez strachu.

– Nieprawda. Obawiam się wielu rzeczy.

Rzucił jej pytające spojrzenie.

– Czego się boisz?

Wydawało się, że noc przepowiedziała ten moment. Gwałtowny podmuch wiatru na tarasie uniósł długie czarne włosy dziewczyny. Ich pasma sfruwały do przodu, zasłaniając jej twarz.

– Boję się śmierci – wyznała, a jej słowa poniosła bryza.

*I boję się, że się w tobie zatracę.*

Przyglądał się jej, gdy wiatr ucichł... i skończył bawić się włosami Szahrzad, porywając je tam i z powrotem.

Gdy minęły ostatnie podmuchy, ten sam niesforny pukiel znalazł się na jej oczach. Jak za dnia wyciągnęła rękę, by go odsunąć...

Jednak kalif pochwycił ją i sam delikatnie założył jej pasmo włosów za ucho.

Trzepotanie w brzuchu powróciło ze zdwojoną siłą.

– Powiedz, dlaczego tu jesteś? – poprosił cicho.

*Jestem tu, by wygrać.*

– Przrzeknij mi, że mnie nie zabijesz – szepnęła.

– Nie mogę.

– Zatem ja nie mogę nic więcej powiedzieć.



Podobnie jak pierwszej nocy, Szahrzad była zdumiona własną zdolnością do zapomnienia o rzeczywistości.

I znowu dziwnie wdzięczna, że ani razu nie próbował jej pocałować.

Wdzięczna... a mimo to nieco zakłopotana.

Całowała wcześniej Tarika – tulili się, ukrywając w cieniu wieżyczek. Zakazany charakter tych spotkań zawsze ją ekscytował. W każdym momencie mógł znaleźć ich jakiś sługa lub, co gorsza, mógł ich przyłapać Rahim, który potem drwiłby z niej niemiłosiernie. Postępował tak od chwili, gdy postawił się w roli brata, którego w rzeczywistości nie miała.

Zatem, choć doceniała fakt, że nie musi całować mordercy, wydawało jej się dziwne, że nowo poślubiony mężczyzna od tego stroni. Zwłaszcza że było to znacznie mniej intymne niż... inne rzeczy.

Szahrzad chciała wiedzieć dlaczego. Z każdą godziną rosła jej ciekawość.

*Przestań. To nie ma znaczenia.*

Zamiast wstać, by – jak on – się ubrać, dziewczyna została w łóżu i chwyciła dużą poduszkę koloru jasnego krwawnika. Przyciągnęła ją do piersi i objęła pośrodku rękoma.

Kalif odwrócił się do niej twarzą, gdy nie dołączyła do niego przy stole.

– Nie jestem głodna – stwierdziła.

Odetchnął, dziewczyna zaś obserwowała, jak poruszały się jego ramiona.

Po chwili wrócił do stóp łóża. Znajdowali się teraz po przeciwległych jego stronach, tak daleko od siebie, jak to tylko możliwe.

*Bardzo dziwne.*

Szahrzad przewróciła się na bok i zakopała w stosie jedwabnych poduszek. Jej brązowe stopy zwisały z łóżka.

Skóra wokół bursztynowych oczu kalifa zmarszczyła się lekko w kącikach.

– Chciałbyś, bym kontynuowała opowieść? – zapytała. – *Sajjidi?*

– Zacząłem już myśleć, że używanie zwrotów grzecznościowych jest poniżej twojej godności.

– Słucham?

– Zapomniałaś, kim jestem, Szahrzad?

Zamrugła.

– Nie... *sajjidi*.

– Więc ten brak dobrych manier wynika z poczucia komfortu?

– Jako że z ciebie wypływa gorzkie zobojętnienie.

Jego ramiona ponownie uniosły się i opadły.



– Powiedz, dlaczego uważasz, że wolno ci mówić do mnie w ten sposób?  
– Ponieważ ktoś musi – odparła bez wahania.  
– I uważasz, że powinnaś to być ty?  
– Uważam, że powinien to być ktoś, kto się ciebie nie boi. Choć czuję...  
niepokój w twojej obecności, im więcej widzę wokół siebie, tym mniej mam powodów, by się ciebie bać.

Gdy tylko wypowiedziała te słowa, zdała sobie sprawę, jak wiele prawdy zawierają. Odkąd w jeden dzień została jego żoną, zobaczyła w nim niewiele z żadnego krwi potwora, za którego go wcześniej uważała.

Tym razem na jego twarzy malowało się coś więcej niż zaskoczenie. Jego zdziwienie przerodziło się w niepokój, by po chwili ponownie zniknąć w wyrazie pustki, który zawsze znaczył jego oblicze.

– Nic nie wiesz – odparł.

Szahrzad niemal parsknęła śmiechem.

– Masz rację. Nic nie wiem. Zechciałbyś mnie oświecić, *sajjidi*?

Była to cicha kpina... kielich trującego wina, które miało odurzyć, odebrać wszystkie siły i zmusić kalifa, by odkrył swoje słabości.

*Proszę. Daj mi sznur, na którym będę cię mogła powiesić.*

– Dokończ historię Agiba, Szahrzad.

Właściwy moment uleciał.

Na razie.

Uśmiechnęła się do niego z drugiej strony łóżka.

– Z niebieskiego dymu utworzył się cień... i zaczął się śmiać.

Kalif się odprężył i pochylił do przodu.

– Agib, coraz bardziej przerażony, cofnął się jeszcze dalej. Śmiech wzmagął się, a jego echo odbiło się od czarnego piasku Magnetycznej Góry. Chłopak nakrył twarz drżącymi dłońmi. Z cienia uformowała się postać mężczyzny. Był łysy i miał szpiczasto zakończone uszy pokryte złotem. Jego skóra była biała i pełna znaków w języku, którego Agib nie rozpoznawał. Kiedy mężczyzna otworzył usta, by przemówić, Agib zauważył, że każdy jego ząb został na ostro spiłowany.

Szahrzad wsunęła pod głowę poduszkę i skrzyżowała nogi w kostkach. Kiedy kalif przesunął wzrokiem po jej nagich nogach, rozwarła szeroko oczy, a on odwrócił wzrok.

Ignorując błędzące po jej policzkach ciepło, kontynuowała opowieść:

– Agib był pewien, że czeka go śmierć. Złożył przed sobą ręce i zamknął

oczy, błagając o szybki i bezbolesny koniec swego bezwartościowego żywota. Gdy postać przemówiła głosem, od którego zatrzęsała się ziemia, Agib zdębiał, ponieważ z przeróżnych powodów nie spodziewał się takich słów. Istota odezwała się: „Jakie jest pytanie mojego pana?”. Agib usiadł oniemiały. Postać powtórnie się odezwała. Agib wydusił niemal niedosłyszalnie: „Pytanie? O jakim pytaniu mówisz, istoto z kielicha?”. Głos zaśmiał się ponownie i odparł: „Było to pierwsze z trzech pytań mojego pana. Może zadać trzy, tylko trzy. Po pierwszym pozostają mu dwa. Pytania, o których mówię, to prośby pana Brązowego Kielicha kierowane do Wszechwiedzącego Dżina z Brązowego Kielicha. Znam odpowiedzi na temat przeszłości, teraźniejszości i przyszłości. Niech pan wybierze mądrze, bo kiedy zapyta trzy razy, nie będzie już panem”.

W tym momencie kalif uśmiechnął się do siebie.

– Agib wstał, wciąż nie mogąc w to wszystko uwierzyć. Jednak przebiegły umysł rabusia zaczynał przejmować nad nim kontrolę i chłopak szybko uświadomił sobie, że jego głupota kosztowała go już jedno cenne pytanie. Powstrzymał swoje głośne wątpliwości, by nie dać się złapać na kolejny trik przebiegłego dżina. Ostrożnie sformułował w myślach kolejne pytanie, zanim je wypowiedział. Po chwili zaś zapytał: „Dżinie z Brązowego Kielicha, twój pan pragnie wiedzieć, jak dokładnie wydostać się z wyspy, aby dotrzeć do ojczyzny, nie zaznawszy kolejnych szkód”. Dżin uśmiechnął się złośliwie, nim skłonił się przed Agibem. Wskazując górę ruchem głowy, powiedział: „Na szczycie Magnetycznej Góry leży łódź ze śrubami z mosiądzu. Niech pan wyciągnie ją na brzeg i popłynie w kierunku trzeciej najjaśniejszej gwiazdy na nocnym niebie. Wtedy dotrze do ojczyzny po dwudziestu dniach i dwudziestu nocach”. Ostrożnie przyglądając się postaci, Agib naciskał: „Moje pytanie zawierało warunek, by żadna szkoda nie spotkała mnie podczas podróży. W odpowiedzi nie podałeś informacji o wodzie i jedzeniu”. Dżin ponownie się zaśmiał: „Pan uczy się szybciej niż pozostali. Wskażę drogę do źródła ukrytego w pobliżu cypla wyspy. Jeśli zaś chodzi o pożywienie na podróż, sugerowałbym złowić i wysuszyć ryby”.

– To dość dogodna propozycja – wtrącił kalif. – Temu dżinowi nie wolno ufać.

– Moim zdaniem rzadko można im w ogóle ufać, *sajjidi*. – Schahrzad wyszczerzyła zęby w uśmiechu. – Przez następne kilka dni Agib postępował według instrukcji dżina. Przyciągnął łódź na brzeg i napełnił ją artykułami

na podróż. Gdy księżyc jaśniał na niebie trzeciej nocy, chłopak postawił żagle, a Brązowy Kielich schował bezpiecznie w skrytce u swych stóp. Przez dziesięć dni żeglował bez żadnych przygód. Zaczął nawet wierzyć, że jego podróż dobrze się skończy... i mimo wszystko szczęście będzie mu sprzyjać. Żywiąc bezzasadną nadzieję, marzył o ostatnim pytaniu do dżina: „Gdzie mógłby znaleźć wszystkie bogactwa tego świata?”, „Jak mógłby zdobyć miłość najpiękniejszej kobiety w Bagdadzie?”...

Szahrzad zamilkła, by spotęgować efekt.

– A wtedy... łódź zaczęła skrzypieć. Woda przesączała się przez jej deski. Agib natychmiast odkrył, że mosiężne śruby pękają na krawędziach, przepuszczając wodę przez spoiny. W panice próbował rękami wylewać wodę z łodzi. Kiedy uświadomił sobie, że to daremny trud, złapał za kielich i przetarł jego powierzchnię. Pojawił się dżin, który usiadł spokojnie na dziobie. Agib krzychał: „Toniemy! Zapewniałeś mi przecież, że dotrę do ojczyzny bezpiecznie!”. Dżin ledwie zerknął na chłopaka i pozornie niezainteresowany, odparł krótko: „Pan może zadać pytanie”. Agib rozejrzał się gorączkowo, zastanawiając się, czy nadszedł czas, by wykorzystać ostatnie i najcenniejsze pytanie. Jednak wtedy na horyzoncie dostrzegł maszt kolejnej, dużo większej łodzi. Wstał i zaczął machać, krzyjąc, by zwrócono na niego uwagę. Kiedy łódź zmieniła kurs i płynęła już w jego kierunku, krzyknął triumfalnie, a dżin uśmiechnął się, nim zniknął z powrotem w kielichu. Agib wszedł na pokład statku, drżąc z wdzięczności. Jego ubranie było poszarpane, spalona słońcem twarz ukryta pod krzaczastą brodą. Ale oto...

Kalif uniósł brwi.

– Właściciel statku wyszedł na pokład i Agib z przerażeniem odkrył, że to nikt inny jak emir... Ten sam człowiek, którego żołnierze ścigali go po ulicach Bagdadu i zmusili, by udał się w tę nieszczęsną podróż. Przez chwilę chłopak rozważał, czy nie wskoczyć z powrotem do morza, ale gdy emir uśmiechnął się do niego serdecznie i powitał go na statku, Agib zdał sobie sprawę, że niechlujny wygląd czynił go nierozpoznawalnym. Niedługo potem siedział już przy stole emira, rozkoszował się jadłem i napojem, jakby zupełnie nie był świadomy tożsamości swojego opiekuna. Starszy mężczyzna był dobrym gospodarzem, własnoręcznie napełniał kielich chłopaka i raczył go opowieściami o swych licznych przygodach na morzu. Czas mijał. Agib dowiedział się, że emir wyruszył w podróż kilka tygodni temu, by odnaleźć wyspę z tajemniczą górą pośrodku. Na wyspie tej ukryty miał być kielich,

który posiadał mistyczną moc. Mógł udzielić odpowiedzi na każde pytanie na świecie. Przedmiot można było zapytać o przeszłość, teraźniejszość i przyszłość.

Kalif z ciepłym spojrzeniem oparł się na łokciu.

– Na tę wieść Agib zeszywniał. Emir mógł mówić tylko o tym kielichu, który właśnie znajdował się w kieszeni złodzieja. Udając całkowitą ignorancję, chłopak zapytał emira, dlaczego zdecydował się podjąć tak niebezpieczną misję mimo podeszłego wieku. Oczy emira posmutniały. Wyznał, że ma ku temu powód, a jest nim ukryty na czarnej górze kielich. Kilka tygodni wcześniej skradziono mu bowiem coś bardzo cennego. Pierścień należący do zmarłej żony, którą uważał za swój najcenniejszy skarb. Był jedyną pamiątką po niej. Na ulicach Bagdadu zręczny złodziejaszek zsunął biżuterię z ręki emira i zniknął w tłumie, ukrywając się w cieniu. Od tamtego popołudnia emira nawiedzały nocami duch zmarłej żony. Starzec wiedział więc, że za wszelką cenę musi odzyskać pierścień. Gdyby mógł zapytać kielich, gdzie spoczywa skradziony przedmiot, uspokoiłby ducha żony i przywrócił cześć ich miłości.

– Zatem jego pytanie do wszechwiedzącego dzina dotyczyłoby zwykłej błyskotki? – wtrącił się kalif.

– Zwykłej błyskotki? Miłość jest siłą samą w sobie, *sajjidi*. Z miłości ludzie doświadczają tego, co niewyobrażalne... I często dokonują niemożliwego. Nie drwiłabym z jej potęgi.

Kalif spojrzał w oczy Szahrzad.

– Nie drwię z jej mocy. Ubolewam nad jej rolą w tej historii.

– Zasmuca cię sens miłości w życiu emira?

Król milczał przez chwilę.

– Frustruje mnie jej znaczenie w życiu każdego z nas.

Szahrzad uśmiechnęła się ze smutkiem.

– To zrozumiałe. Choć odrobinę przewidywalne.

Skinął głową.

– Znowu zakładasz, że przez jeden dzień i dwie noce wiele się dowiedziałaś, moja królowo.

Dziewczyna odwróciła wzrok, bawiąc się rogiem trzymanej czerwonej poduszki. Poczwała, że się rumieni.

„Moja królowo”?

Jej milczenie sprawiło, że kalif poruszył się zakłopotany.

– Masz rację – mruknęła. – Nie powinnam była tego mówić.

Odetchnął przez nos.

W pomieszczeniu zaległa niezręczna cisza.

– A ja nie powinienem był ci przerywać. Przepraszam – szepnął.

Szahrzad nawinęła szkarłatne frędzle poduszki na palce.

– Kontynuuj, proszę.

Spojrzała na niego i skinęła głową.

– Agib słuchał opowieści z rosnącym niepokojem. Przecież to on był sprawcą kradzieży. Pierścień, o którym była mowa, chłopak wyrzucił w panicznej próbie ucieczki przed żołnierzami. Rabuś nie miał zamiaru oddać kielicha, dopóki nie zada ostatniego, najważniejszego pytania. Jeśli zaś emir odkryje, że Agib ów przedmiot posiada, pewnie zabije go, by zdobyć naczynie. Jeszcze bardziej prawdopodobne było to, że ktoś rozpozna w nim złodzieja odpowiedzialnego za nieszczęście starszego mężczyzny. Chłopak postanowił przez całą podróż trzymać się emira i wykorzystywać wszelkie możliwe sposoby, by ukryć swą tożsamość.

Przez parawany prowadzące do wyjścia na taras przebijał strumień światła. Szahrzad usiadła ostrożnie.

*Znów się zaczyna.*

– Przez następne miesiące statek pływał po wodach w poszukiwaniu Magnetycznej Góry. Agib pilnował jednak, by okręt zbaczał z właściwego kursu. Przez cały ten czas chłopak wiele dowiedział się o doświadczeniach emira, a także o jego życiu. Zaczął podziwiać mężczyznę, zaś starzec dostrzegł w chłopaku inteligentnego młodzieńca z licznymi umiejętnościami i odwagą w sercu. Agib stał się wprawnym marynarzem. Uświadomił sobie, że załoga szanuje go nie jako złodzieja, lecz jako człowieka honoru, na którym można polegać. Niestety czas nie był ich sprzymierzeńcem. Sędziwy emir zaniemógł i statek musiał zawrócić do portu. Wkrótce stało się jasne, że starzec umiera. Każdy dzień był teraz na wagę złota. Agib z przerażeniem obserwował, jak jego przyjaciel i mentor niknie na jego oczach. Zastanawiał się, czy nie zapytać dzina, jak można uratować emira, lecz zdawał sobie sprawę, że nie było to możliwe.

Błady świt nieubłaganie wkładał się za okiennice.

– Gdy statek przybił do brzegu, Agib wiedział już, co musi zrobić. Zbiegł na ląd z kielichem w ręku. Zaszył się w dokach i potarł brzeg naczynia, po czym zapytał dzina, gdzie znajdzie pierścień. Dzin wybuchnął głośnym

śmiechem, kiedy zrozumiał, że jego pan zmarnował swoje ostatnie pytanie na taką błahostkę. Powiedział jednak, że pierścień znajduje się na małym palcu najbardziej znanego zabijaki w Bagdadzie. Agib nie tracił czasu, by odnaleźć awanturnika. Walka na ringu była krwawa i brutalna. Chłopak musiał poświęcić cały swój majątek ze zgromadzonych dotąd łupów, by wydostać się bezpiecznie z kryjówki łotrów. Mimo podbitych oczu i mocno posiniaczonej skóry wrócił na statek z pierścieniem w rękę.

Nastał świt spowity bladożółtą poświatą.

Szahrzad była pewna, że kalif jest tego świadom.

Niezrażona ciągnęła jednak:

– Emir leżał na łożu śmierci. Gdy zobaczył Agiba, wyciągnął do niego rękę. Chłopak ukląkł przy nim i włożył mu pierścień na palec. Starzec spojrzał na Agiba przekrwionymi oczyma i zauważył jego sińce. Rzekł, oddychając z trudem: „Synu, dziękuję. Z całego serca”. Agib zaczął łkać. Chciał wyznaczyć swoją tożsamość, ale emir mu przerwał: „Wiedziałem, kim jesteś, odkąd postawiłeś stopę na moim statku. Przrzeknij, że przez resztę życia nikogo nie obrabujesz i że będziesz pracował wraz z innymi, by wam wszystkim żyło się dobrze”. Agib skinął głową, szlochając coraz mocniej. Chwilę później, ściskając rękę chłopaka, emir zmarł ze spokojnym uśmiechem na ustach. Jakiś czas później Agib dowiedział się, że emir zostawił mu nie tylko cały swój majątek, lecz także swój tytuł, jakby chłopak naprawdę był jego synem. Agib wkrótce poznał kobietę, którą pojął za żonę, a ślub nowego emira był wydarzeniem, jakiego Bagdad nie widział od lat.

Szahrzad urwała i spojrzała na promienie słońca wpadające do pomieszczenia z tarasu.

– Skończyłaś? – zapytał cicho kalif.

Pokręciła głową.

– Na ślubie emira zjawił się gość z dalekiego kraju. Mag z Afryki poszukujący czarodziejskiej lampy. Jednak tak naprawdę nie chodziło mu o przedmiot. Szukał on młodzieńca. Chłopca o imieniu Aladyn.

Na policzku kalifa drgnął mięsień.

– To nowa historia.

– Nie, to dalsza część tej samej opowieści.

W komnacie rozległo się pukanie do drzwi.

Szahrzad wstała z łoża i wzięła *szamlę*. Drżącymi dłońmi przewiązała ją wokół talii.

– Szahrzad...

– Widzisz, Aladyn był wytrawnym graczem... oszustem z prawdziwego zdarzenia. Jego ojciec był...

– Szahrzad.

– To nie jest odrębna opowieść, *sajjidi* – powiedziała spokojnym, cichym tonem, zaciskając dłonie na materiale szaty, jakby chciała ukryć kłamstwo.

Kalif wstał, gdy rozbrzmiało kolejne pukanie, tym razem bardziej natarczywe niż poprzednie.

– Wejść – nakazał.

Gdy *szahrban* Reju i czterech żołnierzy znalazło się w komnacie, Szahrzad poczuła, że podłoga pod jej stopami zaczyna się kołysać. Usztywniła kolana, stając prosto, by jej ciało nie zdradzało żadnych oznak słabości.

*Dlaczego ojciec Dżalala jest tutaj?*

– Coś się stało, generale al-Chouri? – zapytał kalif.

*Szahrban* skłonił się przed władcą, dotykając ręką czoła.

– Nie, *sajjidi*. – Zawahał się. – Ale... jest już ranek. – Zerknął w kierunku dziewczyny. Poblądł, nie chcąc patrzeć jej w oczy.

*Nie może... Nie... Chce mnie zabić? Dlaczego chce mojej śmierci?*

Kiedy kalif nie zrobił nic, by go powstrzymać, *szahrban* skinął głową w kierunku strażników.

Mężczyźni zbliżyli się do dziewczyny.

A jej serce... serce podeszło jej do gardła.

Nie!

Strażnik złapał ją za rękę. Gdy jego palce zacisnęły się na jej nadgarstku, Szahrzad dostrzegła, że twarz kalifa stężała. Szarpnęła ręką, jakby w pobliżu jej skóry znalazł się płomień.

– Nie dotykaj mnie! – krzyknęła.

Kiedy kolejny strażnik chwycił ją za ramię, uderzyła go w rękę.

– Głuchy jesteś?! Jak śmiesz mnie dotykać? Nie wiesz, kim jestem? – W jej głosie zabrzmiała nuta paniki.

Nie wiedząc, co czynić, dziewczyna stanęła twarzą w twarz ze swoim wrogiem.

W tygrysiach oczach zauważyła... wahanie.

Nieufność.

Chwilę potem...

Spokój.

– Generale al-Chouri?

– Tak, *sajjidi*?

– Chciałbym, byś poznał opowieść o Magnetycznej Górze.

Spojrzenie *szahrbana* błądziło między kalifem a jego małżonką.

– Ale *sajjidi*... Nie rozumiem. Nie możesz...

Kalif zwrócił się do niego twarzą.

– Masz rację, generale. Nie rozumiesz. I może nigdy nie zrozumiesz. Mimo to chciałbym, byś poznał tę historię... – Kalif spojrzał przez ramię na Szahrzad, a na jego ustach zatańczył cień uśmiechu. – Moja królowo.



## POCZĄTEK JEST KOŃCEM



*Rida* Tarika pokryta była grubą warstwą kurzu. Piasek przylgnął do każdej odsłoniętej części jego skóry. Ciemny ogier błyszczał od potu, biała piana zaczęła gromadzić się wokół metalowego wędzidla.

Z każdą mijającą godziną Rahim coraz bardziej narzekał.

Jednak Tarik widział już bramy Reju mające na horyzoncie.

Nie chciał się zatrzymać.

– Na wszystko, co święte, możemy na chwilę zwolnić?! – krzyknął Rahim po raz piąty w ciągu ostatnich kilku minut.

– Proszę bardzo! Zwolnij. A potem zsuń się z konia. Będzie z ciebie nie lada uczta dla wron... – rzucił Tarik.

– Jedziemy od dwóch dni, jakby się paliło!

– I w rezultacie już prawie jesteśmy na miejscu.

Rahim zwolnił konia do galopu i otarł pot z czoła.

– Nie zrozum mnie źle, ja również martwię się o Szazi. Jaki jednak będzie z ciebie pożytek dla kogokolwiek, jeśli będziesz głodny i bliski śmierci?

– Kiedy dotrzemy do domu wuja Reza, będziemy spali w luksusie – odparł Tarik. – Musimy tylko dostać się do Reju. Muszę... – Spiał konia.

– Zamartwianie się nie przyniesie nic dobrego. Jeśli komukolwiek udało się przetrwać, na pewno jest to Szazi.

Tarik powściągnął araba i wyrównał tempo z Rahimem.

– Nigdy nie powinna nawet próbować.

– To nie twoja wina.

– Myślisz, że chodzi o wyrzuty sumienia?! – wybuchnął Tarik.

– Nie wiem. Wiem jedynie, że czujesz się w obowiązku to naprawić. A ja czuję się zobowiązany ci pomóc. Tobie i Szazi.

– Przepraszam – powiedział Tarik. – Nie mam prawa się na ciebie złościć. Zrobiłbym wszystko, gdybym mógł temu zapobiec. Sama myśl o niej...

– Przestań. Nie zadręczaj się.

Przez dłuższą chwilę jechali w milczeniu.

– Czuję się winny – przyznał Tarik.

– Wiem.

– Tak jak czułem się winny, gdy umarła Sziwa.

– Dlaczego?

– Ponieważ nie wiedziałem, co powiedzieć Szazi po śmierci jej najlepszej przyjaciółki. Po śmierci mojej kuzynki. Nie wiedziałem, co powiedzieć komukolwiek. Matka kompletnie się załamała. Ciotka – cóż, nie sądzę, by ktokolwiek mógł coś zrobić, by zapobiec jej śmierci. A Szahrzad... była taka cicha.

– Już samo to mnie irytowało – wyznał Rahim ze smutkiem.

– Powinienem był się domyślić. Powinienem był to dostrzec.

– Musiałbyś być jasnowidzem, Tariku Imran al-Zijadzie. – Westchnął Rahim.

– Wszyscy musielibyśmy nimi być. Zamiast bezużytecznym trzecim synem byłbym bogaczem w ramionach pięknej żony... z nogami do szyi i niebiańskimi krągłościami.

– Nie żartuję, Rahimie. Powinienem wiedzieć, że stanie się coś takiego.

– Ja też nie żartuję. – Rahim ściągnął brwi. – Nie można przewidzieć przyszłości. I nie ma nic, co mógłbyś zrobić, by zmienić przeszłość.

– Mylisz się. Mogę się z niej uczyć... – Tarik wbił pięty w boki ogiera, a koń wystrzelił do przodu, pozostawiając za sobą ciemną smugę pyłu. – I mogę dopilnować, by już nigdy się nie powtórzyła!



Było przed południem, gdy Tarik i Rahim zsiadli z koni w środku eleganckiej posiadłości Rezy bin-Latiefa znajdującej się w samym sercu Reju. W centrum kamiennego dziedzińca wyłożonego terakotą, ułożoną w misterne sześciokątne wzory, lśniła owalna fontanna wyłożona płytkami z hartowanego szkliwa. Zielone pnącze oplatało podparte kolumnami łuki. U podstawy każdego z nich znajdowały się niewielkie donice pełne lilii, fiołków, hiacyntów i żonkili. Wykonane z brązu i z żelaza pochodnie ozdabiały ściany, oczekując na nadejście nocy, by ujawnić swoją wspaniałość.

Mimo niezwykłości siedziby dało się tu jednak wyczuć atmosferę smutku.

Poczucia straty, którego nie mógł zappełnić przepych.

Tarik umieścił Zoraję w prowizorycznej klatce znajdującej się w rogu dziedzińca. Ptak zaskrzeczał, czując dyskomfort z powodu nowego otoczenia

i nieznajomej żerdzi, jednak umilkł, gdy Tarik zaczął go karmić.

Rahim skrzyżował ręce na piersi. Wokół niego pojawiła się chmura kurzu.

– Ten przeklęty ptak dostaje jeść przede mną? Gdzie tu sprawiedliwość?

– Ach, Rahim-*dżanie*... widzę, że przez ostatnie lata niewiele się zmieniło.

Tarik odwrócił się na dźwięk znajomego głosu.

Pod zasłoną pnączy w łukowym wejściu stał jego wuj.

Obaj młodzieńcy podeszli bliżej, na znak szacunku skłaniając głowy i przykładając ręce do czoła.

Reza bin-Latief ze smutnym uśmiechem wyszedł na słońce. Ciemne włosy na jego głowie przerzedziły się jeszcze bardziej niż wtedy, gdy Tarik widział go po raz ostatni. Starannie przycięte wąsy upstrzone były siwizną. Linie wokół jego oczu i ust, które chłopakowi zawsze kojarzyły się z radością, pogłębiły się i odzwierciedlały teraz coś zdecydowanie odmiennego...

Spokój ducha opanowały maryl.

Wszystko stawało się częścią pozoru w pogrążonym w żałobie mężczyźnie, który zmuszony był pochować siedemnastoletnią córkę, zmarłą pewnego ranka... Zaś trzy dni później żonę. Kobieta, która nie była w stanie żyć bez swego jedyne go dziecka.

– Wuju. – Tarik wyciągnął rękę.

Reza uściskał ją serdecznie.

– Dość szybko dotarliście, Tarik-*dżanie*. Spodziewałem się was dopiero jutro.

– Co się stało Szazi? Czy ona... żyje?

Reza skinął głową.

– W takim razie...

Przez smutną twarz Rezy przemknął cień dumy.

– Całe miasto słyszało już o naszej Szahrzad...

Rahim podeszedł bliżej, a Tarik zacisnął dłonie w pięści.

– Jest jedyną młodą królową, która przetrwała w pałacu nie tylko jeden, lecz także kolejny wschód słońca – dokończył Reza.

– Wiedziałem – powiedział Rahim. – Tylko Szazi mogła tego dokonać.

Tarik uspokoił się po raz pierwszy od dwóch dni.

– Jakim cudem?

– Nikt tego nie wie – odparł Reza. – Miasto huczy od plotek. Mówi się, że kalif musi być zakochany w swej nowej małżonce. Jednak ja tak nie uważam. Taki morderca nie może być zdolny... – urwał nagle, zaciskając usta

z gniewem.

Tarik pochylił się, mocniej ściskając dłoń wuja.

– Muszę ją stamtąd wydostać – wyznał. – Pomożesz mi?

Reza spojrział na swojego przystojnego siostrzeńca. Na zdeterminowany wyraz jego twarzy i mocno zaciśnięte usta.

– Co zamierzasz?

– Wyrwę mu serce.

Reza ścisnął boleśnie dłoń młodzieńca.

– To, co chcesz zrobić, to... zdrada.

– Wiem.

– I żeby ci się powiodło, musiałbyś włamać się do pałacu lub... wywołać wojnę.

– Tak.

– Nie możesz porwać się na to sam, Tarik-*dżanie*.

Tarik w milczeniu patrzył Rezie w oczy.

– Jesteś gotowy wzniecić dla niej wojnę? Niezależnie od tego, czy uda jej się dalej przeżyć? – zapytał Reza łagodnym tonem.

Twarz Tarika wykrzywił grymas.

– Za to, co zrobił naszej rodzinie, zasługuje na śmierć. Nie pozwolę, by odebrał mi jeszcze więcej... ani nikomu innemu. Nadszedł czas, byśmy to my mu coś odebrali. A jeśli oznacza to, że należy zająć jego ziemie... – Tarik wziął głęboki wdech. – Pomożesz mi, wuju?

Reza bin-Latief rozejrzał się po swoim pięknym dziedzińcu. Cały czas dręczyły go mury. Śmiech jego córki wlatujący ku niebu. Dotyk jego żony wymykający mu się z rąk jak kruchy piasek przesypujący się między palcami.

Nie mógł pozwolić im odejść. Wspomnienia o nich, bez względu na to, jak wyblakłe i zniekształcone, to jedyne, co mu pozostało i o co warto było walczyć.

Reza spojrział na syna emira Nasira al-Zijada – następcę człowieka władającego czwartą pod względem wielkości twierdzą Chorasanu. Młodzieńca z królewskiego rodu.

Tarika Imran al-Zijada – nadzieję na pokonanie zła...

I przywrócenie koloru wspomnieniom.

– Chodź ze mną.

## SZAMSZIR



- Wstawaj.
- Szahrzad jęknęła w odpowiedzi i naciągnęła na twarz poduszkę.
- Wstawaj. Natychmiast.
- Idź sobie – wymamrotała dziewczyna.
- Poduszka została bezceremonialnie wyrwana z jej objęć i uderzyła mocno w policzek z niespodziewaną siłą.
- Usiadła prosto. Jej oburzenie górowało nad zmęczeniem.
- Oszalałaś?! – wykrzyknęła.
- Mówiłam, żebyś wstała – odparła rzeczowo Despina.
- Nie wiedząc, co zrobić, Szahrzad rzuciła poduszką w głowę służki.
- Despina, śmiejąc się, złapała ją w locie.
- Wstawaj, Szahrzad, smarkata kalifo Chorasanu, Królowo Królowych. Czekam na ciebie cały ranek, musimy odwiedzić pewne miejsce.
- Gdy Szahrzad w końcu wstała, we wpadającym z tarasu świetle dnia spostrzegła znów nienagannie ubraną Despinę. Służka miała na sobie elegancki strój, a każdy centymetr jej bladej skóry został misternie podkreślony.
- Gdzie się tego nauczyłaś? – zapytała Szahrzad z nieskrywanym podziwem.
- Despina położyła ręce na biodrach i uniosła brew.
- Chodzi mi o ubranie, fryzurę i... to wszystko – wyjaśniła kalifa, wsuwając palce w swoją splątaną fryzurę.
- W domu, w Tebach. Matka mnie nauczyła. Była najbardziej znaną pięknością w całej Cadmei. Być może nawet na wszystkich greckich wyspach.
- Och. – Szahrzad przyjrzała się lśniącym lokom służki, po czym spojrzała na kołtun własnych włosów trzymany w dłoni.
- Nie próbowałabym tego. – Despina się uśmiechnęła.
- Czego?
- Zachęty, bym odwzajemniła twoje pochlebstwa.
- Słucham? – parsknęła Szahrzad.

– Wiele razy miałam już do czynienia z takimi jak ty: pięknymi z natury, młodymi sylfidami tego świata. Żyją, nie troszcząc się o własne wdzięki, zarazem jednak cierpią, niezmiennie pragnąc być lubianymi, jak my wszyscy. To, że nie potrafisz wykorzystać swoich wielu cnót, nie oznacza, że są one niezauważalne, Szahrzad. Jednak, gdybyś chciała, mogłabym cię tego nauczyć. Chociaż wydaje mi się, że nie potrzebujesz mojej pomocy. – Despina puściła do niej oko. – Najwyraźniej kalif docenia twój urok takim, jaki jest.

– Cóż, nie jest zbyt wybredny. Ile żon miał przez ostatnie trzy miesiące? Sześćdziesiąt? Siedemdziesiąt pięć? – odparła Szahrzad.

Despina wykrzywiła usta.

– Ale nie spędzał z nimi nocy.

– Co?

– Zazwyczaj wybierają przypadkową dziewczynę, on ją poślubia i... cóż, wiesz, co się dzieje o świcie.

– Nie okłamuj mnie, Despino.

– Nie robię tego. Byłaś pierwszą małżonką, do której przyszedł po ślubie.

*Nie wierzę.*

– Nie powinnam była ci tego mówić – przyznała służka.

– Dlaczego więc to zrobiłaś?

– Nie wiem. – Wzruszyła ramionami. – Może chciałam, abyś mnie polubiła.

Szahrzad posłała jej długie, mocne spojrzenie.

– Jeśli chcesz, bym cię lubiła, pomóż mi wybrać strój. A w ogóle, gdzie jest jedzenie? Umieram z głodu.

Despina się uśmiechnęła.

– Przygotowałam już długi *kamiz* i spodnie. Ubierz się, byśmy mogli wyjść.

– Ale nie brałam kąpeli! Dokąd mnie zabierasz?

– Musisz wszystko psuć?

– Gdzie idziemy? – nalegała Szahrzad. – Powiedz mi.

– Dobrze! – Despina westchnęła. – Powiem ci, gdy będziesz się ubierała. – Podała jej rzeczy i skierowała za parawan.

– Ostatniej zimy – zaczęła służąca – kalif udał się do Damaszku, by odwiedzić malika Asyrii. Podczas pobytu widział tam nową łaźnię... To wielki basen z ciepłą wodą i specjalnymi kamieniami grzewczymi. Para czyni cuda ze skórą. W każdym razie kalif zbudował sobie taką w pałacu. Właśnie ją ukończono!

– I?

- Właśnie tam cię zabieram. – Despina przewróciła oczami.
- Oczywiście. Tylko nie rozumiem, dlaczego to powód do tak wielkiej ekscytacji.
- Ponieważ będziesz pierwszą, która skorzysta z tego cudownego, nowego miejsca.
- Więc chce mnie ugotować na śmierć? – zapytała cierpko Szahrzad.
- Despina parsknęła śmiechem.
- Jestem gotowa. – Gdy wyszła zza parawanu, Szahrzad miała na sobie prostą, jasnozieloną lnianą tunikę oraz dopasowane do niej jadeitowe kolczyki i złote pantofelki. Włosy zaplotła w pojedynczy warkocz opadający na plecy i udała się w kierunku drzwi.
- Radżputa nigdzie nie było.
- Gdzie się podział? – zapytała Szahrzad.
- Och. Został dziś odwołany.
- Co? Dlaczego?
- Ponieważ idziemy do łaźni. Nie może nam tam towarzyszyć.
- Szahrzad zacisnęła usta.
- Tak, ale...
- Gdy Despina zamykała drzwi, Szahrzad zobaczyła, że przygryza karminową wargę, jakby coś ukrywała.
- Despino? Gdzie jest radżput?
- Mówiłam. Odwołano go.
- Tak, ale co robi, gdy go odwołują?
- Skąd mam wiedzieć?
- Ty wszystko wiesz.
- Tego nie wiem, Szahrzad.
- Dlaczego mnie okłamuje? Myślałam, że nie wolno mi nigdzie chodzić bez radżputa. Dokąd naprawdę mnie zabiera?*
- Nigdzie nie pójdę, póki mi nie powiesz, gdzie jest mój strażnik.
- Na Zeusa, ależ jesteś nieznośna, Szahrzad al-Chajzuran! – jęknęła Despina.
- Dobrze, że masz tego świadomość. Oszczędzi ci to czasu. A teraz odpowiedz na moje pytanie.
- Nie.
- Odpowiadaj, nędzna Tebanko!
- Nie, koński zadzie!
- Szahrzad opadła szczęka.

– Posłuchaj: możemy tak stać na pałacowym korytarzu i przekrzykiwać się nawzajem. Jednak możesz też postąpić zgodnie z moją wolą i uniknąć kłopotu. Kiedy miałam dwanaście lat, razem z przyjaciółką zostałyśmy fałszywie oskarżone o kradzież naszyjnika. Czternastoletni syn sprzedawcy powiedział, że odpuści nam w zamian za buziaka. Złamałam mu nos, a moja przyjaciółka wepchnęła go do koryta z wodą. Gdy stanęłyśmy przed jego ojcem, zaprzeczyłyśmy całemu zajściu, przez co całą noc musiałam spędzić na dworze. To była najlepsza noc w moim życiu.

– Dlaczego mi o tym mówisz?

– Bo nie boję się rozlewu krwi i rzadko przegrywam.

Despina spojrzała pod nogi.

– Dobrze. Radżput jest... uczestniczy w turnieju. Po południu mężczyźni popisują się swoimi umiejętnościami w turnieju szermierki.

Piwnie oczy Szahrzad błysnęły przebiegle.

– Widzisz! Właśnie dlatego nie chciałam ci mówić! – jęknęła służka. – I tak nie możesz tam iść. Jeśli zobaczy cię tam kalif, zrobi...

– Walczy w turnieju?

– Oczywiście.

*Więc nie ma szans, byś mnie powstrzymała.*

– Nic mi nie robi – rzuciła Szahrzad, choć w jej głosie słyhać było niepewność.

– Nie mogę powiedzieć tego samego o sobie – wymamrotała Despina.

– Dobrze. Czy istnieje jakiś sposób, byśmy mogły obejrzeć turniej, nie będąc zauważonymi?

– Proszę, możemy już iść do łaźni? – nalegała Despina.

– Oczywiście. Po turnieju.

– Na świętą Herę. Jeśli będę ci dłużej służyć, przyjdzie mi umrzeć.



– To jak dotąd najgłupsza rzecz, jaką zrobiłam przez sześć lat, odkąd mieszkam w pałacu – powiedziała cicho Despina, kucając przy ścianie z brązowego kamienia. Kratownica na jej szczycie pozwalała im obserwować piaszczyste miejsce poniżej.

– Możesz zrzucić winę na mnie – odszepnęła Szahrzad.

– Och, zrobię to. Bez wątpienia.

– Widziałaś kiedyś taki turniej?



– Nie. Nie są przeznaczone dla publiczności.

– Dlaczego?

– Nie wiem. Może dlatego... – sapnęła Despina, gdy na piasku stanął pierwszy wojownik.

– Może właśnie dlatego – zażartowała Szahrzad z lekką drwiną w głosie.

Mężczyzna nie miał na sobie nic prócz szarawarów i bordowej *tikki*. Żadnego obuwia ani *kamiza* czy *ridy*. Jego naga pierś połyskiwała potem w gorących popołudniowych promieniach słońca. W ciszy dobył dużej szabli spoczywającej u lewego biodra. Jej klinga, wąska przy rękojeści, poszerzała się i zakrzywiała na zewnątrz, by wreszcie zwęzić się w niosącym śmierć punkcie.

Mężczyzna uniósł wysoko bułat.

– Gdzie jego przeciwnik? – zapytała Szahrzad.

– Skąd mam wiedzieć?

Wojownik zaczął wymachiwać szablą w powietrzu, prezentując wyszukane umiejętności. Tańczył na piasku, a srebrne ostrze, tnąc powietrze łuk za łukiem, połyskiwało na tle błękitnego nieba.

Gdy skończył, z boku rozległy się wiwaty i gwizdy zadowolenia.

– Nim rozpoczną się pojedynki, muszą zacząć od rozgrzewki – przyznała Despina.

– Co za mądra Tebanka.

– Popchnę cię i wyładujesz zdecydowanie nie po królewsku.

Jeszcze kilku wojowników zaprezentowało swoje techniki walki, nim na piasku zmaterializowała się muskularna postać. Jej ramiona były ogromne, a każdy mięsień zdawał się napinać pod miedzianą skórą.

– Boże – powiedziała Szahrzad. – Gołymi rękoma mógłby mi skruszyć czaszkę.

Despina parsknęła śmiechem.

Gdy radżput uniósł *talwar* w kierunku słońca, zatrzymał się na krótką chwilę, trzymając szablę nad głową.

*Zobaczmy, co potrafi najlepszy szermierz Reju.*

Moment, gdy opuścił ostrze był ostatnim, w którym Szahrzad widziała je podczas całej demonstracji. Smukły *talwar*, prowadzony ręką mistrza, sunął w powietrzu, gdy radżput wyciągał się i opadał na piasek.

Pod koniec pokazu mężczyzna uniósł wolną rękę do ust...

Dmuchał w otwartą dłoń.

Ogień otoczył ostrze.

*Talwar* płonął.

Mężczyzna zakręcił nim nad głową, zręcznie tnąc w dół bronią syczącą niczym smok. Wbijając szablę w piasek, końcowym pchnięciem zdusił płomień.

Żołnierze stojący z boku wznieśli ogłuszający ryk.

Szahrzad i Despina wpatrywały się w siebie zdumione.

– Ja... – zająknęła się Szahrzad.

– Wiem – dodała Despina.

Pograżone w cichej rozmowie dziewczyny potrzebowały dłuższej chwili, nim rozpoznały kolejnego zawodnika stojącego na piasku. Kiedy Szahrzad spojrzała w dół, natychmiast poczuła niepokojące ukłucie w piersi. Ściągnęła brwi i zacisnęła usta w wąską linię.

Ramiona kalifa były opalone i smukłe. Każdy wspaniale ukształtowany, odznaczający się mięsień jego torsu lśnił w popołudniowym słońcu.

Despina westchnęła.

– Mimo wszystko muszę przyznać, że zawsze uważałam, iż jest przystojny. Wielka szkoda...

Szahrzad znowu poczuła wewnątrz dziwne ukłucie.

– Tak, szkoda – warknęła.

– Niepotrzebnie się na mnie złościć za to, że go podziwiam. Możesz mi wierzyć, że jest ostatnim człowiekiem, którego pożądam. Nie igrzm z własnym życiem.

– Nie jestem na ciebie zła! – zaprotestowała młoda królowa. – Nie obchodzi mnie, czy ktokolwiek go podziwia!

W oczach Despiny odmalowało się rozbawienie.

W tej samej chwili kalif uniósł szablę.

Była to niespotykana broń. Nie tak szeroka ani tak mocno zakrzywiona jak bułat. Jej klinga była cienka i zwężała się pod ostrzejszym kątem niż w innych szablach, które widywała Szahrzad.

– Wiesz, jak nazywa się jego broń? – zapytała.

– *Szamszir*.

Kalif zaczął prezentować swoje umiejętności. Szahrzad chwyciła się górnej krawędzi muru, aby lepiej widzieć.

Król ciął i wywijał szablę jak radżput – tak szybko, że niemal nie można było wskazać lokalizacji ostrza. Ogromna siła radżputa sprawiała, że

uderzenie przychodziło mu bez wysiłku i napinania mięśni, tymczasem zwinność kalifa podkreślała bardziej subtelną grację – podstęp i instynkt kryjące się w każdym jego ruchu.

W połowie pokazu mężczyzna złapał obiema dłońmi rękojeść *szamszira* i przekręcił ją.

Broń rozdzieliła się na dwie szable, którymi władca zaczął obracać, trzymając teraz każdą z nich w innej dłoni. Ostrza mknęły w powietrzu niczym diabelski pył na pustyni, świszcząc nad głową kalifa, gdy ten poruszał się po piasku.

Szahrzad i Despina z trudem łapały oddech.

Bliźniacze ostrza, uderzając o siebie, wywoływały deszcz iskier. Kalif zakończył pokaz umiejętności, trzymając obie szable w zwieszonych po bokach rękach.

Tłum żołnierzy będących świadkami spektaklu ponownie zaczął wiwatować. Mimo osobistych uprzedzeń do kalifa nie można było zaprzeczyć, że był mistrzem szermierki.

Nie był władcą uzależnionym wyłącznie od ochrony innych.

Nie był człowiekiem, którego łatwo można było zabić.

*Przede mną nie lada wyzwanie.*

– Zaspokoiłaś swoją ciekawość? – zapytała Despina.

– Tak, moja pani. Prawda? – powiedział ktoś stojący za nimi szorstkim głosem.

Obie dziewczyny poderwały się na nogi, wciąż starając się pozostać niewidoczne dla znajdujących się na dole żołnierzy.

Krew odpłynęła Szahrzad z policzków.

*Szahrban* Reju stał naprzeciwko nich, na jego twarzy malował się pozorny spokój, w jego oczach zaś pobłyskiwało... zakłopotanie.

– Generał al-Chouri. – Szahrzad otrzepała ręce i ubranie z kurzu.

Nadal jej się przyglądał, a w jego oczach toczyła się jakaś wojna.

Kiedy dobiegła końca, było jasne, że dziewczyna przegrała.

– Co tu robisz, pani?

– Byłam... ciekawa.

– Rozumiem. Mogę zapytać, kto pozwolił ci tu przebywać, pani?

Oburzenie Szahrzad wzrosło na te słowa. Może i był *szahrbanem* Reju, był też dużo od niej starszy, ale nie zrobiła niczego, by zasłużyć na taki brak szacunku. Mimo wszystko była królową, a nie dzieckiem, które należało

skarcić za nieodpowiednie zachowanie.

Podeszła do niego.

– Nie potrzebuję od nikogo zgody, generale al-Chouri. W przyszłości również nie będę o nią nikogo prosić. W żadnym wypadku.

Mężczyzna odetchnął ostrożnie. Jego brązowe oczy, choć tak inne, podobne do oczu Dżalala, zmrużyły się teraz, jakby został obrażony.

– Obawiam się, że nie możemy pozwolić, byś zachowywała się w ten sposób, pani. Widzisz, moją rolą jest ochrona władcy i jego królestwa. A ty przeszkadzasz mi w spełnianiu tego obowiązku. Przykro mi. Nie mogę pozwolić, byś nadal to robiła.

*Czy... czy on wie?*

– Dziękuję, generale al-Chouri.

– Nie rozumiem, pani?

– Nie jest ważne, kto pozwoli mi zachowywać się w dany sposób, ale kto mnie powstrzyma. Dziękuję za odpowiedź.

Starszy mężczyzna na chwilę odchylił się na piętach, patrząc na bezczelną dziewczynę z błyszczącymi piwnymi oczyma i drobnymi dłońmi opartymi na biodrach.

– Przykro mi, pani. Bardziej, niż mogłabyś się spodziewać. Jednak osoby, które stanowią zagrożenie dla kalifa... muszą być eliminowane.

– Nie jestem zagrożeniem, generale al-Chouri.

– Mam zamiar dopilnować, by tak właśnie pozostało.

*O Boże. Skąd on wie?*

## JEDWABNY SZNUR I WSCHÓD SŁOŃCA



*Szahrban Reju podejrzewa, że mogłabym zagrozić władcy.*

Resztę popołudnia spędzały, wylegając się w ciepłej wodzie nowej pałacowej łaźni. Szahrzad słuchała nieprzerwanej paplaniny służącej, komentując to, co było trafne, i żartując z tego, co nieodpowiednie.

Jednak myśli nie pozwalały jej na chwilę wytchnienia.

*A jeśli generał powie coś kalifowi?*

*Ile wie? Skąd się dowiedział?*

Wiele godzin później Szahrzad siedziała już na łożu w ciemnej komnacie...

Zupełnie jak za pierwszym razem wpatrywała się w drzwi, próbując odeprzeć złe myśli.

Miała na sobie szerokie jedwabne spodnie i dopasowany top koloru ciemnego fioletu z grubymi ramiączkami u góry. Naszyjnik oraz cienki łańcuszek wokół jej talii zawierały ametysty otoczone maleńkimi jasnoróżowymi brylancikami. Z jej uszu i wzdłuż czoła zwisały duże purpurowo-złote łzy. Długie do pasa lśniące fale włosów opadały luźno na jej plecy.

Szahrzad chciała, by drzwi otworzyły się pod wpływem jej niezmaconego spojrzenia. Jednak jak zawsze otaczała ją tylko cisza, wstała więc i zaczęła krążyć po komnacie.

*Zazwyczaj już się pojawiał.*

Niechętna i niezdolna, by pozostawić swój los w czyichś rękach, podeszła do drzwi i pociągnęła za klamkę, by je otworzyć.

Radżput obrócił się na swoim miejscu i położył dłoń na rękojeści *talwaru*.

Szahrzad poczuła, jak strach niczym pijawka wkrada się w jej serce... Zdradzały to również kąciki jej oczu i ust.

– Wiesz może... wiesz, czy... – spróbowała. Zacisnęła zęby. – Przyjdzie do mnie? – zapytała.

Radżput, tkwiąc groźnie niczym zastygły posąg mięśni, ledwie na nią

spojrzał.

– Możesz mi powiedzieć, gdzie on jest? – nalegała, natężeniem głosu wyraźnie próbując ukryć słabnącą odwagę.

W tej samej chwili w jego ciemnym jak noc spojrzeniu przemknął cień odpowiedzi.

*Litość?*

*Lituje się nade mną?*

Zatrzasnęła drzwi i oparła się o nie, jej klatka piersiowa zaczęła falować.

*Nie.*

*Stłumiła szloch.*

*Dość. Dostyc tego.*

Wyprostowała się i z wysoko uniesioną głową podeszła do łoża. Opadła na jedwabne poduszki, wciąż wpatrując się w drzwi.

– Przyjdzie – powiedziała w ciemności.

*Wiem o tym.*

Uparcie chwyciła się ostatnich strzępków nadziei, zaś w jej umyśle kołatały dwa słowa. Tylko dwa słowa. Szydziły z niej i dręczyły znaczeniem, którego nie powinna rozumieć.

Dwa słowa pochodzące z ust chłopca, który tak niewiele był wart.

Dwa słowa dające jej siłę do walki z lękami.

*Moja królowo.*



Zgrzyt otwieranych drzwi wyrwał Szahrzad z niespokojnego półsnu.

Nieskalane światło świtu wpadające przez drewniane okiennice sprawiło, że stanęła na równe nogi.

Na progu stało czterech żołnierzy.

Szahrzad wygładziła pomięte ubranie i odchrząknęła.

– Nie macie w zwyczaju najpierw pukać?

Wszyscy patrzyli gdzieś dalej, poza nią, a w ich oczach znać było ponury dystans. Nikt nie odpowiedział.

Szahrzad splotła ręce za plecami, zmuszając się, by stać prosto.

– Co tu robicie?

Mężczyzna stojący najbliżej bez słowa skierował się w stronę Szahrzad, choć nadal patrzył gdzieś ponad nią...

Jakby nagle przestała istnieć.

Jej serce. Jej biedne serce.

– Zadałam pytanie!

Strażnik złapał ją za ramię. Kiedy wyciągnęła rękę, by go uderzyć, złapał ją za nadgarstek i mocno ścisnął.

– Nie dotykaj mnie!

Mężczyzna skinął głową na podwładnych. Kolejny ponury wojownik złapał ją za rękę.

Strach i wściekłość mieszały się jej w głowie, a krew odpłynęła z ciała.

– Przestańcie!

Zaczęli wyciągać ją z komnaty.

Kiedy próbowała się wyrwać i kopnąć któregoś z nich, unieśli ją nieco z podłogi, jakby była przedmiotem w jakiejś grze, schwytanym dla sportu.

– Gdzie kalif?! – wołała.

*Przestańcie! Nie będę błagać.*

– Chcę mówić z kalifem!

Żaden z mężczyzn nawet na nią nie spojrział.

– Posłuchajcie! – krzyczała. – Proszę!

Nadal na wół ją nieśli, na wół ciągnęli po marmurowym korytarzu pałacu.

Służący, którzy ich mijali, odwracali wzrok.

Wszyscy wiedzieli. Strażnicy również.

Nie było czego oglądać.

Wtedy Szahrzad zrozumiała nieuniknioną prawdę.

Była nikim. Nic nie znaczyła.

*Ani dla strażników. Ani dla sług.*

Przestała walczyć. Uniosła głowę.

I mocno zacisnęła usta.

*Baba i Irsa.*

*Sziwa... i Tarik.*

Dla nich coś znaczyła. Nie skalała ich pamięci o niej, urządzając sceny.

Jej porażka była wystarczającą hańbą.

Gdy żołnierz otworzył drzwi i jej oczom ukazał się świt, Szahrzad wydało się, że widzi przed sobą własną śmierć. Wtedy przyszła jej do głowy ostatnia myśl – zwiastun niekontrolowanych emocji.

*Sziwa.*

Ciche, niepoohamowane łzy popłynęły po jej twarzy.

– Puśćcie mnie – wychrypięła. – Nie ucieknę.

Trzech mężczyzn spojrzęło na pierwszego. Po bezsłownej wymianie zdań postawili Szahrzad na jej własnych nagich stopach.

Szare granitowe płyty były chłodne w dotyku, ciepłe promienie słońca nie dotarły jeszcze do ich ziarnistej powierzchni. Trawa mieniła się niebieskawo w srebrnej poświacie wczesnego poranka.

Przez chwilę Szahrzad chciała zanurzyć w niej palce.

Po raz ostatni.

Weszli do zadaszonej altany, gdzie czekał na nich kolejny żołnierz i starsza kobieta. W dłoni trzymała długi kawałek białego lnu, którego końce poruszały się na wietrze.

Całun.

Zaś w dłoniach mężczyzny spoczywał...

Jedwabny sznur.

Łzy wciąż płynęły po jej policzkach, ale Szahrzad zmusiła się, by nie wydać żadnego dźwięku. Podeszła do żołnierza. Jego ramiona były grube i umięśnione.

*Mam nadzieję, że to nie potrwa długo.*

Odwróciła się bez słowa.

– Przykro mi – powiedział tak cicho, że zdawało się, jakby wyszeptał to wiatr.

Zaskoczona jego dobrocią, niemal obejrzała się przez ramię na swojego przyszłego kata.

– Dziękuję – rozgrzeszyła go.

Ostrożnie uniósł jej włosy i delikatnie przeniósł ciemne fale nad jej głowę – woal osłaniający ją przed wzrokiem bezimiennych świadków.

Tych, którzy już wcześniej nie chcieli na nią patrzeć.

Jedwabny sznur na jej szyi początkowo wydawał się miękki. Cóż za elegancki sposób na śmierć.

*Sziwa umarła tak samo.*

Myśl o przyjaciółce umierającej w ten sposób, wśród ludzi, którzy nie chcieli patrzeć, sprawiła, że łzy popłynęły jeszcze obficie. Szahrzad sapnęła, a sznur się zacisnął.

– Baba – szepnęła.

Sznur się zaciskał... nie zdołała powstrzymać rąk przed uniesieniem ich do szyi.

*Irsa. Przepraszam. Proszę, wybacz mi.*



Gdy palcami walczyła przeciwko własnej dumie, żołnierz, ciągnąc za sznur, uniósł ją z ziemi.

– Tarik – wydusiła.

Jej pierś zapadała się w sobie. Przed oczami zaczęły tańczyć srebrne gwiazdy.

Ból w piersi narastał. Srebrne gwiazdy zasnuwała teraz ciemność.

Jej szyja stała w ogniu.

*Sziwa.*

Łzy i ból oslepiały ją, po raz ostatni zmusiła powieki, by się uniosły i ujrzały ciemną zasłonę włosów, wodospad czerni zalewający jak atrament ostatnią stronicę w księdze jej życia.

*Nie.*

*Nie jestem nikim.*

*Byłam kochana.*

Nagle z odległych zakamarków świadomości zaczął dochodzić zgiełk...

Sznur puścił.

Upadła na ziemię, jej ciało mocno uderzyło o granit.

Wola życia wtłoczyła powietrze do jej gardła, choć każdy oddech był dla dziewczyny palącą agonią.

Ktoś chwycił ją za ramiona i objął.

Gdy z powrotem odzyskała wzrok, udało jej się rozpoznać bursztynowe oczy jej wroga, które miała tuż przed sobą.

Ostatkiem sił uderzyła go w twarz.

Ktoś inny chwycił ją za rękę, szarpiąc w tył tak mocno, że poczuła, jak coś pęka.

Krzyknęła ostrym, udręczonym głosem.

Po raz pierwszy usłyszała słowa kalifa.

Poprzedził je odgłos pięści uderzającej w ciało.

– Szahrzad. – Złapał ją Dżalal, otaczając mocno ramionami. Wtuliła się w niego i zamknęła spuchnięte od łez oczy, wciąż czując palący ból w gardle i ramieniu.

– Dżalal – wysapała.

– *Delam.* – Odsunął włosy z jej oczu, pocieszając ją, wyzwalając ze stanu nicości.

Spojrzał za siebie w kierunku źródła trwającego wciąż zamieszania – wrzasków i pojękiwań.

- Chalid, przestań! – krzyknął Dżalal. – Dostyc. Musimy ją zabrać do środka.
  - Chalid? – mruknęła dziewczyna.
- Dżalal uśmiechnął się smutno.
- Nie nienawidź go za bardzo, *delam*...
- Szahrzad wtuliła twarz w koszulę mężczyzny, gdy wziął ją na ręce.
- Mimo wszystko każda opowieść ma własną historię.



Kilka godzin później Szahrzad siedziała na skraju łoża razem z Despiną.

Na jej szyi widniał pierścień fioletowych sińców. Jej ramię zostało nastawione z obrzydliwym dźwiękiem, na wspomnienie którego nadal się kuliała. Przy pomocy służącej ostrożnie wzięła kąpiel i przebrała się w wygodniejsze rzeczy.

Przez cały ten czas Szahrzad nie wypowiedziała ani jednego słowa.

Despina uniosła grzebień z kości słoniowej, by rozczesać wciąż mokre włosy młodej królowej.

- Proszę, powiedz coś.

Szahrzad zamknęła oczy.

- Przepraszam, że nie było mnie wtedy w komnacie. – Despina zerknęła na niewielkie drzwiczki znajdujące się tuż obok drzwi wejściowych, wiodące do jej pokoju. – Przepraszam, nie wiedziałam... że po ciebie przyjdą. Masz prawo mi nie ufać, ale porozmawiaj ze mną, proszę.

- Nie mam nic do powiedzenia.

- Oczywiście, że masz. Może poczujesz się lepiej, jeśli o tym porozmawiamy.

- Nie poczuję się lepiej.

- Tego nie wiesz.

- Wiem.

Szahrzad nie chciała rozmawiać z Despiną. Chciała usłyszeć kojący głos siostry i poezję ojca. Chciała zobaczyć promienny uśmiech Sziwy i usłyszeć jej zaraźliwy śmiech.

Chciała znaleźć się we własnym łóżku, gdzie mogłaby przespać noc, nie obawiając się świtu.

I chciała Tarika. Chciała wpaść w jego ramiona. Chciała poczuć dudniący śmiech w jego piersi, jak wtedy, gdy mówiła coś niepoprawnego, co i tak brzmiało dobrze. Być może była to słabość, ale potrzebowała kogoś, kto choć

na chwilę zabrałby ciężar z jej ramion. Kogoś, kto ukoiłby jej żal, jak zrobił to Tarik w dniu, w którym umarła jej matka, gdy znalazł ją zapłakaną, siedzącą samotnie w różanym ogrodzie za domem.

Tamtego dnia, nic nie mówiąc, trzymał ją za rękę. Tym prostym gestem złagodził jej ból.

Mógłby to zrobić i teraz. Na pewno by to zrobił.

Dla niej.

Despina była kimś obcym. Nieznajomą, której nie można było ufać w miejscu, gdzie właśnie próbowano ją zabić.

– Nie chcę o tym rozmawiać, Despino.

Służąca skinęła głową i przeciągnęła grzebieniem po włosach Szahrzad. Napięte mięśnie szyi bolały, jednak dziewczyna nawet o tym nie wspomniała.

Rozległo się pukanie do drzwi.

– Mogę otworzyć? – zapytała Despina.

Szahrzad wzruszyła obojętnie jednym ramieniem, więc służka położyła grzebień na jej kolanach i podeszła do podwójnych drzwi.

*Co mogą mi teraz zrobić?*

Gdy spojrzała przez próg, serce podeszło jej do gardła.

W drzwiach stał kalif Chorasanu.

Despina bez słowa opuściła komnatę, zamykając za sobą drzwi.

Szahrzad, siedząc na skraju łoża, patrzyła na władcę, bawiąc się grzebieniem leżącym na jej kolanach.

Kiedy się zbliżył, dostrzegła ślad na jego twarzy w miejscu, gdzie go uderzyła. Odznaczał się na skórze ciemniejszym brązem, z odcieniem fioletu przy szczęcie. Jego oczy były zmęczone, jakby nie spał od bardzo długiego czasu, a knykie prawej dłoni otarte i czerwone.

Odwzajemnił spojrzenie, przyglądając się sińcom na jej szyi, podkrążonym oczom i ostrożnej pozie.

– Jak twoja ręka? – Jego głos był stanowczy i znajomo cichy.

– Boli.

– Bardzo?

– Jestem pewna, że mnie to nie zabije.

Był to celny cios i Szahrzad widziała, że trafił dokładnie w punkt. Kalif na chwilę stracił swoje starannie utrzymywane opanowanie. Zbliżył się do łoża i usiadł obok niej. Przesunęła się, ponieważ nie czuła się komfortowo w tej bliskości.

– Szahrzad...

– Czego chcesz?

Zamilkł na chwilę.

– Zadośćuczynić za to, co zrobiłem.

Szahrzad wypuściła wstrzymywany oddech i spojrzała mu prosto w oczy.

– Nigdy nie będziesz w stanie naprawić tego, co zrobiłeś.

Przyglądał się jej.

– Być może to pierwsze szczerze słowa, które do mnie wypowiedziałas.

Zaśmiała się gorzko.

– Mówiłam ci, nie jesteś dobry w odczytywaniu ludzkich intencji. Być może swego czasu udało mi się skłamać raz czy dwa, ale nigdy nie okłamałam ciebie.

Była to prawda.

Jego pierś unosiła się miarowo. Wyciągnął rękę i pogłaskał włosy Szahrzad. Z wielką ostrożnością dotknął jej smukłej szyi.

Szahrzad odsunęła się zdenerwowana troską na jego twarzy.

– To też boli. – Odsunęła jego rękę.

Speszona, złapała za grzebień leżący na jej kolanach, by dokończyć czesanie...

I skrzywiła się z bólu.

Jej ramię.

– Potrzebujesz pomocy? – zapytał.

– Nie. Nie potrzebuję.

Westchnął.

– Ja...

– Jeśli będę potrzebowała pomocy, poczekam na Despinę. W każdym razie od ciebie pomocy nie potrzebuję. – Gdy zamierzała wstać, chwycił ją w pasie i przyciągnął do siebie.

– Szahrzad, proszę – mówił do jej wciąż wilgotnych włosów. – Pozwól mi to sobie wynagrodzić.

Jej serce gwałtownie przyspieszyło, gdy objął ją drugą ręką i przytulił.

*Nie.*

– Na to, co stało się dzisiejszego ranka, nie ma usprawiedliwienia. Chcę, byś...

– Gdzie byłeś? – Szahrzad starała się kontrolować drżenie swojego głosu.

– Nie tam, gdzie być powinienem.

– Tego ranka i wczorajszej nocy?

Jego oddech otulił jej skórę, gdy kalif pochylił się i powiedział jej do ucha:

– Tego ranka nie byłem tam, gdzie być powinienem. Wczorajszej nocy nie byłem tam, gdzie pragnąłem być.

Szahrzad uniosła głowę, jej oczy rozszerzyły się w reakcji na to, co usłyszała.

Objął ją mocniej w talii. Opuścił głowę i oparł czoło na jej czole. Jego dotyk był czulszy niż szept.

– Moja Magnetyczna Góra.

Oparła się o niego, łaknąc jego pieśczoły. Pachniał drzewem sandałowym i słońcem. Wcześniej tego nie czuła. Pragnąc zachować do niego dystans, nie zwróciła uwagi na coś równie zwykłego, jak znaczącego – zapach.

Chłoneła woń, pozwalając, by oczyściła jej myśli.

Gdy kalif położył dłoń na jej policzku, Szahrzad uświadomiła sobie coś przerażającego.

Chciała go pocałować.

*Nie.*

Odwzajemnić pocałunek – na to była przygotowana. Jednak pragnąć go pocałować, pożądać jego uczuć, wtulić się w ramiona mordercy Sziwy już przy pierwszym niepowodzeniu – to już zupełnie inna sprawa.

*Słabość.*

Wyprostowała się z obrzydzeniem, niszcząc tę chwilę.

– Jeśli chcesz mi to wynagrodzić, pomyślę, w jaki sposób mógłbyś to uczynić.

*I nie będzie to miało związku z twoim dotykiem.*

Kalif cofnął ręce.

– Dobrze.

– Są jakieś reguły?

– Czy wszystko musi być grą? – zapytał ledwie słyszalnym szeptem.

– Są reguły, *sajjidi*?

– Jediną regułą jest ta, bym był w stanie sprostać twoim żądaniom.

– Jesteś kalifem Chorasanu. Królem Królów. Czy jest coś, czemu nie możesz sprostać?

Jego twarz spochmurniała.

– Jestem tylko człowiekiem, Szahrzad.

Wstała i stanęła przed nim.

– Więc bądź człowiekiem, który naprawia zło. Dzisiejszego ranka próbowałeś mnie zabić. Powinieneś uważać się za szczęściarza, że nie chcę się zrewanżować.

*Na razie.*

Mężczyzna również wstał. Był od niej o głowę wyższy. Na jego twarz powróciła maska beznamiętności, która jak zawsze pogłębiła jego rysy.

– Przepraszam.

– Żałosne, ale na początek wystarczy.

Spojrzenie jego tygrysiich oczu niemal niezauważalnie zmiękło. Skłonił głowę, po czym udał się do drzwi.

– Szahrzad?

– Tak, *sajjidi*?

– Po południu wyjeżdżam do Amardhy.

Szahrzad milczała.

– Nie będzie mnie przez tydzień. Nikt nie może zakłócać twojego spokoju. Działal ma wszystkiego dopilnować i cię chronić. Gdybyś czegoś potrzebowała, zwróć się do niego.

Przytaknęła.

Ponownie się zatrzymał.

– Tego dnia, gdy przedstawiłem cię generałowi al-Chouriemu, mówiłem poważnie.

*W dzień, gdy nazwał mnie swoją królową.*

– Okazujesz to w dziwny sposób.

Zamarł.

– To się więcej nie powtórzy.

– Zobaczymy.

– Moja królowo. – Znów się skłonił i dotknął palcami czoła, a następnie wyszedł.

Szahrzad, zaciskając mocno powieki, opadła na łożo, gdy tylko zamknęły się za nim drzwi.

*Sziwa, co ja mam teraz zrobić?*

## PRAWY OGIEŃ I NIESPOKOJNY DUCH



Wiszący nad Rejem księżyc w nowiu miał mleczny kolor i otoczony był cienką mgiełką chmur.

Wzdłuż granicy eleganckiego dziedzińca Rezy bin-Latiefa płonęły pochodnie, rzucając cienie, które tańczyły jak szalone na ścianach z brązowego kamienia. Dym o zapachu piżma i ambry snuł się w powietrzu.

– Znów czuję się jak człowiek – powiedział Rahim, przechodząc przez dziedziniec, a następnie siadając przy niskim stole.

Reza uśmiechnął się ciepło.

– Wypoczęty wyglądasz dużo lepiej, Rahim-*dżanie*.

– Obiecano mi luksusy i się nie zawiodłem, Reza-*efendi*.

Tarik dołączył do nich chwilę później i usiadł naprzeciwko Rahima na odkrytym krużganku.

Niedługo potem przyniesiono im półmiski z jedzeniem – parujący maślany ryż basmati w jasnopomarańczowym szafranie pośrodku, który otoczony był jagnięciną w pikantnym sosie z daktyli, karmelizowanej cebuli i żurawiny, a także szaszłykami z kurczaka marynowanego w prażonych pomidorach. Szaszłyki podano ze schłodzonym jogurtem i ogórkami. Do tego przygotowano świeże zioła i chleb *lawasz* z okrągłym kozim serem i plasterkami czerwonej rzodkwi. Wszystko to tworzyło wielokolorowy obraz na polerowanym drewnianym blacie.

Aromat jedzenia, zmieszany z wonią świec, nasycił zmysły szczyptą pikanterii i dekadencji.

– To sprawia, że niemal udaje mi się zapomnieć o trzech ostatnich dniach – powiedział Rahim. – Niemal.

– Dobrze spałeś, Tarik-*dżanie*? – zapytał Reza.

– Tak dobrze, jak pozwalają na to okoliczności, wuju.

– Nie mów z taką frustracją – marudził Rahim. – Odkąd dostałeś list od Szazi, prawie nie zmrużyłeś oka. Myślisz, że jesteś niezwyknięty? Że

przetrwasz, żywiąc się tylko świeżą rosą i furją?

Tarik spiorunował przyjaciela wzrokiem, po czym wziął szaszłyk z kurczaka.

– Ma rację. Wiem, że chcesz omówić plany, ale najważniejsze, byś najpierw zadbał o siebie. – Reza spojrział przez ramię. – Dziękuję. Proszę, zostawcie nas – polecił sługom. Gdy odeszli, nałożył sobie ryżu basmati i jagnięciny.

– Kiedy odpoczywałeś, poczyniłem kilka ustaleń – zaczął Reza cichym głosem. – Po pierwsze, sprzedam wszystko, co tutaj posiadam. Będę potrzebował pieniędzy i swobody. Po drugie, przyda nam się wsparcie innych bogatych osób. Nie myślę się, zakładając, że twój ojciec nie podziela naszego punktu widzenia?

– Mój ojciec nie zechce brać w tym udziału – odparł Tarik z rezygnacją. – Prawdopodobnie wyprze się wszelkiego udziału, jeśli zostanie o to zapytany.

Pozornie niewzruszony Reza skinął głową.

– To prowadzi nas do kolejnego problemu. Jeśli twój ojciec nie chce być powiązany z naszym przedsięwzięciem, nie możesz rzucać rodowym nazwiskiem, narażając życie rodziny, prawdopodobnie także rodziny Szahrzad. To samo dotyczy ciebie, Rahimie. Nazwisko al-Din Walad jest stare, a twoi starsi bracia nie przyjmą z radością wieści, że narażasz ich domy. Musicie ukrywać swoją tożsamość.

Tarik się zastanowił.

– Masz rację, wuju.

– Myślę podobnie, jednak w jaki sposób mamy zabiegać o wsparcie, jeśli nikt nie może wiedzieć, kim jesteśmy? – wtrącił Rahim. – Co ma ich zainspirować, by za nami poszli?

– Zostawcie to mnie – ciągnął Reza. – Przez dekady byłem czołowym kupcem w Reju, więc rozumiem pojęcie towaru. Coś może stać się wyjątkowe i pożądane, gdy jest wykonane tak, by zdawało się, że takie właśnie jest.

– Nie jestem pewien, czy rozumiem, co masz na myśli, wuju – powiedział Tarik.

Światło pochodni odbiło się w oczach Rezy.

– Uczynię cię tym, kogo będą chcieli widzieć. Musisz tylko pozostać tym, kim już jesteś, to znaczy silnym młodzieńcem i utalentowanym wojownikiem.

Tarik zmarszczył czoło, przyglądając się ostrożnie wujowi.

– Ale to dalej nie wyjaśnia, w jaki sposób mamy przekonać niezdecydowanych, by poparli ideę przywódcy.

– Nie będzie chodziło o ideę. Zostaniesz przywódcą, Tarik-dżanie. Będziesz



ich głosem. Brak tego głosu powoduje, że zamieszki na ulicach co rusz są tłumione. Twój głos musi być tym, który usłyszą i który będzie mówił o tym, co tak naprawdę leży w interesie naszego królestwa – o młodym królu, który nie zasługuje na władanie Chorasaniem. O królu młokosie, który za wszelką cenę musi zostać pokonany.

Rahim uderzył ręką w stół, wyrażając swoją zgodę.

– Mamy więc zorganizować wsparcie i szturmować miasto? To moja największa nadzieja, ale czy taki zryw jest w ogóle możliwy? – zapytał Tarik.

Reza upił łyk wina.

– Będzie możliwy. Jeśli oprzemy wszystko na naszych przekonaniach i zaczniemy je urzeczywistniać. Twoja nadzieja będzie naszym krzesiwem, a moja prawość naszym ogniem.

Tarik ponownie spojrzał na wuja.

– Od czego mamy zacząć?

Reza odsunął talerz na bok.

– Od powrotu do domu. Potrzebuję czasu, by uporządkować wszystkie swoje sprawy w Reju i zorientować się, kto może pomóc w naszym przedsięwzięciu. Emir Kajarów zapewne będzie chciał... Kilka tygodni temu kuzynkę jego żony spotkał ten sam los, co Sziwę. Kiedy już będę miał wszystko poukładane, pošlę po ciebie.

– A co z Szazi? Nie wyjadę z Reju, aż...

– Tego popołudnia kalif wyjechał do Amardhy. Nie... – Na twarzy Rezy dało się zobaczyć ślad skrywanej wściekłości. – Nie morduje swoich żon, kiedy nie przebywa w Reju. Prawdopodobnie dlatego, że zawsze chce być świadkiem spektaklu. Szahrzad będzie bezpieczna przynajmniej przez tydzień.

Tarik milczał przez chwilę, kiwając głową.

– Pojedziemy po Irsę i Jahandara, a potem wrócimy z Rahimem do domu i poczekamy na twój sygnał.

– Jahandara i Irsę? Nic nie wiesz? Opuścili Rej w noc ślubu. Od tamtego czasu nikt ich nie widział ani o nich nie słyszał.

– Wyjechali? Ale dokąd mogli...

– Zakładałem, że udali się do ciebie, Tarik-dżanie. Nie otrzymałeś od nich żadnego listu?

– List od Szazi. Nie wspominała w nim o swojej rodzinie? – zapytał Rahim.

– Nie wiem. Nigdy do końca go nie przeczytałem.

– No właśnie – mruknął z niezadowoleniem Rahim.

Reza przyglądał się siostrzeńcowi w zamyśleniu.

– W przyszłości musisz być rozważniejszy w swoich działaniach. Nie spiesz się, podejmując decyzje. Przyniesie ci to korzyść.

Tarik odetchnął przez nos.

– Tak. Postaram się, wuju.

– Zawsze się starasz, Tarik-dzanie. Właśnie dlatego wierzę, że nam się powiedzie.

– Dziękuję, że podjąłeś się tego zadania z takim zapałem.

– To ja powinienem dziękować wam. Sporo czasu upłynęło, zanim poczułem w sobie iskrę nadziei.

Trzej mężczyźni wstali od stołu i przeszli w głąb podwórza, gdzie w prowizorycznej wolierze znajdowała się Zoraja, czekając cierpliwie na Tarika, który założył karwasz i gwizdnął. Wylądowała na jego wyciągniętej ręce, zadowolona, że poświęca jej tyle uwagi. Ruchem prawej dłoni Tarik nakazał jej wzbić się w niebo, by mogła zapolować. Zaskrzeczała, a jej pisk rozległ się na dziedzińcu, nim zniknęła w mglistej ciemności.

Cień ptaka przebiegł po twarzy Tarika, na chwilę przesłaniając jego rysy oświetlane pochodniami.

Reza uśmiechnął się do siebie.

Miał o co walczyć.

I miał kogo wykorzystać.



Następnego ranka Rahima obudził dźwięk metalu uderzającego o drewno, który rozlegał się tuż za otwartym oknem. Młodzieniec wygramolił się z łóżka i oparł o parapet.

– Co ty, u diabła, robisz? – wymamrotał do Tarika.

– A co ci to przypomina? – Tarik uniósł łuk i oparł strzałę na cięciwie. – Musimy ruszać.

Rahim spojrzał w niebo. Słońce dopiero wychylało się zza horyzontu, było jedynie wstęgą światła rozciągającą się nad wschodnimi dachami Reju.

– Spałeś w ogóle? – Rahim ziewnął.

Tarik wypuścił strzałę, która uderzyła w drewno ościeżnicy tuż obok głowy przyjaciela.

Rahim nawet nie drgnął.

– To naprawdę było konieczne?

- Zbierz rzeczy, nim wróci wuj, bo będzie nalegał, byśmy z nim zjedli.
- Dokąd się udał?
- Nie wiem. Wyjechał, gdy jeszcze było ciemno. – Tarik umieścił kolejną strzałę na cięciwie i wycelował.
- Dlaczego wymykamy się nocą, jak złodzieje?
- Tarik posłał mu ostre spojrzenie.
- Bo nie chcę, by wiedział, co zamierzamy.
- O? A co zamierzamy?
- Ty i te twoje piekielne pytania! – Tarik wypuścił strzałę, która poleciała ciasną spiralą i uderzyła w drewno okna, wbijając się tuż obok siedmiu innych strzał z identycznymi lotkami.
- Brawo, Tariku, synu Nasira, emira Talekan. Gratulacje. Potrafisz wystrzelić strzałę – powiedział Rahim oschle.
- Tarik zaklął pod nosem i spojrzął w okno.
- Wiem, że nie powinienem...
- Spokojnie. – Rahim podrapał się po głowie. – Spakuję rzeczy, ale może zdradzisz mi najpierw powód naszego pośpiechu?
- Tarik przystanął przy otwartym oknie i wziął uspokajający oddech.
- Zaczynasz mnie przerażać – ciągnął Rahim. – Wiem, że martwisz się o Szazi, ale Reza-*efendi* powiedział, że powinniśmy poczekać, aż...
- Nie. Nie będę czekał. Nie mogę.
- Rahim ucisnął nasadę nosa.
- Co zamierzasz?
- Coś. Cokolwiek.
- Nadal nie mamy planu. A Reza-*efendi* kazał czekać. Powinniśmy zaczekać.
- Tarik oparł się ramieniem o kamienną ścianę.
- Tak sobie myślałem...
- Słucham – westchnął Rahim. – Pomimo mojego uwielbienia rozsądku.
- Beduini zamieszkujący granice Chorasanu i Partii... ciągle utrzymują, że nie są wierni żadnemu z królestw. A co, gdybyśmy dali im powód do zmiany nastawienia?
- Jakiż miałby to być powód?
- Powód, dla którego wielu mężczyzn stanęłoby do walki. Cel.
- Brzmi niejasno i poetycko – wytknął Rahim. – Będziesz musiał dać im coś więcej.
- Prawa do ziemi. Ziemię. Wartość, której potrzebują, by domagać się tych

praw.

Rahim w zamyśleniu ściągnął usta na jedną stronę.

– Ciekawe. Jednak oni są z natury nomadami. Dlaczego mieliby interesować się ziemią?

– Niektórzy z nich mogą nie być nomadami. Walczyli między sobą od wieków. Prócz złota to właśnie dzięki ziemi można pozyskać władzę i wpływy. Być może któryś z ich liderów dostrzeże pożytek z walki u naszego boku. Zapewne są bezwzględni, ale to także najlepsi jeźdźcy, jakich kiedykolwiek spotkałem. Widzę obopólne korzyści wynikające z takiego układu.

Rahim się wzdrygnął.

– To niebezpieczne.

– Ale warto z nimi porozmawiać. Najgorsze, co może nas spotkać, to odmowa.

– Właściwie najgorsze, co może nas spotkać, to poderżnięcie gardła.

– Tak. – Wzdłuż grzbietu nosa Tarika utworzyło się kilka pionowych linii. – Masz rację, ale nie zamierzam ich przy tym obrażać.

– Jeśli ktokolwiek jest w stanie przekonać kogokolwiek, by ten powstrzymał się od zabijania, jesteś to właśnie ty.

– Dziękuję, Rahimie. Jak zawsze twoja wiara we mnie odsuwa moje wątpliwości w cień.

Rahim odpowiedział krzywym uśmiechem.

– Właściwie, jeśli ktokolwiek jest w stanie powstrzymać kogoś, by ten nie zabijał, z całą pewnością jest to Szazi. Na szczęście część jej charyzmy przeszła na ciebie.

– To nigdy nie była charyzma. To był niezrównany tupet – powiedział Tarik rozbawiony wspomnieniami.

– Pewnie masz rację. Z łatwością mógłbym sobie wyobrazić Szazi wyzywającą kobrę na pojedynek, zarzekającą się, że to właśnie jej jad zabije jako pierwszy.

Tarik się uśmiechnął.

– I wygrałaby.

– Nie mam co do tego żadnych wątpliwości. Jestem prawie pewien, że sterroryzowała potężnego kalifa Chorasanu i został z niego miauczący, kulący się w kącie kociak. Kto wie, może w przyszłości przyjdzie nam obalić ją, nie jego.

Na wzmiankę o władcy Tarik natychmiast spoważniał.

– Nie, on nie jest człowiekiem, który łatwo odstąpi od władzy.

– A ty skąd o tym wiesz?

– Po prostu wiem – warknął Tarik. – Zamordował moją kuzynkę. A teraz ma Szahrzad. To człowiek do szpiku kości przesiąknięty złem. Jeśli chodzi o Chalida Ibn al-Raszida, pozostaje tylko rozważyć, ile razy mógłby umrzeć zamordowany przeze mnie. I jak żałośnie brzmi odpowiedź: tylko jeden raz.

– Ja też nim gardzę. Nienawidzę go mocą tysiąca słońc. Jednak zawsze lepiej znać swojego wroga, Tariku.

– Nie myl mojego pośpiechu z głupotą. Zamierzam dowiedzieć się o nim wszystkiego, jednak nie dokonam tego zamknięty w murach rodzinnej fortecy. Pamiętając o tym, planuję udać się na pustynię, do Beduinów. – Na twarzy Tarika odmalowała się determinacja. – Sam.

– Sam?

– Tak. Sam. Chcę, byś pojechał do Talekan na wypadek, gdyby wuj przysłał kogoś z wiadomością. Co dwa dni będę wysyłał Zoraję z informacją o mojej lokalizacji.

– Chcesz mnie zostawić z twoimi rodzicami?

– Zawsze możesz się udać do domu.

– Do braci i ich wrzeszczących dzieci? – drwił Rahim. – Do miejsca, gdzie trwają nieustanne próby wyswatania mnie z brzydką siostrą kuzynki przyjaciela? Nie sądzę. Poza tym jestem ci to winien za wszystkie lata naszej przyjaźni. A Szazi zawdzięczam jeszcze więcej.

Tarik zaśmiał się cicho.

– Dziękuję, Rahim-*dżanie*. Nie każdy wywiązuje się ze swoich powinności.

– Proszę, samolubny draniu. W końcu z tych całych knowań może wyniknąć jedna dobra rzecz.

– A jakaż to?

– Cała przespana noc... bez ryzyka śmierci od strzały.



Pierwszy ranek, gdy Szahrzad obudziła się bez strachu przed świtem, był dziwny.

Na widok światła jej serce odruchowo się skurczyło, ale szybko uspokoiła się, słysząc Despinę krzątającą się w swoim pokoju. Odetchnęła głęboko i opadła z powrotem na poduszki, pozwalając ciału wygrzać się w nowo

odkrytym komforcie.

- Może powinien zostać w tej Amardhadzie – mruknęła sama do siebie.
- Właśnie miałam cię budzić – odparła Despina. – Wystygnie ci jedzenie.

Szahrzad znieruchomiała. Następnie podjęła decyzję.

Więcej korzyści uzyskuje się marchewką niż kijem.

– Dziękuję za tę uwagę oraz za brak powszedniej opryskliwości – droczyła się Szahrzad.

- Opryskliwości? Chyba jesteś dziś nie w humorze.

Szahrzad uśmiechnęła się szeroko i wstała. Odsunęła jedwabny woal otaczający łożo i podeszła do stołu, gdzie czekała na nią taca pełna jedzenia. Kiedy zerknęła na Despinę, z zaskoczeniem dostrzegła, że twarz jej służącej nie jest tak idealna i promienna jak zawsze. Jej cera była szara, a skóra na czole wyraźnie napięta.

- Co się stało? – zapytała.

Despina pokręciła głową.

- Nic. Jestem tylko wzburzona.

- Wzburzona? Wyglądasz, jakbyś była chora.

- Nie. Nic mi nie będzie.

- Potrzeba ci odpoczynku?

– Nic mi nie jest, Szahrzad. Naprawdę. – Despina uniosła wieko wazy z zupą, po czym do małej szklanej filiżanki wrzuciła kostkę cukru. Następnie z podgrzewanego świeczką stojaka wzięła srebrny dzban. Gdy przeniosła go nad filiżankę i nalewała herbatę, jej ręce zaczęły drżeć, sprawiając, że strumień spłynął zbyt gwałtownie i rozprysnął się na stół i dzbanek.

- Przepraszam – mruknęła.

- Wolno ci popełniać błędy. – Szahrzad uśmiechnęła się szelmowsko.

– Wszystkie dowody wskazują na to, że jest inaczej – rzuciła pod nosem służka.

- A kiedyż to nałożyłam tak skandaliczny nakaz?

Bruzdy na czole Despiny się pogłębiły.

- Despino, co się dzieje?

- Nic!

*Kłamie. Znowu.*

Szahrzad spojrzała na nią ostro, rwąc na pół placek chlebowy.

- Przepraszam. – Despina nalała herbaty. – Co mówiłaś o Amardhadzie?

- Komentowałam tylko podróż kalifa. Wiesz, dlaczego tam się udał?

- Zapewne po to, by odwiedzić sułtana Partii, jego wuja.
- Rozumiem. Często go odwiedza? – Szahrzad zaczęła jeść zupę.

Despina pokręciła głową.

– Nie. Nie utrzymują... przyjacielskich stosunków. Nie łączą ich więzy krwi. Sułtan jest bratem pierwszej żony poprzedniego kalifa. Gardził matką twojego męża.

Interesujące.

- Dlaczego?

Despina wzruszyła ramionami.

– Przypuszczam, że każdy mężczyzna nienawidziłby następczyni swojej zmarłej siostry. Ponadto matka naszego obecnego kalifa była piękna, mądra i pełna życia. Wnioskując ze wszystkich podań, pierwsza żona jego ojca... taka nie była.

- Więc dlaczego kalif odwiedza sułtana?

– Nie wiem. Przypuszczam, że z powodów dyplomatycznych. Powinnaś go zapytać, gdy wróci.

- Nie powie mi.

Despina obdarowała ją półuśmiechem.

- Cieszę się, że znów ze mną rozmawiasz.
- Milczenie nie jest dobrym rozwiązaniem dla kogoś takiego jak ja.
- Mądra decyzja. Jak na kogoś takiego jak ty.
- Właśnie to powiedziałam.
- Wiem.

Szahrzad parsknęła. Sięgnęła po filiżankę z herbatą, ale zauważyła na srebrnym dzbanku małe, niezwykle ciemne plamy. Złapała za rączkę i przyciągnęła do siebie naczynie, ściągając przy tym brwi. Potarła lnianą serwetką jedno z przebarwień.

Nie zniknęło.

Szahrzad zacisnęła usta.

Następnie chwyciła filiżankę i wylała kroplę herbaty na dzbanek. Gdy tylko płyn dotknął jego powierzchni, srebro zmieniło kolor.

Na czarny.

Jak śmierć.

- Despino? – zapytała Szahrzad zdecydowanym tonem.
- Tak?
- Wydaje mi się, że coś jest nie tak z moją herbatą.

## TAM, GDZIE PRAGNIE BYĆ SERCE



Ktoś próbował ją otruć.

Jednak nie herbatą, jak pierwotnie podejrzewała Szahrzad, a za pomocą cukru.

Dżalal wpadł we wściekłość.

Gdy przepytывał wszystkich, którzy mieli dostęp do jej jedzenia, każda z osób stanowczo twierdziła, że jest niewinna. Jak nakazywał zwyczaj, przy obsłudze członków rodziny królewskiej najpierw to kucharz próbował wszystkiego, co znajdowało się na tacy Szahrzad, zanim zaniecono ją do jej komnaty. Wiele osób zaświadczyło, że tym razem też tak zrobił.

Nikt jednak nie próbował cukru.

Nic więc dziwnego, że przez resztę dnia Szahrzad nie tknęła jedzenia.

Od tej chwili każdej tacy dostarczonej do jej pokoju towarzyszyła młoda służka. Dziewczyna, której jedynym celem w życiu było kosztowanie potraw i napojów, zanim trafiły do ust królowej.

Młoda dziewczyna, która na pewno miała bliskich.

Szahrzad była oburzona.

Również z powodu bezpieczeństwa – tych ulotnych chwil bez wiszącego jej nad głową cienia nieuchronnej kary – które zostało jej odebrane, nim zdołała się nim w pełni nacieszyć.

Najgorsze było jednak to, że nie miała teraz żadnych wątpliwości, iż nie może ufać swojej służącej.

Despina była ostatnią osobą, która miała dostęp do tacy.

To ona przygotowywała herbatę.

Z jakiegoś powodu martwiło to Szahrzad bardziej niż pozostałe sprawy. Wcześniej nie ufała służącej, choć częściowo tego chciała. Liczyła, że mimo wszystko pewnego dnia będą mogły się zaprzyjaźnić.

Ta nadzieja właśnie wygasała.

Rozgniewało to Szahrzad.



Trzy noce nieprzerwanego snu nie stłumiły tej złości.

Tego popołudnia Szahrzad wybrała się na spacer na jeden z tarasów w poszukiwaniu idealnej róży. Banalność tego zadania sprawiła, że młoda królowa czuła się nie tylko rozdrażniona, lecz także niepotrzebna.

Przeszła wzdłuż kolejnej kwiatowej rabatki, mrużąc oczy przed słońcem i marszcząc czoło z frustracji.

– Pomogę, jeśli powiesz, czego szukasz – podsunęła Despina.

– Nie. Nie możesz.

– Rany, ale masz nastrój.

– Naprawdę nie możesz mi pomóc. W idealnej róży jest artyzm. Zapach. Kolor. Układ płatków. Ojciec twierdzi, że zbyt wiele płatków może zniszczyć cały kwiat... może zakłócić proces wzrostu.

– A moim zdaniem najładniejszym kwiatem jest ten, który wydaje się odrobinę niedoskonały.

– Widzisz? Nie możesz mi pomóc – powtórzyła Szahrzad.

Poczuła, że Despina wzdryga się u jej boku.

– Co się stało? – zapytała.

– Ka... kapitan al-Chouri schodzi po schodach. – Oblała się rumieńcem od dekoltu aż pod włosy.

– No i? Dlaczego tak się denerwujesz?

Despina się zawahała.

– Od czasu incydentu z herbatą czuję się przy nim nieswojo.

– Rozumiem. – Szahrzad zacisnęła usta, by powstrzymać się od oskarżeń.

Gdy Dżalal znalazł się w bliskiej odległości, Despina starała się schować za radzputa, znikając z zasięgu wzroku. Dżalal uniósł brew, patrząc na nią, po czym zwrócił się do Szahrzad:

– Jak się dzisiaj czujesz? – Skłonił się z uśmiechem, a jego podszyty złotem kaftan spływał na jedno ramię i rękę spoczywającą od niechcenia na rękojeści bułata.

– Żywo.

Odrzucił głowę w tył i wybuchnął śmiechem.

– Cieszę się. Robisz coś ważnego?

– Oczywiście. Pracuję nad ewentualną rewolucją. Potem zamierzam zaplanować nową formę handlu z udziałem słoni na morzu i żagli utkanych z jedwabiu. Chcesz dołączyć?

Uśmiechnął się.

– Tylko do rewolucji. Reszta zdaje mi się lekko trywialna.

Szahrzad się roześmiała.

– Nie, oczywiście, że nie robię nic ważnego. Tak naprawdę to się nudzę. Proszę, uratuj mnie.

– Właściwie zastanawiałem się, czy nie byłabyś skłonna czegoś dla mnie zrobić... jako królowa.

– Królowa? O co chodzi?

– Mamy niespodziewanego gościa. Zastanawiałem się, czy mogłabyś go przyjąć pod nieobecność kalifa.

– Kto to taki?

– Jest... uczonym, że się tak wyrażę. Był pierwszym nauczycielem Chalida, uczył również jego matkę. Nie widział kalifa, odkąd ten był chłopcem. Wiem, ile znaczył dla jego matki, więc nie chciałbym odsyłać go bez oficjalnego przyjęcia. – Mrugnął jednym okiem.

Szahrzad mimowolnie się uśmiechnęła.

– Wnoszę ponadto, że jego wizyta może wyjaśnić pewne... niedopowiedzenia. – Uśmiechnął się znacząco.

– Dlaczego, kapitanie al-Chouri, sprawiasz, że brzmi to tak... intrygująco? Zaśmiał się.

– Idziesz, Szahrzad?

Przytaknęła, a w jej piwnych oczach pojawił się błysk.

– Muszę cię ostrzec, jest trochę... dziwny – powiedział Dżalal, gdy ruszyli wraz z jej niewielką świtą.

– Jak to?

– Jest trochę staroświecki. Wielbi starożytną sztukę. Jednak wydaje mi się, że go polubisz, i wiem, że i jemu będzie bardzo miło cię poznać.

– Jak się nazywa?

– Musa Zaragoza.

– To bardzo niezwykle imię – stwierdziła.

– Pochodzi z Mauretanii.

– Ach, rozumiem. Cóż, postaram się wypaść jak najlepiej.

– Jestem o tym przekonany.

Przemierzyli niezliczoną ilość schodów i skręcili w chłodne marmurowe korytarze. Dżalal poprowadził ją do wielkiej komnaty o kopulastym suficie znajdującym się na wysokości przekraczającej wzrost pięciu mężczyzn. Ściany wyłożone były płytkami oraz starannie wykonanymi płaskorzeźbami, które

przedstawiały sceny batalistyczne z dawno zapomnianymi wojownikami, wymachującymi bronią i poskramiającymi nieprzyjaciela.

W rogu pomieszczenia stał wysoki mężczyzna, odziany w barwne szaty. Ciemnoniebieska *rida* opadała do podłogi, kaptur zdobił diadem ze skóry i złota. Na obu przedramionach przybysza widniały grube karwasze, a jego ciemna skóra przypominała Szahrzad najlepsze daktyle.

Gdy zwrócił ku niej swą twarz, uśmiechnął się tak szeroko, że jego zęby przy hebanowej skórze zdawały się świecić niczym perły.

Dżalal i Despina zostawili Szahrzad w drzwiach, radżput stanął pośrodku, trzymając w gotowości rękę na rękojeści szabli.

Dziewczyna posłała gościowi uśmiech i podeszła do niego.

*Co mam powiedzieć?*

– Witamy! – zaczęła. – Na imię mi Szahrzad.

Mężczyzna przysunął się do niej w wirze kolorów swojej szaty, wyciągając ręce.

– A mnie Musa. To wielki zaszczyt móc cię poznać. – Jego głos był intensywny niczym połączenie miodu i dymu.

Szahrzad uściśnęła mu dłoń oburącz. Stojąc tak blisko, uświadomiła sobie, że był o wiele starszy, niż się wydawał. Jego brwi były szpakowate, a głębokie zmarszczki na twarzy świadczyły o skłonności do zamyślenia i zabawy. Gdy złapała go za ręce, w jego wyrazistych brązowych oczach dostrzegła coś, co jednak w sekundę zniknęło.

– Dziękuję, *Musa-efendi*. Przykro mi, że mojego... kalifa tu nie ma, by mógł cię powitać.

Pokręcił głową.

– To moja wina, ponieważ przyjechałem niezapowiedziany. Liczyłem na to, że zobaczę się z nim, gdy wpadnę przejazdem, ale wydaje się, że muszę przełożyć nasze spotkanie na następną podróż.

– Proszę spocząć. – Szahrzad wskazała siedzisko przy niskim stoliku po swojej prawej stronie. Usiedli naprzeciwko siebie. – Zechcesz coś zjeść, *efendi*?

– Nie, nie. Nie mogę zostać. To miała być jedynie krótka wizyta. Nie chciałbym nikogo obrazić.

– To absolutnie nie jest obraza. Nie mogę pozwolić, by czcigodny gość opuścił pałac, będąc głodnym. – Szahrzad się uśmiechnęła.

Mężczyzna się roześmiał. Dźwięk ten zdawał odbijać się od ścian.

– Skąd wiesz, że jestem czcigodny? A jeśli nie jest to prawda? – Kąciki jego ust drgnęły w rozbawieniu.

– Jaka jest więc prawda, Musa-*efendi*?

– Taka, że ostatnim razem, gdy bawiłem w tym pałacu, zostałem stąd wyrzucony tak jak stałem.

Szahrzad kontrolowała wyraz twarzy. Wzięła głęboki wdech i położyła dłonie na kolanach.

– Wygląda więc na to, że jesteśmy ci winni przynajmniej posiłek, *efendi*.

Z jego gardła ponownie dobiegł śmiech, jeszcze głośniejszy niż poprzednio.

– Dzięki gwiazdom za ciebie, uroczę dziecko. Musisz przynosić jasne światło mojemu biednemu Chalidowi.

Światło prawdopodobnie nie było odpowiednim słowem.

W odpowiedzi uraczyła go niewielkim uśmiechem.

– Tak jak się obawiałem, to nie jest zgodne małżeństwo – powiedział łagodnie Musa. – Jest na takowe nadzieja?

– Prawdę mówiąc, jest zbyt wcześnie, by to stwierdzić. Jesteśmy małżeństwem zaledwie od kilku dni. A bycie żoną kalifa jest dość... trudne.

– Tak słyszałem – powiedział znaczącym i smutnym głosem. – A ty chciałaś zgodnego małżeństwa?

Zdenerwowana Szahrzad poprawiła się na miejscu. Z jakiegoś powodu okłamywanie tego dziwnie ubranego mężczyzny ze szczerym śmiechem i czujnym spojrzeniem wydawało się... złe.

– Pragnę małżeństwa opartego na miłości i szacunku, Musa-*efendi*. A czy będzie to możliwe z kalifem, to się okaże.

– Ach, taka szczerza. Chalid wysoko ceni sobie szczerą. Pragnie jej. Już jako chłopiec poszukiwał prawdy z taką zapalczywością, jakiej nie widuje się u każdego. Wiedziałaś o tym?

– Bardzo mało wiem o jego przeszłości.

Skinął głową.

– Powiedz, nie powtarzając plotek, na jakiego mężczyznę wyrósł syn Leili?

Szahrzad milczała przez chwilę, przyglądając się twarzy nieznajomego siedzącego przed nią.

*Czy jeśli odpowiem na jego pytanie, on odpowie na moje?*

– Cichego. Mądrego.

– Mógłbym się tego dowiedzieć od każdego mieszkańca Reju. Chcę wiedzieć, co ty o nim wiesz. Co wywnioskowała sprytna młoda dziewczyna,

choć miała tak niewiele czasu.

Szahrzad przez chwilę przygryzała dolną wargę.

– Jest smutny. Rozważny. Rozgoryczony... – szepnęła. Pomyślała o jego surowych pięściach i wrzącej furii. – Pełen gniewu.

– Nie zawsze tak było. – Westchnął Musa. – Był takim dobrym chłopcem.

– Tak mi mówiono. Jednak trudno w to uwierzyć.

– To zrozumiałe – zamilkł. – Pozwolisz, że podzielę się z tobą pewną historią o nocy, w której mnie stąd wyrzucono, moja droga Szahrzad?

– Oczywiście, Musa-efendi.

– To smutna historia.

– Wyobrażam sobie, że historia z takim zakończeniem inna nie będzie.

Musa usiadł i zamyślił się, nim rozpoczął.

– Byłem nauczycielem matki Chalida, Leili. Była ona prawdziwym skarbem. Piękna i utalentowana. Kochała książki i poezję. Gdy poślubiła ojca Chalida i stała się jego drugą małżonką, miała zaledwie piętnaście lat. Przybyłem wraz z nią do Reju, ponieważ uparcie na to nalegała. Niestety nie było to łatwe małżeństwo. Jej mąż, dużo od niej starszy, najwyraźniej bardzo kochał pierwszą żonę. Leili nie podobały się wieczne porównania do niej. Jak tylko mogłem, próbowałem łagodzić jej napady złości i rozpacz, jednak nie dało się między nimi pogodzić różnic pod względem wieku i zainteresowań. To niczyja wina. Ojciec Chalida chadzał własnymi drogami, a Leila była porywczą młodą kobietą.

Umilkł, a na jego twarzy odmalował się smutek.

Miałem nadzieję, że wszystko się zmieni po urodzeniu Chalida. Nigdy nie widziałem tak oddanej matki. Leila całowała go po stopach i śpiewała mu, gdy był niemowlęciem. A kiedy podrośł, co wieczór do snu opowiadała mu historie. Chalid kochał ją nad życie.

Musa na chwilę zamknął oczy, Szahrzad odetchnęła ostrożnie.

*Jego matka co noc opowiadała mu historie.*

– Byłem w pałacu tej nocy, gdy ojciec Chalida dowiedział się o zdradzie Leili... gdy odkrył, że ma romans z członkiem straży pałacowej.

Jego głos stał się cichy i ponury.

– Ciągnął Leilę pałacowymi korytarzami, trzymając ją za włosy. Krzyczała, wyzywała go od najgorszych. Próbowałem jej pomóc, ale żołnierze mnie powstrzymali. W przedsionku zawołał syna. Leila powtarzała Chalidowi, że wszystko będzie dobrze, że go kocha i że jest jej światem.

Szahrzad zacisnęła dłonie w pięści.

– Tam, na oczach sześciolatniego dziecka, ojciec Chalida poderżnął żonie gardło. Kiedy chłopiec zaczął płakać, władca krzyknął na niego. Nigdy nie zapomnę tego, co powiedział: „Kobieta albo jest wierna, albo martwa. Nie ma innej możliwości”. Po tym wydarzeniu wyrzucono mnie z pałacu w tym, co miałem na sobie. Powinienem być mocniej walczyć. Dla Leili. Dla Chalida. Jednak byłem słaby. Przerażony. Słyszałem później, co stało się z synem Leili. Zawsze żałowałem. Żałowałem z całego serca.

Coś wezbrało w piersi Szahrzad, nie pozwalając jej mówić. Przełknęła z trudem ślinę. Nie wiedząc, co mogłaby zrobić, sięgnęła przez stół i wzięła Musę za rękę. Objął jej małe dłonie. Siedzieli w ciszy przez dłuższą chwilę.

W końcu Szahrzad, starając się zachować szacunek, przerwała ciszę.

– *Musa-efendi...* jestem przekonana, że nie powinieneś się obwiniać za to, co się stało, ani za tę noc, ani za każdą następną. Jestem młoda i wiem, że moje słowa mogą świadczyć o braku doświadczenia, ale przeżyłam wystarczająco wiele, by zdawać sobie sprawę, że nie można kontrolować działania innych. Można jedynie decydować, jak zachować się potem.

Ścisnął jej dłonie.

– Mądre słowa. Czy Chalid wie, jak wielki skarb posiada, moja gwiazdka?

Szahrzad spojrzała na mężczyznę z radością w oczach, której nie mogły wyrazić jej usta.

Musa pokręcił głową.

– Poniósł wielką stratę. Bardzo mnie smuci cierpienie, które zadaje innym. Denerwuje mnie, ponieważ nie jest to zachowanie chłopca, którego znałem. Jesteś młoda, a ja stary. W moim wieku mądrość nie tyle jest cechą wrodzoną, ile oczekiwaną. Nauczyłem się w życiu, że nikt nie może osiągnąć szczytu swoich możliwości bez miłości innych osób. Nie powinniśmy być sami, Szahrzad. Im bardziej ktoś odpycha innych od siebie, tym jaśniejsze jest, że brakuje mu miłości.

*Nigdy nie mogłabym kochać takiego człowieka... potwora.*

Szahrzad chciała cofnąć ręce.

Jednak starzec je przytrzymał.

– Powiedz – nalegał. – Od jak dawna masz ten dar?

Zaskoczona Szahrzad natychmiast na niego spojrzała, ale jej piwne oczy nie wyrażały niczego.

Musa również na nią spojrzał swymi ciepłymi, poszukującymi oczyma.

– W takim razie jesteś nieświadoma tego, co drzemie w twojej krwi – powiedział bardziej do siebie.

– O czym mówisz? – zapytała.

– Może pochodzi to od któregoś z rodziców? – zastanawiał się. – Czy matka albo ojciec posiadają... wyjątkowe zdolności?

Szahrzad olśniło.

– Ojciec. Potrafi pewne rzeczy. Drobnostki, których jednak nigdy nie umiał kontrolować.

Musa przytaknął.

– Gdybyś kiedykolwiek chciała zgłębić wiedzę o tych zdolnościach, poślij po mnie. Z ochotą podzielę się z tobą swoją wiedzą. Nie jestem specjalnie biegły, ale uczyłem się... nad tym panować. – Uśmiechnął się powoli. Gdy mówił, Szahrzad obserwowała, jak ogień tańczący w lampie w pobliżu samoistnie przygasał, by zaraz ponownie się rozpalić.

– I mogłabym się tego nauczyć? – zapytała szeptem.

– Szczerze mówiąc, nie wiem. Niemożliwe jest, by odgadnąć, co kto potrafi. Wiem jedynie, że kiedy pierwszy raz dotknąłem twojej dłoni, poczułem, że coś nas łączy. Teraz mam pewność, że nasza więź nie jest zwykłym zrzędzeniem losu. Błagam cię, moja gwiazdko... rozjaśnij mrok. W chłopcu, którego znałem, istniały pokłady dobra. Uwierz, że ten, którego widzisz, jest cieniem tego, który kryje się wewnątrz. Gdybyś tylko mogła obdarować go uczuciem, sam mógłby je dostrzec. Miłość do straconej duszy jest skarbem na wagę złota. Na wagę snów – mówił Musa, pochylając się nad ich wciąż splecionymi dłońmi, a ciepły uśmiech sympatii rozświetlił jego twarz.

– Dziękuję, Musa-efendi. Za mądrość, opowieść i znacznie więcej.

– Dziękuję, moja gwiazdko. – Puścił ją i wstał od stołu.

– Naprawdę nie zostaniesz, by coś zjeść? – ponownie zapytała Szahrzad.

Pokręcił głową.

– Muszę ruszać. Jednak przyrzekam, że niedługo znów cię odwiedzę. Nie pozwolę, by tym razem minęło wiele lat. Mam nadzieję, że kiedy ponownie się spotkamy, zobaczę Chalida. U twego boku i w lepszym stanie.

Szahrzad poczuła w swoim wnętrzu dziwne ukłucie wyrzutów sumienia.

Musa podszedł do sakwy, którą zostawił w kącie. Podniósł ją z podłogi, jednak zatrzymał się, jakby nad czymś się zastanawiał. Wyciągnął ze środka stary, nadgryziony przez mole dywanik, który był ciasno zwinięty i przewiązany konopnym sznurem.

– To dla ciebie, moja droga Szahrzad.

– Dziękuję, Musa-efendi.

*Co za dziwaczny podarek.*

– Miej go zawsze przy sobie. To bardzo wyjątkowy dywan. Gdy się zagubisz, pomoże ci odnaleźć drogę – powiedział z porozumiewawczym błyskiem w oku.

Szahrzad wzięła prezent i przycisnęła do piersi.

Musa położył ciepłą dłoń na jej policzku.

– Niech zabierze cię tam, gdzie pragnie być twoje serce.



## STARZEC I STUDNIA



Słońce przypiekało Tarika z siłą nieprzejednanego ognia. Powietrze falowało nad wydrami, zniekształcając obraz i ulatując do nieba.

Mężczyzna ciasno owinał twarz kapturem *ridy*, zabezpieczając go skórzanym rzemieniem przewiązanym nisko na czole. Piasek wirował wokół nóg jego ogiera, gdy ten masywnymi kopytami raz po raz wzniecał połyskującą chmurę pyłu.

Zoraja krążyła powyżej, a z każdą mijającą godziną jej skrzek stawał się coraz głośniejszy.

Kiedy Tarik dojechał do granicy Chorasanu i Partii, słońce już zachodziło. Zaczął więc szukać miejsca na spoczynek. Wiedział, że Beduini znajdują się niedaleko, ale nie chciał ryzykować wtargnięciem na ich tereny bez osłony nocy. Poza tym nie spał, odkąd opuścił Rej, a było to niemal cztery dni temu. Rankiem wymyślił sposób, by móc porozmawiać z miejscowymi i ustalić aktualny stan rzeczy w tym regionie.

W oddali dostrzegł niewielkie zgrupowanie wyblakłych od słońca budynków, usytuowanych wokół rozpadającej się kamiennej studni. Domy z błota, ustawione w kształt podkowy, pokryte były zapadającymi się dachami i zdawały się opuszczone. Przy studni stał starszy mężczyzna, zdejmował właśnie z grzbietów dwóch podstarzałych wielbłądów bukłaki ze zwierzęcych skór.

Tarik spiał swojego ciemnego araba, ponownie nasuwając na głowę kaptur białej *ridy*.

Gdy zbliżył się do studni, starzec spojrział przez ramię.

Następnie uśmiechnął się do Tarika.

Ubrany był w proste rzeczy z brązowego płótna, a jego gęstą brodę pokrywała siwizna. Pomiędzy dwoma przednimi zębami widniała sporej wielkości przerwa, a haczykowaty nos był złamany u podstawy. Jego ręce były zdeformowane przez wiek i pracę.

– Dobry koń. – Wskazał zwierzę ruchem głowy, wciąż się uśmiechając.

Tarik przytaknął w odpowiedzi.

Starzec drżącą dłonią sięgnął po wiadro stojące na brzegu studni...

I natychmiast je stracił.

Wiadro wpadło do ciemnej dziury, obijając się po drodze o kamienne ściany, aż uderzyło w wodę z głośnym pluskiem.

Tarik wypuścił z sykiem powietrze.

Starzec jęknął, zerwał kaptur *ridy* z głowy i tupnął nogą w piasek. Załamał ręce, a na jego twarzy pojawiło się wyraźne zakłopotanie.

Tarik przyglądał się tej przesadnej scenie, a gdy nie mógł już znieść tego, co się dzieje, zsiadł z ogiera, wzdychając przy tym ciężko.

– Masz jakąś linę? – zapytał mężczyznę, ściągając z twarzy kaptur.

– Tak, *sahibie*. – Starzec nieustannie się kłaniał.

– Nie trzeba, nie jestem dla ciebie *sahibem*.

– *Sahib* ma wspaniałego konia. Ma dobrą szablę. Na pewno jesteś *sahibem*.

Tarik ponownie westchnął.

– Daj linę, a zejdem po wiadro.

– Dziękuję, *sahibie*. Jesteś wspaniałomyślny.

– Nie wspaniałomyślny, tylko spragniony. – Tarik uśmiechnął się krzywo. Wziął linę od mężczyzny i obwiązał ją wokół studni. Zawahał się przez chwilę. – Nie próbuj ukraść mi konia. Ta bestia ma temperament i nie zajedziesz na niej zbyt daleko.

Starzec pokręcił głową z takim zapałem, że Tarik pomyślał, iż może skrócić sobie kark.

– Nie zrobiłbym czegoś takiego, *sahibie*!

Owa gorliwość podawała w wątpliwość jego intencje.

Tarik przyjrzał się człowiekowi, nim uniósł lewą rękę i gwizdnął w kierunku nieba. Zoraja spadła z przestworzy niczym masa piór i ostrych szponów. Starzec zasłonił twarz drżącym przedramieniem, chcąc uchronić się przed atakiem drapieżnika.

– Lubi zaczynać od oczu – powiedział Tarik bezbarwnym tonem, gdy Zoraja rozłożyła skrzydła i wylądowała na jego skórzanym karwaszu, obserwując nieznanego.

– Nie zrobię nic haniebnego, *sahibie*!

– To dobrze. Mieszkasz niedaleko?

– Jestem Omar z plemienia Beduinów.

Tarik ponownie przyjrzał się człowiekowi.

– Omarze z plemienia Beduinów, chciałbym dobić z tobą targu.

– Targu, *sahibie*?

– Tak. Wydobędę wiadro ze studni i napełnię twoje bukłaki wodą, ale w zamian chciałbym pozyskać nieco informacji o twoim plemienu i jego szejku.

Omar podrapał się po brodzie.

– Dlaczego bezimienny *sahib* pragnie informacji o moim plemienu?

– Nie martw się, nie życzę im źle. Żywię ogromny szacunek dla Beduinów. Ojciec nabył tego konia kilka lat temu od jednego z członków plemienia. Zawsze mawiał, że pustynni wędrowcy są jednymi z najlepszych jeźdźców na świecie.

– Jednymi z najlepszych? – Omar uśmiechnął się szeroko. – Jesteśmy najlepsi, *sahibie*. Nie ma co do tego wątpliwości.

Tarik posłał mu niepewny uśmiech.

– Możemy dobić targu?

– Wierzę w to, *sahibie*. Jednakowoż mogę zadać jedno, ostatnie pytanie?

Tarik przytaknął.

– Jaki masz cel w poszukiwaniu Beduinów?

Tarik zastanowił się przez chwilę. Starzec mógł być co najwyżej sługą. Najprawdopodobniej był wysyłany codziennie po wodę, by utrzymać pozory użyteczności mimo podeszłego wieku. Przekazanie mu informacji wydawało się raczej nieszkodliwe.

– Mam dla nich intratną propozycję.

– Propozycję? – Omar się zaśmiał. – Dla Beduinów? Dlaczego bogaty młody *sahib* miałby potrzebować pomocy pustynnych wędrowców?

– Odpowiedziałem na pytanie. Możemy dobić targu?

Ciemne oczy Omara błysnęły.

– Tak, tak, *sahibie*. Możemy.

Tarik posadził Zoraję na szczycie studni, po czym podszedł do konia, by odpiąć od niego swój łuk. Zarzucił kołczan na plecy, a cięciwę łuku przewiesił przez pierś. Nie był na tyle głupi, by zostawiać swoją broń. W końcu pociągnął za linę, sprawdzając, czy trzyma solidnie, a następnie stanął na kamiennej cembrowinie.

Szerokość otworu była dwukrotnie większa niż wysokość Tarika, toteż nie było dla młodzieńca szczególnie trudnym zadaniem zejść na dół i zabrać

drewniane wiadro unoszące się przy powierzchni. Nie potrzeba mu było też wiele czasu, by wspiąć się z powrotem na kamienny krąg i wyjść na zmierzch pustyni, pomarańczowy od zachodzącego słońca.

Mężczyzna podał wiadro Omarowi.

– Proponuję przywiązać linę do uchwyty wiadra, by oszczędzić sobie przyszłych problemów.

Omar się roześmiał.

– Mądra sugestia.

Razem napełnili bukłaki wodą i przywiązali je do grzbietów czekających nieopodal wielbłądów.

– To – zaczął Tarik – z którym plemieniem Beduinów jeździsz?

Omar się uśmiechnął.

– Jeżdżę z rodziną al-Sadik.

– Słyszałem już wcześniej to nazwisko.

– Wielu twierdzi, że to wielki ród. Wywodzi się z długiej linii pustynnych wędrowców.

– Kim jest twój szejk?

– Synem z szóstego pokolenia w linii al-Sadik. Niektórzy powiedzieliby, że jest trochę dziwny. Studiował w Damaszku, nim powrócił na pustynię.

– Co studiował w Damaszku?

– Wyrabianie szabli. Opanował rzemiosło wykuwania w żelazie i stali, *sahibie*.

– Co go opętało, by uczyć się tego fachu?

Omar wzruszył ramionami.

– Wierzy, że taka wiedza da mu przewagę nad wrogami.

Tarik w zamyśleniu pokiwał głową.

– Mówisz, jakby był interesującym człowiekiem.

– Tak jak ty, *sahibie*. Ale jestem ciekaw, jakąż to propozycję masz dla Beduinów?

Tarik był ostrożny.

– To prywatna sprawa.

– Prywatna? – Omar się zaśmiał. – Próbujesz obalić członka rodziny lub... podbić serce kobiety.

– Co?

– A w jakim innym celu bogaty młody *sahib* mógłby mieć dla Beduinów poufną propozycję? O co chodzi? Twój ojciec to podły despota przywiązany

do tradycji? Jesteś bohaterem, któremu ludzie będą długo służyć?

Tarik zmierzył Omara ostrym spojrzeniem.

– Ach! Zatem próbujesz podbić serce pięknej, młodej kobiety.

Tarik odwrócił się do konia.

– Musi być przepiękna – dumął Omar. – Skoro przywiodła przystojnego *sahiba* z sokołem i dorodnym ogierem *al-Chamsa* tak daleko, w morze piasku...

– To nie ma z tym nic wspólnego – mruknął Tarik.

– Więc nie jest piękna?

Tarik się odwrócił.

– To nie ma nic wspólnego z jej urodą.

– A więc jednak chodzi o dziewczynę! – zawołał Omar.

Zdenerwowany Tarik chwycił wodze ogiera i wskoczył na jego grzbiet.

– Nie obrażaj się na starego Omara, *sahibie!* Nie chciałem stwarzać problemów. Jestem tylko bardzo ciekaw, a moje czujne serce ma zamiłowanie do miłosnych historii. Błagam! Jeśli pójdziesz za mną, z wielką przyjemnością przedstawię cię szejkowi.

– Dlaczego miałbyś to zrobić?

– Przez wzgląd na moje dociekliwe serce – odparł Omar z uśmiechem odsłaniającym sporą szczelinę między jego krzywymi zębami.

Tarik zamilkł, zastanawiając się. Stary sługa mógł go okłamywać, ale to prawdopodobnie była najlepsza szansa na spotkanie z szejkiem najbardziej znamienitego plemienia Beduinów.

Warto było zaryzykować.

– Pojadę za tobą do obozowiska. – Tarik na wszelki wypadek poprawił kołczan na plecach.

Omar przytaknął i poprawił *ridę*.

– Opowiem szejkowi o twojej pomocy przy studni.

– Dziękuję.

– Nie ma za co, *sahibie!* Jestem bardzo honorowy.

Tarik podążał pustynią za Omarem w bezpiecznej odległości, podczas gdy ten prowadził dwa wielbłądy. Omar jechał w stałym tempie na mniejszym ze zwierząt, oglądając się co rusz przez ramię i posyłając Tarikowi uspokajający uśmiech.

Niebo pociemniało złane granatem i czernią. Najjaśniejsze gwiazdy zaczęły migotać ponad ich głowami, połyskując na krawędziach bielą. Po półgodzinnej

jeździe w morzu piaszczystych wydm ich oczom ukazała się spora enklawa namiotów, otoczona pierścieniem pochodni.

Omar poprowadził wielbłądy do samego środka obozowiska, pogwizdując wesoło pod nosem. Gdy szedł, kilku mężczyzn zatrzymało się i skłoniło mu głowę, na co Omar odpowiedział ukłonem, dotykając ręką czoła. Zsiadł z wielbłąda przy dużym patchworkowym namiocie znajdującym się w samym centrum obozowiska. W chwili, gdy jego sandały dotknęły ziemi, z cienia obok doszedł odgłos biegnących bosych stóp.

Małe gładkie ramiona złapały go za nogi, walcząc o uścisk.

– Baba Aziz! Dlaczego jesteś tak późno? – piszczalo kilkoro dzieci, jedno przez drugie.

Tarik zmrużył oczy.

Kłapa namiotu odchyliła się, wyszła z niego starsza kobieta z pięknym warkoczem w kolorze spłowiałej miedzi.

– Omar-dżanie, gdzieś ty był? Wnuki są głodne, a przez to i córki rozdrażnione.

Omar uśmiechnął się pobłaźliwie.

– Przyprowaździłem gościa. Znajdźcie się miejsce dla jednego więcej?

Nim kobieta popatrzyła na Tarika, spojrzała ku niebu.

– A kimże ty jesteś, młodzieńcze?

– Jest bezimiennym *sahibem*. A moje dociekliwe serce pragnie wysłuchać jego historii. Wierzę, że będzie dobra, Aiszo. O miłości i licznych walkach – odpowiedział Omar, mrugając przy tym okiem.

Kobieta pokręciła głową.

– Dobrze, zatem wprowadź go do środka.

Tarik wciąż wpatrywał się w Omara, podejrzenia szybko doprowadziły go do logicznego wniosku. Zsiadł z konia.

– Nie jesteś sługą – stwierdził.

Omar spojrzał na Tarika. Uśmiech odsłaniający lukę w uzębieniu ponownie pojawił się na ogorzałej od słońca twarzy starszego mężczyzny.

– Czy twierdziłem, że nim jestem?

Tarik patrzył Omarowi prosto w oczy. Maską niemądrego starca zniknęła w świetle pochodni, zastąpiona przez mądrość i pogodę ducha.

W jego oczach błyszczały teraz spryt i inteligencja.

– Wybacz nieporozumienie – ciągnął Omar.

Tarik parsknął z niedowierzaniem.

– To żadne nieporozumienie. Widziałem dokładnie tego, kogo chciałeś, żebym w tobie zobaczył.

Omar roześmiał się w głos.

– A może widziałeś we mnie dokładnie tego, kogo sam chciałeś zobaczyć.

Tarik odsunął *ridę* do tyłu i zbliżył się do niego.

– Na imię mi Tarik.

Omar uniósł krzaczaste brwi.

– A mnie Omar al-Sadik, szósty szejik w linii... – Wyciągnął pomarszczoną rękę, którą uścisnął młodzieniec. – Witaj w moim domu.

## OBIETNICA JUTRA



Dwa dni po powrocie kalifa z Amardhy Szahrzad była gotowa wprowadzić swój plan w życie.

Dość tego.

Nie miało znaczenia, że Musa-*efendi* napomknął o tragicznej przeszłości władcy.

Nie miało znaczenia, że ten świat nie był tak prosty, jak wcześniej zakładała.

I absolutnie nie miało znaczenia, że jej serce... było krnąbrne.

Przybyła do tego pałacu w określonym celu.

Kalif Chorasanu musiał umrzeć.

A ona wiedziała, jak tego dokonać.



W nocy siedziała w swojej komnacie naprzeciw niego, zając winogrona, podczas gdy on pił wino.

Wyczekiwała dogodnej chwili na atak.

– Jesteś bardzo cicha – zauważył.

– A ty wyglądasz na zmęczonego.

– Podróż z Amardhy nie należała do najłatwiejszych.

Spojrzała przez stół w jego tygrysie oczy. Cienie pod nimi były wyraźnie widoczne, ostre rysy jego twarzy zdawały się jeszcze bardziej srogie, naznaczone na krawędziach zmęczeniem.

– Ale wróciłeś już dwa dni temu.

– Od powrotu nie spałem za dobrze.

– Więc nie chcesz, bym kontynuowała opowiadanie historii Aladyna? Może powinieneś się położyć – zasugerowała.

– Nie. Nie chcę tego.

Odwróciła wzrok, nie mogąc wytrzymać jego przeszywającego spojrzenia.

– Mogę cię o coś zapytać, *sajjidi*?



- Możesz pytać, o co tylko chcesz. Odpowiem, jeśli uznam za stosowne.
- Dlaczego udałeś się do Amardhy?

Ściągnął brwi.

– Słyszałem, że Dżalal poznał cię z Musą Zaragozą. Niewątpliwie podczas jego pobytu poznałaś ciekawe fakty z mojego dzieciństwa. Zakładam, że wiesz już o mojej matce.

– Tak, powiedział mi o niej.

– Mamy z sułtanem Partii niepisaną umowę. Średnio co pół roku jadę do niego i kieruję w jego stronę subtelne groźby, puszczając się jak paw, by okazać siłę i odwieść go od sugestii, że nie jestem godnym i prawowitym dziedzicem kalifatu Chorasanu.

– Słucham? – rzuciła Szahrzad.

Kalif kontynuował:

– To logiczne, naprawdę. On otwarcie nazywa moją matkę dziwką, a wszyscy kwestionują moje pochodzenie. Poza tym sułtan jest w stanie poprzeć i opłacić wojnę z kalifatem. Brak mu jednak siły i ludzi, by zająć moje stanowisko. Ja zaś mam zamiar utrzymać taki stan rzeczy.

– Nazywa twoją matkę dziwką?

– Nie powinno cię to dziwić. Mój ojciec też tak o niej mówił. Wielokrotnie. Szahrzad wzięła drżący wdech.

– Czy twój ojciec również kwestionował to, że jesteś jego synem?

Kalif uniósł kielich wina do ust i upił spory łyk.

– To też nie powinno cię szokować.

Niemal żałowała, że się nie przesłyszała.

*Jakież musiało być jego dzieciństwo bez miłości?*

– Dla ciebie to normalne?

Odstawił kielich na stół.

– Przypuszczam, że moja definicja tego słowa jest wypaczona.

– Chcesz, bym się nad tobą litowała, *sajjidi*?

– A chcesz się nade mną litować, Szahrzad?

– Nie. Nie chcę.

– Więc tego nie rób.

Sfrustrowana porwała swój kielich ze stołu i wypłała do końca jego zawartość.

Kącik jego ust uniósł się nieznacznie.

Wino paliło, odchrząknęła więc i postawiła naczynie przed sobą.

– Tak w ogóle to zdecydowałam, jak mógłbyś mi wynagrodzić krzywdę. Jeśli nadal jesteś gotów to zrobić, oczywiście.

Rozsiadł się wygodnie wśród poduszek, czekając.

Wzięła głęboki wdech, przygotowując się do zastawienia pułapki.

– Pamiętasz, jak ubiegłej nocy opowiadałam o Aladynie, który na ulicach miasta zobaczył księżniczkę w przebraniu?

Kalif skinął głową.

– Mówiłeś, że zazdrościsz wolności, jakiej księżniczka doświadczyła w swoim mieście, nie nosząc królewskiego kaftana. Pragnę zrobić to samo. Z tobą – dokończyła.

Zamarł, przyglądając się jej twarzy.

– Chcesz, żebym wyszedł na ulice Reju bez straży?

– Tak.

– Tylko z tobą?

– Tak.

Milczał przez chwilę.

– Kiedy?

– Dziś w nocy.

– Dlaczego?

*Nie odmówił mi wprost.*

– Dla przygody – prowokowała.

Spiorunował ją wzrokiem.

Rozważał jednak jej propozycję.

– I jesteś mi to winien – nalegała.

*Proszę. Nie odbieraj mi tej szansy.*

– Zgoda. Jestem ci to winien. Zgadzam się.

Szahrzał się rozpromieniła.

On zaś otworzył szerzej oczy na blask jej uśmiechu.

Ku jej wielkiemu zaskoczeniu odpowiedział takim samym uśmiechem.

Wyglądało to nienaturalnie na jego zwykle zimnej i opanowanej twarzy.

*Nienaturalnie, lecz cudownie... olśniewająco.*

Ucisk w jej piersi... musiał zostać zignorowany.

Za wszelką cenę.



Stali w niewielkiej uliczce obok wejścia na plac targowy. Niebo ponad ich

głowami było fioletowe od zmierzchu, a mieszanka przypraw, potu i woni zwierząt gospodarskich przepełniała wiosenne powietrze upojnym zapachem życia w całej swej obfitości.

Szahrzad okryła się szczelnie ciemnoszarym płaszczem. Kostki zatrutego cukru, które ukradła i włożyła do kieszeni, wydawały się płonąć, gdy tylko o nich pomyślała.

Przenikliwe oczy kalifa o barwie ochry obserwowały wszystko wokół. Jego czarna *rida* przewiązana była na czole cienkim paskiem równie ciemnej skóry.

– Byłeś wcześniej na *suku* w Reju? – zapytała szeptem.

– Nie.

– Trzymaj się mnie. Jest podobny do labiryntu. Co roku się rozrasta, jego alejki ciągną się bezładnie.

– A przecież zależy mi na tym, by cię zgubić i poznać go na własną rękę – mruknął.

– Próbujesz być zabawny, *sajjidi*?

Ściągnął brwi.

– Nie możesz używać tutaj tego słowa, Szahrzad.

Słuszna uwaga. Zwłaszcza biorąc pod uwagę zamieszki przeciwko niemu na ulicach miasta.

– Masz rację... Chalidzie.

Wypuścił gwałtownie powietrze.

– A jak ja powinienem cię nazywać?

– Słucham?

– Jak mówią do ciebie przyjaciele?

Zawahała się.

*Dlaczego próbuję zachować w tajemnicy głupie przezwisko, które nadał mi Rahim, kiedy miałam dziesięć lat?*

– Szazi.

Na ustach mężczyzny pojawił się cień uśmiechu.

– Szazi. Pasuje do ciebie.

Przewróciła oczami.

– Chodź.

Szahrzad wyszła z bezpiecznego cienia i wmieszała się w gwarny tłum najbardziej ruchliwego rynku w Reju. Kalif Chorasanu szedł tuż za nią. Przeszli pod łukiem i weszli do parnego labiryntu pełnego ludzi i towarów.

Po ich prawej stronie stali sprzedawcy kuszący wyrobami spożywczymi –

słodkimi daktylami i innymi suszonymi owocami, a także różnego rodzaju orzechami przechowywanymi w poplamionych drewnianych beczkach oraz przyprawami ułożonymi w barwne stosy. Po lewej zaś znajdowali się sprzedawcy tkanin, farbowanych materiałów oraz motków przędzy, które kolorami tęczy powiewały na lekkim wietrze. Wielu sprzedawców zaczepiało ich, próbując nakłonić do skosztowania pistacji czy pysznych suszonych moreli. Początkowo kalif denerwował się, gdy ktoś ich zaczepiał, szybko jednak rozluźnił się i oswoił z powszednim doświadczeniem zwykłego klienta spacerującego po placu targowym w ciepły wiosenny wieczór.

Do chwili, gdy pewien młody mężczyzna wyskoczył zza słupa i owinał Szahrzad w jasny, pomarańczowy jedwab.

– Taka piękna! – Westchnął. – Musisz to kupić. Pasuje ci.

– Nie wydaje mi się. – Dziewczyna pokręciła głową, odsuwając jego ręce.

Mężczyzna ponownie przyciągnął ją do siebie.

– Czy ja cię już wcześniej nie widziałem, panienko? Z pewnością nie zapomniałbym takiej urody.

– Nie, nie widziałeś – powiedział cicho Chalid.

Młodzieniec uśmiechnął się do niego.

– Nie rozmawiam z tobą. Rozmawiam z najpiękniejszą dziewczyną, jaką w życiu widziałem.

– Nie. Rozmawiasz z moją żoną. I jesteś bliski przeprowadzenia ostatniej rozmowy w swoim życiu. – Jego głos był zimny niczym ostrze sztyletu.

Szahrzad spiorunowała wzrokiem młodego kupca.

– A jeśli chcesz mi sprzedać tę tkaninę, lubieżność ci w tym nie pomoże. – Mocno pchnęła go w pierś.

– Córka dziwki – wymamrotał.

Chalid zamarł, jego zaciśnięte w pięści dłonie niebezpiecznie pobieleły.

Szahrzad wzięła go za rękę i odciągnęła dalej. Widziała, jak zaciska usta.

– Wiesz, masz charakterek – wytknęła, gdy odeszli nieco dalej.

Milczał.

– Chalidzie?

– Czy taki brak szacunku... jest normalny?

Szahrzad wzruszyła ramieniem.

– Nie jest normalny, ale nie jest też czymś dziwnym. To przekleństwo bycia kobietą – zażartowała ponuro.

– To nieprzyzwoite. Ten drań zasługuje na chłostę.

*Powiedział król, który każdego ranka mordował żonę.*

Kontynuowali spacer po *suku*. Szahrazad była zaskoczona, że Chalid szedł teraz pewnie w jej cieniu z ręką opartą na jej plecach. Jego oczy, które zazwyczaj były czujne, wydawały się jeszcze bardziej uważne.

Westchnęła pod nosem.

*Wszystko dostrzega. To będzie trudniejsze, niż mi się zdawało.*

Szahrazad poprowadziła go labiryntem wąskich alejek, obok wytwórców olejów i sprzedawców octu, a także dywanów, lamp, perfum i innych kosmetyków. Doszli wreszcie do arterii, gdzie pełno było dostawców jedzenia i napojów. Przywiodła go do niewielkiej zatłoczonej budki z siedzeniami na zewnątrz.

– Co tu robimy? – zapytał cicho Chalid, gdy popchnęła go na krzesło przy wolnym stoliku.

– Zaraz wrócę. – Uśmiechnęła się z powodu jego irytacji i przepchnęła przez tłum.

Gdy chwilę później wróciła z dwoma kielichami i dzbanem, kąciki jego oczu się zwężyły.

– Słyszysz ze swojego słodkiego wina – wyjaśniła.

Kalif skrzyżował ręce na piersi.

Szahrazad uśmiechnęła się porozumiewawczo.

– Nie ufasz mi? – Nalała sobie wina do kielicha i napiła się jako pierwsza, po czym podała mu naczynie.

– Skąd masz pieniądze? – Wziął od niej kielich.

Przewróciła oczami.

– Ukradłam. Perfidnemu sułtanowi Partii. – Kiedy uniósł kielich do ust, zauważyła na jego twarzy uśmiech. – Smakuje ci?

W zamyśleniu przechylił głowę.

– Jest inne. – Napełnił ponownie jej kielich.

Siedzieli przez pewien czas w komfortowej ciszy, obserwując kupców i słuchając gwaru dochodzącego z pobliskiego placu targowego. Pili wino i cieszyli się z hałaśliwych rozmów zgromadzonych wokół nich osób, znajdujących się w różnych fazach upojenia.

– To dlaczego – zaczęła zaciekawionym tonem – masz trudności ze spaniem?

Zaskoczyło go jej pytanie.

Spojrzał na nią znad krawędzi kielicha.

– Miewasz koszmary? – drążyła.

Wypuścił ostrożnie powietrze.

– Nie.

– Jaki był twój ostatni sen?

– Nie pamiętam.

– Jak możesz nie pamiętać?

– A ty pamiętasz swój ostatni sen?

Szahrzad w zamyśleniu zacisnęła usta.

– Tak.

– Opowiedz o nim.

– Był trochę dziwny.

– Większość snów taka jest.

– Byłam na trawiastej łące z... przyjaciółką. Kręciłyśmy się. Trzymałam ją za ręce. Początkowo obracałyśmy się powoli. Potem przyspieszyłyśmy. Wirowałyśmy tak szybko, iż myślałam, że odlecimy. Jednak nie wydawało się to niebezpieczne. Teraz to dziwne, ale najwyraźniej tak właśnie jest w snach. Pamiętam, że słyszałam jej śmiech, najpiękniejszy na świecie. Niczym śpiew skowronka o brzasku. – Szahrzad uśmiechnęła się na to wspomnienie.

Chalid milczał przez chwilę.

– Ty też masz piękny śmiech. Brzmi niczym obietnica jutra – powiedział łagodnie w zamyśleniu.

W odpowiedzi na te słowa serce dziewczyny puściło się dzikim galopem, domagając się uwagi.

*Sziwa, przysięgam, zignoruję tę niestałą małą bestię.*

Gdy wychyliła zawartość kielicha, nie chciała patrzeć na kalifa. Była dumna z tego przejawu męstwa. Poczuła, jak całe jego ciało sztywnieje naprzeciw niej.

Odziane w sandały stopy nagle pojawiły się przy pustym miejscu obok niej.

– Czyż to nie piękna dziewczyna z niewyparzonym językiem? – wybełkotał ktoś nad nią.

Kiedy uniosła głowę, zmrużyła z obrzydzeniem oczy.

– Najwyraźniej to bardzo popularne miejsce – powiedział Chalid, napięcie aż biło z jego twarzy.

– Dla lubieżnych drani i młodych władców – mruknęła Szahrzad pod nosem.

– Co? – zapytał przeciągle młodzieniec, bo najwyraźniej wino pogorszyło słuch kupca.

– Nic. Czego chcesz? – zapytała Szahrzad z odrobiną irytacji.

Młodzieniec spojrział na nią z ukosa.

– Być może wcześniej byłem zbyt śmiały, ale chciałem się podzielić moją ostatnią obserwacją. Ten tutaj – wskazał kciukiem na Chalida – wydaje się nazbyt gburowaty dla takiej dziewczyny jak ty. Uważam, że lepiej byłoby ci z kimś uroczym. Na przykład ze mną.

Na te słowa Chalid zamierzał wstać, ale Szahrzad położyła rękę na jego piersi, nie odwracając spojrzenia od przeszkłonych oczu chłopaka.

– Najwyraźniej zapomniałeś, choć, dodam, upłynęło niewiele czasu, że nazwałeś moją matkę dziwką. Twoim zdaniem, w jakim świecie wybrałabym ciebie zamiast innego mężczyzny, gburowatego czy też nie?

Kupiec wyszczerzył zęby w uśmiechu, a jego przyjaciele stojący za nim roześmiali się, dostrzegając jej zuchwałość.

– Nie bierz tego do siebie, piękna dziewczyno. A jeśli powiedziałbym ci, że moja matka była dziwką? Będzie lepiej? W każdym razie muszę przyznać, że mam wielkie uznanie dla kobiet tego pokroju. – Puścił do niej oko.

Śmiech za nią przybrał na sile.

Szahrzad ponownie poczuła wściekłość pod palcami dłoni trzymanej na piersi Chalida, uniemożliwiając mu poderwanie się z miejsca jedynie za sprawą swojej silnej woli.

Skinęła głową.

– Jakoś mnie to nie dziwi. Jeśli zaś chodzi o mnie... zostawię ten towar nieruszony. Nie interesują mnie takie... małe ogóreczki.

Na te słowa Chalid spojrział na nią, a w jego oczach odmalowało się zaskoczenie. Kąciki jego ust nieco drgnęły.

Cisza wokół nich była ogłuszająca i bolesna.

Następnie chór rozbawionych głosów wypełnił przestrzeń.

Przyjaciele młodzieńca klepali się po własnych udach, jego zaś po plecach, naśmiewając się z chłopaka. Jego twarz przybrała jednocześnie kilka różnych odcieni purpury, gdy w pełni dotarła do niego zniewaga Szahrzad.

– Ty... – Rzucił się na nią.

Szahrzad odskoczyła.

Chalid złapał chłopaka za przód koszuli i rzucił go w grupę stojących nieopodal przyjaciół.

– Chalid! – krzyknęła dziewczyna.

Gdy młodzieniec zdołał się pozbierać, Chalid zamachnął się i uderzył go w twarz tak mocno, że ten zatoczył się i wpadł na stolik niebezpiecznie

wyglądających mężczyzn, pogrążonych w grze w kości o wysoką stawkę. Monety i astragale poleciały na ziemię, gdy stolik załamał się pod ciężarem chłopaka.

Grający ryknęli z wściekłości i poderwali się z miejsc, a wszystko wokół nich zmieniło się w pobojowisko.

Ich cenna rozgrywka została bezpowrotnie udaremniona.

Spojrzenia wszystkich skupiły się na Chalidzie.

– Na świętą Herę – jęknęła Szahrzad.

Z ponurą rezygnacją Chalid sięgnął po *szamszir*.

– Nie, idioto! – syknęła dziewczyna. – Biegnij! – Chwyciła go za rękę i odwróciła się w przeciwnym kierunku, a serce zaczęło szybciej tłoczyć krew przez jej ciało.

– Z drogi! – krzyczała, gdy minęli wózek sprzedawcy. Jej sandały ledwie dotykały ziemi. Odgłosy wydawane przez napastników tylko zwiększały jej tempo, zwłaszcza gdy dźwięk długich kroków Chalida odbijał się echem w wąskiej uliczce *suku*.

Kiedy wciągnął ją do mniejszej bocznej alejki, szarpnęła go z powrotem.

– Wiesz w ogóle dokąd zmierzasz? – zapytała pospiesznie.

– Choć raz w życiu zamilknij i zacznij słuchać.

– Jak śmiesz...

W zacienionej wnęce objął ją prawą ręką i przycisnął do siebie. Położył palec wskazujący na jej wargach.

Szahrzad słuchała, jak ścigający ich ludzie biegną pobliską alejką, wciąż krzyząc i bełkocząc w pijackim opętaniu. Gdy odgłosy zaczęły się oddalać, zabrał palec z jej ust.

Jednak było już za późno.

Szahrzad czuła, jak jego serce mocno bije.

Zupełnie jak jej.

– Co mówiłaś? – Był tak blisko, że jego słowa były bardziej tchnieniem niż dźwiękiem.

– Jak... jak śmiesz tak do mnie mówić? – szepnęła.

To, co błysnęło teraz w jego oczach, trącało rozbawieniem.

– Jak śmiem sugerować, że jesteś przyczyną całego tego bałaganu?

– Ja? To nie moja wina! To twoja zasługa!

– Moja?

– Twoja i tego twojego charakterku, Chalid!



– Nie. Twoja i tych twoich usteczek, Szazi.  
– Mylisz się, nędzny prostaku!  
– Widzisz? Tych ust. – Uniósł rękę i musnął kciukiem jej wargi. – Tych wspaniałych ust.

Jej zdradzieckie serce uderzało tuż przy jego własnym, a gdy zerknęła na niego spod rzęs, dłonią opartą na jej plecach przyciągnął ją niemożliwie blisko.

*Nie całuj mnie, Chalidzie. Proszę... nie całuj.*

– Tutaj są! Znalazłem ich!

Chalid chwycił ją za rękę i ponownie pobiegli uliczką.

– Nie możemy tak ciągle biegać – powiedział przez ramię. – W końcu może się okazać, że będziemy musieli stawić im czoła i walczyć.

– Wiem – rzuciła w odpowiedzi.

*Potrzebuję broni. Muszę mieć łuk.*

Rozglądała się wokół za łukiem nierozważnie opartym o ścianę budynku czy też za kimś, kto miałby kołczan. Jednak udało jej się przelotnie dostrzec jedynie błysk szabli. W oddali zauważyła krzepkiego mężczyznę z ogromnym prostym łukiem przewieszonym przez pierś, wiedziała jednak, że nie ma szans szybko mu go odebrać. Jeszcze mniej prawdopodobne było to, że zdoła naciągnąć strzałę na cięciwie tak wielkiego łuku.

Wysiłek wydawał się zbędny.

Wreszcie dostrzegła chłopca bawiącego się z kolegami w bocznej uliczce.

Z prowizorycznym łukiem i kołczanem na ramieniu, w którym widniały trzy strzały.

Szahrzad szarpnęła Chalida za rękę, ciągnąc go w głąb uliczki. Kucnęła przed chłopcem i uniosła z twarzy kaptur płaszcza.

– Mógłbyś mi oddać twój łuk i strzały? – zapytała zdyszana.

– Co? – zapytał zaskoczony.

– Proszę. – Szahrzad podała mu pięć złotych dinarów wyciągniętych z kieszeni płaszcza. Oczy chłopca rozjaśniło prawdziwe szczęście.

– Jesteś szalona, pani? – zapytał osłupiały chłopiec.

– Dasz mi te przedmioty? – nalegała.

Bez słowa oddał jej broń. Włożyła mu monety do brudnej ręki i zarzuciła kołczan na ramię.

Chalid przyglądał się tej wymianie, mrużąc oczy i zaciskając usta.

– Znasz ich, pani? – Chłopiec spojrział za Szahrzad.

Chalid natychmiast się odwrócił, z metalicznym zgrzytem wyciągnął *szamszir* i odsunął kaptur czarnej *ridy* z czoła.

– Uciekajcie stąd – powiedziała Szahrzad do dzieci.

Chłopiec skinął głową, pobiegł przed siebie, a koledzy poszli w jego ślady. Grupa mężczyzn, którą udało się obrazić Szahrzad i Chalidowi, liczyła siedem osób. Z tej siódemki trzech wydawali się ranni, u pozostałej czwórki ucierpiała najwyraźniej tylko duma. Nie licząc oczywiście straty pieniędzy.

Pieniądze zaś mogły wiele znaczyć.

Na widok Chalida trzymającego uniesioną szablę kilku mężczyzn wyciągnęło swoją własną broń.

Chalid bez słowa wysunął się do przodu.

– Panowie! – Szahrzad zatrzymała go. – To wydaje się nieco... niedojrzałe. Myślę, że całą tę sytuację należy uznać za nieporozumienie. Proszę, przyjmijcie moje szczerze przeprosiny za nasz udział w tej sprawie. Prawdę mówiąc, to rzecz między mną a... młodzieńcem o wątpliwych manierach, z którym rozmawiałam wcześniej.

– O wątpliwych manierach? Ty podła suko! – Młodzieniec wysunął się na przód.

– Dosyć! – Chalid uniósł *szamszir*, którego srebrne ostrze błysnęło groźnie w poświęcacie księżycy, gotowe, by zabić.

– Stop! – zawołała Szahrzad tonem na skraju desperacji.

– Powiedziałem: „dość”, Szazi. Wystarczająco dużo usłyszałem – powiedział Chalid śmiertelnie poważnym tonem.

– Tak. Pozwól mu robić, co mu się podoba, Szazi. Siedmiu na jednego? Podoba mi się nasza przewaga – powiedział prymityw.

*Nie masz pojęcia, o czym mówisz. Drugi najlepszy szermierz w Reju wytnie was jeden po drugim. Bez wahania.*

Naiwniak wyciągnął z pochwy pordzewiały bułat.

Szahrzad płynnym ruchem oparła strzałę na cięciwie, po czym ją wypuściła. Mimo niedoskonałości łuku i poplamionych błotem lotek strzała poleciała idealną spiralą.

Przebiła na wylot nadgarstek niemądrego chłopaka.

Zawył z bólu i z głośnym brzękiem upuścił bułat.

Nim ktokolwiek zdążył zareagować, Szahrzad umieściła kolejną strzałę na cięciwie. Kiedy ją naciągnęła, poczuła, że ta się poddaje.

*O Boże.*

Mimo to stanęła obok Chalida, trzymając łuk w gotowości tuż przy swojej szyi.

– W tej kwestii bardzo się mylicie. To nie jest starcie siedmiu na jednego. Radzę tym siedmiu obrócić się na pięcie i odejść do domu, ponieważ kolejny, który wyciągnie broń i który zbliży się choćby o krok, zarobi strzałę prosto w oko. Mogę was zapewnić, że mój przyjaciel jest jeszcze mniej wyrozumiały.

Dostrzegając ruch po prawej, Szahrzad obróciła się błyskawicznie, zaciskając palce na łuku. Ponownie cięciwa zatrzeszczała złowieszczo przy jej uchu.

– Nie prowokujcie mnie. Nic dla mnie nie znaczą.

Kolana jej drżały, ale głos był chłodny niczym kamień w strumieniu.

– Nie warto – wymamrotał jeden z graczy. Schował broń i wyszedł z uliczki. Wkrótce inni poszli za jego przykładem. Pozostał tylko chłopak, który zaczął awanturę, i trzech jego kompanów.

– Wierzę, że ci wystarczy, panie. – Szahrzad wciąż trzymała łuk i strzałę.

Prowodyr zamieszania chwycił się za przebity nadgarstek, zaś koledzy wyszli z uliczki. Jego twarz wykrzywiały wściekłość i rozpacz człowieka pokonanego na wszelkie możliwe sposoby. Po policzkach spływały łzy bólu, a na jego przedramieniu rozmazana była szkarłatna plama.

Zaciskając zęby, syknął:

– Pilnuj się, gburze, zanim i ciebie zniszczy. – Odszedł, oplakując swoje rany.

Szahrzad nie opuściła łuku, dopóki nie zostali sami.

Kiedy ponownie się obróciła, Chalid stał z *szamszirem* u boku...

Jego twarz pozbawiona była emocji.

– Tamtego dnia na dziedzińcu – zaczął – nie spudłowałam.

Szahrzad wzięła głęboki wdech.

– Nie. Nie spudłowałam.

Przytaknął.

Schował szablę.

*Zrób to teraz. Nie spodziewa się tego. To idealna chwila. Nawet lepsza niż pierwotny plan, by otruć go winem.*

– Szazi.

*Zrób to. Wymierz sprawiedliwość za Sziwę – za wszystkie te dziewczyny, które umarły na darmo, bez przyczyny czy wyjaśnienia.*

– Tak?

*Wypuść strzałę.*

Podszedł do niej. Omiótł spojrzeniem jej ciało, które zapłonęło w każdym miejscu, którego dotknął jego wzrok.

*Zakończ to. Zakończ i jedź do Baby. Do Irsy.*

*Do Tarika.*

Szahrzad mocniej zacisnęła palce na wciąż trzymanej broni. Wypuściła powietrze, przygotowując się do strzału... ale licha cięciwa w końcu się poddała.

*Co za bezwartościowy tchórz.*

– Jesteś... niezwykła. Każdego dnia myślę, że powinno mnie to zaskakiwać, ale tak się nie dzieje, ponieważ wyjątkowość jest nieodłączną cechą twojej natury. Nic cię nie ogranicza. Wszystko, co robisz, nie zna granic.

Z każdym słowem kruszył jej bariery, burzył mury. Szahrzad chciała z nim walczyć, krzyczeć w duchu, ale jej serce z zadowoleniem witało intruza, niczym słowik śpiewem witający świt.

Niczym umierający, odnajdujący łaskę w odpowiedzi na modlitwę.

Zamknęła oczy, ściskając bezużyteczny łuk.

Sziwa.

Kiedy ponownie je otworzyła, stał tuż przed nią.

– Nie spodobało mi się, kiedy nazwałaś mnie swoim przyjacielem – stwierdził ze światłem w bursztynowych oczach.

Objął jej twarz, unosząc w górę jej podbródek.

– Wolisz „mój panie” lub „sajjidi”? – parsknęła z obrzydzeniem.

Przysunął się, niemal oparł czoło na jej czole.

– Wolę, gdy mówisz „Chalid”.

Szahrzad przełknęła ślinę.

– Co ty ze mną robisz, mała zarazo? – zapytał szeptem.

– Jeśli jestem zarazą, to powinieneś trzymać się z dala. Chyba że planujesz zostać zniszczony. – Nadal trzymając broń, szturchnęła go w pierś.

– Nie. – Chwycił ją w pasie. – Zniszcz mnie.

Łuk i strzała z łoskotem opadły na ziemię, gdy mężczyzna przywarł do niej ustami.

Nie było odwrotu.

Tonęła w zapachu drzewa sandałowego i słonecznego światła. Czas przestał się liczyć. W biegu chwil jej wargi należały to do niej, to do niego. Smakował niczym ogrzany słońcem miód. Jak zimna woda w jej wyschniętym gardle. Jak

obietnica wszystkich jej poranków zawarta w jednym tchnieniu. Kiedy wsunęła palce w jego włosy, by przytulić się nieco mocniej, zamarł na sekundę, bo oboje wiedzieli, że zostali zgubieni. Straceni na zawsze.

W tym pocałunku.

Pocałunku, który wszystko zmienia.

## NIEDOTRZYMANE PRZYSIĘGI



Chciała puścić jego dłoń, lecz tego nie zrobiła.

Jego dotyk palił jej skórę.

Wstyd. Zdrada.

Pożądanie.

*Jak mogłam zmarnować tak doskonałą okazję? Dlaczego się zawahałam?*

Wiedziała, że pęknięcie cięciwy nie było jej winą, niemniej nie potrafiła zagłuszyć wyrzutów sumienia.

W chwili, w której weszli na pałacowy dziedziniec, Szahrzad próbowała się odsunąć.

Chalid jednak zacisnął dłoń.

Korowód strażników stał przygotowany na powitanie przybywającego kalifa, zaś *szahrban* Reju przyglądał się splecionym dłoniom małżonków. Następnie z bolesnym oskarżeniem w brązowych oczach spojrzał na samą Szahrzad.

Nie ukorzyła się przed nim.

– *Sajjidi*. – Skłonił się przed władcą.

– Generale al-Chouri. Jest późno. Nie mam w planach spotkania z tobą aż do rana.

*Szahrban* ściągnął brwi.

– Miejsce pobytu mojego króla pozostawało nieustalone. Wobec tego nie mogłem stać bezczynnie, czekając na świt.

Szahrzad niemal parsknęła śmiechem.

– Doceniam twoją czujność – odparł Chalid.

Generał wymamrotał coś pod nosem i ponownie spojrzał na Szahrzad.

– Jestem pewien, że był to pełen wrażeń wieczór, *sajjidi*. Z radością odprowadzę królową do komnaty.

– To zbyt uczynne. Sam się tym zajmę. Chciałbym porozmawiać też z tobą w mojej komnacie.

*Szahrban* skinął głową.

– Będę czekał, *sajjidi*.

Chalid z Szahrzad u boku i otoczony przez straż ruszył ciemnym przejściem. Tutaj, w chłodnych złowrogich korytarzach z marmuru i piaskowca, dziewczyna widziała na jego twarzy wyraz wycofania. Chalid oddalał się tam, gdzie nikt nie miał wstępu.

Jedynym sygnałem, który jej pozostał – jedyną wskazówką, która podpowiadała jej, że wciąż jest częścią jego świata – była dłoń zaciśnięta wokół jej własnej.

Jednak nie dbała o to.

*To nie powinno się liczyć. On nie powinien nic dla mnie znaczyć.*

Po raz kolejny spróbowała zabrać rękę, a on ponownie zacisnął palce.

Radżput czekał przed jej komnatą. Ukłonił się Chalidowi niczym przyjaciel, zaś jeden ze strażników przytrzymał otwarte drzwi.

Gdy tylko zamknięto je za nimi, Chalid uwolnił jej dłoń.

Szahrzad odwróciła się do niego ostrożnie.

– Dlaczego generał al-Chouri mnie nie lubi? – zapytała wprost.

Chalid spojrzał jej w oczy.

– Dostrzega w tobie zagrożenie.

– Dlaczego?

– Ponieważ cię nie rozumiem.

– Musi mnie rozumieć? Ja jego też nie rozumiem.

Chalid wypuścił powietrze przez nos.

– Jesteś gotowa odpowiedzieć na moje pytania?

*Dobrze. Ja również mam pytania.*

– Jakie pytania?

– Odpowiem na twoje, gdy będziesz gotowa odpowiedzieć na moje.

– Chalidzie...

Nachylił się i pocałował ją w czoło.

– Śpij dobrze, Szazi. – Przesunął dłoń na jej talię, jakby oczekując na przyzwolenie.

Szahrzad wciągnęła gwałtownie powietrze.

*To szaleństwo. Sprawia, że jestem słaba. Sprawia, że zapominam.*

*Powinnam go odepchnąć.*

Mimo to pragnęła się do niego przytulić. Zatracić się w miodzie i świetle słonecznym. Zapomnieć o wszystkim, prócz tego, jak to jest dać się złapać

w kuszącą pułapkę własnych decyzji.

– Dziękuję... za przygodę – powiedział.

– Proszę.

Na jego ustach igrał uśmiech – zaproszenie.

Jednak nad nią wisiało jarzmo zdrady, które wpływało na każde jej działanie. Zawstydzalo ją, gdy tylko pomyślała o chwili w jego ramionach. Domagało się, by nie ulegała ponownym życzeniom jej niestałego serca.

*Jak mogę go pragnąć? Po tym, jak zabił Sziwę? Po tym, jak zabił tak wiele dziewcząt bez żadnego powodu?*

*Co się ze mną dzieje?*

Kiedy, wyraźnie zamyślona, przyglądała mu się, szybko podjął za nią decyzję.

– Dobranoc, Szahrzad.

Westchnęła z dziwnym poczuciem ulgi.

– Dobranoc, Chalidzie.

Wpatrywała się w drzwi, które się za nim zamknęły.

*Czy zaryzykowałabym, gdybym dostała kolejną szansę? Czy jestem w stanie uczynić to, co musi zostać wypełnione?*

Zacisnęła dłonie w pięści.

*Być może nie uda mi się go zabić bezpośrednio, ale muszę zrobić to, co należy zrobić.*

*Dowiem się, dlaczego zabił wszystkie swoje małżonki.*

*I ukarzę go za to.*



Stał pod jej drzwiami.

Rozdarty.

Ostatnio dobrze znał to uczucie.

Gardził nim.

Zignorował znaczący uśmiech radźputa i ruszył w stronę swojej komnaty. Jak zwykle poczucie humoru strażnika było niestosowne, nie w czas.

Każdy krok młodego władcy rozbrzmiewał echem w ciemnym kamiennym korytarzu. Przetykany niebieskimi żyłkami agat i nieczuły granit pałacu dawały młodzieńcowi niewielkie schronienie przed odgłosami duchów.

Koszmarna przystań...

Do czasu pojawienia się Szahrzad.



Prawdziwa mała zaraza i najprawdziwsza królowa.

Jego królowa.

Nakazał strażnikom zostać przy przedsionku prowadzącym do jego komnaty.

Generał al-Chouri czekał na niego, siedząc przy stole z hebanu. Stały na nim dwie lampy z brązu, które rzucały złotą poświatę, oraz srebrny dzbanek na herbatę, pod którym migotał niewielki płomień świecy.

*Szahrban* wstał, gdy Chalid wszedł do pomieszczenia.

– *Sajjidi*.

– Spocznij, proszę. – Chalid usiadł na poduszkach naprzeciw niego. – Przepraszam za tę godzinę, ale mam z tobą do omówienia ważną sprawę. W związku z tym pozwolisz, że zrezygnuję z formalności.

– Oczywiście, *sajjidi*.

– Czy rozkazy dotyczące królowej były niejasne, gdy tydzień temu wyjeżdżałem?

Na twarzy *szahrbanda* odmalował się niepokój.

– *Sajjidi*...

– Nie będzie kolejnych zamachów na jej życie.

– Ale, *sajjidi*...

– Nie życzę sobie więcej żadnych podstępów. Żadnego zatrutego cukru. Ponadto zlekceważenie tego rozkazu potraktuję jako próbę zamachu na moje życie. Rozumiesz, generale?

– *Sajjidi*!

– Zadałem pytanie, generale al-Chouri.

*Szahrban* się zirytował.

– Nie mogę na nie odpowiedzieć.

– Wuju Arefie!

Niecodzienny wybuch Chalida zawisł w przestrzeni, niosąc w sobie napięcie wielu niewypowiedzianych słów.

– Ona cię zgubi.

– To moja decyzja.

– A zatem chcesz zakwestionować wszystko, co do tej pory zostało uczynione? Bez względu na to, jak krzywdzące były nasze działania, jesteśmy w tej chwili u ich kresu. Proszę. Błagam cię. Rozważ to raz jeszcze. To tylko jedna dziewczyna. Kim jest dla ciebie? Nie możemy jej ufać, Chalid-*dżanie*. Mówiła ci, dlaczego sama się zgłosiła? Wyznała swe motywy? Kim jest to dziewczę? Błagam cię. Nie możesz tego tolerować. Nie pozwolę, by ta

bezczelna dziewczyna stała się przyczyną twojego upadku.

Chalid spojrział przez stół na wuja.

– Podjąłem decyzję.

*Szahrban* się poddał.

– Proszę. Jeśli... Kochasz ją? Powiedz, że nie kochasz tej dziewczyny, Chalid-dżanie.

– Nie chodzi o miłość.

– W takim razie o co? Nie musisz brać w tym udziału. Możesz się odsunąć. Zerwać z nią kontakt, jak zrobiłeś to tamtej nocy, a ja zajmę się wszystkim o świcie.

– Nie. Próbowałem, wuju Arefie. Tamtego ranka... – Chalid skrzywił się, wspominając.

*Szahrban* zmrużył oczy.

– Zatem nie kochasz jej?

– Wiesz, co myślę na ten temat.

– W takim razie czego chcesz od tej pyskatej młodej dziewczyny, Chalid-dżanie?

– Czegoś więcej.

– A jeśli deszcz znowu przestanie padać?

Chalid milczał przez chwilę.

– Zrobię to, co dobre dla ludu Reju.

*Szahrban* westchnął ciężko.

– Nie będziesz w stanie tego znieść. Już teraz widzę, jakie to zbiera żniwo.

– Powtarzam, to moja decyzja.

– Twoi wrogowie będą świętować, gdy zniszczy cię to od środka i na zewnątrz.

Chalid pochylił się i oparł czoło na dłoniach.

– Zatem ufam, że zajmiesz się tym, by nigdy się nie dowiedzieli – powiedział, patrząc w podłogę. Jego wiara w wuja była bezgraniczna.

*Szahrban* skinął głową, nim położył dłonie na marmurze i wstał. Gdy spojrział na postać swojego władcy, na jego twarzy ponownie zagościł smutek.

– *Sajjidi?* Wybacz, proszę, ostatnie pytanie, ale muszę wiedzieć. Czy ona warta jest ryzyka?

Chalid uniósł głowę, a w jego oczach odbiło się pomarańczowe światło lamp.

– Tak uczciwie? Nie wiem...

*Szahrban* przygarbił się nieco.

– Jednak nie pamiętam, kiedy ostatnio pragnąłem czegoś tak mocno – dokończył cicho.

Ostrożny uśmiech posłany przez Chalida wujowi w końcu przekonał generała – był to pierwszy prawdziwy uśmiech, który zobaczył na twarzy swojego siostrzeńca od lat.

– Chalid-*dżanie*. Będę strzegł twojej królowej. Tak długo jak zdołam.

– Dziękuję.

– *Sajjidi*. – *Szahrban* zaczął się kłaniać.

– Generale al-Chouri?

– Tak?

– Proszę, po swoim wyjściu przyślij do mnie fakira.

– Tak, *sajjidi*.

– I, jeśli mógłbym zapytać o coś jeszcze...

– Oczywiście.

– Czy zrobiliście jakieś postępy w ustaleniu miejsca pobytu rodziny królowej?

– Nie, *sajjidi*. Nadal ich szukamy.

Chalid przeczesał palcami czarne włosy, burząc ich gładką powierzchnię.

– Kontynuujcie dalej poszukiwania. Nie ustawajcie w wysiłku.

– Tak, *sajjidi*. – Z dłonią przy czole *szahrban* wyszedł z komnaty władcy.

Chalid zdjął czarną *ridę* z ramion i położył ją na kolanach. Wiedział, że najprawdopodobniej Szahrzad odesłała gdzieś swoich bliskich lub uciekli oni z własnej woli, pozostawiając za sobą szereg pytań bez odpowiedzi. Uznał, że ich wycucie czasu nie mogło być przypadkowe i musiało być powiązane z jego świeżym małżeństwem.

Gdyby udało mu się odnaleźć jej rodzinę, być może uzyskałby odpowiedzi, których tak pragnął.

Ale czy chciałby je usłyszeć, gdyby miał ku temu okazję?

Tak wiele nękało go już problemów.

Mógł ją zapytać.

Zapytać, dokąd odesłała rodzinę i co przed nim ukrywała.

Dlaczego pragnęła go dręczyć.

Jednak myśl, że mogłaby go okłamać... Myśl, że te oczy – migoczące to błękitem, to zielenią, z nieprzewidywalnym bezmiarem kolorów poślaczające jego świat przy jasnych dźwiękach jej śmiechu – mogłyby

ukrywać prawdę, bolała go bardziej, niż chciał to przyznać.

On bowiem okłamał ją tylko raz.

Złapał krawędź zakurzonej *ridy* i cisnął ją w kąt. Jego powieki stały się ciężkie, obraz zaczął się rozmywać. Im dłużej się w coś wpatrywał, tym trudniej było mu się na tym skupić. Pulsowanie w skroniach stawało się coraz gorsze.

Pukanie do drzwi komnaty wyrwało go z zamyślenia.

– Wejść.

Widmowa postać odziana w biel wyszła z mroku i stanęła w świetle lamp. Długa broda spływała na jej pierś.

– *Sajjidi*.

Chalid westchnął.

– Jest gorzej? – zapytał fakir, wpatrując się w wykrzywioną twarz Chalida.

– Tak samo.

– Zdaje się, że gorzej, *sajjidi*.

– W takim razie dobrze, że jesteś. – W oczach młodego władcy zabłysnęło upomnienie.

Fakir odetchnął powoli.

– Mówiłem już. Nie mogę na zawsze zapobiec skutkom. Mogę jedynie zapewnić, że to cię nie zabije. Jednak w końcu szaleństwo znajdzie drogę, *sajjidi*. Nie będziesz mógł z nim walczyć.

– Rozumiem.

– *Sajjidi*, błagam. Bez względu na to, jak to odrażające, nie rezygnuj z wcześniej obranej drogi. W przeciwnym razie... nie skończy się to dobrze.

– Doceniam twoją uwagę i zapamiętam ją – powiedział cicho Chalid.

Fakir przytaknął.

Chalid zwiesił głowę. Fakir uniósł obydwie dłonie do skroni władcy. Nie dotykał ich jednak, zatrzymując palce kilka milimetrów od jego skóry. Zamknął oczy. Powietrze w komnacie znieruchomiało. Płomienie w lampach stały się smukłe i wysokie. Kiedy fakir ponownie otworzył oczy, świeciły one jak księżyc w pełni. Pomiędzy jego dłońmi, wokół całego czoła Chalida rozprzestrzeniła się ciepła czerwono-pomarańczowa poświata. Krąg cały czas się wznosił, pulsując żółcią, a następnie bielą, by po chwili powrócić do szeroko rozstawionych palców fakira.

Gdy magia rozplynęła się, powracając do swoich źródeł, fakir opuścił ręce.

Władca uniósł głowę. Pulsowanie, choć nie zniknęło całkowicie, było teraz

do zniesienia. Powieki zaś nie pozostawały równie ciężkie, jak przedtem.

- Dziękuję.
- Wkrótce nadejdzie czas, kiedy nie będę zasługiwał na to słowo, *sajjidi*.
- Zawsze będziesz zasługiwał na to słowo, bez względu na to, co się wydarzy.

Frustracja fakira znów odmalowała się na jego twarzy.

- Oby cały Chorasán mógł zobaczyć władcę, którego ja widzę, *sajjidi*.
- Ludzie nie byłiby pod wrażeniem. Sam to wszystko na siebie sprowadziłem, nieprawdaż? Oni w konsekwencji muszą znosić to, co niewyobrażalne.

Fakir skłonił się, dotykając czoła, po czym udał się do drzwi.

Jednak nim wyszedł, odwrócił się do władcy.

- Jak długo człowiek powinien płacić za swoje błędy, *sajjidi*?

Chalid nie wahał się z odpowiedzią:

- Aż wszystkie długi zostaną spłacone.

## HONOR ZDRADY



Następnego ranka, gdy Szahrzad się przebudziła, promienie słońca wpadały przez otwarte okiennice tarasu. Na małym stołku obok podwyższenia jej łoża znajdował się świeży bukiet kwiatów cytrusowych.

Na widok białego kwiecica przy łożu pomyślała o Chalidzie. Przeciągnęła się, próbując zignorować napływające wyrzuty sumienia.

– Podobają ci się? – zapytała Despina. – Pomyślałam, że przypadną ci do gustu.

Szahrzad uniosła głowę z poduszki.

– Słucham?

– Jeśli chodzi o kwiaty, masz dziwne upodobania, więc poprosiłam, by przyniesiono trochę bukietów do twojej komnaty.

– Och. Dziękuję.

Despina prychnęła.

– Nie zabrzmiało, jakbyś była wdzięczna. Raczej rozczarowana.

Szahrzad przewróciła się na bok, po czym wstała i założyła *szamlę*.

Nie znoszę, gdy tak wszystko zauważa. Niemal tak mocno jak tego, że ma rację.

Gdy Szahrzad zeszła z podwyższenia, Despina zdjęła pokrywę wazy z zupą.

Młoda królowa usłyszała, jak służąca gwałtownie wciąga przy tym powietrze.

– Co się stało? – Szahrzad usiadła na poduszkach przy niskim stole.

– Nic – pisnęła Despina.

Szahrzad przyjrzała się służce i ścisnęło się jej serce.

Czoło Despiny pokrywał pot. Jej zazwyczaj jasna skóra z koralowymi rumieńcami miała w tej chwili zdecydowanie ziemisty, zielonkawy odcień. Na wszystkich rysach odbijało się napięcie. Jej zgrabne palce drżały obok pięknie udrapowanej liliowej sukni z lnu.

Wyglądała dokładnie tak samo jak tego dnia, gdy zatruto herbatę Szahrzad.

– Gdzie dziewczyna, która kosztuje mojego jedzenia? – głos Szahrzad zachwiał się na końcu.

– Właśnie wyszła – padła lakoniczna odpowiedź.

Szahrzad przytaknęła.

– Dobrze. Zapytam raz jeszcze, Despino. Co się dzieje?

Służąca pokręciła głową, odsuwając się od stołu.

– Nic. Nic się nie stało, Szahrzad.

Dziewczyna wstała, trącając przy tym skraj tacy.

– Nie zmuszaj mnie do tego!

– Do czego?

– Dlaczego wyglądasz na przerażoną?

– Nie jestem przerażona!

– Podejdź tutaj.

Despina zawahała się, nim podeszła do stołu. Stała obok Szahrzad, drżąc coraz bardziej i zaciskając usta w jasnoróżową linię.

Serce Szahrzad puściło się galopem.

– Siadaj.

– Co? – wysyczała przez zęby.

– Siadaj, Despino!

– Ja... Nie.

– Nie?

– Nie... mogę, Szahrzad! – Odsunęła się od stołu, podnosząc rękę do ust.

– Jak mogłaś? – szepnęła Szahrzad.

– Co? – dyszała służąca.

– Przestań mnie okłamywać! – Chwyciła Despinę za nadgarstek i przyciągnęła ją do siebie. – Dlaczego?

Dziewczyna wciąż przyciskała dłoń do ust, spoglądając na pełną jedzenia tacę leżącą na stole.

– Odpowiadaj! – krzyknęła Szahrzad. – Jak mogłaś?

Despina pokręciła głową, krople potu skapnęły z jej czoła.

– Despino!

Nagle służka porwała w górę pokrywę wazy z zupą i zaczęła wymiotować do środka.

Szahrzad stała zszokowana, patrząc szeroko otwartymi oczami, jak jej służąca opada na podłogę, oburącz trzymając srebrną pokrywę.

Kiedy Despina przestała się trząść od suchych torsji, zerknęła na Szahrzad

spod ciężkich od łez rzęs.

– Jesteś... jesteś nędzną smarkułą, Szahrzad al-Chajzuran – wyjąkała.

Początkowo dziewczyna nie potrafiła wymyślić spójnej odpowiedzi.

– Ja... ty... Despino, czy ty jesteś... – urwała. Odchrząknęła. – Cóż, jesteś?

Despina wstała z kolan i otarła czoło przedramieniem. Westchnęła pokonana.

– Naprawdę cię teraz nienawidzę.

– Możesz sobie nienawidzić, ale nadal nie odpowiedziałas na moje pytanie.

Despina westchnęła z bólem.

– Tak.

Niedowierzając, Szahrzad opadła na poduszki.

– Na świętą Herę.

Despina zaśmiała się ochryple.

– Muszę przyznać, że bawi mnie, gdy zakładasz maskę przyjaciółki. To dość żaloszny widok. Zwłaszcza biorąc pod uwagę fakt, że myślałaś, iż próbowałam cię otruć.

– A co innego mogłam pomyśleć? Zwłaszcza po ubiegłotygodniowym incydencie z herbatą. Przypuszczam, że tamtego dnia również było ci niedobrze.

Służąca znów westchnęła.

– Despino – powiedziała królowa – kto jest ojcem?

– Na to pytanie nie odpowiem.

– Co? Dlaczego nie?

– Ponieważ dzielisz łóżko z kalifem Chorasanu.

– Ach, pajęczyna tajemnic z każdym dniem robi się coraz gęściej utkana! – odparła Szahrzad. – To kto jest ojcem?

– Nie powiem!

– A dlaczego ma to jakieś znaczenie?

Despina usiadła na piętach.

– Ponieważ nie mogę ufać, że nic nie powiesz.

– Co? Nic nikomu nie powiem.

– Nie będziesz musiała. Zrobią to twoje oczy, gdy tylko wyjdiesz z komnaty.

– Wcale nie! – pisnęła Szahrzad.

– Na Zeusa, moje uszy. – Despina złapała się mocno za głowę. – Nie krzycz.

Błagam.

– Nie powiem Chalidowi. Przrzekam.

– Chalidowi? – Kąciki ust służki uniosły się nieznacznie. – Wiem, że jesteś



wytrwała w swoich dążeniach, smarkata kalifo, ale w tej kwestii bym się poddała. Rozczarujesz się, gdy twoje próby perswazji okażą się daremne w moim przypadku...

Szahrzad zmarszczyła brwi.

– Mimo wszystko nie jestem Królem Królów.

– Dość! – Szahrzad zarumieniła się. – Powiedz, kto to jest.

– Bardzo mi przykro, Szahrzad, ale ci nie powiem. Po prostu nie mogę.

– Nie możesz? – Szahrzad wypowiedziała przeciągle słowa. – Więc on musi być kimś wpływowym.

– Nie naciskaj – powiedziała Despina ostro.

– Zastanawiam się... – Królowa zlekceważyła ostrzegawcze spojrzenie służącej i zastukała palcami po podbródku. – To nie może być radżput ani inny pałacowy strażnik. Wtedy ktoś tak śmiały jak ty nie miałby powodu tego ukrywać.

– Szahrzad...

– Więc – ciągnęła dziewczyna – musi to być albo *szahrban* Reju, co jest niedorzeczne, albo... – Jej twarz wygładziła się, gdy nagle zrozumiała. – Dżalal.

Despina wybuchnęła śmiechem.

– Kapitan straży? Nawet ja nie jestem tak śmiała. Co sprawia, że myślisz...

– Właściwie jesteś śmiała. – Szahrzad odepchnęła tacę z jedzeniem i oparła łokcie o krawędź niskiego stołu. – To by tłumaczyło twoje dziwne zachowanie w jego towarzystwie.

– Jesteś śmieszna. – Despina ponownie się roześmiała, dźwięk stawał się coraz wyższy, a jej oczy błyszczały niebieskim światłem.

Szahrzad uśmiechnęła się powoli.

– Wiem, że mam rację.

Despina milczała, piorunując ją wzrokiem.

– Nie musisz się martwić. – Szahrzad oparła podbródek na dłoni. – Twoja tajemnica jest bezpieczna. Możesz mi zaufać.

– Ufać ci? – prychnęła służka. – Prędzej zaufam przekupce.

– To... raczej niesprawiedliwe.

– Tak? Ty mi także nie ufasz.

– Oczywiście, że ci nie ufam. Sama przyznałaś, że jesteś szpiegiem, poza tym pod twoją opieką niemal dwukrotnie umarłam. – Szahrzad spojrzała na nią wymownie.

Despina zamrugęła.

– Nie przesadzaj.

– „Nie przesadzaj”? Mam ci przypominać o herbacie?

– Nadal uważasz, że to ja?

– No to kto? – dopytywała Szahrzad. – Jeśli chcesz, bym ci zaufała, powiedz, kto jest za to odpowiedzialny.

– Nie kalif, jeśli o to pytasz. On był... dość wściekły, gdy się o tym dowiedział.

– *Szahrban*?

Despina nie odpowiedziała, ale nie udało jej się ukryć oznaki potwierdzenia.

– Nie jestem zaskoczona – ciągnęła królowa. – Podejrzewałam go.

– Tak? Może to ty powinnaś być szpiegiem, a ja kalifą.

– Może. Myślę jednak, że noszenie dziecka innego mężczyzny mogłoby stanowić pewną trudność – rzuciła żartem. – Działal wie o dziecku? Jeśli tak, powinien cię pojąć za żonę. Albo dosięgnie go moja wściekłość. Wybór należy do niego.

– Nie wie. I nie zamierzam mu mówić. – Despina wstała i poprawiła suknię.

– Nie sądzę, by powinien wiedzieć.

– Ale to po prostu niedorzeczne.

Despina założyła kosmyk złotobrązowych włosów za ucho.

– Może i tak, ale na razie chcę wierzyć, że nie.

Szahrzad przyglądała się w bolesnym milczeniu, jak służąca sprząta bałagan. Jak gdyby nic się nie stało.

Despina krzątała się żywo niczym kanarek w złotej klatce.

Była uwięziona.

– Powinnaś odpocząć – nakazała Szahrzad.

Despina zatrzymała się w pół kroku.

– Co?

– Jesteś w ciąży. Nie musisz już tego przede mną ukrywać. Usiądź. Odpocznij.

Oczy Despiny zaszklily się na moment, zanim odzyskały swoją niebieską barwę.

– Nie muszę odpoczywać.

– Nalegam.

– Naprawdę, nie muszę...

– Dzisiejszego ranka odpocznij. Pójdę z radżputem poćwiczyć strzelanie. Zejdź do nas, gdy poczujesz się lepiej. – Szahrzad zaczęła nalewać herbaty do filiżanki. – Myślisz, że herbata pomoże ci na żołądek?

– Mogę zrobić herbatę – szepnęła Despina.

– Ja też mogę.

Służka umilkła, wpatrując się w drobną dziewczynę z długą zasłoną rozczochranych od snu włosów.

– Szahrzad?

– Tak?

– Nie jesteś taka, jak można by się tego spodziewać.

– To miał być komplement? – Szahrzad uśmiechnęła się przez ramię.

– Oczywiście. Myślę, że właśnie dzięki temu żyjesz.

– W takim razie jestem za to niezmiernie wdzięczna.

– Ja również. – Despina się uśmiechnęła. – Bardzo wdzięczna.



Głośny wiwat rozległ się z boku, gdy strzała z hukiem uderzyła w okap okna po drugiej stronie dziedzińca. Pokrzykiwania żołnierzy przerodziły się w śmiech, który poniósł się wysoko, aż do zachmurzonego nieba.

Nieba niosącego zapach zbliżającego się deszczu.

Szahrzad uśmiechnęła się do Dżalala.

Drżał od cichego śmiechu. Przeczesał dłonią kręcone brązowe włosy i wzruszył ramionami.

– Nie zdołasz temu zaprzeczyć, kapitanie al-Chouri – powiedziała Szahrzad.

– W rzeczy samej, nie mogę zaprzeczyć, pani. – Skłonił się, dotykając czoła.

– Twa strzała dotarła prosto do celu. Moja... niekoniecznie. Podaj cenę.

Szahrzad zastanowiła się przez chwilę. Musiała wymyślić coś dobrego. Musiało to być coś, co udaremni próby podważenia jej umiejętności strzeleckich i co będzie sformułowane w rozważny sposób. Miał talent w uchylaniu się od odpowiedzialności, podając bezsensowne wymówki.

– Dlaczego wolno ci się zwracać do kalifa po imieniu?

Dżalal przerzucił długi łuk z ręki do ręki. Zrobił to ostrożnie, zastanawiając się przy tym.

– Chalid jest moim kuzynem. Mój ojciec poślubił siostrę jego ojca.

Szahrzad z trudem opanowała zaskoczenie. To była najcenniejsza informacja, jaką pozyskała tego ranka.

Dżalal uśmiechnął się z niebezpiecznym błyskiem w jasnobrązowych oczach.

– Wybierz następny cel, Szahrzad.

Rozejrzała się po dziedzińcu.

– Najwyższa gałąź drzewa po prawej, ponad dachem.

Poruszył brwiami, akceptując wyzwanie. Wyciągnął strzałę z kołczanu i osadził ją na cięciwie. Gdy naciągnął łuk, jego twarde końce ledwie drgnęły.

Dżalal był doskonałym łucznikiem. Nie tak utalentowanym jak Tarik, ale precyzyjnym i spokojnym w swoich ruchach. Wypuścił strzałę, która poleciała spiralnie nad dachem, nim wbiła się w gałąź, sprawiając, że całe drzewo zatrzęsło się od siły uderzenia.

Mężczyźni dopingowali z aprobatą.

Szahrzad umieściła strzałę w swoim klasycznym łuku. Zamknęła oczy, mocno trzymając ją na cięciwie. Biorąc głęboki wdech, naciągnęła łuk.

W chwili, w której otworzyła oczy, wypuściła strzałę, która poleciała w górę, wirując pośród gałęzi...

Zanurkowała tuż pod wyznaczonym celem.

Szahrzad ściągnęła brwi.

Żołnierze wykrzyknęli z triumfem. Dżalal ponownie się skłonił, tym razem z rękami rozpostartymi po bokach.

– Och, nie napawaj się tak zwycięstwem – skarciła go dziewczyna. – To ci zupełnie nie przystoi.

– Nigdy się nie napawałem. Ani jednego dnia w życiu.

– Raczej ciężko mi w to uwierzyć.

– Zwycięstwem napawają się słabi.

– Więc przestań szczerzyć zęby jak jakiś głupiec.

Dżalal roześmiał się w głos, unosząc ręce do nieba.

– Ale będzie padać, Szahrzad. A ja głupio cieszę się na deszcz.

– Wybierz nagrodę, kapitanie al-Chouri – wymamrotała Szahrzad, krzyżując ręce na piersi i opuszczając łuk do stóp.

– Nie denerwuj się tak. Byłem uczciwy w swoich pytaniach.

Przewróciła oczami.

– Właściwie – ciągnął – to będzie moje pierwsze nieuczciwe pytanie dzisiejszego dnia.

Szahrzad znieruchomiała, jeszcze zanim reakcja na słowa kapitana odbiła się na jej twarzy.

Dżalal podszedł do niej, balansując długim łukiem na ramionach.

– Gdzie jest twoja rodzina, pani? – zapytał cicho.

*Szukaję mojej rodziny... Tak jak się tego spodziewałam.*

Uśmiechnęła się do niego.

– Jest bezpieczna.

– To nie jest odpowiedź.

– W miejscu z piasku i kamienia.

– To również nie jest odpowiedź. Wszystko tutaj jest z piasku i kamienia.

– Nie wymusisz na mnie lepszej odpowiedzi, Dżalalu. Tylko taką jestem w stanie ci dać. Jeśli ci nie odpowiada, możemy przerwać grę.

Przesunął wzrokiem po jej twarzy. W jego oczach dziwnie mieszały się podstęp i wesołość. Wtedy właśnie dostrzegła w nim więcej cech jego ojca niż kiedykolwiek wcześniej. Zrozumiała.

*To nie tylko stanowisko kapitana. Dżalal al-Chouri chroni rodzinę. Zawsze stawia ją na pierwszym miejscu.*

A ona nie była jego rodziną.

– Nie – ciągnął – ale chciałbym zadać inne pytanie w zamian za ostatnie. Ponieważ twoja odpowiedź była niezadowolająca, czuję się upoważniony zapytać o coś innego.

– Słucham?

– Obiecuję ci, że też będziesz miała takie prawo, jeśli nadejdzie twoja kolej i nadarzy się okazja.

– Dżalalu...

– Dlaczego zawsze zamykasz oczy, nim wycelujesz?

– Ponieważ... – zawahała się. – Ja... – *Co może się stać?* – Uczyłam się strzelać w miejscu, w którym słońce oszukuje umysł. Nie można tam było polegać całkowicie na wzroku, jeśli chciało się dobrze wycelować. Musiałam ćwiczyć, dopóki nie byłam na tyle dobra, by wycelować w ułamku sekundy.

Dżalal oparł obie ręce na końcu swojego długiego łuku. Leniwy uśmiezek wypełznął na jego ogorzałą od słońca twarz.

To zdenerwowało Szahrzad i sprawiło, że zapragnęła go sprowokować.

– To o wiele lepsza odpowiedź – powiedział głośno. – Wiesz, nie wszystko musi być takie trudne, Szahrzad.

– Co masz na myśli?

– Dokładnie to, co powiedziałem. Następnym razem po prostu odpowiedz na pytanie.

– Zobaczymy. Wybierz następny cel, Dżalalu.

Jego uśmiech jeszcze bardziej się poszerzył.

– Tak, pani. – Rozejrzał się po dziedzińcu, następnie wskazał wąski filar z wbitym z boku *tabarzinem*. – Wygrywa ten, czyja strzała znajdzie się bliżej ostrza topora.

To było jak dotąd najtrudniejsze zadanie. Drewniana rękojeść *tabarzinu* zwęzła się ku jego ostrzu, które zostało wbite w filar pod dziwnym kątem, przez co nie było dobrze widoczne. Co gorsza, nadchodząca ulewa wywołała wiatr, który przeszkadzał nawet najbardziej sprawnym łucznikom.

Poprzednie starcie wygrał Dżalal, dlatego przysługiwało mu prawo do oddania pierwszego strzału, z którego to przywileju teraz korzystał. Czekał, aż podmuchy uspokoją się na tyle, na ile to możliwe, nim umieścił strzałę na cięciwie i ją wypuścił. Wirując, poleciała ona w stronę *tabarzinu* i wylądowała w drewnianej rękojeści.

*Imponujący strzał.*

Szahrzad wyciągnęła strzałę z kołczanu na plecach. Umieściła ją na cięciwie, którą mocno naciągnęła. Zamknęła oczy, pozwalając, by wiatr owiał jej policzek. Rozważała przebieg lotu. Zacisnęła palce wokół białej lotki.

Otworzyła oczy i wycelowała w niewielki kawałek drewna znajdujący się przed lśniącym ostrzem topora.

Wypuściła strzałę.

Ta poleciała z wiatrem nad piaskiem... i uderzyła w rękojeść, zaledwie o włos od metalu.

Żołnierze krzyknęli w zbiorowym niedowierzaniu.

Dżalal zaczął się śmiać.

– Boże. Może powinienem nie celować.

Szahrzad powtórzyła jego poprzedni ukłon, rozkładając ręce na boki.

Jego śmiech stał się jeszcze głośniejszy.

– Zapracowałeś na to, by zadać kolejne pytanie, pani. Czyń swą nikczemną powinność.

*Tak. Tak właśnie zrobię.*

*Czas poznać prawdę.*

Zbliżyła się do niego.

– Jaki jest prawdziwy powód, dla którego żony Chalida musiały umrzeć?

Zapytała o to najcichszym szeptem. Tylko Dżalal mógł ją usłyszeć.

Jednak zdawało się, jakby wykrzyczała te słowa z pałacowej wieży.

Rozbawienie Dżalala zniknęło. Zastąpiła je powaga, jakiej jeszcze nie widziała na jego twarzy.

– Gra skończona.

Szahrzad zacisnęła usta.

– Dlaczego zawsze ty musisz ustalać reguły?

– To koniec, Szahrzad – odparł, zabierając jej łuk.

– Daj mi przynajmniej prawo zadania kolejnego pytania.

– Nie.

– Ale mi je obiecałeś!

– Przykro mi, ale nie mogę dotrzymać tej obietnicy.

– Słucham?

– Przepraszam. – Podeszedł do stojaka na broń i odłożył oba łuki na miejsce.

– Dżalalu! – Szahrzad poszła za nim. – Nie możesz...

Skinął głową radżputowi, który zbliżył się do Szahrzad.

Oburzona dziewczyna chwyciła za bułat znajdujący się na stojaku nieopodal.

– Dżalalu al-Chouri!

Gdy wciąż unikał jej wzroku, uniosła szablę obiema rękami, na co radżput zareagował, podchodząc jeszcze bliżej.

– Jak śmiesz mnie ignorować, koński zadzie?! – wykrzyknęła.

Dżalal odwrócił się i odsunął. Szahrzad niezdarnie zamachnęła się ciężkim ostrzem, co miało sprowokować młodzieńca, by potraktował ją poważnie.

Uchylił się jednak i odruchowo sięgnął do szabli przy biodrze.

– Co ty, u diabła, wyprawiasz, Szahrzad?

– Myślisz, że możesz bezkarnie traktować mnie w taki sposób?

– Odłóż szablę – powiedział nietypowym dla niego surowym tonem.

– Nie.

– Nic nie zdziałasz, trzymając ją w taki sposób. Odłóż ją.

– Nie!

Gdy ponownie nieudolnie się zamachnęła, Dżalal odparował cios własnym bułatem. Radżput odchrząknął głośno i wyciągnął *talwar*, jednym wprawnym ruchem dłoni odpychając Dżalala od dziewczyny.

– Przestań! – krzyknęła Szahrzad do radżputa. – Nie potrzebuję twojej pomocy.

Radżput drwił z niej z wyraźną pogardą.

– Czy ty... Czy on... się ze mnie śmieje? – zapytała z niedowierzaniem.

– Tak mi się wydaje – odparł Dżalal.

– Niewiarygodne. Co go tak bawi?

– Zakładam, że zarówno trzymanie przez ciebie szabli w tak nieudolny sposób, jak i to, iż oświadczyłaś, że nie potrzebujesz jego pomocy, choć najwyraźniej tak właśnie jest.

Szahrzad obróciła się do radźputa.

– Jeśli naprawdę chcesz mi pomóc, panie, zamiast śmiać się z mojej nieporadności, mógłbyś coś w tej sprawie zrobić!

Radźput wciąż tylko uśmiechał się pod nosem.

– On ci nie pomoże, Szahrzad – powiedział Dżalal, natychmiast odzyskując swój humor. – Zgaduję, że niewielu żołnierzy, wliczając w to mnie samego, zaryzykowałoby i zbliżyło się do ciebie na odległość ramion.

– A dlaczegoż to?

– Każdy żołnierz w Reju wie, co stało się z ostatnim strażnikiem, który ośmielił się położyć rękę na królowej. Na twoim miejscu darowałbym więc sobie wciąganie radźputa w naukę szermierki. Nawet jeśli miałabyś go o to ładnie poprosić – zażartował oschle.

– Czy... – Szahrzad ściągnęła brwi. – Co się stało z tym strażnikiem?

Dżalal wzruszył ramionami.

– Stał się kupą połamanych kości. Twój mąż nie jest wyrozumiałym człowiekiem.

*Cudnie. Choć to kolejna cenna informacja.*

– Proszę więc, odłóż szablę i wróć do siebie, pani – dokończył Dżalal stanowczym tonem.

– Nie waż się mnie lekceważyć, Dżalalu al... – Zamilkła, nim na dobre zaczęła mówić.

Zaprzagnęła się odwrócić.

Instynktownie wiedziała, że za nią stoi. Nie można było tego logicznie wytłumaczyć, jednak wyczuwała jego obecność niczym subtelną zmianę pór roku, przemianę w powietrzu. Niekoniecznie pożądaną. Nie miała złudzeń. Jeszcze nie.

Jednak nawet gdy z drzew spadają liście, moment ten jest piękny, wspinały sam w sobie.

Doznana zmiana sprawiła, że Szahrzad znieruchomiała, czując ucisk w żołądku. To było prawdziwe... i przerażające.

– Idealne wycucie czasu – mruknął Dżalal, zerkając w lewo.

Szahrzad nadal się nie odwracała. Ścisnęła bułat obiema rękami, a radźput



zbliżył się jeszcze bardziej. Jego *talwar* błyszczał milczącym ostrzeżeniem.

– Na Zeusa, Szahrzad! – zawołała Despina. – Do czego to dochodzi, gdy zostawić was samych!? Wdajesz się w walkę na szable z kapitanem pałacowej straży?

Na te słowa Szahrzad obróciła głowę w prawo.

Despina stała obok Chalida z wyrazem niepokoju i przerażenia na swojej ładnej twarzy.

Oblicze Chalida było jak zawsze nieprzeniknione.

Zimne jak co dzień.

Szahrzad chciała zakończyć całą sprawę tu i teraz, jednym prostym cięciem. Chciała złapać Chalida za ramiona i wytrząsnąć pozory życia z jego kamiennego oblicza.

Zamiast tego kontynuowała grę – dla świata i przed samą sobą.

– Może nam to wyjaśnisz? – zapytała Despina.

Chalid zerknął na służącą.

– Przepraszam, *sajjidi*. Nie chciałam zwracać się do królowej tak nieformalnie. – Despina skłoniła się w pośpiechu, przykładając dłoń do czoła.

– Nie musisz przepraszać, Despino. Nie wdałam się w pojedynek z Dżalalem. Mieliśmy zaledwie kilka... lekcji. Najwyraźniej nie mam talentu, jeśli chodzi o władanie szablą. Tak naprawdę moja wielkość ma granice – rzuciła żartem Szahrzad.

– Dzięki bogom – mruknęła Despina.

– Ograniczenia są nieszczęściem nas wszystkich, Szahrzad. – Dżalal uśmiechnął się, wykorzystując okazję do poprawy nastroju. – Nie bierz sobie tego do serca.

Zmarszczyła nos, patrząc na niego, po czym opuściła bułat na ziemię.

– Jakie ograniczenia? – zapytał cicho Chalid.

Dźwięk jego głosu prześlizgnął się po jej plecach, przywodząc na myśl chłodną wodę i ogrzany słońcem miód. Zaciśnęła usta.

– Zdaje się, że nie mogę władać szablą, co jest podstawowym wymogiem w szermierce.

Chalid przyglądał jej się, gdy mówiła.

– Podnieś ją – polecił.

Szahrzad spojrzała na niego. Zamrugnął, a wyraz jego twarzy złagodniał. Uniosła oburącz bułat. Ku jej zdziwieniu Chalid cofnął się i dobył swój *szamszir*.

– Spróbuj mnie trafić – powiedział.

– Poważnie?

Czekał cierpliwie, milcząc.

Machnęła szablą niezdarnie.

Chalid z łatwością odparował cios i chwycił ją za nadgarstek.

– Okropnie – stwierdził, przyciągając ją do siebie. – Jeszcze raz.

– Możesz dać mi jakieś wskazówki? – poprosiła.

– Stań w rozkroku. Nie wychylaj się cała do przodu. Wsuń jedynie górną część ciała.

Poprawiła postawę, marszcząc czoło z irytacji. Znowu wyprowadziła cios, ale go zablokował, ponownie chwytając ją za nadgarstek i unosząc *szamszir* do jej szyi.

Szepnął jej do ucha:

– Postaraj się lepiej, Szazi. Moja królowa nie zna ograniczeń. Nic jej nie powstrzyma. Pokaż to.

Ciepło jego ciała sprawiło, że jej serce zaczęło bić mocniej, zarówno z powodu jego słów i gestów, jak i bliskości.

Odsunęła się i uniosła bułat.

– Mniejsze ruchy. Szybsze. Lżejsze – nakazywał Chalid. – Nie chcę widzieć, co zamierzasz, zanim to zrobisz.

Szahrzad znowu się zamachnęła. Chalid sparował cios.

Radżput mruknął, krzyżując na piersi potężne ramiona.

Szahrzad jeszcze kilkakrotnie natarła na Chalida. Była zaskoczona, gdy podszedł do niej radżput i kopnął ją w stopę, ustawiając ją w ten sposób prawidłowo. Poruszył też głową, unosząc brodaty podbródek.

*Chce... bym trzymała wyżej głowę.*

Chalid stał i obserwował.

– Tak? – zapytała radżputa.

Odchrząknął i się cofnął.

Gdy dziewczyna ponownie spojrzała na Chalida, w jej oczach zagościł znajomy wyraz.

*Duma.*

Moment ten wydał się tak przerażająco prawdziwy, że myśl, iż cokolwiek mogłoby go przerwać, sprawiła, że powietrze uciekło z jej płuc...

*Jakby wokół jej szyi zacisnął się jedwabny sznur.*

## ZADAĆ MROCZNĄ RANĘ



Szahrzad wzięła fiolkę z wodą różaną i wyciągnęła szklaną zatyczkę. Perfumy pachniały intensywnie i słodko. Ich zapach był odurzający i tajemniczy, przywodził na myśl bukiet kwiatów umieszczony obok kadzi z powoli roztapiającym się cukrem.

*Być może to zbyt wiele.*

*Nie pachnie jak ona.*

Westchnęła i odłożyła fiolkę.

Po niespodziewanej lekcji fechtunku Szahrzad i Despina wróciły do komnaty królowej na obiad. Służąca poszła do swojego pokoju mieszczącego się obok, przypadkowo pozostawiając kilka przyborów toaletowych przy lustrze stojącym w rogu. Szahrzad przez kilka ostatnich godzin przechodziła wielokrotnie obok tego miejsca.

Myślała.

Obok fiołki perfum stało niewielkie naczynie z kości słoniowej. Dziewczyna uniosła pokrywkę, w środku znajdowała się mieszanina karminu i wosku pszczelego. Zanurzyła palec w błyszczącej mazi i nałożyła odrobinę na dolną wargę. Substancja lepiała się dziwnie na skórze, gdy Szahrzad próbowała naśladować intrygujące wydęcie warg, które zawsze podziwiała u swojej służki. Spojrzała w swoje lustrzane odbicie.

*Wyglądam śmiesznie.*

Otarła wierzchem dłoni usta. Na skórze jej ręki pozostał różowy ślad.

*Co ja wyprawiam?*

Podeszła do podwyższenia, na którym znajdowało się jej łóżko.

Wszystko było nie tak.

Nie była tutaj po to, by martwić się o swój wygląd. Nie bawiła się w taką dziecinadę. Przybyła do pałacu w jasno określonym celu: aby odkryć słabość swojego wroga i w ten sposób go zniszczyć.

Jak mogła zapomnieć o tym wszystkim przez zwykły pocałunek? W ciągu

zaledwie jednej chwili w ciemnej uliczce *suku*?

Chwili, którą z oszałamiającą częstotliwością wciąż przywoływała w pamięci.

Szahrzad odetchnęła i mocniej zacisnęła srebrne troczki swojej *szamli*. Nie chciała – nie mogła – porzucić celu.

Jak to się mogło w ogóle stać?

*Ponieważ nie jest potworem, za jakiego go miałam.*

Pod powierzchnią znajdowało się tak wiele, musiała się dowiedzieć, co leżało u podstawy.

*Dlaczego generał al-Chouri próbował mnie otruć?*

*I dlaczego Sziwa musiała umrzeć?*

Szahrzad nie wierzyła już w historie opowiadane na ulicach Reju. Chalid Ibn al-Raszid nie był szaleńcem z rodu morderców skłaniającym się ku bezsensownej brutalności.

Był chłopcem, który krył wiele tajemnic.

Tajemnic, które Szahrzad musiała poznać.

Nie wystarczało jej już stać z boku i biernie przypatrywać się wydarzeniom. Obserwować, jak władca rozplątywa się w oddali, zamyka w pokoju, do którego nikt nie ma wstępu.

Miała zamiar wyważyć drzwi i wykraść wszystkie jego sekrety.

Podeszła do stosu poduszek na łożu i zwinęła się w samym ich środku.

Mogła przynajmniej udawać, że na niego nie czeka.

Czy była warta czegoś lepszego?

Naprawdę jej na nim zależało? Gdy okaże się to prawdą, potwierdzą się jej najgorsze przypuszczenia...

Jeśli jej na nim zależy, oznacza to, że ma on nad nią władzę – włada jej sercem.

Szahrzad westchnęła, z każdym oddechem bardziej nienawidząc swego słabego serca. Choć tak haniebnie zawiodła na placu targowym, to przynajmniej nie ono powinno być winne tej porażki. Gdzie podziąła się trwała, stalowa tarcza, którą ustawiła wokół siebie nie tak dawno temu?

Myślnami wróciła do nocy poprzedzającej tę, w której żołnierze przyszli po Sziwę.

Były wtedy razem, tylko we dwie, skulone w ciemności rozjaśnianej blaskiem pojedynczej świecy. Zamiast płakać nad tym, co nieosiągalne, lub szlochać do gwiazd przez to, co miało nadejść, Sziwa uparcie cieszyła się

z tego, co wciąż posiadała. Siedziały więc na podwórzu w srebrnej poświacie księżycy, chichocząc z wieloletnich wspomnień.

To właśnie Szahrzad zrobiła dla Sziwy.

To Sziwa zrobiła dla Szahrzad.

Tamtego ranka, gdy Szahrzad wyszła, zostawiając przyjaciółkę, by ta mogła spędzić z rodziną swój ostatni dzień, Sziwa uśmiechnęła się do dziewczyny, uściskała ją i powiedziała: „Pewnego dnia się spotkamy, moja najdroższa. I znów będziemy się śmiać”.

Tak wielka siła.

I taka zdrada.

Szahrzad poprawiła poduszkę i zacisnęła palce na jedwabiu.

*Sziwa. Co ja robię? Nie... Nie ma już we mnie nienawiści. Pomóż mi ją odnaleźć. Kiedy widzę jego twarz... Kiedy słyszę jego głos. Jak mogę ci to robić? Jak, kochając cię tak mocno...*

Drzwi komnaty otworzyły się ze zgrzytem. Szahrzad usiadła, spodziewając się zobaczyć służące wypełniające wieczorne obowiązki.

Na progu stał jednak Chalid.

Był sam.

– Śpisz? – zapytał.

– Nie.

Wszedł do środka i zamknął za sobą drzwi.

– Jesteś zmęczona?

– Nie. – Szahrzad wciąż ścisnęła jedwabną poduszkę.

Chalid został przy drzwiach.

Wstała z łoża i poprawiła *szamlę*. Materiał zawirował wokół niej, gdy wyszła zza pajęczej zasłony i stanęła w nogach łoża.

– Chcesz, bym dokończyła opowieść o Aladynie?

– Nie. – Chalid zbliżył się do niej.

Wyglądał... na wyczerpanego.

– Nie spałeś? – zapytała. – Powinieneś się zdrzemnąć.

– Powiniennem.

Powietrze między nimi zawirowało intensywnością niedopowiedzeń.

– Chalidzie...

– Padało dziś.

– Tak. Przez chwilę.

Skinął głową, a jego bursztynowe oczy rozpały się na tę myśl.

Szahrzad zamrugła.

– Głupio się cieszysz z powodu deszczu podobnie jak Dżalal?

– Nie. Po prostu... jestem głupcem.

*Dlaczego? Powiedz.*

Powoli uniosła prawą dłoń do jego twarzy.

Zamknął oczy.

Kiedy ponownie je otworzył, położył dłoń na jej szyi.

Jak to możliwe, że chłopiec kryjący tak wiele sekretów w zimnych jak lód kamiennych murach mógł rozpalać ją samym swoim dotykiem?

Prawą ręką pogłaskał ją po włosach, ramieniu i plecach. Kciukiem lewej ręki powiódł po jej szyi, zatrzymując się w zagłębieniu u jej podstawy.

*Nie... Nie przestanę walczyć, Sziwo. Odkryję prawdę i znajdę sprawiedliwość. Dla ciebie.*

Spojrzała na Chalida wyczekująco.

– Co robisz? – szepnęła.

– Ćwiczę powściągliwość.

– Dlaczego?

– Ponieważ poniosłem w tym względzie porażkę na *suku*.

– Czy ma to jakieś znaczenie?

– Tak, ma – odparł cicho. – Chcesz tego?

Szahrzad milczała przez chwilę.

– Robiliśmy to wcześniej.

– To nie to samo. Nie będzie tak samo.

Krew zawrzała w jej ciele, rozpalona jego słowami.

Pocałował ją za uchem. Przez chwilę wodził językiem po jej skórze.

– Chcesz tego? – powtórzył jej do ucha.

Szahrzad przygotowała się, walcząc z drżeniem nóg.

– A myślisz, że dlaczego tu stoję, głupcze?

Złapała go za podbródek i pocałowała w usta.

Coś, co rozpoczęło się niewinnym pocałunkiem, przeobraziło się w czar współgrający z gorącą atmosferą, która przed chwilą wypełniała pomieszczenie.

Szahrzad wsunęła palce w miękkie włosy Chalida, gdy jego wargi przywarły do jej ust. Zamknął ją w uścisku, który poderwał jej nagie stopy z marmurowej podłogi. Jedwabna zasłona oderwała się od mocowania, gdy opadli na poduszki, całkowicie ignorując pułapkę, którą utworzyła.

Szahrzad uniosła jego *kamiz* i zdjęła mu go przez głowę. Mięśnie torsu Chalida zadrgały pod wpływem jej dotyku, atmosfera w komnacie stała się jeszcze bardziej parna, jeszcze bardziej namiętna. Kiedy musnął ustami jej szyję, a palcami pogładził brzuch aż do tasiemek jej *szamli*, wiedziała, że miał rację.

Nie będzie tak samo.

Kierowało nimi niepohamowane pożądanie, jak ciało z wody i dusza z popiołu.

Koronki jej *szamli* rozstąpiły się. Akcja posuwała się coraz szybciej i myślenie w tej sytuacji było zbędne. Musiała zapytać właśnie w tej chwili, nim pochłoną ją płomienie:

– Powiedz – wydyszała, wbijając palce w jego ramiona.

– Wszystko.

Serce jej urosło, jednak wypełniło je poczucie winy.

– Dlaczego musiały umrzeć?

Chalid zamarł w jej ramionach na niekończący się moment.

Natychmiast się podniósł i spojrzał na nią z góry. Na jego twarzy malowało się przerażenie.

Widział mieszane uczucia w jej oczach.

Ona zaś w jego spojrzeniu dostrzegła strach.

Wstał bez słowa i podszedł do drzwi.

Zatrzymał się jednak z ręką na klamce.

– Nigdy więcej mi tego nie rób – powiedział cicho, lecz stanowczo.

Przepełnił ją niekontrolowany ból.

Chalid trzasnął za sobą drzwiami.

Jego brak był namacalny. Częściowo cieszyło to Szahrzad – przypomniała sobie, że wszystko, co się z nią działo, było skutkiem wielkiego cierpienia płynącego z jego rąk. Jednocześnie zaś chciała za nim biec, bo wiedziała, że gdyby to zrobiła, mogłaby go zdobyć.

Tymczasem ukryła twarz w poduszkach i zaczęła szlochać.

W końcu odkryła jego prawdziwą słabość.

Była nią ona sama.

*Wykorzystam to, dowiem się też, dlaczego Sziwa musiała umrzeć.*

*Nawet jeśli mnie to zabije.*



W korytarzach Talekan panowała grobowa cisza.

I złowroga ciemność.

Jahandar wspiął się schodami, ściskając mocno w lewej ręce tajemnicze zawiniątko. Pochodnia w prawej dłoni drżała z każdym ostrożnie postawionym krokiem, jej płomień rzucał nierówne cienie na kamienne ściany.

Serce biło mu mocno, gdy pchnął drewniane drzwi do swojego pokoju. Wszedł i oparł się o nie, aż zamknęły się za nim z łoskotem.

Upewniwszy się, że nikt nie usłyszał jego nadejścia, odetchnął z ulgą, położył pakunek na biurku i zablokował drzwi.

Następnie spod płaszcza wyjął sztylet.

Było to proste ostrze. Na pierwszy rzut oka dość zwyczajne. Miało drewnianą rękojeść z pospolitym wzorem. Było lekko zakrzywione i wykute z ciemnego żelaza.

Tak naprawdę było nijakie.

Jahandar zamknął oczy i ścisnął sztylet w dłoni.

Nadszedł czas. Po przeszło dwóch tygodniach żmudnych badań i skomplikowanych tłumaczeń nastąpiła jego chwila.

Dziś dowie się, czy księża go wybrała.

Dziś odkryje, czy był godny jej mocy.

Ponownie zbliżył się do zawiniątka leżącego na biurku. Odwinął len.

Pośrodku leżał śpiący zając o miękkim brązowym futrze.

Jego pierwszy sprawdzian.

Jahandar przełknął ślinę.

Nie chciał, by stworzenie cierpiało. Wydawało się okropnie niesprawiedliwym odbierać życie tak niewinnej istocie w tak makabryczny sposób.

Jednak nic nie mógł na to poradzić.

Musiał zrobić to, co konieczne. Dla dzieci. Dla siebie.

Uniósł sztylet w prawej dłoni i jednym płynnym ruchem przeciągnął jego ostrzem po lewej ręce. Natychmiast pojawiła się stróżka krwi. Ciemną klingę zabarwiła szkarłatna posoka.

Gdy tylko jego krew znalazła się na krawędzi sztyletu, metal zaczął jaśnieć białoniebieską poświatą.

Oczy Jahandara błysnęły.

Cykl musiał zostać dopełniony.

Oddychając przez nos, poprosił w duchu śpiącego zająca o wybaczenie.



Następnie jaśniejącym sztyletem podciął mu gardło.

Obserwował, jak jasna krew zwierzęcia spływa na sztylet, a metal zmienia kolor z jasnoniebieskiego na ognistoczerwony.

Magia rozprzestrzeniała się z ostrza w powietrze, wypełniając komnatę niesamowitym rubinowym światłem.

W końcu Jahandar dotknął ostrza sztyletu.

Surowa i przerażająca moc popłynęła ku jego otwartej ranie. Wypełniała go, płynąc przez jego ciało, rozgrzewając je aż do kości. Jego oczy rozbłysły, a ciemne ostrze upadło na podłogę.

Gdy wróciła mu ostrość widzenia, wszystko wokół niego wydawało się wyraźniejsze. Wcześniejsze zmęczenie stało się jedynie odległym wspomnieniem. Stał bardziej wyprostowany. Głębiej oddychał.

Czuł się niezwyciężony.

Pochylił się i podniósł sztylet, wytarł jego ostrze o len, na którym leżało nieruchome ciało małego zająca.

Jahandar zatrzymał się w zamyśleniu.

Następnie machnął ręką nad zakrwawionym truchłem.

Po chwili zniknęło ono w eksplozji zimnego światła.

## BRUTALNA PRAWDA



Szahrzad nie spała zbyt dobrze.

Jej sny przepełnione były obrazami uśmiechniętej twarzy Sziwy i trzaskiem zamykanych w mrocznej pustce drzwi. W jej uszach rozbrzmiewały głosy pełne bólu i zakłamania.

Gdy o poranku uniosła powieki, obróciła się i wyczerpana wcisnęła twarz w poduszkę.

Wokół niej rozległ się wesoły śmiech Despiny, czysty jak dźwięk dzwonek i jak zawsze irytujący.

Szahrzad jęknęła.

– Chcesz dłużej spać?

– Nie – odparła w poduszkę. – To się na nic nie zda.

– Jesteś pewna? Bo wygląda na to, że miałaś... ekscytujący wieczór.

– Co? – Zdezorientowana Szahrzad uniosła głowę z jedwabnej poduszki.

Rozbawiony wzrok Despiny skupiał się na urwanej zasłonie leżącej w zapomnieniu obok podwyższenia łoża.

Szahrzad natychmiast oblała się rumieńcem.

– Dobra robota – droczyła się służka.

– To nie tak, jak wygląda.

– Jesteś pewna? Bo jeśli *kamiz* leżący na twoim łożu należy do innego mężczyzny, sprawa stanie się jeszcze bardziej interesująca.

– Wystarczy, Despino – rzuciła ostrzegawczo Szahrzad.

Służąca stanęła okrakiem, unosząc wysoko idealne brwi.

– Co się stało?

– Nic.

– Przykro mi, ale ta odpowiedź nie pasuje do sytuacji. – Chwytnąjąc w dłoń spódnicę, Despina pomaszerowała do łoża i usiadła na jego brzegu. – Co się stało? Powiedz.

Szahrzad westchnęła, widząc diabelny upór służącej.

- Wszystko.
- A możesz być bardziej konkretna? Mimo wszystko tajemnice smakują lepiej, gdy się nimi podzielić – wytknęła Despina.
- Powiedz to Chalidowi – mruknęła młoda królowa. – Jesteś jego potencjalnym szpiegiem, więc może ciebie posłucha.
- Wyraz twarzy Despiny złagodniał.
- Kalif Chorasanu od bardzo dawna nikogo nie słucha.
- I prawdopodobnie nikogo nie posłucha. Nie po wczorajszej nocy.
- Despina zsunęła sandały i usiadła ze skrzyżowanymi nogami na łóżku.
- My, kobiety, mamy smutny los, prawda?
- Co masz na myśli?
- Jesteśmy wystarczająco silne, by dźwigać świat gołymi rękami, a mimo to pozwalamy, by nedorzeczni chłopcy robili z nas idiotki.
- Nie jestem idiotką.
- Nie, nie jesteś. Jeszcze nie. – Despina się uśmiechnęła. – Ale to nieuniknione. Kiedy spotykasz kogoś, kto cię rozśmiesza, tak jak nikt wcześniej, kto sprawia, że płaczesz jak nigdy... nie można zrobić nic innego, jak się zakochać.
- Ja... – Szahrzad przygryzła dolną wargę.
- Możesz mówić swobodnie, Szahrzad. To, co powiesz, nie opuści ścian tej komnaty.
- Szahrzad milczała.
- Despina przysunęła się do niej.
- Kiedy byłam mała i mieszkałam w Tebach, pamiętam, jak zapytałam matkę, czym jest niebo. Odparła: „Sercem, w którym mieszka miłość”. Oczywiście zaraz potem domagałam się wyjaśnienia, czym jest piekło. Spojrzała mi prosto w oczy i powiedziała: „Sercem pozbawionym miłości” – mówiąc to, Despina obserwowała królową.
- Szahrzad zerknęła na służącą, bawiąc się srebrnymi koronkami *szamli*.
- Twoja matka była bardzo mądra.
- Tak, była.
- Szahrzad ostrożnie dobierała kolejne słowa:
- Mogę zapytać, co się z nią stało?
- Zakochała się w nieodpowiednim mężczyźnie. Obiecał jej raj, a zostawił z dzieckiem.
- Naprawdę mi przykro, Despino.

– A mnie nie. Umarła młodo, ale była szczęśliwa, mimo iż tamten mężczyzna nie był zdolny zapewnić jej szczęścia. Bogacze nie potrafią poświęcić się dla miłości, ponieważ nie muszą tego robić. – Ostatnie zdanie Despina wypowiedziała surowszym tonem.

– O to chodzi? – łagodnie zapytała Szahrzad. – Boisz się, że Dżalal zrobi to samo?

– Nie wiem. Jest niezwykle lojalny wobec rodziny, ale widziałam też, że wykazuje tę samą lojalność w stosunku do wielu młodych kobiet, które straciły dla niego głowę. – Niebieskie oczy Despiny zwięzły się w kącikach. – Zawsze wierzyłam, że mężczyznę definiują jego czyny, nie słowa, jednak Dżalal al-Chouri niewiele robi, by zaprzeczyć plotkom na swój temat.

– Takie zachowanie to chyba cecha rodzinna.

– Tak. Rzeczywiście.

– Nie... – Szahrzad umilkła, nim z błaganiem w oczach spojrzała na służkę.

– Despino, wiesz dlaczego? Jeśli tak, proszę, powiedz mi. Dlaczego Chalid morduje swoje żony?

Służąca wpatrywała się w zniszczoną pajęczą zasłonę leżącą na podłodze.

– Nie wiem.

– Więc... co wiesz? Proszę, powiedz mi.

– Mieszkam w tym pałacu od sześciu lat i zawsze uważałam Chalida Ibn al-Raszida za bardzo powściągliwego i dziwnie honorowego. Aż do wydarzeń z kilku ostatnich miesięcy. Nigdy nie dał mi okazji, bym kwestionowała jego charakter.

– Ale jak możesz służyć władcy, który bez powodu zabija młode kobiety?

– Przybyłam do tego królestwa jako niewolnica, nie mam możliwości wyboru tego, komu służyć – odpowiedziała oschle Despina. – Kalif Chorasanu może być potworem, ale dla mnie zawsze był zafrasowanym władcą z dobrymi intencjami.

– Dobrymi intencjami? – warknęła Szahrzad. – Powiedz to rodzinom dziewczyn, które zamordował. Powiedz to tym, którzy je kochali.

Despina wzdrygnęła się, a Szahrzad odwróciła wzrok, wstając pośpiesznie z łoża, by ukryć swój ból.

– Szahrzad...

– Zostaw mnie samą.

Despina chwyciła ją za rękę.

– Zależy ci na nim...

– Nie.

– Przestań kłamać, nieszczęsna panno.

Szahrzad wyrwała rękę i spiorunowała wzrokiem Despinę, następnie odwróciła się, by odejść w wirze błyszczącego brokatu.

– Zależy ci na nim – naciskała Despina. – A skoro sekrety tyle dla ciebie znaczą, coś ci wyznam.

Szahrzad natychmiast się zatrzymała.

– Jesteś bezpieczna, Szahrzad al-Chajzuran. Nic ci się nie stanie. Z pewnego źródła wiem, że każda próba skrzywdzenia ciebie będzie traktowana jako zamach na życie naszego władcy.

Królowa poczuła ucisk w żołądku.

– Rozumiesz, smarkata kalifo? – ciągnęła Despina.

Szahrzad zerknęła przez ramię na służącą, ale się nie odezwała.

Despina westchnęła.

– Pod groźbą śmierci... Jesteś ważna dla niego tak samo jak jego własne życie.

## BZY I SZALEJĄCA BURZA PIASKOWA



Dżalal przesunął raport po stole i zabębnił palcami o krawędź barwionego drewna.

– Musisz gdzieś iść, kapitanie al-Chouri? – zapytał Chalid, nie patrząc na niego.

– Nie. Nie w tej chwili.

Dżalal wciąż uderzał palcami prawej ręki o rzeźbione mahoniowe drewno, wpatrując się w twarz Chalida.

– Wygląda na to...

– Chciałbym, żebyś mi zaufał, Chalidzie.

Chalid spojrzał mu w oczy, niczego nie wyjaśniając.

– A co wywołało to nagłe pragnienie bliskości?

– Wczoraj padało. Musisz mieć wiele na głowie.

Chalid przyglądał się Dżalalowi, próbując się opanować.

– Zazwyczaj mam wiele na głowie.

– A co z deszczem?

Chalid odłożył zwój, który trzymał w ręku.

– Deszcz jest tylko elementem burzy, zapowiedzią nadchodzących wydarzeń.

– Jak zwykle jesteś idealnym przykładem zgorzknienia.

– A ty jak zwykle jesteś idealnym przykładem niczego.

Dżalal uśmiechnął się powoli.

– Jeśli chodzi o Szahrzad...

– Nie mam zamiaru o niej z tobą rozmawiać. – Tygrysie oczy rozpały się na zimnym dotąd obliczu.

– Musiała tobą wstrząsnąć w nocy. Z zemsty. Dobra robota, pani.

– Wystarczy, Dżalalu.

– Nie denerwuj się tak bardzo, kuzynie. Wczoraj padało. Nie musisz mieć już wyrzutów sumienia. Lud Reju nie będzie przez ciebie niepotrzebnie cierpieł. A właściwie przez Szahrzad.

– Dosyć!

Wszelkie ślady humoru Dżalala zniknęły. Na jego czole pojawiły się oznaki konsternacji.

– Widzisz? Chciałbym, byś mi powiedział. Najwyraźniej coś cię trapi. Być może nawet czegoś się obawiasz. Nie żyj w strachu, Chalid-*dżanie*, ponieważ tak nie da się żyć.

– Niczego się nie obawiam. Jestem zmęczony, a ty jesteś zarozumiała. To dość duża różnica. – Chalid ponownie skupił się na zwoju przed sobą. – Zdaje się, że zamieszki w mieście całkowicie ustały?

– Oczywiście, że ustały. Nie zabijamy już córek mieszkańców bez powodu – mruknął oschle Dżalal.

Kiedy Chalid nie odpowiedział, Dżalal zerknął na niego i zobaczył, że ten przygląda się mu, lewą dłoń zaciskając mocno w pięść.

– Zawsze musisz być takim niewrażliwym draniem? – zapytał Chalid zabójczym szeptem.

– Przyznaj szczerze. Jestem taki jedynie wówczas, gdy czemuś to służy, zaś wrażliwy wtedy, gdy wymaga tego sytuacja.

– Wątpię, czy rozumiesz to pojęcie.

– Nie jesteś jedynym, który cierpi. Wprawdzie spoczywa na tobie wielki ciężar, ale nie jesteś sam. I radzisz sobie nad wyraz dobrze. Pozwól sobie pomóc. Z chęcią przejmę nieco twojego ciężaru. Właśnie to próbuję ci powiedzieć.

Chalid odepchnął na bok zwój i podszedł do okna po prawej stronie. Marmurowy łuk otaczał niebieskie niebo ponad nimi. W ogrodzie poniżej kwitły bzy, których nieskazitelną woń niósł wiatr wpadający do pomieszczenia i poruszający papierami na biurku władcy.

Zdawało się, że drwi z Chalida.

Kalif zamknął oczy. Pod powiekami ujrzał lśniące czarne warkocze na udekorowanym klejnotami jedwabiu i obserwujące go, przymknięte piwne oczy. Chalid zatrzasnął okiennice, ale ku jego rozczarowaniu aromat jasnofioletowych kwiatów pozostał.

Dżalal zauważył rozdrażnienie króla.

– Więc teraz odczuwasz wstręt do słońca i kwiatów?

– Jednego szczególnego kwiatu.

– A co zrobił ci ten kwiat?

Chalid milczał, a Dżalal otworzył szerzej oczy, gdy to do niego dotarło.

– Każ ogrodnikowi go wyciąć – zasugerował po chwili kapitan, opierając się na poduszce.

– Nie.

Uśmiechając się pod nosem, Dżalal splótł palce na brzuchu i spojrział na wyłożoną mozaiką alkowę.

– Chalidzie?

– Wciąż tu jesteś?

– Czekam, aż mi się zwierzysz.

Chalid obrócił ku niemu głowę i westchnął sfrustrowany.

– Mogę czekać cały dzień. Jak radośnie zauważyłeś, zamieszki w mieście ustały... w tej chwili. – Dżalal skrzyżował nogi w kostkach.

– Dobrze. Więc to ja wyjdę. – Chalid podszedł do drzwi i pchnął oba skrzydła.

Dżalal podążył za nim niczym cień. Kiedy zaczął gwizdać, unosząc głowę w kierunku kopulastego sufitu z agatu, o niebieskich smugach, Chalid zagryzł zęby.

– Dzielimy tę samą krew, *sajjidi*. Jestem równie uparty jak ty. Wypadałoby, żebyś mi zaufał, bo prędzej czy później będziesz zmuszony pozbyć się mojej uciążliwej obecności.

Przeszli jeszcze kilka kroków wypolerowanym korytarzem, aż Chalid spiorunował Dżalala wzrokiem.

– Salim... za dwa tygodnie, wracając do Amardhy, pragnie odwiedzić Rej.

Dżalal zamarł w pół kroku.

– Ten... *dżakesz*? – zaklął. – Dlaczego?

– To chyba oczywiste.

– Dla ciebie. Będziesz uprzejmy wyjaśnić?

– Szahrzad.

Dżalal milczał przez chwilę, po czym parsknął śmiechem z wyraźną pogardą.

– Oczywiście. *Dżakesz* z Partii chce poznać nową kalifę Chorasanu.

– I niewątpliwie przywiezie ze sobą Jasmine.

– *Marg-bahr* Salim Ali el-Szarif. – Dżalal przeciągnął palcem po szyi na znak ostrzeżenia przed przybywającym gościem. – Co zamierzasz zrobić?

– Twój ojciec uważa, że powinienem na czas pobytu Salima odesłać stąd Szahrzad.

Dżalal parsknął.

– Nie zgadzasz się? – zapytał kalif.



– Oczywiście, że się z nim nie zgadzam.

Chalid się zatrzymał.

– Dlaczego?

Dżalal odwrócił się twarzą do niego.

– Ponieważ jeśli ten *dżakesz* chce zobaczyć przyszłość Chorasanu, nie sądzę, by było cokolwiek lepszego niż ty z Szahrzad al-Chajzuran. Kobieta, która rozbudza w tobie siłę. Prawdziwą kwintesencją tego wszystkiego.

Chalid przyglądał się rozgorączkowanemu wyrazowi twarzy kapitana.

– Wygląda na to, że jesteś całkowicie tego pewien.

– Jestem pewien. I ty też powinienesz być, *sajjidi*. Wierz mi. I zaufaj temu.

– Kwintesencji wszystkiego? – Na twarzy Chalida odmalowało się gorzkie rozbawienie.

– Tak. Zaufaj jej i sobie.

– Dwóm osobom, na których nie można polegać.

– Nie zgodzę się. Szahrzad jest wyjątkowo niezawodną dziewczyną. Zarówno zuchwałą i nieprzewidywalną, jak i wytrwałą w swoich dążeniach. Ty zaś jesteś kapryśny i raczej ponury, lecz zawsze byłeś przy tym wiarygodny.

– Dżalal się uśmiechnął.

– Zatem radzisz, bym rzucił Szazi wilkom na pożarcie?

– Szazi? – Uśmiech Dżalala znacznie się powiększył. – Prawdę mówiąc, szkoda mi wilków.

– Chociaż raz mógłbyś być poważny.

– Jestem. Właściwie posunąłbym się nawet o krok dalej. Zaproś do Reju dowódców wojskowych i każdego emira. Pokaż im, że nie jesteś swoim ojcem. Że nie jesteś taki, jak głoszą ostatnie plotki. Że jesteś władcą godnym ich uwielbienia... a twoja królowa pełna jest ognia i obietnic.

Kąciki ust Chalida uniosły się, choć bardzo nieznacznie.

– Boże. Czy ty się uśmiechasz, Chalid-*dżanie*? – droczył się Dżalal, niedowierzając.

– Być może.

Dwóch młodych mężczyzn ruszyło korytarzem, aż dotarło do głównego przejścia, gdzie dołączyła do nich stała świta strażników. Gdy wyszli na otwarty krużganek, Chalid zatrzymał się nagle, jego twarz spochmurniała na widok, który miał przed sobą.

Szahrzad podchodziła do drzwi wiodących do ogrodów, Despina szła tuż obok niej, a radżput za nimi.

Kiedy spostrzegła Chalida, królowa zatrzymała się, obróciła, po czym ruszyła w jego stronę.

Zachwycała go jak zwykle swoim naturalnym pięknem i skromną gracją. Hebanowe, połyskujące pukle włosów falowały za nią, a jej szpiczasty podbródek uniesiony był z dumą, gdy z góry padały na jej twarz promienie słońca. Złota nić kaftana harmonizowała z ciemnym szmaragdem jedwabiu pod spodem. W niezliczonych kolorach jej oczu Chalid dostrzegł połączenie powściągliwości i buntu, które zawsze były tam obecne.

Jednak w tej chwili było w nich coś jeszcze. Nowe uczucie, którego nie potrafił nazwać.

Bliska obecność radżputa sprawiła, że Szahrzad zmarszczyła nos, a moc tego prostego gestu przyciągnęła Chalida do niej niczym słodycz wina i dźwięk promiennego śmiechu.

Kiedy podeszła bliżej, kalifa dosięgło wspomnienie wczorajszej nocy.

Gdy trzymał ją w ramionach. Gdy jej włosy pachniały bzem.

Gdy zatracił się w jej ustach, zapominając o wszystkim innym.

Gdy jego silna wola... zdawała się kruszyć.

„Powiedz mi”.

„Wszystko”.

Otworzyła usta, by coś powiedzieć, ale dziwny wyraz niepewności odmienił jej piękną twarz...

Chalid przeszedł obok, nie poświęcając jej nawet jednego spojrzenia.

Działal bez słowa poszedł za nim. Kiedy już nikt nie mógł ich usłyszeć, złapał kuzyna za ramię.

– Dokąd idziesz?

Chalid odtrącił jego rękę.

– Chalidzie!

Z buntowniczym spojrzeniem kalif nieprzerwanie kroczył korytarzem.

– Zgłupiałeś? – zastanawiał się Działal. – Nie zauważyłeś jej miny? Zraniłeś ją!

Chalid odwrócił się i chwycił z przodu *kamiz* Działala.

– Już raz ci powiedziałem, kapitanie al-Chouri: nie będę z tobą o niej rozmawiał!

– Do diabła z tym, *sajjidi*! Jeśli nadal będziesz podążał tą drogą, nie będzie o czym rozmawiać. Jeszcze się tego nie nauczyłeś, kuzynie?

Działal przysunął się do Chalida, z jego brązowych oczu biła ledwie

skrywana zimna furia.

– Ava to za mało? – szepnął okrutnym tonem.

Na te słowa Chalid odepchnął Dżalala i uderzył go w twarz. Strażnicy rzucili się w jego stronę, gdy kapitan osunął się na marmurową posadzkę i otarł krew z dolnej wargi, patrząc szyderczo na władcę.

– Zejdź mi z oczu, Dżalalu! – zagrzemiał Chalid.

– Niejednokrotnie mądry starzec, choć czasami maleńki chłopiec.

– Nic o mnie nie wiesz.

– Wiem niewiele, a mimo to więcej niż ty sam, Chalid-*dżanie*. Wiem, że miłość jest krucha. A miłość do kogoś takiego jak ty jest prawie niemożliwa. To jak trzymanie czegoś wąskiego podczas szalejącej burzy piaskowej. Jeśli chcesz, by cię kochała, ochroń ją przed burzą... – Dżalal wstał, poprawił insygnia straży pałacowej na swoich ramionach. – I upewnij się, że tą burzą nie jesteś ty sam.

## MEHRDAD SINOBRODY



Tego wieczoru Szahrzad chodziła w kółko przed swoim łóżem, wydeptując pod stopami ścieżkę w zimnym, białym kamieniu. Każdy jej krok był walką pomiędzy gniewem a niechęcią, bólem a rozdrażnieniem.

Pomiędzy głębokim cierpieniem, że Chalid tak ją zlekceważył, a czystą wściekłością, że tyle to dla niej znaczyło.

*Jak on śmiał mi to zrobić?*

Wydłużyła krok, przerzucając włosy za ramię. Nie zadała sobie nawet trudu, by zmienić ubranie, które miała na sobie tego dnia. Jej kaftan leżał na podłodze jak zapomniany kłęb adamaszku. Szmaragdowe szarawary i dopasowany do nich kolorystycznie top nie były tak wygodne, jak strój do spania i *szamla*, lecz nie powinno jej to teraz martwić. Szahrzad zdarła łańcuszek z zielonymi klejnotami z czoła i cisnęła nim przez komnatę. Pasma jej włosów wplątały się w kamienie, więc zaklęła z powodu bólu wywołanego przez własną głupotę, nim opadła zirytowana i nieszczęśliwa na marmurową posadzkę.

*Dlaczego mnie tak potraktował? Nie musiał mnie ranić.*

*A ja nie... Ja też nie chciałam go krzywdzić.*

Przez cały dzień skrywała te myśli przed Despiną. Ukrywała swoje obawy przed światem. Jednak teraz, gdy znajdowała się w zamkniętej sypialni, nie mogła ich dłużej od siebie odsuwać. Poza bólem wywołanym potraktowaniem jej w tak zimny sposób na oczach wszystkich gapiów dokuczała jej prawda, że zrobił to dlatego, iż poczuł się zdradzony. Zraniony jej zachowaniem ubiegłej nocy.

Nie wiedziała, jak to naprawić i wrócić do jego łask.

Dzisiaj próbowała. Chciała go przeprosić. Chciała mu wyznać, że nie miała zamiaru wykorzystywać sytuacji. Jednak, oceniając to z perspektywy czasu, wyszło gorzej, niż zamierzała.

Musiał sądzić, że to ona miała kontrolę.

Szahrzad roześmiała się gorzko pod nosem, opierając czoło na zielonym jedwabiu, który okrywał jej kolana.

*Kontrolę?*

Już sama myśl o tym była absurdalna. Jak mógł nie wiedzieć? A teraz karał ją za to. Niczym rozzłoszczony chłopczyk, zabierający zabawkę.

*Jak śmie?*

Na oczach Despiny. Na oczach Dżalala. Zawstydził ją.

Potraktował, jakby była niczym.

Jakby zasługiwała na jedwabny sznur o świcie.

Gardło zapiekło ją na to wspomnienie.

*Sziwa.*

– Jak śmiesz?! – jęknęła w ciemność.

Jednak oboje mogli grać w tę grę. Ona również mogła się na niego złościć niczym dziecko pozbawione słodyczy. Być może wtedy nie czułaby się tak nieszczęśliwa i samotna, jak przez cały dzisiejszy dzień. Tak załamana.

Tak w nim zatracona.

Wstała i poprawiła cienki łańcuszek wokół swojej talii. Pośrodku zwisały szmaragdy i diamenty tworzące komplet z naszyjnikiem, który miała na sobie, i bransoletą na jej lewym nadgarstku. Potrząsnęła głową i podeszła do niskiego stołu znajdującego się w rogu pomieszczenia.

Uniosła pokrywę z tacy. Zjadła trochę ryżu i kurczaka z szafranem. Podjadając chłodny jogurt ze świeżymi ziołami, piła herbatę i skubała ciasto pistacjowe słodzone miodem. Wszystko było zimne, żuła więc bardziej z konieczności niż przyjemności, wiedziała bowiem, że będzie żałowała, jeśli położy się spać głodna i wściekła.

Gdy była już w połowie tego niezbyt smacznego posiłku, drzwi do jej komnaty rozwarły się nagle.

Szahrzad przestała jeść, ale się nie odwróciła. Po chwili znów powróciła do jedzenia. Nalała sobie kolejną filiżankę ciepłej herbaty, udając przy tym obojętność.

Ponownie poczuła za sobą jego obecność. Tę samą zmianę w powietrzu.

Tę samą irytującą aurę.

Precyzyjnie oderwała kawałek placka chlebowego.

– Szahrzad?

Zignorowała go, choć jej serce domagało się zgoła czegoś innego.

Chalid przeszedł na drugą stronę stołu, gdzie bezgłośnie i zgrabnie zajął

miejsce na siedzisku.

Mimo to Szahrzad nie podniosła wzroku. Skubała płaty chlebowe na małe kawałeczki, dorzucając je do rosnącej przed nią kupki.

– Szazi.

– Nie.

Kalif trwał nieruchomo, oczekując wyjaśnień.

– Nie udawaj.

– Nie udaję – odparł cicho.

Szahrzad rzuciła na stół chleb i z powagą spojrzała w oczy kalifa, które otaczały głębokie cienie zmęczenia. Zaciskał usta, a jego sylwetka była spięta.

*Nie wygląda, jakby żałował, że mnie zranił.*

Coś zakłuło Szahrzad w pierś, tuż obok serca.

*Ale będzie tak wyglądał.*

– Szahrzad...

– Nie podobało ci się kiedyś, że postacie z moich opowieści tak bardzo cenią miłość.

Chalid milczał, przyglądając się jej przenikliwie.

– Dlaczego? – ciągnęła. – Skąd wynika twoja niechęć do uczuć?

Władca omiótł spojrzeniem jej twarz, nim udzielił odpowiedzi:

– To nie jest niechęć. To tylko spostrzeżenie. Według mnie to słowo jest nadużywane. Odnoszę je więc raczej do rzeczy niż do ludzi.

– Słucham?

Chalid westchnął ostrożnie.

– Ludzie zakochują się w sobie i odkochują od wschodu do zachodu słońca. Podobnie jak dzieci, które jednego dnia uwielbiają zielony kolor, by nazajutrz odkryć, że jednak wolą niebieski.

Szahrzad parsknęła śmiechem, a dźwięk ten był niczym sok cytryny wylany na jej rany.

– Zatem planujesz spędzić życie, nie kochając nikogo? Tylko... rzeczy?

– Nie. Szukam czegoś więcej.

– Więcej niż miłość?

– Tak.

– Czy to nie arogancja sądzić, że zasługujesz na coś więcej, Chalidzie Ibn al-Raszidzie?

– Czy to arogancja pragnąć czegoś, co nie zmieni się pod wpływem wiatru? Co nie załamie się pod naporem pierwszej przeciwności losu?

– Pragniesz czegoś, co nie istnieje. Co jest wytworem twojej wyobraźni.

– Nie. Pragnę kogoś, kto mnie zgłębi, kto mnie zrównoważy. Kto dotrzyma mi kroku.

– A jeśli już znajdziesz tę nieistniejącą osobę, skąd będziesz wiedział, że to właśnie ta? – zapytała Szahrzad.

– Spodziewam się, że będzie to dla mnie jak powietrze. Jak naturalna umiejętność oddychania. – Wypowiadając te słowa, przyglądał jej się intensywnie niczym jastrząb.

Szahrzad zaschło nagle w gardle.

– Poezja – szepnęła. – Nie rzeczywistość.

– Matka mawiała, że człowiekowi, który nie potrafi docenić poezji, brakuje duszy.

– W tej kwestii jestem skłonna się zgodzić.

– Miała na myśli mojego ojca – dodał oschle. – Najbardziej bezdusznego mężczyznę, jaki istniał. Powiedziano mi, że bardzo go przypominam.

Szahrzad wpatrywała się w kupkę chleba przed sobą.

*Nie będę ci współczuła. Nie zasługujesz na moją litość.*

Chroniąc się przed wzbierającymi emocjami, zdecydowana na odpowiedź, uniosła głowę.

– Ja...

– Zraniłem cię dzisiaj – powiedział cicho, głosem kojącym jak woda, która studzi rozpaloną stal.

– To nie ma znaczenia. – Zarumieniła się.

– Dla mnie ma.

Wypuściła powietrze zirytowana.

– Więc nie powinieneś tego robić.

– Tak.

Szahrzad patrzyła na jego profil jak ze szkła. Nawet teraz na tej przystojnej twarzy nie było żadnych oznak, że zadany przez nią ból dotknął go w jakikolwiek sposób.

Chłopiec z lodu i kamienia...

Który wyrzucił jej serce na skalisty brzeg i odszedł, nie poświęcając mu ani jednego spojrzenia.

*Nie dam mu wygrać. Dla Sziwy.*

*Dla siebie.*

*Poznam prawdę. Nawet jeśli będę musiała go zniszczyć, by ją od niego*

wydobyć.

– Skończyłeś? – zapytała pod nosem.

Milczał przez chwilę.

– Tak.

– Mam dla ciebie historię.

– Nową?

Przytaknęła.

– Chcesz ją poznać?

Chalid odetchnął powoli, po czym oparł łokieć na poduszce.

Szahrzad wzięła kolejny łyk herbaty z kardamonem i oparła się plecami o siedzisko pokryte jedwabiem.

– Żyła sobie kiedyś dziewczyna o imieniu Tala. Była córką bogacza, który stracił cały majątek w wyniku błędnych decyzji po tragicznej śmierci ukochanej żony. Pograżony w smutku ojciec znalazł ukojenie w muzyce i malarstwie. Często spędzał długie godziny z ulubionym *santurem* lub pędzlem w dłoni.

Szahrzad odgarnęła ciemny pukiel włosów z twarzy.

– Początkowo Tala próbowała zrozumieć jego potrzebę odwrócenia uwagi od złamanego serca. Jednak nie mogła długo tego ignorować, ponieważ miało to wpływ na całą ich rodzinę. Mimo że bardzo kochała ojca i każdą cząstką swojego jestestwa wierzyła w jego dobroć, wiedziała, że ten nie zapewni im dostatniego życia. Nie mogła ufać, że mężczyzna zaopiekuje się nią i jej młodszym bratem.

Chalid zmarszczył czoło, słysząc ponurą historię opowiadaną przez Szahrzad.

– Tala zaczęła więc szukać sobie męża. Wiedziała, że nie może spodziewać się wspaniałego kandydata, zważywszy na niekorzystną sytuację jej rodziny. Jednak niedługo potem usłyszała, że bogaty kupiec poszukuje oblubienicy. Był dużo starszy i wcześniej kilkakrotnie żonaty, ale nikt nie wiedział, co stało się z jego poprzednimi żonami. To sprawiło, że młoda kobieta wolała być w stosunku do niego ostrożna. Ponadto miał długą kruczoczną brodę... Była tak czarna, że w świetle niepokojąco połyskiwała na niebiesko. Mężczyzna zawdzięczał jej swój nieszczęsny pseudonim. Znany był bowiem jako Mehrdad Sinobrody.

Szahrzad usiadła prosto i zdjęła z szyi szmaragdowy naszyjnik. Położyła go obok srebrnego dzbanka z herbatą. Chalid obserwował ją w milczeniu.



– Pomimo obaw Tala zaaranżowała spotkanie z Mehrdadem. Miała szesnaście lat i była ładna, inteligentna i pełna życia. Mehrdad cieszył się, mimo że dziewczyna prócz siebie nie mogła wiele zaoferować. Chciała jedynie, by ten zadbał o jej rodzinę. Mężczyzna zgodził się bez wahania, więc szybko doszło do ślubu. Tala opuściła dom rodzinny i przeniosła się do imponującej, otoczonej murem rezydencji po drugiej stronie miasta. Na początku wszystko przebiegało dobrze, wręcz idealnie. Mehrdad był szanującym i dobrym mężem. Wydawał się zadowolony z młodej małżonki. Umożliwił jej dostęp do wielu pomieszczeń i obsypał ją prezentami. Dostała biżuterię, szaty, perfumy oraz przeróżne cudowne – kunsztowne przedmioty, tworzone z artyzmem. O ich oglądaniu Tala mogła wcześniej jedynie marzyć, a co dopiero o posiadaniu.

Szahrzad spojrzała Chalidowi w oczy, zaciskając palce na jedwabnym materiale szarawarów.

– Po jakimś czasie Mehrdad zaplanował służbową podróż. Wręczył Tali pęk kluczy do ich domu. Nakazał dbać o rezydencję podczas swojej nieobecności i zlecił codzienne obowiązki. Tala miała prawo przebywać w każdym miejscu. Za wyjątkiem jednego, jedyne. Sinobrody odnalazł w pęku kluczy najmniejszy z nich i pokazał go żonie. Powiedział, że to klucz do jednego z pomieszczeń w piwnicy, i przestrzegł, by pod żadnym pozorem tam nie wchodziła. Kazał jej przyrzec pod groźbą śmierci, że nie złamie danego słowa. Tala obiecała, że nie zbliży się do pomieszczenia, rozumiejąc powagę sytuacji. Po wyjaśnieniach męża otrzymała od niego klucze, a ten wyjechał, obiecując wrócić za miesiąc.

Szahrzad dopiła resztki zimnej herbaty z dna szklanej filiżanki. Były słodkie, zmieszane z nierozpuszczonym do końca cukrem. Wirowały w jej ustach, na zmianę dając gorzyc kardamonu i słodycz kryształków.

Ręka drżała jej ze zdenerwowania, gdy odstawiała małą filiżankę.

– Przez pewien czas Tala rozkoszowała się wolnością w tak okazałym domu. Służący traktowali ją z szacunkiem, a ona częstowała przyjaciół i rodzinę wspaniałymi potrawami, które przygotowywane były ze smakiem i podawane pod rozgwieżdżonym niebem. Każdy pokój w domu męża zdążył ją oczarować. Podczas swych podróży mężczyzna zgromadził piękne i zachwycające rzeczy, które kierowały jej wyobraźnię ku nowym światom. Mimo to z każdym mijającym dniem pomieszczenie w piwnicy... niepokoiło ją coraz bardziej. Przyciągało. Wołało do niej.

Chalid przesunął się, rysy jego twarzy stężały.

– Wbrew ostrzeżeniom zdrowego rozsądku pewnego dnia udała się na dół. Zarzekała się, że wewnątrz słyszy czyjś głos i płacz. Próbowwała go ignorować, ale głos odezwał się ponownie: „Tala!”. Serce dziewczyny zabiło mocniej. Sięgnęła po pęk kluczy, lecz w porę przypomniała sobie słowa męża i pobiegła schodami na górę. Tej nocy nie mogła spać. Następnego dnia znów zeszła do piwnicy. Ponownie usłyszała głos dobiegający z pomieszczenia. Głos łkał: „Tala, proszę!”. Tym razem nie miała wątpliwości. Był to płacz młodej dziewczyny. Tala nie potrafiła go zignorować. Sięgnęła do kluczy, które miała przy pasie, lecz te upadły do jej stóp na kamienną posadzkę. Gdy w końcu odnalazła ten właściwy, palce drżały jej tak mocno, że nie była w stanie wsunąć go do zamka.

Szahrzad przełknęła ślinę w palącym gardle. Chalid bacznie się jej przyglądał. Każdy jego mięsień napinał się tym mocniej, im bardziej w młodzieńcu rosła świadomość.

*„Twój mąż nie jest wyrozumiałym człowiekiem”.*

Jej serce zabiło mocniej, jednak Szahrzad postanowiła ciągnąć opowieść. Bez względu na konsekwencje.

*Nie będziesz traktował mnie w taki sposób. Nie wyrzucisz mojego serca na brzeg.*

*I nie odejdziesz.*

– Zamek zazgrzytał tak głośno, że Tala mało nie wyskoczyła ze skóry... Jednak otworzyła drzwi i weszła w ciemność. Poczwała zapach. Żelaza i starego metalu, jakby zardzewiałej szabli. Piwnica była ciepła i wilgotna. Dziewczyna poślizgnęła się na czymś, a do jej nozdrzy dotarł swąd zgnilizny i rozkładu.

– Szahrzad – ostrzegł cicho Chalid.

Szahrzad ciągnęła, nie zważając na niego:

– Gdy wzrok Tali przywykł do mroku, spojrzała w dół. Zobaczyła, że stoi we krwi, zaś wokół niej wiszą... ciała. Zwłoki młodych kobiet. Były to żony...

– Szahrzad!

Puls Szahrzad dudnił jej w uszach, gdy Chalid poderwał się z miejsca. Na jego twarzy malowała się bolesna furia. Stał nad nią, ciężko dysząc. Następnie odwrócił się do drzwi.

*Nie!*

Szahrzad pobiegła za Chalidem, starając się nadążyć za jego długimi krokami. Kiedy sięgnął do klamki, rzuciła się na niego i objęła go w pasie.

– Proszę! – załkała.

Nie odpowiedział.

Przytuliła policzek do jego pleców. Łzy same zaczęły płynąć, zawstydzające i nieproszone.

– Daj mi klucz – wydyszała. – Pozwól zobaczyć, co jest za drzwiami. Nie jesteś Mehrdadem. Pokaż mi.

Kiedy złapał ją za ręce, by się od niej uwolnić, zacisnęła je jeszcze mocniej, nie chcąc go puścić.

– Daj mi klucz, Chalid-*dżanie*. – Jej głos się załamał.

Poczuła, jak jego ciało zeszytywniało, gdy użyła tego pieszczotliwego określenia. Po trwającym w nieskończoność milczeniu Chalid odetchnął i przygarbił się pokonany.

Szahrzad przesunęła dłonie na jego pierś.

– Zraniłaś mnie wczoraj, Szahrzad – powiedział cicho.

– Wiem.

– Bardzo.

Skinęła głową.

– Mimo to do tej pory nic o tym nawet nie wspomniałaś – ciągnął.

– Chciałam. Pragnęłam. Ale byłeś taki niedostępny.

– Istnieje wielka różnica pomiędzy pragnieniem a spełnieniem.

Ponownie przytaknęła.

Westchnął i obrócił się w jej ramionach, by na nią spojrzeć.

– Masz rację. Byłem niedostępny.

Objął jej twarz i otarł łzy.

– Przepraszam, że cię zraniłam – powiedziała z błyszczącymi oczami.

Chalid przesunął dłoń na jej kark i oparł podbródek na czubku jej głowy.

– Ja także, *dżanam* – szepnął. – Bardzo przepraszam.

## RZUT KOŚCIĄ



Jahandar stał w cieniu marmurowego westybulu Talekan z kciukami wsuniętymi za pomarszczoną *tikkę*. Obserwował Rahima al-Din Walada, który zsiadł ze swego lśniącego achal-tekińskiego konia i skinął głową kilku mężczyznom niosącym kosze zboża w kierunku kuchni. Pracownicy odpowiedzieli uśmiechem i wymienili uprzejmości z młodym szlachcicem, zanim oddalili się w swoją stronę.

Kiedy tylko Rahim odwrócił się, by odejść, Jahandar wyszedł zza polerowanego kamiennego filaru i udał się za nim.

– Rahim-*dżanie!* – Jahandar zakaszłał z jękiem.

Rahim się cofnął.

– Jahandar-*efendi*. Dobrze cię widzieć.

– Tak? – Starszy mężczyzna posłał mu słaby uśmiech. – Dziękuję, że nie mówisz tego, co o mnie myślisz.

Rahim zmusił się do cierpliwego uśmiechu.

– Pewnie nie jest ci łatwo.

– Nie jest. Jednak trzymam się o wiele lepiej.

Rahim przytaknął.

– Cieszę się, że to słyszę. Jestem pewien, że Irsa również ma się dobrze.

Jahandar ponownie odchrząknął i szybko odwrócił wzrok.

W oczach Rahima pojawił się nagle chłód.

– Odkąd przyjechaliście z Reju, Irsa większość dni spędza w kącie za fontanną, malując lub czytając. Jestem pewien, że to księga, którą jej dałeś.

– Oczywiście. Księga herbaty – zauważył z roztargnieniem Jahandar.

Rahim skłonił głowę w krótkim geście. Kiedy ponownie ruszył w kierunku westybulu, Jahandar uniósł rękę, by go zatrzymać.

– Dlaczego masz poparzone dłonie? – zapytał zaniepokojony Rahim, spoglądając na pokryte pęcherzami palce mężczyzny.

Jahandar pokręcił głową i machnięciem ręki zbył troskę młodzieńca jak

natrętnego komara.

– Tłumacząc teksty, potrąciłem lampę. Nie przejmuj się, Rahim-*dżanie*. Przygotowałem już sobie maść.

Rahim się skrzywił.

– Proszę, bądź ostrożny, Jahandar-*efendi*. Szazi mnie udusi, jeśli coś ci się stanie podczas pobytu w Talekan. A jeśli Szahrzad będzie niezadowolona, Tarik wpadnie we wściekłość. Radzenie sobie z potworami ich pokroju znajduje się bardzo nisko na liście spraw, z których mogę się cieszyć. Podobnie jak skorpiony i ruchome piaski.

Jahandar westchnął z bólem, przestępując z nogi na nogę.

– Musisz uważać mnie za żalosego ojca, prawda?

– Kochasz swoje dzieci. To oczywiste. Jednak nie mogę mówić, co to znaczy być dobrym ojcem.

– Ty zawsze byłeś dobry, Rahim-*dżanie*. Byłeś wspaniałym przyjacielem Tarika i mojej Szahrzad. – Jahandar przyglądał się młodzieńcowi ze szczególną uwagą.

Rahim się zmieszał, co można było zauważyć na jego twarzy.

– Dziękuję.

Pomiędzy mężczyznami zapadła niezręczna cisza.

Jahandar wiedział, że nadszedł czas, by działać. Był to moment nowej próby. Takiej, której zawsze się obawiał, nawet gdy był chłopcem. Opanował nagłą potrzebę wycofania się w bezpieczny cień. Ta ostatnia chwila słabości przypominała, że nie jest wojownikiem.

Był po prostu starcem, który posiadał księgę.

Jahandar zacisnął usta pod przerzedzoną brodą.

– Wiem, że nie mam prawa nikogo o nic prosić, ale jako ojciec nie mam wyboru, Rahimie al-Din Waladzie.

Rahim czekał, biorąc ostrożny wdech.

– Wiem, że Tarik opuścił Talekan ze względu na Szahrzad – ciągnął. – Nie ma sposobu, bym dowiedział się, co planuje. Jednak nie zamierzam siedzieć w ciemnym pokoju, gdy inni walczą o bezpieczeństwo mojego dziecka. Już na początku nie zrobiłem tego, co powinien zrobić ojciec. Nie powstrzymałem jej. Mimo to uwierz mi, że teraz zrobię wszystko, co będzie konieczne. Nie potrafię walczyć tak jak ty. Nie jestem tak silny i nieustraszony. Nie jestem jak Tarik. Lecz wciąż jestem ojcem Szahrzad i zrobiłbym dla niej wszystko. Proszę, nie lekceważ mnie. Błagam, pozwól mi uczestniczyć w waszych

planach. Znajdź w nich miejsce dla mnie.

Rahim wysłuchał Jahandara w milczeniu.

– Przykro mi, ale nie do mnie należy decyzja, Jahandar-*efendi*.

– Ro... rozumiem.

– Ale gdy nadejdzie czas, zabiorę cię do Tarika.

Jahandar skinął głową, a w jego oczach pojawił się osobliwy błysk.

– Dziękuję. Dziękuję ci, Rahim-*dżanie*.

Tym razem uśmiech chłopaka był szczery. Młodzieniec położył rękę na ramieniu starszego mężczyzny. Następnie skłonił głowę i uniósł palce do czoła.

Jahandar stał w łukowym wejściu na krużganek, zadowolony ze swojego sukcesu – zdał test.

Spojrzał na swoje dłonie. Na bliznach po pęcherzach tworzyły się nowe, które piekły przy najmniejszym dotyku. Niosły obietnicę przyszłego bólu. Jego skóra była twarda, ze strupami przy paznokciach, nie mógł dłużej ukrywać w rękawach swych obrażeń.

Nadszedł czas.

Jahandar spojrział przez dziedziniec w kierunku wejścia do kuchni.

Zwykły zajac nie wystarczy. Nie tym razem.

Potrzebował czegoś więcej.

Ciągle więcej.

## SOKÓŁ I TYGRYS



Szahrzad stała przy marmurowej balustradzie swojego tarasu, przyglądając się wodnym sadzawkom znajdującym się poniżej. Południowe słońce odbijało się od ich lśniącej powierzchni, która marszczyła się przy każdym podmuchu wiatru.

Jednak nie to stanowiło przedmiot zainteresowania dziewczyny.

Przybywający goście byli o wiele bardziej interesujący.

Przed jej oczami ukazała się istna mozaika cudów.

Na dziedziniec wjechał zdenerwowany młodzieniec wraz z otaczającą go świtą. Wręcz nie mógł się on doczekać, by coś z siebie zdjąć. W pierwszej kolejności ściągnął jeden skórzany karwasz. Następnie drugi. Po nich *ridę*. Wreszcie buty, które pospiesznie zastąpione zostały nowymi sandałami. Każdy ze sług odnosił szaty w skrupulatnie przemyślanej kolejności, nim młodzieniec odważył się zsiąść ze swego wierzchowca.

Inny przybysz, tak szeroki, że zmieściłby w sobie trzech mężczyzn, kołysał się na grzbiecie słonia z zakrzywionymi kłami, którego szare cielsko sunęło po granitowych płytach. Mężczyzna miał natarte olejem wąsy z podkreślonymi końcami, które drgały przy najmniejszym ruchu, zaś na każdym z jego palców tkwił ogromny pierścień, każdy z innym kamieniem, który połyskiwał w promieniach słońca.

Szahrzad oparła podbródek na dłoni i stłumiła chichot.

Kolejny nieznajomy przegalopował przez bramę na stworzeniu, którego Szahrzad nigdy wcześniej nie widziała. Istota wielkością i budową przypominała konia, lecz jej sierść pokrywał przedziwny wzór czarno-białych pasów. Zwierzę zadudniło kopytami i parsknęło, rzucając głową na boki. Gdy tylko Szahrzad to zobaczyła, przywołała do siebie Despinę.

Służąca pokręciła głową, stając u boku Szahrzad.

– Naprawdę nie powinnaś tu przebywać.

– Dlaczego nie? – Szahrzad lekceważąco machnęła ręką. – To całkowicie

bezpieczne. Cała broń zwrócona jest ku pałacowej bramie.

– Chciałabym, byś zrozumiała. Nie jesteś skowronkiem przyglądającym się barwnemu przedstawieniu. Jesteś ich królową.

– Przybyli tutaj z powodu tego nieszczęsnego sułtana Partii, a nie dla mnie. – Szahrzad wychyliła się za balustradę. – Despino, widziałaś tego głupca na wielbłądzie? Tego z mosiężnymi dzwonkami i palcem w nosie?

Despina spochmurniała.

Szahrzad zignorowała jednak zmarszczki na czole służki.

Zrobiła to, ponieważ potrzebowała chwili beztroski. Pragnęła, by choć na moment pojawiła się błoga niedbałość, a ona jako królowa nie musiała stawiać czoła rzeczywistości w pałacu z polerowanego marmuru, z błyszczącymi klejnotami na dekolcie i lśniąca kałużą wody u stóp.

W małżeństwie, w którym stale rosło napięcie.

Z mężem, który nie pragnął jej dotknąć. Nie ryzykował bliskości, nie chcąc wyjawiać swoich tajemnic.

Szahrzad zacisnęła usta.

Odkąd pamiętnego wieczoru dwa tygodnie temu opowiedziała historię Tali i Mehrdada, Chalid przychodził do niej na kolację i słuchał nowych opowieści. Siadał w oddali, rozmawiając sztywno, rzucając co jakiś czas uwagi na temat swoich przemyśleń.

Następnie wychodził, by pojawić się kolejnego zmierzchu.

„*Twój mąż nie jest wyrozumiałym człowiekiem*”.

Szahrzad chwyciła kamienną balustradę obiema rękami, aż z jej palców pociekła krew.

– A kim w ogóle są ci wszyscy głupcy? – Próbowwała uśmiechnąć się do Despiny.

Służka wyduła wargi.

– Większość z nich to dowódcy wojsk kalifa. Do każdego emira w Chorasanie zostało wysłane ogólne zaproszenie.

Powietrze utknęło Szahrzad w gardle. Odwróciła się od balustrady i spojrzała na służącą.

– Co? – szepnęła.

Despina przechyliła głowę na bok.

– Mówiłam. Nie słuchałaś. To przyjęcie nie jest zorganizowane jedynie na cześć sułtana Partii. Kalif chce przedstawić cię jako królową. Zaprosił każdego szlachcica w królestwie, by wziął udział w tej uroczystości. Aby



wszyscy mogli cię poznać.

Żołądek Szahrzad ścisnął się w panice na supeł.

*Tarik nie przyjedzie. Jest szlachcicem, ale nie jest emirem. Jeszcze nie.*

*Nie ośmieliłby się.*

Szahrzad przestała słuchać wywodu Despiny.

Usłyszała nad sobą znajomy pisk.

Zacisnęła dłonie w pięści i wróciła do balustrady, błagając niebios, by...

*Nie.*

Przy akompaniamencie stuku kopyt ciemnego konia *al-Chamsa* pojawiła się jej pierwsza miłość.

Tarik Imran al-Zijad.

– Rany... – szepnęła Despina.

Nawet gdyby Tarik w tej chwili nie wstrzymał ogiera i nie gwizdnął w stronę nieba, wciąż zwracałby na siebie uwagę. Zakurzony i przemęczony prezentował się równie imponująco. Miał szerokie ramiona, skórę, na której zostawiło ślad słońce pustyni, i srebrne oczy koloru popiołu. Był młodzieńcem, który sprawiał, że odwracano za nim głowy, choć tego nie zauważał. Cień zarostu na jego policzkach podkreślał rysy twarzy, wykute ręką mistrza jak rzeźby w kamieniu.

Gdy Zoraja spadła z nieba i wylądowała na wyciągniętej ręce odzianej w karwasz, Tarik spojrział w górę.

Dostrzegł Szahrzad.

Jego spojrzenie było jak dotyk.

Serce Szahrzad puściło się galopem. Opanował ją strach.

Jednak był on nieporównywalny do paniki, która ją ogarnęła i która sprawiła, że dziewczyna krzyczała bezgłośnie w duchu na widok, jaki ukazał się teraz jej oczom...

Na dziedziniec wjechał Chalid na grzbiecie swego czarnego araba...

I zatrzymał się niedaleko jej pierwszej miłości.



Szahrzad zeszła z tarasu.

Tak było lepiej.

Choć Tarik miał ochotę upajać się jej widokiem, nie był to czas na kontemplację, nawet tak miłej dla oka postaci.

Właśnie pojawił się jego cel.

Chalid Ibn al-Raszid.

Morderca Sziwy. Mąż Szahrzad.

Tarik zacisnął wolną dłoń na lejcach.

Potwór przejechał obok niego na wspianym czarnym arabie. Powiewała za nim ciemna *rida*. Dogłębna nienawiść zawrzała w piersi Tarika. Gdy nikczemnik zatrzymał się pośrodku dziedzińca i zdjął kaptur, wściekłość Tarika spłynęła do jego pięści.

Oczyrna wyobraźni widział, jak uderza nimi w oziębłe oblicze władcy, aż nie pozostaje nic prócz krwi i kawałków kości.

Po prawej stronie potwora znajdował się młody mężczyzna z aroganckim uśmiechem na twarzy i kręconymi brązowymi włosami, który ubrany był w kirys ze znakiem straży pałacowej wytłoczonym na piersi. Po lewej zaś stał starszy mężczyzna ze złotym gryfem na kaftanie. Gryf ujawniał status *szahrban* Reju.

Gdy potwór się odezwał, hałas na dziedzińcu ucichł.

– Witajcie w Reju.

Jego głos był zaskakująco skromny.

– Mam nadzieję, że wasza podróż przebiegała bezpiecznie i bez przygód. To zaszczyt móc was gościć przy tej okazji. Dziękuję, że jak niegdyś jesteście gotowi, by reprezentować wielkość Chorasanu teraz i w przyszłości.

Na obrzeżach dziedzińca dało się słyszeć uprzejmy wiwat.

– Jeszcze raz witam was w moim domu. Żywię gorącą nadzieję, że gdy go opuścicie, będziecie chcieli dbać o niego równie mocno, jak ja. To miasto mojego dzieciństwa. – Potwór zamilkł na chwilę. – A także miasto mojej królowej.

Na te słowa dało się słyszeć chóralną aprobatę, w której pobrzmiwała nuta ciekawości. Arogancki młodzieniec stojący po prawej stronie potwora uśmiechnął się z uznaniem, podczas gdy *szahrban* westchnął z pozorną rezygnacją.

Tarik musiał wykorzystać całą swoją wolę, by odwrócić wzrok i nie zwracać na siebie nadmiernej uwagi. Jego nienawiść była zbyt oczywista. Przepływała przez niego morderczymi falami.

Śmierć byłaby zbyt łaskawa dla tego potwora.

Ośmielił się afiszować z Szahrzad, jakby była nagrodą, którą zdobył?

Siedząca na jego karwaszu Zoraja zatrzepotała skrzydłami, doskonale świadoma jego furii. Tarik pogłaskał ją po piórach, jednocześnie obserwując

potwora, który jechał już na koniu przez dziedziniec na czele orszaku połyskującej złotem straży.

Pokaz ten nie zrobił wrażenia na Tariku.

Rahim był dużo lepszym jeźdźcem. Kalif Chorasanu robił to jedynie dobrze. Mimo ponurego i groźnego wyrazu twarzy, mimo wszystkich szeptanych pogłosek o sztuce władania mieczem i zimnej brutalności nie wzbudzał prawdziwego strachu. Wyglądał, jakby był znudzony życiem. Na tyle znudzony, iż potrzebował się zdrzemnąć.

Tarik parsknął pod nosem, a jego wstręt zmieszał się z nowo odkrytym niesmakiem.

*Potwór? Wątpię. Ledwie chłopiec na tronie władcy.*

*Już martwy.*

## SKRZYŻOWANE SZABLE



Jeszcze chwila i Szahrzad zaczęłaby krzyczeć.

Była uwięziona w sypialni, podczas gdy gdzieś w murach pałacu znajdował się lekkomyślny chłopak z sokołem i porywczy król z podwójną szablą...

– Nie ruszaj się! – poleciła Despina. Lewą ręką chwyciła Szahrzad za podbródek i ponownie uniosła w kierunku powiek królowej niewielki pędzelek z włosia.

Szahrzad zazgrzytała zębami.

– Jesteś najgorszym koszmarem – narzekała Despina. Gdy skończyła, odsunęła się i usatysfakcjonowana swoją pracą, skinęła głową.

– Mogę już wyjść? – Szahrzad zdmuchnęła z twarzy kosmyk błyszczących czarnych włosów.

– Co za niewdzięczność. Mogłabyś przynajmniej być na tyle uprzejma, by docenić moje wysiłki. – Despina złapała Szahrzad za rękę i zaciągnęła ją przed lustro ustawione w rogu komnaty.

– Despino, spóźnię się na...

– Tylko spójrz, Szahrzad al-Chajzuran.

Gdy królowa zerknęła w polerowane srebro, jej piwne oczy się powiększyły.

Wyglądała zupełnie inaczej niż zazwyczaj.

Despina dołożyła starań, by uatrakcyjnić tradycyjny wygląd królowej. Ubrała Szahrzad w szarawary z połyskującego czarnego jedwabiu i identyczny, dopasowany top. Dobrała do nich klasyczny kaftan pobłyszkujący stonowanym złotem i srebrem. Dzisiejszego wieczoru ten nieposiadający rękawów kaftan miał taką samą barwę jak niebieskie oczy Despiny. Pasował do szafirów migoczących w jej uszach. Zamiast ozdobić czoło Szahrzad klejnotami, Despina wplotła jej we włosy obsydianowe koraliki. Łapały kapryśne promienie światła, sprawiając, że każdy pukiel błyszczał niczym żywy cień.

Ostatnim muśnięciem pędzelka, Despina dokończyła malowanie grubej

kreski ponad rzęsami dziewczyny. Linie wykraczały daleko poza kącik oka, dając efekt kociego spojrzenia.

Cały obraz był, delikatnie mówiąc... powalający.

– Bez naszyjnika? – zająknęła się Szahrzad.

– Bez. Nie lubisz ich. Albo dobrze udajesz, że nie lubisz.

– Moje ramiona są nagie.

– Tak.

Szahrzad pogładziła palcami błyszczącą niebieską tkaninę kaftana. Czarne bransolety wysadzone diamentami zagrzechotały na jej lewej ręce.

– Dziś przykujesz spojrzenia wszystkich. Spraw, by cię zapamiętali. Upewnij się, że cię nigdy nie zapomną. Jesteś królową Chorasanu i zyskałaś przychyłność władcy. – Despina położyła rękę na ramieniu Szahrzad i uśmiechnęła się do ich wspólnego odbicia w lustrze. – A co ważniejsze, zdobyłaś jego serce. – Przysunęła się i ściszyła głos. – I co najważniejsze, zapracowałaś na miano groźnej.

Szahrzad uśmiechnęła się, jednak zrobiła to z niespodziewanym przygnębieniem.

*Choć raz mylisz się w kilku kwestiach.*

Uścisnęła rękę Despiny.

– Dziękuję. Przepraszam, że wcześniej na tarasie byłam tak rozkojarzona. Nie zdawałam sobie sprawy z... wagi tej uroczystości. To nie usprawiedliwia mojego popołudniowego marudzenia, ale...

Despina się roześmiała. Był to balsam na serce Szahrzad.

– Przywykłam do tego. Panuj nad sobą dzisiejszego wieczoru, a wszystko zostanie ci wybaczone.

Szahrzad skinęła głową i podeszła do drzwi. Radżput czekał za progiem, by eskortować ją przez sklepione marmurowe korytarze. Gdy spojrzał w jej stronę, jego przymrużone oczy zatrzymały się na niej przez chwilę, a dziewczynie wydało się, że w ich głębi dostrzegła niemal ślad sympatii. Poprowadził ją labiryntem korytarzy.

Gdy minęli ostatni róg, Szahrzad zatrzymała się w pół kroku.

Chalid stał przed masywnymi, złoconymi, podwójnymi drzwiami, które były od niego trzykrotnie wyższe. Po obu stronach strzegły ich postacie o ciele byka, skrzydłach orła i głowie człowieka, które wyciosane były z kamienia.

Kalif odwrócił się, usłyszawszy jej kroki.

Oddech Szahrzad uwiązał w gardle na długo, nim zdążyła go ponownie

złapać.

Materiał jego białego *kamiza* był tak gęsto tkany, że odbijał słaby blask pochodni znajdujących się w korytarzu. Ten sam blask dodawał życia rysom twarzy młodzieńca. Rękojeść jego szabli wystawała zza szkarłatnej *tikki*, którą przepasane miał biodra. Jego kaftan barwy głębokiego brązu podkreślał bursztynowe oczy władcy, sprawiając, że stawały się one jeszcze bardziej intensywne i nieuchwytnie. Jeszcze bardziej niepojęte.

Te oczy były jej. Od chwili, w której odwrócił się i na nią spojrział.

Szahrzad podeszła powoli do niego, a jej strach przerodził się w dziwny spokój.

Spróbowała się uśmiechnąć.

Chalid wyciągnął do niej dłoń.

Gdy ją chwyciła, na serdecznym palcu jego prawej dłoni zauważyła grubą złotą obręcz. Na jej powierzchni wytłoczono dwie skrzyżowane szable. Szahrzad powiodła po niej kciukiem.

– To mój symbol – wyjaśnił Chalid. – To...

– Bliźniaczy *szamszir*.

– Tak.

Uniosła głowę, zaniepokojona, że będzie się zastanawiał, skąd to wie.

Jednak on pozostawał niewzruszony.

– Generał powiedział ci, że widziałam turniej? – zapytała stanowczo.

– Oczywiście. – Kącik jego ust drgnął.

Szahrzad westchnęła z irytacją.

– Oczywiście.

Splótł palce ich dłoni.

– Pięknie wyglądasz.

– Ty również.

– Gotowa?

– A ty?

Chalid się uśmiechnął. Uniósł jej dłoń do ust i pocałował ją.

– Dziękuję, Szazi. Za to, że stoisz u mego boku.

Skinęła głową, niezdolna wypowiedzieć nawet słowa.

Chalid postąpił do przodu, a radżput otworzył jedno z masywnych drzwi. Ciepła dłoń Chalida poprowadziła Szahrzad do ogromnych schodów, które wiodły w dół i rozdzielały się na boki niczym otwarte ramiona. Dziewczyna zawahała się przez chwilę, myśląc, że powinni zejść nimi osobno, lecz Chalid

mocniej ścisnął jej dłoń i zaczął schodzić z nią u swego boku. Zerknęła przez ramię i dostrzegła, jak niebieski adamaszek sunie za nią po stopniach z ciosanego marmuru niczym łagodne fale morza.

Gdy zatrzymali się u podstawy schodów, Szahrzad po raz drugi tego wieczoru westchnęła ze zdumienia.

Pałacowa sala audiencyjna niewątpliwie była największym pomieszczeniem, jakie Szahrzad kiedykolwiek widziała. Podłoga komnaty była ogromna, wyłożona białymi i czarnymi kamiennymi płytami, które – ułożone naprzemiennie w poprzek – ciągnęły się tak daleko, jak tylko zdołała sięgnąć wzrokiem. Ściany ozdobione zostały cudownymi płaskorzeźbami. Przedstawiały one walczących ludzi-byków oraz skrzydlate kobiety z długimi włosami powiewającymi na wietrze. Każda z tych ścian prowadziła wysoko ku górze. Tak wysoko, że Szahrzad musiała wyciągnąć szyję, by zobaczyć wierzchołki rzeźbionych kolumn podtrzymujących konstrukcję ciężkiego sufitu. Podstawy każdej kolumny strzegły dwugłowe lwy z żelaznymi pochodniami, które wystawały z ich otwartych paszcz.

Pośrodku tej ogromnej przestrzeni znajdowało się podwyższenie z potrójnym wejściem. Na podeście ustawiono niskie stoły. Kosztowne tkaniny i bogato zdobione poduszki wypełniały to miejsce feerią barw i tekstur. Świeże płatki róż i suszony jaśmin, rozrzucone na jedwabiu i adamaszku z frędzlami, wypełniały powietrze słodką, odurzającą wonią, którą czuł każdy, kto się zbliżył.

Goście spacerowali po sali, czekając na ich przybycie.

Tarik.

Strach nagle powrócił.

Szahrzad czuła, że Chalid ją obserwuje. Ścisnął jej rękę. Ten prosty gest przyniósł łagodne ukojenie.

Z ostrożnym uśmiechem spojrzała na niego.

– By zaszczyścić naszych drogich gości, przybyli... – zabrzmiał z góry głos i odbił się echem od ścian. Wszystkie spojrzenia zwróciły się w ich stronę. – ...kalif Chorasanu Chalid Ibn al-Raszid... i kalifa Chorasanu Szahrzad al-Chajzuran.

Sylwetki przybyłych odwróciły się, a ich szyje wyciągnęły, by lepiej widzieć. Patrzyli na nią wszyscy. Kątem oka odnalazła w końcu srebrne tęczówki wpatrzone w jej twarz, przesuwające się po jej olśniewającej sylwetce... by w końcu spocząć na dłoni, wciąż oplecionej palcami ciepłej

ręki Chalida.

Jednak po chwili srebrne oczy zniknęły w tłumie.

Wzbudziły w niej panikę.

*Proszę. Nie tutaj. Nie rób nic. Nic nie mów.*

Przez chwilę wspominała potyczkę na *suku* kilka tygodni temu.

Pijani mężczyźni chaotycznie wymachujący rękami...

Zamaskowany kalif ze śmiercionośnym *szamszirem*.

*Jeśli zagroźysz Chalidowi, zabije cię, Tariku. Bez wahania.*

Kalif wszedł na podwyższenie i zajął miejsce przy środkowym stole. Szahrzad puściła jego dłoń i usiadła po jego prawej stronie, a w jej głowie wciąż kołatały się myśli.

*Nie mogę patrzeć na Tarika. Nic nie mogę zrobić. To tylko pogorszy sytuację.*

*Co on może planować?*

– Wolne? – Dżalal uśmiechnął się do Szahrzad.

Uniosła głowę, mrugając szybko.

– Zależy. Czy jest przeznaczone dla ciebie?

Usiadł obok niej.

– Nie dałam ci pozw...

– Dobry wieczór, *sajjidi* – powiedział głośno Dżalal.

Szahrzad zmarszczyła nos, patrząc na kapitana.

– Nie rób tego, pani. Gdy to robisz, oszpecasz swą twarz – droczył się.

– Dobry wieczór, Dżalalu. I nie zgadzam się – mruknął Chalid pod nosem.

Dżalal roześmiał się głośno.

– W takim razie przepraszam. Wybacz mi ignorancję, *sajjidi*. Wierzę, że każdy mężczyzna, który tu teraz przebywa, weryfikuje właśnie swą definicję piękna.

*Despina miała rację. Jest wytrawnym flirciarzem.*

– Przestań. – Szahrzad zarumieniła się, spoglądając na arogancką minę Dżalala.

– W tej chwili... nic już niczego nie szpeci – powiedział kapitan straży.

– Przynajmniej w czymś się zgadzamy – powiedział Chalid do Dżalala, choć wpatrywał się w Szahrzad.

Dżalal z uśmiechem satysfakcji na ustach oparł się na poduszkach i złożył ręce na brzuchu.

– By zaszczyścić naszych drogich gości, przybył... – znowu rozległ się głos.



Ponownie głowy wszystkich zwróciły się w stronę podwójnych schodów. – Sułtan Partii Salim Ali el-Szarif.

Dżalal podniósł się z miejsca z przekleństwem na ustach, Szahrzad położyła dłonie na siedzisku, by pójść w ślady młodzieńca.

Jednak Chalid natychmiast wyciągnął rękę, by ją powstrzymać.

Szahrzad spojrzała na niego, a on pokręcił nieznacznie głową, mrużąc przy tym oczy. Następnie przeciągnął kciukiem po wewnętrznej części jej przedramienia. Wtedy węzeł w jej żołądku zacisnął się jeszcze bardziej. Kalif zabrał rękę, a jego twarz ponownie przybrała pusty wyraz.

Gdy morze twarzy rozstąpiło się przed nimi, Szahrzad po raz pierwszy dostrzegła mężczyznę, który przez niesłuszne oskarżenia chciał rządzić Chalidem. Wuj, który traktował matkę kalifa z taką pogardą.

Sułtana, który zrobiłby wszystko, by zyskać szansę na przejęcie królestwa jej męża.

Salim Ali el-Szarif był atrakcyjny. Miał pozornie ciepłe, ciemnobrązowe oczy, silnie zarysowaną linię szczęki, przyjemnie siwiejące włosy i starannie przystrzyżone wąsy. Był smukły i wyraźnie w dobrej formie. Jego czarny jak węgiel kaftan był misternie haftowany na kołnierzu i krawędziach, zaś bułat przy jego biodrze posiadał rękojeść ze złota z osadzonym centralnie u podstawy szmaragdem wielkości pięści dziecka.

Sułtan zbliżył się do podwyższenia z pewnością siebie człowieka, któremu obce były troski, po czym zajął wolne miejsce obok Chalida.

Po przybyciu Salima inni goście zaczęli zajmować miejsca za stołami. Szahrzad w końcu ośmieliła się rozejrzeć po pomieszczeniu. Zaniepokoiła się, gdy zobaczyła, że Tarik usiadł tak blisko, że mógł słyszeć to, o czym rozmawiali. Gdy skrzyżowały się ich spojrzenia, jego przystojna twarz złagodniała i przybrała wyraz niebezpiecznej poufałości, poruszona wspomnieniami skradzionych uścisków. Dlatego Szahrzad natychmiast odwróciła wzrok.

*Przestań! Proszę, nie rób tego, Tariku. Jeśli Chalid zobaczy, jak na mnie patrzysz... Nie rozumiesz.*

*On wszystko zauważa.*

*A ty ryzykujesz życiem.*

– Chalid-dżanie! – zaczął sułtan Partii zwodniczo miłym tonem, odsłaniając swoje wilcze białe zęby w szerokim uśmiechu. – Nie masz zamiaru przedstawić mnie swojej nowej małżonce?

Gdy Salim mówił, oblicze siedzącego obok niego *szahrbana* spowiła maska ostrożności.

Chalid zwrócił swoje przenikliwe spojrzenie ku Salimowi, po czym uśmiechnął się powoli, lecz tak fałszywie, że powiał od niego chłód niczym lodowaty wiatr na szczycie wysokiej góry.

– Oczywiście, wuju Salimie. To zaszczyt, że mogę ci ją wreszcie przedstawić. – Chalid przesunął się na bok. – Szahrzad, to Salim Ali El-Szarif, wuj, z którym jestem spowinowacony. Wuju Salimie, to moja małżonka, Szahrzad.

Salim zwrócił się do niej bardzo przyjaźnie, co Szahrzad uznała za ujmujące. Uśmiechnął się, nie tracąc charyzmy.

– Miło mi cię poznać, panie. – Szahrzad obdarowała go wyćwiczonym uśmiechem. Następnie skłoniła głowę i dotknęła palcami czoła.

– Na wszystko, co święte, Chalid-dżanie... ona jest jak obraz. – Choć Salim patrzył na nią, zwracał się do Chalida, traktując Szahrzad, jakby była gobelinem wiszącym na ścianie pałacu jego siostrzeńca. To ją oburzyło.

Zdołała utrzymać swój pewny uśmiech.

– Obraz, który ma oczy i uszy, panie.

Chalid nadal patrzył przed siebie, lecz jej odpowiedź sprawiła, że jego twarz skuł lód.

Salim otworzył szeroko oczy. Coś zapłonęło na chwilę w jego tęczęwkach przepelnionych nieszczerem ciepłem. Roześmiał się, a dźwięk ten był równie czarujący, jak jego głos. I podobnie przesadny.

– Wspaniała. I ten jej cięty język... Cóż za interesujące połączenie! Mam nadzieję, że będę miał dość czasu, by cię poznać, moja pani Szahrzad.

– Liczę na to – zgodziła się kalifa. – Nie mogę się doczekać, panie.

Choć jego uśmiech zadrżał tylko przez sekundę, nie można było nie zauważyć – zirytowała go.

– Ja również – odparł. Każde słowo było niczym włócznia zanurzona w słodkiej wodzie.

– By uczcić naszych drogich gości – rozległ się głos ponad nimi – podano posiłek!

Na szerokich schodach pojawiły się dwa rzędy służących, którzy nad swoimi głowami nieśli parujące tace. Maszerowali równo, gdy zaś dotarli do podwyższenia, postawili przed każdym z gości talerz. Znalazły się na nim: aromatyczny ryż ze świeżym koprem i bobem, jagnięcina gotowana w sosie

z kurkumy oraz z karmelizowaną cebulką, szaszłyki z kurczaka i pieczone pomidory, świeże warzywa ozdobione miętą i posiekaną natką pietruszki, oliwki marynowane w oleju, a także chleb *lawasz* z kulami koziego sera otoczonego słodkimi konfiturami...

Szahrzad nigdy nie widziała takiej ilości jedzenia.

Powietrze wypełnił aromat przypraw i zgiełk rozmów. Szahrzad wzięła trochę placka chlebowego i zanurzyła go w sosie chutney, który szybko polubiła, przebywając w pałacu. Jedząc, ponownie rozejrzała się po sali. Tarik rozmawiał ze starszym mężczyzną siedzącym po jego lewej stronie. Kiedy poczuł na sobie jej spojrzenie, obrócił głowę i Szahrzad ponownie musiała odwrócić wzrok.

Chalid nalał sobie wina do kielicha i rozsiadł się wygodnie na miejscu, pozostawiając na swym talerzu nietknięte jedzenie.

– Nie masz apetytu, siostrzeńcze? – Salim uniósł brwi, patrząc na Chalida. – Być może nagle tajemniczo zniknął? Tak się dzieje, gdy ktoś jest... strapiony.

Chalid zignorował usiłowania Salima, który próbował coś z niego wyciągnąć. Zamiast odpowiedzieć – upił łyk wina.

– A może... nie masz ochoty na posiłek w reakcji na jakiś niewytłumaczalny występki? – Salim zaśmiał się ze swojego własnego żartu, puszczając oko do Szahrzad.

*Nienawistnik.*

Szahrzad wyciągnęła rękę i chwyciła oliwkę z talerza Chalida. Patrząc Salimowi w oczy, włożyła ją sobie do ust, a następnie przełknęła.

– Jedzenie wydaje się być dobre, panie. Nie jestem pewna, który niewytłumaczalny występki masz na myśli, lecz mogę cię zapewnić, że posiłek kalifa jest bezpieczny – odparła, sama puszczając oko. – Czy zechcesz, podobnie jak ja, skosztować jedzenia, wuju?

Na te słowa Dżalal parsknął śmiechem, nawet *szahrban* musiał opuścić swój szpakowaty podbródek.

Cień uśmiechu pojawił się również na ustach Chalida.

Po drugiej stronie jeden z kielichów został odstawiony na stół z nieuzasadnioną gwałtownością.

*Proszę, Tariku. Nie rób scen. Niczego nie rób.*

Salim uśmiechnął się do Szahrzad.

– Naprawdę masz cięty języczek, moja pani Szahrzad. Zapytałbym, gdzie ją znalazłeś, Chalid-dżanie, ale...

Kalif zacisnął prawą dłoń w pięść, a Szahrzad powstrzymała chęć wbicia sztućca w oko sułtana.

– Dlaczego jesteś ciekaw, gdzie mnie znalazł, panie? Czyżbyś kogoś szukał?  
– zapytała Szahrzad z nonszalancją.

Brązowe oczy Salima zalśniły.

– Może powinienem. Masz jakieś krewne, pani? Może siostrę?

*Wie, że mam siostrę. Czy... właśnie grozi mojej rodzinie?*

Szahrzad przechyliła głowę na bok, dławiąc w ten sposób iskrę niepokoju.

– Tak, mam siostrę, panie.

Salim położył łokcie na stole, przyglądając się młodej królowej z rozbawionym, choć drapieżnym błyskiem w oku.

Chalid skupił całą swoją uwagę na sułtanie Partii, a mięśnie napięły się na jego twarzy. Przesunął rękę w stronę małżonki. Rozmowy, które toczyły się wokół nich, zostały przerwane w obliczu rosnącego napięcia.

– Czy nie jestem wystarczająco niebezpieczny, Szahrzad? – zapytał Salim z chłodnym rozmysłem. – Być może wcześniej byłem zbyt wyrozumiały dla swoich kobiet? Zbyt wyrozumiały, by pozwalać im żyć?

Kilkoro gości obok nich gwałtownie wciągnęło powietrze, a dźwięk ten rozszedł się po komnacie niczym szeptana plotka po placu targowym. Działal westchnął cicho, przeklinając pod nosem, przez co zarobił od ojca surowe, ostrzegawcze spojrzenie.

Szahrzad przełknęła swój gniew i uśmiechnęła się promiennie niczym południowe słońce.

– Nie, wuju Salimie. Jesteś po prostu za stary.

W sali zapanowała grobowa cisza.

Następnie potężny mężczyzna z kolekcją pierścieni na palcach zaczął się śmiać, aż zadrżały jego natarte olejem wąsy. W jego ślady poszedł szlachcic, który przyjechał na pasiastym koniu. Wkrótce dołączyła do nich reszta gości – przestrzeń ponownie wypełnił chór rozbawionych głosów.

Donośny śmiech Salima poniósł się ponad wrzawą. Jedyne najbliższe siedzący byli w stanie dostrzec jadowite spojrzenie posłane przez sułtana młodej kalifie Chorasaniu. Jedyne ci, którzy dobrze go znali, rozumieli, że obrót wydarzeń sprawił, iż był do granic rozwścieczony.

I tylko ci, którzy bacznie ich obserwowali, mogli zauważyć, że kalif Chorasaniu, opierający się teraz wygodnie, bawił się bransoletami na ręce małżonki.

Jedną z tych osób był chłopiec o srebrnych oczach.

## TANIEC NA TARASIE



Gdy posiłek dobiegał już końca, muzycy zaczęli się zbierać przy podwyższeniu w rogu pomieszczenia. Krępy brodac z *kamancze* przesunął włosianym smyczkiem po instrumencie, sprawdzając jego nastroszenie i dokręcając kołeczki z kości słoniowej, zaś młoda kobieta po raz ostatni poprawiła swój trzcinyowy *nej*. Starszy mężczyzna oparł podstawę *tonbaku* na lewym biodrze i uderzył w napiętą skórę bębna... na początku powoli, potem coraz szybciej i szybciej. Zaczął uderzać, nadając rytm, a wtórowały mu dźwięki cymbałów *santura*. Po chwili wszyscy czterej muzycy zatracili się w wygrywanej przez siebie melodii.

Nagle po drugiej stronie podwyższenia pojawiła się młoda dziewczyna.

Przy stołach szeptano. Wszyscy wzdychali z niedowierzaniem.

Działal jęknął. Chalid odwrócił wzrok.

Była niewątpliwie najpiękniejszą dziewczyną, jaką Szahrzad kiedykolwiek widziała.

Miała na sobie dopasowany top z ogniście czerwonego jedwabiu, który niewiele pozostawiał wyobraźni, i lejącą spódnicę w tym samym kolorze, z misternym haftem na brzegu. Jej włosy spływały do talii wspaniałymi, zwiniętymi spiralnie, mahoniowymi lokami, które w świetle pochodni jaśniały kasztanową poświatą. Twarz rzuciłaby na kolana niejednego mistrza malarstwa – wystające kości policzkowe, gładka skóra, łukowate brwi i wachlarze czarnych rzęs unoszące się ponad nieprzyzwoicie dużymi oczami.

Dziewczyna zaczęła tańczyć.

Wiła się niczym wąż, sunąc w poprzek czarno-białych kamiennych płyt posadzki przy zmieniającej się melodii. Sam księżyc zdawał się być inspiracją dla kształtów jej ciała. Jej ręce i biodra kusiły, zaklinały... odurzały. Obracała się i kołysała w sposób, który pochodził z innego świata.

Bez reszty nieprzystępny.

Gdy dziewczyna, poruszając się hipnotycznie, zbliżyła się do stołów,

Szahrzad zrozumiała i znieruchomiała.

*Ona tańczy dla Chalida.*

To było oczywiste. Dziewczyna nie spuszczała kalifa Chorasanu z oczu, w jej ciemnych tęczówkach świeciła rozpusta. Z każdym wolniejszym obrotem gęste włosy owijały się wokół jej ramion, a klejnoty na jej brzuchu połyskiwały dziko.

Gdy uśmiechnęła się do Chalida, jakby dzielili wspólne tajemnice, w umyśle Szahrzad pojawiła się seria nieprzyjemnych obrazów – większość z nich zaczynała się i kończyła sceną wyrywania włosów z cebulkami z głowy tej pięknej dziewczyny.

*Jak mogę być tak dziecinna? Ona po prostu tańczy.*

*To nie ma znaczenia. To się w ogóle nie liczy.*

Szahrzad wzięła głęboki wdech i odwróciła wzrok. Kiedy Dżalal zaczął się śmiać, spiorunowała go wzrokiem, rumieniąc się przy tym.

Pozbawiona wstydu dziewczyna zakończyła swój taniec kilka kroków od podwyższenia z dłońmi uniesionymi nad głowę i falą ponętnych loków przerzuconą przez ramię.

*Cudownie. A teraz wracaj do domu.*

Jednak zamiast tego dziewczyna zbliżyła się do nich. Jej smukłe biodra nadal się kołysały, nawet bez muzyki. Zatrzymała się dokładnie przed Szahrzad.

Potem się uśmiechnęła.

– Witaj, Chalidzie – powiedziała głosem grzesznym niczym jedwab.

Chalid westchnął lekko, nim uniósł spojrzenie tygrysich oczu.

– Witaj, Jasmine.



Irytacja nie była tu odpowiednim słowem.

Niepokój?

Nie. To też nie było właściwe.

Wściekłość?

Szahrzad potrząsnęła głową i uśmiechnęła się do stojącego przed nią rozgadane go szlachcica, próbując oczyścić umysł, by móc skupić się na rozmowie.

Jasmine el-Szarif. Córka nienawistnika.

Szahrzad dzięki Dżalalowi poznała tożsamość pięknej dziewczyny i uśmiechnęła się cierpliwie, gdy je sobie formalnie przedstawiono. Choć

boleśnie oczywiste było to, że Chalid całe życie zna nieziemską księżniczkę Partii. Szahrzad wstała od stołu z kamienną twarzą i zaczęła witać po kolei wszystkich przybyłych.

Czyniła to bez Chalida.

Była zdeterminowana i chciała zrobić to bez kalifa Chorasanu u boku.

Bez Króla Królów i wielu, wielu jego sekretów.

Tak też zrobiła, jednak w pewnym momencie poczuła się... zdezorientowana.

*Powinien powiedzieć mi o Jasmine. Wyszłam na idiotkę.*

– Witaj, Szahrzad. Mogę tak się do ciebie zwracać?

– Słucham? – zapytała, wyrwana z zamyślenia.

Jasmine uśmiechnęła się, a był to tak idealny uśmiech, że Szahrzad miała ochotę wybić jej zęby.

– Oczywiście – odparła, przeklinając swą wewnętrzną małostkowość.

Szlachcic, którego imienia już nie pamiętała, uśmiechnął się do Jasmine, a oczy niemal wypadły mu z orbit.

– Pozwolisz, że na chwilę porwę kalifę? – Jasmine zatrzepotała do niego rękami z wprawą, na którą Szahrzad nigdy nie mogłaby sobie pozwolić.

Mężczyzna skinął energicznie głową, a z jego ust zamiast odpowiedzi wydostała się ślina.

Jasmine złapała Szahrzad za rękę, pociągając ją w cień kamiennej kolumny.

– Wyglądałaś, jakbyś potrzebowała ratunku.

– Dziękuję. – Szahrzad ciepłym uśmiechem zamaskowała podejrzliwość.

Jasmine przyglądała się młodej kalifie w świetle pochodni umieszczonych w lwich paszczach.

– Jesteś irytująco piękna – oznajmiła.

– Słucham? – Szahrzad ściągnęła brwi, słysząc tę uwagę.

– Nie spodziewałam się, że będziesz tak piękna.

Szahrzad utrzymała pewny uśmiech.

– Cóż, ja się ciebie w ogóle nie spodziewałam.

Jasmine zachichotała beztrosko, opierając się z założonymi za plecy rękami o polerowany marmur.

– Jesteś szczerą. Teraz to ma sens. On uwielbia szczerą.

– Wybacz, ale chyba nie bardzo rozumiem. Będziesz musiała dokładniej wyjaśnić.

– Ma sens, dlaczego wybrał właśnie ciebie. – Spojrzenie oprawionych



długimi rzęsami oczu Jasmine pozostało przyklejone do Szahrzad.

*Próbuje być zabawna?*

– Jestem pewna, iż wiesz, że mnie nie wybrał.

– Mylisz się. Wybrał cię. A takich decyzji nie podejmuje pochopnie. – Jasmine odepchnęła się od kolumny i przysunęła o krok do Szahrzad. – Zwłaszcza że mógł wybrać dziewczynę, która ponad wszystko chciała obdarzyć go miłością.

Instynkt nakazywał Szahrzad zaatakować Jasmine za tę śmiałość, ale powstrzymała się przed kłótnią. Nie chciała sprzeczać się z tą piękną dziewczyną o nieprzewidywalnego chłopca.

Chłopca, który wolał strzec swych sekretów, niż się z nich zwierzyć.

– Doceniam to, że uratowałaś mnie przed nużącą rozmową. Myślę jednak, że czas, bym dołączyła do moich gości. – Szahrzad chciała odejść.

– Kochasz go?

Kalifa zatrzymała się jak wryta.

– Zdaje się, że to nie twoja sprawa.

– Nie zgadzam się. Widzisz, kocham Chalida, odkąd byliśmy dziećmi. A on zasługuje na miłość kogoś, kto go zrozumie. – Jasmine urwała, by zaczerpnąć tchu. – Nawet jeśli nie jestem to ja.

Szahrzad kompletnie nie spodziewała się takich słów po dziewczynie. Myślała, że Jasmine jej zagrozi lub rzuci kolejny niewybredny komentarz. Jednak tym oświadczeniem, w którym odmówiła swojemu sercu pragnień, udowodniła, że nie była rozpieszczoną księżniczką.

Naprawdę jej na nim zależało.

Mimo że powitała ją równie zimno, jak jej ojciec.

Rozdrażnienie Szahrzad było stopniowo wypierane przez dziwne uczucie litości.

– A ty rozumiesz Chalida? – Kalifa roześmiała się, by zamaskować swój rosnący niepokój. – Jeśli tak, proszę, oświeć mnie. Będę wdzięczna.

Jasmine uśmiechnęła się z iskierką współczucia.

– To zależy, jak bardzo jesteś chętna pomóc swojemu wrogowi, Szahrzad.

– Niestety twoją wielką porażką dzisiejszego wieczora jest to, że nie postrzegam cię jako wroga, księżniczko Partii. – Szahrzad skłoniła głowę. – A teraz przepraszam.

– W takim razie jak mnie postrzegasz? – Jasmine zastąpiła drogę Szahrzad, a jej ciemne oczy lśniły z rozbawieniem.

– Widzę piękną manipulatorkę. Intrygantkę.

Jasmine przytaknęła, uśmiechnęła się leniwie.

– Musisz się więc czuć, jakbyś patrzyła w lustro.

*Jest szybka. I niczego się nie boi.*

– To miłe. – Szahrzad odpowiedziała uśmiechem. – Wszyscy powinniśmy być szczęśliwi, dzieląc to odbicie z tobą.

Jasmine roześmiała się i po raz pierwszy zabrzmiało to szczerze.

– Wielka szkoda, Szahrzad al-Chajzuran. Sądzę, że polubiłabym cię, gdybyśmy spotkały się w innym czasie i w innych okolicznościach.

– Zaskakująco muszę się z tobą zgodzić, Jasmine el-Sharif. – Szahrzad, kłaniając się, dotknęła palcami czoła w geście szacunku. Odwróciła się, by obejść kolumnę...

I wpadła na szeroką męską pierś.

Zatoczyła się i niemal upadła na podłogę, lecz ktoś ją podtrzymał, chwytając za rękę i ratując przed upokorzeniem. Gdy Szahrzad stanęła naprzeciwko wybawcy, para znajomych srebrnopopielatych, intensywnie błyszczących oczu spojrzała na nią.

Jej niedoszła miłość.

*Tarik. Nie. Nie możesz...*

Próbowała zabrać rękę, ale włożył jej coś między palce.

Kawałek pergaminu.

Szahrzad zacisnęła na nim dłoń i się odsunęła.

– Dziękuję – powiedziała.

– Nie ma sprawy, pani. – Uśmiechnął się uprzejmie.

Obawiając się, że ktoś może dojrzeć to dziwne spotkanie, Szahrzad odsunęła się i poprawiła materiał kaftana, zasłaniając kciukiem kawałek pergaminu.

– Nie sądzą, byśmy się kiedykolwiek spotkali – powiedziała zdawkowo, choć jej serce przyspieszyło trzykrotnie ze zmartwienia.

Młodzieniec pokręcił głową, idąc za nią.

– Jestem Tarik Imran al-Zijad z Talekan, pani. – Tarik skłonił się, dotykając czoła.

Z cienia za Tarikiem wychylił się radzput, krzywiąc się na widok imponującej sylwetki młodego szlachcica.

– To pierwsza wizyta w Reju, panie? – ciągnęła, próbując zachowywać się swobodnie.

– Nie, pani. Miałem niegdyś krewnych w tym mieście.

– Miałeś, panie?

Tarik uśmiechnął się z wdziękiem, choć jego oczy wciąż zdradzały głębię uczuć.

– Tak. Jednak mam nadzieję, że to się wkrótce zmieni – ściszył głos. – Gdy poślubię kobietę.

W jego słowach dało się odczuć wyraźny sentyment. Szahrzad poczuła ciepło jego spojrzenia i przez chwilę pozwoliła sobie naprawdę na niego spojrzeć. Popatrzeć w idealną twarz aroganckiego chłopca, w którym się zakochała, i wspomnieć...

Chudą dziewczynę wodzącą za nim wszędzie wzrokiem.

I wysokiego chłopca, który podążał za nią wszystkimi zmysłami.

– Szahrzad.

Na dźwięk głosu Chalida, Tarik, chcąc ją chronić, instynktownie wysunął się o krok przed nią. Piwne oczy Szahrzad załśniły ostrzegawczo, gdy zdusiła ostre ukłucie strachu.

*Chalid wszystko zobaczy. Tarik... niczego nie potrafi ukryć.*

Kalif podszedł do niej, nie poświęcając Tarikowi żadnej uwagi.

– Szahrzad – powtórzył.

– Tak?

– Szukałem cię – powiedział stanowczo.

Szahrzad zbliżyła się do niego, nie zadając sobie trudu, by ukryć swój gniew.

– Po tysiackroć przepraszam, *sajjidi*. Rozmawiałam z Jasmine i zapomniałam na chwilę o tym, co naprawdę ważne. – Ostrożnie dobierała słowa, by były jak najbardziej zjadliwe.

Chalid przyjął cios bez mrugnięcia bursztynowym okiem.

– Widzę.

*Naprawdę?*

Szahrzad patrzyła mu w oczy, a w jej głowie kołatały się myśli i emocje.

Nie była to odpowiednia chwila, by się nimi dzielić.

Mimo wszystko Chalid też miał swoje sekrety.

Nie zasługiwał na to, by znać jej tajemnice.

*Baba i Irsa.*

*Tarik.*

Musiała zadbać, by jej bliscy byli bezpieczni. Chronieni przed chłopcem z okrutną przeszłością i niepewną przyszłością.

Dalecy od wpływu, który miał na jej serce.

– Poznałeś Tarika Imran al-Zijada, *sajjidi*? – zapytała Chalida, chcąc przejąć kontrolę nad sytuacją.

Chalid zamrugał. W końcu zdał sobie sprawę z jego obecności.

Ciało Tarika stężało. Młodzieniec zacisnął usta w wąską linię.

*O Boże. Proszę, zachowuj się lepiej.*

Następnie się rozluźnił i uśmiechnął do Chalida.

– *Sajjidi*. – Skłonił się, dotykając ręką czoła. – Jestem Tarik Imran al-Zijad, syn Nasira al-Zijada, emira Talekan.

Chalid odpowiedział krótkim skinieniem.

– Ufam, że będziesz się cieszył pobytem w mieście.

Tarik uśmiechnął się szerzej.

– Przy tak wielkiej gościnności, *sajjidi*, jestem pewien, że będę.



*Oszalał?*

Szahrzad chodziła w kółko w cieniu swojego tarasu, a jej serce biło w rytm jej kroków.

Skrawek pergaminu, który ścisnęła w dłoni, był teraz mokry od potu. Tusz rozmazał się na jej skórze, plamiąc ją na niebiesko i czarno. Ponownie rozwinęła rulonik, by przeczytać dziwną wiadomość nakreśloną śmiałym charakterem pisma Tarika.

*Twój taras. Gdy księżyc stanie w najwyższym punkcie na niebie.*

*Jeśli to konieczne, będę czekał do świtu. Nie sprawdzaj mnie.*

Przynajmniej miał tyle rozumu, by nie podpisywać liściku.

*Całkowicie oszalał!*

Po raz piąty zmięła wiadomość w dłoni.

Przez swoją głupotę ryzykował wszystko. Przez swoją arogancję. Przez swoją...

– Szazi? – Z mroku na skraju tarasu wyłoniła się postać.

– Chodź tutaj – nakazała dziewczyna.

Tarik zbliżył się, skulony nisko. Szahrzad złapała go za kaptur *ridy* i pociągnęła w najgłębszy cień przy ścianie.

– Kompletnie oszalałeś? – zapytała ostro. – Zdajesz sobie sprawę, jak niebezpieczne...

Tarik przytulił dziewczynę do swojej piersi.

– Boże, tęskniłem za tobą.

Gdy Szahrzad ponownie chciała coś powiedzieć, przycisnął do siebie jej twarz, śmiejąc się z jej protestów.

– Przestań. Pozwól mi się tulić przez chwilę.

– Jesteś szalony, Tariku Imran al-Zijadzie. Zupełnie szalony – marudziła, klepiąc go w ramię. – Jak ci się w ogóle udało zdobyć zaproszenie?

Wzruszył ramionami.

– Przechwyciłem to wysłane do ojca w Talekan. A raczej Rahim je przechwycił.

– Idiota! Przyjazd tutaj to nadzwyczajna głupota i...

– Głupi czy nie, jestem tutaj, by dokończyć to, co zaczęłaś. – Tarik pogłaskał ją po włosach. – Powiedz, jak planujesz zabić króla młokosa?

Szahrzad dziwnie milczała.

– Szazi?

– Ja... – zająknęła się.

– Nie zaplanowałaś tego jeszcze?

Odsunęła się od jego piersi, nie chcąc pokazać mu swojego wahania.

– Dobrze. Czego się więc dowiedziałaś? – pytał nadal.

Zmarszczyła czoło i spojrzała na kamienną balustradę tarasu.

– Szahrzad. Jesteś tu już od wielu tygodni. Czego się dowiedziałaś? Jakie są zwyczaje króla młokosa? Jakie ma słabości?

Powiedz mu, co wiesz.

– Nie... wiem. Jest trudny do rozszyfrowania.

*Dlaczego nie mogę mu powiedzieć?*

– Trudny? Ma osobowość podstarzałego wielbłąda. Jest podobnie gburowaty i bezużyteczny.

Szahrzad dziwnie zabolęły te słowa.

– Co masz na myśli?

– Bawi się jedzeniem, siedzi w ponurym milczeniu i pozwala, by małżonka toczyła za niego bitwy.

– Co? Nie. Nie zrozumiałeś tej sytuacji.

– Proszę, powiedz, że go nie bronisz. Przez cały wieczór ledwie cię zauważał, z wyjątkiem chwili, gdy przeparadował z tobą przed wszystkimi, jakby chwalił się nagrodą, którą zdobył... i tego irytującego momentu, gdy bawił się twoją biżuterią. Mógłbym się bez tego obyć.

– Nie bronię go. Mówię jedynie, że to... skomplikowane. – Mimo panującej wokół ciemności Szahrzad zauważyła, jak Tarik ściąga gęste brwi.

– Skomplikowane? Nie ma w tym nic skomplikowanego. Sądzę, że wystarczyłby dostęp do broni i czysty strzał.

*Nie!*

Szahrzad usłyszała jakiś dźwięk dobiegający z jej komnaty.

Serce zamarło w jej piersi. Przycisnęła palce do ust Tarika i wepchnęła go głębiej w cień. Następnie wróciła do sypialni. Westchnęła z ulgą, gdy jednak nikogo w niej nie zastała.

Tarik opierał się o ścianę, gdy wróciła na taras.

– Spodziewasz się kogoś? – zapytał chłodno.

– Musisz odejść.

– Dlaczego? – W jego głosie zabrzmiała ostrzegawcza nuta.

– Proszę, Tariku.

Zmrużył oczy. Przypominały teraz srebrne szczeliny.

– Przyjdzie do ciebie dzisiejszej nocy?

– Musisz odejść. Teraz. – Szahrzad pociągnęła go za rękę, ale nie odsunął się od ściany.

– Dobrze. Niech przyjdzie. To rozwiąże sprawę.

– Chcesz, by cię zabił? – jęknęła w desperacji.

Tarik roześmiał się, a dźwięk ten pełen był bezwzględnej arogancji.

– Mam się obawiać tego chłopca? Tego postarzałego wielbłąda?

– Idioto! On cię zabije!

– Jesteś pewna? Nie myślisz, że poprosi o to mamusię?

Szahrzad wciągnęła gwałtownie powietrze. Nim zdołała się powstrzymać, zaczęła szeptem wyjaśniać:

– Nic o nim nie wiesz, a twoja ignorancja doprowadzi cię do upadku. Wynos się stąd Tariku. Jeśli Chalid przejdzie przez te drzwi, pokroi cię na kawałki, nim zdążysz otworzyć usta. A to mnie zniszczy. Bardziej niż można to wyrazić słowami. Na zawsze. Jeśli mnie kochasz, nie narazisz mnie na taki widok.

Szahrzad chwyciła z przodu jego *ridę*, a jej twarz wykrzywiła się w głębokiej rozpacz.

Początkowe zdumienie Tarika rozwiało się na myśl o jej bólu.

– Szazi... przepraszam.

– Nie przepraszaj. Po prostu... odejdz.

Tarik powoli odsunął się od ściany. Odwrócił się, by złapać Szahrzad za rękę i przycisnąć ją, stojąc tyłem do ściany. Powiódł dłońmi po jej ramionach.

– Kocham cię, Szahrzad al-Chajzuran. Nie ma nic, czego bym dla ciebie nie zrobił. Nic, czym bym nie ryzykował dla twojego bezpieczeństwa. Sam świat powinien się obawiać, jeśli stanie między nami.

– Ja też... cię kocham, Tariku.

Uśmiechnął się. Następnie bez ostrzeżenia zmiądzzył jej usta swoimi. Szahrzad, zaskoczona, rozchyliła wargi, a Tarik pogłębił pocałunek, unosząc jej podbródek i delikatnie głaszcząc go kciukiem.

Usta Szahrzad odpowiedziały automatycznie. Tańczyły wraz z jego wargami, jak zwykły to robić wiele razy wcześniej. Jednak... dlaczego tym razem wydawało się to złe? Gdzie podziała się ta zapierająca dech ekscytacja? Ta beztraska chwila zatracenia?

Dokąd umknęło uczucie zakochania?

*Było tutaj. Wiem, że musi tu być. Mogę je odzyskać.*

*Muszę je odzyskać.*

## ŚWIADOMOŚĆ PONAD WYJAŚNIENIA



Dzień towarzyskiego polowania mógł okazać się naprawdę interesujący.

Tarik ruszył ze strażnikiem u boku kolejnym niekończącym się korytarzem. Idąc, rozglądał się po pełnym przepychu pałacu Reju. Ściany i kopulaste sufity były nadzwyczajnie wypolerowane, a każdy portyk pokryty w środku złotym wizerunkiem słońca wspierały opadające w dół belki i kolumnowe łuki z agatu o niebieskich żyłkach.

Pałac był piękny. Nieco zimny, lecz imponujący.

Niedługo potem młodzieniec dołączył do szlachciców biorących udział w dzisiejszej wyprawie na łowy. Prawdę mówiąc, Tarik cieszył się na myśl o rozrywce, a także o możliwości spędzenia czasu z osobą, która stanowiła jego cel. Nocna rozmowa z Szahrzad mocno go zaniepokoiła.

Dziewczyna pozostawała ostrożna i niedostępna, co było do niej równie niepodobne, jak to, że tak bardzo zważała na bezpieczeństwo. Zazwyczaj pierwsza rzucała się w wir wydarzeń, nie bacząc na konsekwencje.

Gdy byli młodszy, Szahrzad chciała nauczyć się wspinać na drzewa. Nie mogąc się doczekać, nalegała, by wspięli się na mury Talekan. Razem z Rahimem błagali ją, by porzuciła ten głupi zamiar, lecz to ją tylko zachęciło. Pewnego popołudnia przyglądali się, jak realizuje swój kaprys. Jej czarne włosy kołysały się za nią w splątanym bałaganie, gdy Tarik dostrzegł, że spod jej stopy w chmurze białego pyłu sypie się zaprawa murarska. Wiedział już, że to kamień się poluzował. Wykrzyknął spóźnione ostrzeżenie. Za swoimi plecami usłyszał krzyk Sziwy, gdy Szahrzad spadła. Serce mało nie wyskoczyło mu z piersi, gdy drobna postać opadła na piasek. Tarik dobiegł do niej jako pierwszy i przytulił ją do siebie, czekając na jej reakcję. Zaklął szpetnie, gdy zaczęła się z niego śmiać, mówiąc, że nic jej nie jest, choć odrobinę bolała ją głowa.

Tego dnia po raz pierwszy powiedział, że ją kocha.

Odetchnął przez nos.



Nigdy się nie wahała. W żadnej sprawie.

A przecież tej właśnie nocy się zawahała.

Gdy na tarasie powiedział, że ją kocha, nie odpowiedziała od razu. A kiedy ją pocałował, coś było nie tak. Wyczuwał, że bije się z myślami. Wyczuwał jej wątpliwości. Wyczuwał, że chciała... czegoś innego.

Albo kogoś innego.

To doprowadzało go do szaleństwa.

– Chyba nas sobie nie przedstawiono. Jestem kapitan al-Chouri.

Obok niego stał arogancki chłopak z kręconymi włosami i nieodłącznym uśmiechem.

Tarik odwzajemnił uprzejmy uśmiech.

– Tarik Imran al-Zijad.

– Tak. Wiem.

– Czyżby wyprzedzała mnie reputacja?

– Na twoim miejscu miałbym nadzieję, że jednak nie. – Chłopak uśmiechnął się, żartując. – Masz własnego sokoła, prawda? To raczej przypadkowe, biorąc pod uwagę dzisiejsze wydarzenie.

– We wszystkich sprawach jesteś tak dobrze poinformowany?

– Na tym polega moja rola. A skoro jesteśmy w temacie, zaskoczyło mnie, że przyjechałeś z zaproszeniem ojca w ręku. Właściwie to nie mogłem się doczekać spotkania z nim.

Tarik skrzyżował ręce na piersi, by ukryć nagły dyskomfort.

– Zachorował i prosił, bym w jego zastępstwie przyjechał do Reju.

– Szkoda. Proszę, przekaz życzenia rychłego powrotu do zdrowia. – Spojrzenie kapitana al-Chouriego przesunęło się na bramę w rogu, a rysy jego twarzy wyrównały się, zachowując pozory wcześniejszego rozbawienia.

Wtedy właśnie przybył król młokos. Tym razem Tarik przyjrzał się szabli spoczywającej przy lewym biodrze kalifa. Ostrze było niezwykle, z pewnością dłuższe i bardziej smukłe niż bułat, posiadało też zwężającą się krawędź.

– Nazywa się *szamszir* – powiedział kapitan, przyglądając się Tarikowi z nieskrywaną ciekawością.

– Nie znam tej broni.

Kapitan al-Chouri skinął głową.

– Jest niezwykła. Tak jak Chalid.

– Chalid?

– Jest moim kuzynem.

Tarik zacisnął nieznacznie usta.

– Rozumiem.

Kapitan się roześmiał.

– Nie martw się. Poza więzami krwi niewiele nas łączy.

– To znaczy?

– To znaczy, że ja nie połamię ci wszystkich kości z powodu jednego potknięcia. – Choć mówił z uśmiechem, jego głos balansował na granicy groźby, lecz Tarik postanowił to zignorować.

– Zabrzmiało przesadnie surowo. – Pomyślał, że jego rozmówca odpowiednio dobiera słowa, przedstawiając władcę.

Kapitan al-Chouri ponownie się uśmiechnął, tym razem nawet nieco szerzej.

– Powtarzam, Chalid jest niezwykły.

Tarik ponownie spojrzał na króla młokosa, a na jego ogorzałym od słońca czole pojawiło się kilka zmarszczek.

– Wydaje się cichy.

– Jest taki. Jednak ktoś dużo bystrzejszy ode mnie powiedział niegdyś, że najczęściej milczą ci najmądrzejsi...

Tarik czekał, z trudem ukrywając rosnącą pogardę.

Kapitan się przysunął.

– Ponieważ wszystko słyszą.

– Interesująca opinia – zamyślił się Tarik. – Kto ją wygłosił?

Kapitan al-Chouri uśmiechnął się z chłodną rozwagą.

– Chalid.

I odszedł, stając u boku króla młokosa.

Gdy przybył sułtan Partii, grupka mężczyzn zaczęła przeciskać się korytarzem ku otwartemu krużgankowi, dziesięciokrotnie większemu niż ten w Talekan. Po jednej z jego stron znajdował się rząd łukowatych podwójnych drzwi wiodących do bujnego, porośniętego drzewami ogrodu.

Gdy mężczyźni zwrócili się w jego kierunku, napotkali po drodze Szahrzad, która wyszła z innych podwójnych drzwi z ładną młodą służką oraz z tym samym co wczoraj groźnym brutalem, który był jej ochroniarzem.

Pierś Tarika ścisnęła się na jej widok.

Z każdą mijającą chwilą dziewczyna stawała się coraz piękniejsza, jakby służyło jej życie w pałacu z zimnego, polerowanego kamienia. Dzisiaj jej srebrno-różowe ubranie sprawiało, że czarne włosy i opalona skóra urzekały bardziej niż zwykle. Zdecydowanie wolał ten strój niż tamten, w który była

ubrana nocą, mimo że każdy mężczyzna przebywający w sali był oślepiony widokiem niebieskich szafirów i czarnego jedwabiu.

Jednak Tarika potrafiła oczarować zawsze.

Mężczyźni zatrzymali się, by powitać kalifę, a drań z Partii wysunął się naprzód, szczególnie się starając.

Tarik walczył z pragnieniem, by na to zareagować. Chciał się na niego rzucić.

Na szczęście kapitan al-Chouri ruszył w stronę Szahrzad, przez co niechęć Tarika do jego osoby odrobinę zmalała.

Jednak król młokos jednym ruchem ręki zatrzymał kuzyna.

Spojrzenie rozwścieczonego Tarika wystrzeliło w jego kierunku.

Na twarzy młodego władcy błysnęła odrobina emocji.

Duma?

Sułtan Partii stanął przed Szahrzad, bił od niego urok niczym wyniszczająca zaraza.

– Dzień dobry, pani! Ufam, że miałaś miły wieczór.

Szahrzad się skłoniła.

– Tak, panie. A ty?

Przytaknął.

– Bardzo miły wieczór. Córka przekazała mi, że odbyła z tobą uroczą rozmowę i była zadowolona, że mogła cię poznać.

– Ja również cieszyłam się, mogąc rozmawiać z Jasmine, panie. Pogawędka była bardzo... pouczająca.

– Córka użyła dokładnie tego samego określenia, pani.

– Biorąc pod uwagę naszą wymianę zdań, uważam, że jest ono odpowiednie, panie.

– Języczek cięty jak u żmii. – Roześmiał się. – Powiedz, pani, czy kiedykolwiek rezygnujesz z ataku?

Szahrzad uśmiechnęła się, a był to zarazem promienny i kąśliwy uśmiech.

– Obawiam się, że nie byłoby to mądre, panie. Zwłaszcza w jaskini pełnej węży.

Sułtan pokręcił głową zbyt rozbawiony, by było to szczere.

– Musisz odwiedzić nas w Partii, nasze węże mają mało okazji do ataku. Nalegamy z Jasmine. Następnym razem, gdy Chalid wyruszy do Amardhy, musisz do niego dołączyć, byśmy mieli okazję zrewanżować się za waszą gościnność.

– Będzie to dla mnie zaszczytem, panie. – Szahrzad skłoniła głowę, dotykając palcami czoła.

Sułtan odwrócił się do króla młokosa z niepokojącym błyskiem w oku.

– Zaprawdę, siostrzeńcze, prawdziwy z niej skarb. Rozumiem, dlaczego dbasz o jej bezpieczeństwo. – Tylko głupiec nie usłyszałby zawołanej groźby, którą ociekały jego słowa.

Mimo to słaby władca nic nie odpowiedział i nic nie zrobił, choć Tarika kuśilo, by pobić drania z Partii gołymi pięściami. I toporem.

*Ci, którzy najczęściej milczą, są najmądrzejsi?*

Tarik prychnął pod nosem i skrzyżował ręce na piersi.

Król młokos zbliżył się do małżonki. Zatrzymał się przed nią na wyciągnięcie ręki, ale wciąż nic nie powiedział. Przyglądał się jej w milczeniu dziwnymi, pomarańczowożłotymi oczami. Po chwili zaczął się uśmiechać, a Szahrzad niemal niezauważalnie skinęła głową.

Ucisk w piersi Tarika zwiększył się na ten widok.

Szahrzad i młodego władcę łączyło zrozumienie, które wykraczało poza słowa.

Kalif skłonił się nisko przed małżonką, dotykając ręką czoła. Gdy się wyprostował, przesunął dłoń na serce, a następnie odszedł. Grupa udała się za nim, mijając Szahrzad i oddając jej cześć. Gdy Tarik zatrzymał się przed nią, odwróciła oczy zaczerwieniona, ściskając dłonie w pięści po obu stronach srebrnej peleryny.

W tej właśnie chwili Tarik przypomniał sobie słowa wuja w pierwszą noc, gdy zawitali z Rahimem do Reju, cali pokryci kurzem i wyczerpani męczącą podróżą, która trwała dwa dni.

„Miasto huczy od plotek. Mówi się, że kalif musi być zakochany w swojej nowej małżonce”.

Tarik ruszył szybkim krokiem, by dołączyć do grupy zebranej na pierwszym z tarasów wielopoziomowego ogrodu pełnego kwitnących drzew, pośród których kryła się wyszukana woliera z kolorowymi ptakami.

Król młokos nieustannie zerkał przez ramię w stronę swojego pałacu, gdy mijali kolejny taras.

W pewnej chwili kapitan al-Chouri powiedział tonem głośniejszym niż podczas normalnej rozmowy:

– *Sajjidi*, wydaje mi się, że zostawiłeś coś ważnego w wielkim portyku.

Kalif zmrużył dziwne oczy, patrząc na kuzyna.

– Może powinieneś się tym zająć i dopiero za chwilę dołączyć do polowania. – Nieznośny uśmiech kapitana stał się jeszcze szerszy.

Władca ponownie spojrział przez ramię. Następnie z gracją odwrócił się i mamrocząc przeprosiny, zaczął przepychać się przez grupę zebranych.

Tarik bez wątpienia wiedział, że szedł on do Szahrzad, podobnie jak domyślali się tego inni dostojnicy. Ledwo ich kalif zniknął, a już wzmożyły się rozmowy. Zaczęto się zakładać, ile minie czasu, nim Chorasán doczeka się nowego następcy tronu.

Sułtan Partii nadstawiał ucha i lekceważąco się temu przyglądał.

Tarik wyszczerzył zęby w uśmiechu, choć odczuwał wściekłość i ból. Po chwili nie mógł już tego znieść. Odwrócił się na pięcie.

– Dokąd się wybierasz? – zapytał kapitan al-Chouri.

Tarik zastanowił się szybko.

– Zostawiłem karwasz w komnacie.

– Myślę, że jakiś dla ciebie znajdziemy.

Tarik pokręcił głową z przepraszającym uśmiechem.

– Zoraja jest temperamentnym ptakiem, ma swoje przyzwyczajenia. Powiedz, gdzie was znajdę, a strażę wskażą mi drogę.

Kapitan spojrział Tarikowi w twarz.

– Gdy konie zostaną osiodłane, będą czekać na promenadzie przed królewską stajnią.

Tarik przytaknął i skinął na stojącego z boku strażnika.

– Tariku Imran al-Zijadzie?

– Tak, kapitanie al-Chouri?

– Czy ten szczególny karwasz naprawdę jest tak istotny?

Tarik uśmiechnął się, a jego srebrne oczy zajaśniały.

– Tak, jeśli chcę wygrać.



Szahrzad zatrzymała się przed stołem do kaligrafii. Przyglądała się misternym literom i ich delikatnej ornamentyce wyczarowanej artystycznymi pociągnięciami pędzla. Wielokolorowy tusz wirował na pergaminie, a słowa na nim niemal ożywały.

Smugi lekkiego światła rozchodzące się od złotosrebrnej tarczy słonecznej przesączały się nad królową przez okna kopuły portyku. Złote promienie roztaczały się stamtąd w stronę dziewięciu gzymsów, które tworzyły aureolę

z półek podtrzymywanych przez kolumny z pomarańczowego marmuru, ciągnące się od sufitu aż do podłogi.

– Ten jest całkowicie nieczytelny – narzekła Despina, zerkając przez ramię Szahrzad.

– Myślę, że to miłosny poemat. – Szahrzad się uśmiechnęła.

– Jaki jest cel nauki tak pięknego pisania, jeśli nikt nie rozumie twoich słów?

– To wyraz uczuć. Podejrzewam, że ten poemat wykonany jest stylem zgodnym z uczuciami jego twórcy.

– Więc to wiersz ukazujący, że jest analfabetą?

Szahrzad się roześmiała, a ten liryczny dźwięk poniósł się pod kopułą, odbijając się echem od kamiennych gzymsów wspartych na kolumnach.

– Bardzo głośno się śmiejesz, jakbyś była jedyną osobą na świecie – skomentowała Despina.

Szahrzad zmarszczyła nos.

– To zabawne. Moja siostra powiedziała kiedyś coś podobnego.

– Zakładam, że nie stanowi to dla ciebie większej różnicy.

– Dlaczego? Wolisz, bym się nie śmiała? – droczyła się Szahrzad.

– Nie – powiedział Chalid, wchodząc do wielkiego portyku. – Nie chciałbym tego.

– *Sajjidi*. – Despina się skłoniła.

Skinął jej głowę.

– Nie mogę mówić za Despinę, ale naprawdę głośno się śmiejesz, jednak mam nadzieję, że nigdy nie przestaniesz tego robić.

Despina spuściła głowę, lecz uśmiechnęła się, pospiesznie wychodząc z wielkiego portyku.

Szahrzad spojrzała na Chalida, walcząc z napływającymi emocjami. Poczowała ucisk w gardle, gdy gniew zagroził eksplozją słów z jej ust. Słów, na które kalif nie zasłużył.

Nie zasługiwał, by poznać jej najskrytsze myśli. Jej najgłębsze pragnienia.

To, jak bardzo jej na nim zależało. I jak mało powinno to znaczyć.

*Niech twoje tajemnice będą dla ciebie pociechą, Chalidzie Ibn al-Raszidzie.*

*Ponieważ ja nią nie będę.*

Szahrzad uniosła podbródek i odwróciła się, by wyjść.

Chalid chwycił ją za łokieć, gdy go mijała.

– Pukałem wczoraj do ciebie – zaczął.  
Jej serce zgubiło rytm.  
– Byłam zmęczona. – Nie chciała na niego spojrzeć.  
– I zła na mnie – powiedział cicho.  
Szahrzad w końcu zerknęła na niego przez ramię.  
Przyglądał się jej twarzy.  
– Nie. Zirytowana.  
– Puść mnie.  
Chalid uwolnił jej rękę.  
– Rozumiem dlaczego. Nie raczyłem powiedzieć ci o Jasmine. Przepraszam.  
To się więcej nie powtórzy.  
– Nie raczyłeś? – Szahrzad roześmiała mu się w twarz. – Nie raczyłeś?  
– Ja...  
– Wiesz, na jak wielką wyszłam idiotkę? Jak głupio się czułam?  
Chalid westchnął.  
– Chciała cię zranić i martwi mnie świadomość, jak wielki odniosła sukces.  
– Jak wielki odniosła sukces? Ty podły, nieczuły koński zadzie! Sądzisz, że jestem zła przez to, co zrobiła? Zła o to, że dla ciebie tańczyła? Boże, Chalidzie, jak można być tak inteligentnym, a jednocześnie tak niewybaczalnie tępym?  
Wzdrygnął się.  
– Szahrzad...  
– To nie ma z nią nic wspólnego. Zraniłeś mnie, Chalidzie Ibn al-Raszidzie. To twoje tajemnice, te zamknięte drzwi, do których nigdy nie uzyskam dostępu, mnie ranią! – wykrzyknęła. – Znowu mnie zraniłeś i odszedłeś!  
Teraz to jej ból, jak wcześniej śmiech, poniósł się echem, odbijając się od gzymsów wspartych na marmurowych kolumnach.  
Chalid wysłuchał echa jej głosu z grymasem, zamykając oczy. Kiedy ponownie je otworzył, wyciągnął rękę do Szahrzad.  
Odsunęła się.  
*Nie będę płakać. Nie przez ciebie.*  
Niezrażony Chalid chwycił ją za nadgarstki i uniósł jej ręce do swojej twarzy.  
– Uderz mnie, jeśli chcesz, Szazi. Zrób, co chcesz, ale nie zadawaj mi tej samej rany i nie odchodź.  
Położył sobie jej dłonie na policzkach i muskając palcami ramiona, czekał

na jej osąd.

Szahrzad zastygła w miejscu, pomiędzy jej rękoma znalazła się lodowa, kamienna pokrywa.

Gdy nic nie zrobiła, Chalid odgarnął włosy z jej twarzy dotykiem, który zarówno koił, jak i rozpalał.

– Przepraszam, *dżanam*. Za tajemnice. Za zamknięte drzwi. Za wszystko. Obiecuję, że pewnego dnia o wszystkim ci powiem. Ale jeszcze nie teraz. Uwierz, że niektóre sekrety są bezpieczniejsze za drzwiami zamkniętymi na klucz – powiedział cicho.

„*Dżanam*”. Już tak ją nazwał. *Moje życie*.

Dlaczego niosło to ze sobą tę samą prawdę, o której mówiła historia Tali i Mehrdada opowiadana przez nią tamtej nocy?

– Ja... – Przygryzła dolną wargę, zapobiegając jej drzeniu. Chciała powstrzymać potok słów tęsknoty.

Tęsknoty za wyznaniem pragnień jej kapryśnego serca.

– Wybacz mi po tysiącokroć, że cię zraniłem. – Przysunął się i złożył miękki pocałunek na jej czole.

*Zatracam się w nim. Nie mogę dłużej tego ignorować.*

Pokonana Szahrzad zamknęła oczy i przesunęła ręce na jego pierś. Objęła go, zamykając w uścisku zapach drzewa sandałowego i promienie słońca. Chalid także objął ją swymi ramionami. Stali tak pod kopułą wielkiego portyku, wśród nieczytelnych poematów miłosnych, dających im ciche świadectwo.



Pustka w jego piersi nie miała w tej chwili żadnego znaczenia.

Chętnie powróciłby do niej, gdyby to oznaczało, że nie musiałby być ponownie świadkiem tej sceny.

Gdy Tarik stanął w przedsionku wiodącym do wielkiego portyku, pomyślał, że się pomylił. Było tu tak cicho... Nic nie wskazywało na to, że Szahrzad tu przebywa.

Jednak w chwili, gdy skręcił za róg, zrozumiał przyczynę tej ciszy.

Widok zatrzymał go niczym rzucony w jego stronę sztylet.

Król młokos tulił Szahrzad w ramionach. Składał czuły pocałunek na jej czole.

A Szahrzad lgnęła do niego.



Tarik przyglądał się, jak przesunęła smukłe palce na plecy kalifa i przyciągnęła go jeszcze bliżej, opierając policzek na jego piersi niczym zmęczony podróżnik składający swą głowę w cieniu drzewa.

Na jej twarzy malował się spokój.

Jakby sądziła, że to właściwe. Jakby nie pragnęła niczego więcej.

Szahrzad była zakochana w mordercy Sziwy.

To było dla Tarika najgorsze. Sama myśl o tym pozbawiała go tchu.

Strażnik za nim celowo wywołał hałas. Najwyraźniej nie przejmował się konsekwencjami płynącymi z podsłuchiwanie kalifa Chorasanu.

Z odległego cienia po prawej stronie Tarika wychynął wielki ochroniarz Szahrzad, błyskając srebrnym ostrzem, które obiecywało karę.

Jednak tak naprawdę na miejscu zatrzymała Tarika reakcja króla młokosa.

Rzekomo podstarzałego wielbłąda.

Na pierwszą oznakę niespodziewanego zagrożenia ukrył Szahrzad za sobą. Zasłonił ją swą groźną sylwetką i z metalicznym zgrzytem wyciągnął *szamszir*, trzymając go pewnie w prawej dłoni skierowanego ostrzem w podłogę...

Był gotowy do ataku.

Twarz młodego władcy, zwykle pozbawiona emocji, ściągnęła się teraz i napięła. Wzdłuż jego zaciśniętej szczęki pojawiły się oznaki ledwie wstrzymywanej furii. Jego oczy płonęły niczym stopiona skała, gniewne i skoncentrowane na celu.

Szahrzad chwyciła kalifa za ramię.

– Chalid! – jęknęła. – Co robisz?

Nie wahał się.

W tej chwili Tarik pojął wczorajsze błaganie Szahrzad.

Nie był to znudzony, beznamiętny władca, który pozwalał, by jego małżonka toczyła za niego bitwy.

Niewątpliwie był kimś więcej.

Kimś, kto sprawiał, że Tarik potrzebował czasu do namysłu.

Czasu... by podjąć decyzję, jak wyrwać mu serce.

Tarik uśmiechnął się i przeczesał włosy palcami.

– To nie tutaj mieliśmy się zebrać na polowanie? – zapytał.



Chalid spojrział na syna Nasira al-Zijada z rozdrażnieniem.

Wyjaśnienie młodzieńca o tym, w jakim celu wtargnął do wielkiego portyku,

było absurdalne. Swoją głupotę niemal przypłacił życiem.

W normalnej sytuacji Chalid nie zareagowałby w ten sposób, jednak w mieście był Salim el-Szarif. Jeszcze tego ranka stał na otwartym krużganku pałacu Chalida i rzucał zawołane groźby wobec Szahrzad. Co prawda Chalid się ich spodziewał, jednak nie zmniejszyło to wcale jego gniewu.

Ignorowanie gróźb sułtana Partii, nieważne jak błahych, nigdy nie było mądre.

Chalid nie wiedział, kim był ten głupi chłopak ani wobec kogo był lojalny. Wczoraj te sprawy nie były istotne. Wczoraj ten chłopak stanowił jedynie drobną uciążliwość. Jedynym powodem, dla którego Chalid się nim zainteresował, był sposób, w jaki dzisiaj nieznajomy patrzył na Szahrzad. Nie robił tego tak, jak większość mężczyzn, którzy podziwiali wdzięki uroczej kobiety. Ludzie doceniali piękno ze względu na formę.

Zdecydowana większość gości Chalida była tego świadoma. Ci, którzy o tym nie wiedzieli, mieli określoną reputację – naganną moralność i lubieżne spojrzenie, które przywierało do wszystkiego, co znajdowało się w ich otoczeniu.

Tarik Imran al-Zijad nie patrzył na Szahrzad okiem człowieka doceniającego formę.

Dla tego młodzieńca miało znaczenie to, co mówiła. Zważał na myśli stojące za jej słowami.

W drodze do stajni Chalid szedł obok syna Nasira al-Zijada schodami wiodącymi do następnego ogrodowego tarasu. Jego straż trzymała się tuż za nim.

– Proszę, pozwól mi ponownie przeprosić, *sajjidi*. – Chłopak z kolejnym zakłopotanym uśmiechem poprawił karwasz.

Chalid szedł dalej przez ogród, zerkając spode łba na chłopaka.

– Możesz być pewien, że odnotowałem już różnicę między portykiem a promenadą, *sajjidi*.

– Lepiej byłoby, gdybyś wiedział to wcześniej – mruknął Chalid.

Młodzieniec zaśmiał się dźwięcznie. Był to prosty śmiech, który zarażał innych.

– Dziękuję, że nie pokroiłeś mnie na plasterki, *sajjidi*.

– Podziękuj królowej. Gdybym był sam, sprawy mogłyby się potoczyć inaczej.

Chłopak zwolnił kroku.

– Mogę ci pogratulować, *sajjidi*? Królowa... Wydaje się, że bardzo do siebie pasujecie.

Gość stawał się coraz bardziej uciążliwy. Kalif zatrzymał się i zwrócił twarzą do chłopaka.

Był wyższy od niego o połowę dłoni i szerszy w ramionach. Drażniło go to, że musiał spojrzeć w górę na tego głupca.

– Szahrzad jest trudną dziewczyną, a ja jestem potworem. Zgaduję, że to dzięki temu tak dobrze do siebie pasujemy.

Jasne oczy młodzieńca rozszerzyły się na te słowa.

– Obraziłem cię? – Chalid przyglądał mu się z uwagą. – Którymi słowami?

– Wszystkimi, *sajjidi*.

Chłopak nie był utalentowanym kłamcą. Drobną uciążliwość przeobraziła się teraz w prawdziwy problem.

Gdy Tarik próbował załagodzić niezręczną ciszę kolejnym pełnym uroku uśmiechem, Chalid ruszył ścieżką.

– Jesteś żonaty, Tariku Imran al-Zijadzie?

– Nie, *sajjidi*, ale wkrótce planuję się ożenić.

– Zatem jesteś zaręczony.

– Tak, *sajjidi*. Z dziewczyną, którą kocham od wielu lat. – Wydawał się mówić prawdę. – Właśnie dlatego wcześniej ci pogratulowałem. To wielki dar móc znaleźć trwałą miłość, która zarówno daje, jak i odbiera – stwierdził z niebywałym przekonaniem.

Były to pierwsze interesujące słowa, które wyszły z ust chłopaka podczas ich rozmowy. I nie za bardzo spodobały się Chalidowi.

Po pewnym czasie, gdy zbliżali się już do stajni, wyszedł im na spotkanie Dżalal. Przechylił głowę na bok ze zdziwienia, gdy zobaczył ich razem. Jednak zaraz skinął nią z zadowoleniem, zaś młodzieniec się uśmiechnął.

– Ponownie, *sajjidi*, przepraszam za wcześniejsze zajście. Proszę, podziękuj królowej w moim imieniu. Zdaje się, że zawdzięczam jej życie. – Chłopak skłonił się nisko przed Chalidem i ruszył w stronę stajni, biała *rida* powiewała na jego plecach.

– Co się stało? – zapytał Dżalal, gdy tamten oddalił się i nie mógł ich już usłyszeć.

Chalid nie odpowiedział.

– Wszystko dobrze między tobą a Szazi? – naciskał kapitan.

Chalid wciąż wpatrywał się w plecy syna Nasira al-Zijada.

- Chalidzie?
- Dowiedz się wszystkiego o Tariku Imran al-Zijadzie. O jego rodzinie i powiązaniach. O wszystkim.

Dżalal parsknął śmiechem.

- Co cię tak bawi? – zażądał odpowiedzi kalif.
- Krew nie kłamie. Mnie też ten chłopak cały dzień niepokoi.

## LATAJĄCY DYWAN I NADCHODZĄCY PRZYPLÝW



Szahrzad stała w niewielkim pomieszczeniu przeznaczonym na całą jej odzież. Przyglądała się, jak Despina przekłada zwitki jedwabiu w szerokiej gamie kolorów.

– Na Zeusa, mogłabyś coś wybrać? – jęknęła Szahrzad, przerzucając fale czarnych włosów za ramię.

– Cierpliwości. Szukam czegoś konkretnego.

– Więc bądź konkretna, żebyś mogła pomóc.

Despina wstała i wyciągnęła ręce nad głowę. Skrzywiła się, uginając lewą rękę.

Szahrzad z troską zmarszczyła czoło.

– Jak się czujesz?

– Dobrze. Źle spałam w nocy.

– Nie o to pytałam.

Despina parsknęła śmiechem bez humoru.

– Upłynie jeszcze wiele miesięcy, nim stanie się to dla mnie problemem, Szahrzad.

– Powiedziałaś już Dżalalowi?

– Nie.

– Kiedy mu powiesz?

– Gdy zdobędę się na odwagę lub gdy nie będę miała innego wyjścia, zależy, co nastąpi pierwsze. Nie mam zamiaru dłużej o tym rozmawiać. – Despina obróciła się w stronę tylnej ściany pomieszczenia, wkrótce zaś tam podeszła, by przerzucić jeszcze trochę zwiniętego jedwabiu.

Szahrzad ściągnęła brwi, patrząc na służącą i zastanawiając się, czy Despinie udało się przespać spokojnie choćby jedną noc przy tak wielkim zmartwieniu.

*Dlaczego nie chce mu powiedzieć?*

Gdy Despina do niej wróciła, jej twarz wyrażała irytację.

– Być może zabrałam to do siebie, do szycia. Chodź ze mną.

Obydwie dziewczyny porzuciły jedwab i adamaszek, by przenieść się do sypialni służącej. Zatrzymały się przed usytuowanymi w pobliżu wejścia głównego pojedynczymi drzwiami z polerowanego drewna. Despina otworzyła je i przeszła wąskim korytarzem, po czym chwyciła srebrną klamkę i otworzyła kolejne, prowadzące do pomieszczenia znajdującego się na samym końcu.

Szahrzad nie była wcześniej w pokoju służki, mimo że znajdował się on tak blisko jej własnej sypialni. Komnata była mała i schludna. Po jednej stronie znajdowało się zaścielone posłanie z kilkoma poduszkami, po drugiej zaś – niski stół. Stojąca w rogu szafa w kolorze miodowym wykonana była z tego samego drewna co blat. Przestrzeń wypełniał kwiatowy zapach jaśminu.

Despina podeszła do szafy, otworzyła ją i zaczęła w niej szukać.

Szahrzad przesunęła spojrzeniem po drewnianej skrzyni i zauważyła zawiniątko związane konopnym sznurkiem i wciśnięte pod ścianę.

Był to dywanik, który podarował jej Musa Zaragoza.

– Dlaczego on tu jest? – Szahrzad wskazała na rulon.

Despina zerknęła przez ramię i westchnęła.

– Miałam cię zapytać, czy mogę go wyrzucić.

– To był prezent!

– Stary i wytarty, prawdopodobnie służący za pożywkę dla moli. Nie chciałam trzymać czegoś takiego razem z twoimi ubraniami.

Szahrzad przewróciła oczami.

– Oddaj mi go.

Despina wzruszyła ramionami i podeszła do rulonu.

– Nie pojmuję, dlaczego ktoś miałby podarować kalifie Chorasaniu mały, brudny chodnik.

*„To bardzo wyjątkowy dywan. Gdy się zagubisz, pomoże ci odnaleźć drogę”.*

– Nie wydaje mi się, by był to zwykły dywanik.

– Więc co to jest?

– Może to mapa albo coś w tym rodzaju – zastanawiała się Szahrzad.

– Jeśli to mapa, z pewnością jest nieaktualna i bezużyteczna.

Szahrzad wyszła z pokoju Despiny i wąskim korytarzem udała się do swojej komnaty. Uklękła na podłodze i położyła rulon. Zaczęła szarpać za znajdujący się pośrodku węzeł. Gdy jej wysiłki okazały się daremne, przypomniała sobie,

dłaczego jej ciekawość nie została zaspokojona już za pierwszym razem – w chwili, w której otrzymała podarek.

– Ten piekielny węzeł...! – narzekała, gdy Despina zerknęła jej przez ramię.

– Pozwól, że ja spróbuję. – Służąca uklękła obok niej i zaczęła ciągnąć za sznurek. Rezultat był podobny, toteż dziewczyna przyjrzała się węzłowi, analizując jego splot. Następnie wyjęła srebrną szpilkę z włosów. Kaskada złotoorzechowych loków opadła na jej ramiona, Despina zaś wbiła szpilkę w środek węzła.

– Nie wytrzymasz, czarci suple – szepnęła, mrużąc z wysiłku niebieskie oczy.

Chwilę później węzeł się poddał, a obie dziewczyny pisnęły z triumfem.

Szahrzad rozwinęła dywan i rozłożyła go na podłodze.

Był rzeczywiście tak zużyty i wytarty, jak wydawało się na początku – miał wyblakłą barwę i ciemnoniebieskie obramowanie. Pośrodku znajdował się biało-czarny wzór w kształcie medalionu. Prawie wszystkie frędzle dywanu były pozrywane. Nieliczne, które pozostały, były brudne i pożółkłe ze starości, lecz wciąż trzymały się całości z niezłomnym uporem. W dwóch rogach widniały dziury przypominające ślady wypalenia.

Szahrzad przesunęła palcami po tkaninie, a w jej piersi pojawiło się dziwne mrowienie. Natychmiast cofnęła rękę zdenerwowana.

– Co się stało? – zapytała Despina.

Mrowienie zniknęło.

Szahrzad spojrzała na własne ręce i potarła opuszkami palców o siebie.

– Nic.

Obie dziewczyny wstały, by przyjrzeć się dywanikowi.

– Cóż... to brzydki chodnik – rzuciła Despina.

Szahrzad parsknęła śmiechem.

– Proszę, mogę go wyrzucić? – nalegała Despina.

– Myślałam, że to mapa. Musa-*efendi* powiedział, że pomoże mi odnaleźć drogę. – Ściągnęła brwi.

– Masz na myśli maga ze Świątyni Ognia?

– Nim właśnie jest Musa-*efendi*?

Despina zacisnęła usta i odwróciła spojrzenie.

– Miałas mi o tym nie mówić – powiedziała z uśmiechem Szahrzad. – Prawda?

Despina spojrzała na nią ostro.

– Interesujące – ciągnęła młoda kalifa. – Choć nie jestem zaskoczona. Działal wydaje się rozmowny. Zastanawiam się, co mówi w chwilach...

– Szahrzad!

Dziewczyna roześmiała się w głos, unikając kuksańca służki. Jej nagie stopy musnęły dywanik, a dziwne mrowienie powróciło do jej piersi. Coraz bardziej zaniepokojona, uklękła znów przed dywanem i położyła dłoń na jego materiale.

Pod jej skórą pojawiło się kłujące uczucie. Przypominało drętwienie powstające w wyniku długiego utrzymywania jednej pozycji. Jednak po chwili zaczęło rozgrzewać jej serce. Gdy zaś dotknęła palcami krawędzi dywanu...

Zwinał się pod jej ręką, jakby żył własnym życiem.

Zszokowana Szahrzad gwałtownie wciągnęła powietrze i niezbyt wdzięcznie upadła na bok.

– Co się stało? – zapytała przestraszona Despina, klękając obok niej.

– Dywan... się poruszył!

– Co?

Szahrzad przeczołgała się na kolanach, a jej serce zgubiło rytm.

– Patrz! – Położyła rękę na dywaniku. Kłujące uczucie pojawiło się pod jej skórą... a jeden róg chodnika uniósł się z podłogi.

Despina zakłęta pod nosem i odskoczyła.

– Co się dzieje?

– A skąd mam wiedzieć?! – krzyknęła Szahrzad.

– Zrób... zrób to jeszcze raz.

Szahrzad powtórzyła czynność, wtedy zaś kolejny róg uniósł się z podłogi z lekkością płynącej chmurki.

Despina zareagowała ostrożnie:

– Robiłaś już wcześniej takie rzeczy?

– Nie! To ten dywan, nie ja.

Służąca uklękła i położyła własną dłoń na starej, wyblakłej powierzchni. Poczekala chwilę... Nic się jednak nie stało.

– To nie tylko dywan, Szahrzad. To ty.

Kalifa przygryzła wargę.

– W takim razie robisz to nieświadomie. To musi drzemać w twojej krwi.

Despina westchnęła z irytacją. Przytrzymała dłoń młodej królowej nad dywanem. Jego krawędzie uniosły się z podłogi. Szahrzad próbowała się odsunąć, ale Despina nie chciała jej puścić.



Niedługo potem dywanik unosił się już w powietrzu obok ich ramion – latał, jakby utkany był ze snów. Gdy dziewczyny zabrały ręce, materiał z gracją opadającego płatka kwiatu podryfował ku marmurowej posadzce.

– To – szepnęła Despina z podziwem – z pewnością nie jest tania sztuczka.



Na pustyni, przed okazałym patchworkowym namiotem Omara al-Sadika Tarik zeskoczył z konia. Złapał za cugle swego ogiera i poprowadził go do pobliskiego zbiornika z wodą. Gdy koń pił, lustrzana powierzchnia wody zmarszczyła się, a wokół jego pyska utworzyły się kręgi. Tarik pogłaskał wspaniałe zwierzę po szyi.

Droga powrotna nie była łatwa.

Mimo że Szahrzad zapewniała, że jest bezpieczna, niemal niemożliwe było opuszczenie zarówno miasta, jak i jej. Przez ostatnie pięć dni Tarik pod promieniami palącego słońca przemierzał nawiane piaskowe wydmy, nieustannie walcząc z natłokiem myśli.

*Jak mogło do tego dojść?*

Nic nie miało sensu. Dziewczyna, którą znał, nie była zdolna do takiej niestałości. Dziewczyna, którą kochał była zbyt mądra, zbyt zaradna... zbyt lojalna, by dać się skusić potworowi. Zwłaszcza mordercy jej najlepszej przyjaciółki.

W umyśle młodzieńca szalała burza i wciąż powracała najbardziej bolesna myśl: to nie miało sensu.

Dlatego potrzebował wyjaśnienia.

Pamiętał opowieści o jeńcach tracących zimną krew wobec oprawcy. O więźniarkach zakochujących się w porywaczach. Choć nigdy wcześniej nie wierzył w prawdę tych historii, stanowiły one jedyne sensowne wytłumaczenie zachowania Szahrzad.

Nie była sobą. Tamto miejsce, tamten świat... potwór odebrał mu dziewczynę, którą Tarik kochał, i sprawił, że zapomniała o obranej wcześniej drodze.

Musiał ją stamtąd wydostać. I to szybko.

Z zamyślenia wyrwał go ostry pisk Zorai. Gwizdnął na nią. Wylądowała na wyciągniętej ręce odzianej w karwasz, nie mogąc się doczekać wieczornego posiłku. Młodzieniec wciąż był niespokojny, ale udało mu się uśmiechnąć do samicy sokoła, gdy podawał jej pasek suszonego mięsa.

– Powrócił nasz bezimienny *sahib!* – rozległ się za jego plecami znajomy głos. – Chociaż, jeśli wierzyć pogłoskom, nie jest wcale bezimienny.

Tarik obrócił się w stronę ogorzałej od słońca twarzy Omara al-Sadika.

– Pogłoskom?

Omar uśmiechnął się szeroko, odsłaniając dziurę w uzębieniu.

– Taka właśnie rola pogłosek. Często ostatni dowiadujemy się, kogo gościmy.

Tarik zamknął na chwilę oczy. Ekscentryczny szejik testował jego cierpliwość.

– Krążą o mnie jakieś pogłoski?

– O Białym Sokole. Zbawcy Chorasanu.

– O czym mówisz? – Tarik westchnął ciężko.

– Nie słyszałeś nic takiego? Mawiają, że jego herb jest zdobiony przez białego sokoła, że jeździec ten zamierza szturmować miasto Rej i obalić złego kalifa. – Oczy Omara zabłysnęły. – Coś mi się widzi, że Biały Sokół jest ci znajomy. Przyjaciele zwać go Tarik.

– Przepraszam – powiedział młodzieniec szorstko, zrzucając z głowy kaptur zakurzonej białej *ridy*. – Nie mam ochoty na te twoje gierki.

– Gierki? Wojna to nie gra, przyjacielu. Gry są dla dzieci i starców takich jak ja. Wojna jest zaraźliwą rozkoszą młodych mężów.

– Porzuć te słowne szarady, Omarze! Nie mogę znieść...

– Może zamiast tego spojrzysz na swój herb? – Omar puścił do niego oko. – Jest całkiem...

– Błagam! – To słowo wzbiło się ku pustynnemu niebu, niosąc w sobie frustrację i trwały ślad bólu.

Omar spojrzał bystro na zasmuconą twarz Tarika.

– Co stało się, gdy byłeś w Reju, przyjacielu?

Tarik wypuścił Zoraję i oparł się o koryto z wodą.

– Powiedz, co cię trapi – nalegał łagodnie Omar.

– Muszę... wydostać stamtąd Szazi. Wyciągnąć ją z pałacu. Odsunąć od tego potwora.

– Martwisz się o jej bezpieczeństwo. – Omar powoli pokiwał głową. – Dlaczego więc wróciłeś? – Jego obawy przyćmiła szczerza ciekawość.

Tarik skulił się, nie potrafiąc odpowiedzieć na to pytanie.

– Nie możesz mi powiedzieć, co się stało, przyjacielu?

Tarik spojrzał na zapadający powoli zmierzch, majaczący na horyzoncie.

Ślad słonecznego ciepła zwlekał jeszcze, nim na dobre ześlizgnął się po krawędzi cienia, blednąc w ciemności, która zamieniała się w mrok.

– Podejrzewałem, że o nią dba. Mimo wszystko pozwolił jej żyć, a przecież tak wiele... – Spojrzenie srebrnych oczu Tarika stało się chłodniejsze na tę myśl. – Ale tego się nie spodziewałem.

Omar podrapał się po brodzie.

– Rozumiem.

– Co? Co rozumiesz? – Tarik obrócił się do szejka Beduinów.

– Wierzysz, że młody kalif... – Omar położył sękatą dłoń na ramieniu młodzieńca. – Jest zakochany w twojej Szahrzad.

Tarik wbił wzrok w grube płótno rękawa Omara.

– A co sprawia, że tak myślisz? – ciągnął starzec tym samym łagodnym tonem.

– Sposób... w jaki na nią patrzy – szepnął. – Gdy to dostrzegłem, był to jedyny moment, kiedy nawet zaczynałem go rozumieć.

Omar ścisnął jego ramię.

– Być może... tak jest lepiej. Słyszałem, że młody kalif przeżył wielką stratę. Jeśli Szahrzad zdoła...

– Nie zostawię Szazi w rękach szalonego mordercy!

Omar zamrugnął powoli. Jego pomarszczone powieki unosiły się i opadały umyślnie ociężałe.

– Tariku, dlaczego to robisz? Dlaczego walczysz w tej bitwie?

– Ponieważ ją kocham – odparł bez wahania młodzieniec.

– Ale... dlaczego ją kochasz?

– Co to za nedorzeczne pytanie...

– Nie jest nedorzeczne. Właściwie jest bardzo proste. Trudność leży w odpowiedzi. Dlaczego ją kochasz?

– Ponieważ... – Tarik potarł kark. – Moje najpiękniejsze wspomnienia wiążą się właśnie z nią. Cierpiałem wraz z nią. I... śmialiśmy się razem z niczego.

Omar zabrał dłoń z ramienia chłopaka.

– Wspólna historia nie oznacza wspólnej przyszłości, przyjacielu.

– Nie mogę oczekiwać, że zrozumiesz – powiedział Tarik. – Nikt nigdy nie próbował odebrać ci Aiszy. Nikt...

– Nie muszę tracić żony, by znać sens straty, Tariku. Nawet dziecko z zepsutą zabawką to rozumie.

W piersi Tarika zawrzał gniew.

– Porównujesz moje cierpienie do cierpienia dziecka?

Omar pokręcił głową i uśmiechnął się rozbawiony.

– Strata to strata. Płynie z niej niezmienna nauka.

– Nie jestem w nastroju do nauki.

– Ani ja. – Omar się zaśmiał. – Zamiast tego opowiem ci historię.

– Proszę, nie...

– Pewnej jasnej nocy, a było to wiele lat temu, przyglądałem się, jak tysiąc gwiazd spada z nieba. Byłem tylko małym chłopcem, lecz miałem niespokojne serce, więc postanowiłem ścigać te gwiazdy po pustyni, udać się daleko za horyzont. Widzisz, chciałem wiedzieć, co się z nimi dzieje, gdy już spadną. Biegłem tak długo, aż opadłem z sił. Jednak wciąż nie wiedziałem, co stało się z gwiazdami.

– Twoja historia to nauka – stwierdził Tarik oschłym tonem. – Nie jestem aż takim głupcem.

Omar wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– A mówiłem ci, że po dziś dzień mam ochotę ścigać spadające gwiazdy?

– Mogę to zrozumieć, bo obecnie mam równie wielką ochotę stąd uciec.

Omar odrzucił głowę w tył i zaniósł się głośnym śmiechem.

– Nie rób tego, póki nie dokończę nauki, młody przyjacielu! Nie możesz pozbawić starca jego zasłużonego prawa.

– Nie. Nie mogę. – Mimo ciężaru na sercu Tarik uśmiechnął się bezwolnie. – Dokończ lekcję, czcigodny *efendi*.

– Niektóre rzeczy istnieją w naszym życiu jedynie przez krótką chwilę. I musimy pozwolić im odejść, by oświetlały inne niebo.

Tarik wpatrywał się w mrok za namiotami.

– Chcesz, bym zostawił sprawy takimi, jakie są. Jednak nie mogę. Nie zrobię tego.

– I zawsze uszanuję twój wybór, Tarik-*dżanie*. Choć możemy się nie zgadzać, spróbuję zapewnić ci takie wsparcie, jakie tylko zdołam. Chodź ze mną. Wuj na ciebie czeka.

– Wuj Reza tu jest? – Tarik spojrzał przez ramię Omara.

– Przybył dwa dni temu z twoim przyjacielem Rahimem i od tamtej pory z niepokojem czekają na twój powrót. – Omar poprowadził Tarika do wejścia największego namiotu na pustynnej enklawie. Odsunął klapę, po czym obaj weszli do środka.

– Powrócił nasz syn marnotrawny! – powiedział Omar, podchodząc do rogu pomieszczenia i z żartobliwym ukłonem zajmując miejsce obok Rezy.

Tarik zdjął buty i zostawił za sobą okrycie. Wszedł głębiej w półmrok. Patchworkowy dywan pod jego stopami był miękki, choć wytarty. Odzwierciedlał ciemny kolaż tkaniny tworzącej ściany wokół niego. Przestrzeń wewnątrz namiotu wypełniała lekka mgiełka dymu. Pachniała tytoniem i melasą.

– Chodź, napij się herbaty – powiedział z uśmiechem Omar. – Od kilku dni wspaniale spędzam czas z twoim wujem, ponieważ on również uwielbia dobre historie miłosne.

Tarik usiadł na wełnianym siedzisku przy drewnianym stole, na blacie którego stał srebrny dzbanek z herbatą, kilka grawerowanych szklaneczek i górująca nad wszystkim *nargila* wykonana z ciemnozielonego szkła. Długa miedziana fajka, owinięta jedwabiem, wiła się wokół stołu w kierunku ręki Rezy bin-Latiefa. Węgiel na szczycie naczynia rozjarzył się jasnopomarańczowo, a woda w szklanej bańce zabulgotała szarym dymem, gdy mężczyzna zaciągnął się przez rzeźbiony ustnik. W powietrzu uniósł się słodki zapach, który po chwili rozwiął się, tworząc siną chmurę mieszającą się z mgiełką zawieszoną powyżej.

– Wuju. – Tarik wyciągnął do Rezy dłoń, a ten ją uścisnął.

– Byłeś bardzo zajęty, Tarik-*dżanie* – powiedział cicho Reza.

Tarik odetchnął przez nos.

– Wiem, że prosiłeś, bym czekał w Talekan na twą wiadomość.

Reza w ciszy palił fajkę.

– Ale nie mogłem pozwolić, byś wykonał wszystko sam – dokończył młodzieniec.

– Widzisz? Mówiłem ci. Już jest bohaterem – zarechotał Omar.

– Bycie bohaterem polega również na tym, by wiedzieć, kiedy zachować spokój – odparł Reza.

Tarik na to nie zareagował, chociaż Omar roześmiał się serdecznie.

– Czego więc się dowiedziałeś podczas tej ryzykownej wyprawy do Reju? – zapytał Reza.

– Dowiedziałem się, że jeszcze wiele muszę się nauczyć.

Reza podał Omarowi fajkę.

– I czego jeszcze?

– Dowiedziałem się, że kalif Chorasanu nie tylko jest szalony, lecz także

niebezpieczny.

– Jak to?

– Jest zbyt bystry jak na szaleńca. To... zaskakujące.

– Szaleńcy tacy właśnie są. – Oczy Omara błysnęły w półmroku, gdy chmurka dymu opuściła jego nozdrza.

– Co jeszcze o nim wiesz? – dopytywał Reza.

Tarik oparł się na siedzisku.

– Jest arogancki i nie ma cierpliwości.

– A jakieś słabości? – naciskał Reza.

Tarik się zawahał.

– Tariku?

Nim Tarik zdołał odpowiedzieć, kłapa namiotu ponownie się odchyliła, a do środka wszedł Rahim, prowadząc za sobą Jahandara al-Chajzurana. Trzej mężczyźni siedzący przy stole spojrzeli na nich. Rahim posłał Tarikowi przepraszające spojrzenie, a Jahandar odchrząknął i zaczął kaszleć.

– Mogę... dołączyć? – zapytał Jahandar.

Omar uśmiechnął się szeroko.

– Oczywiście! Witamy.

Tarik wstał od stołu, usilnie starając się ukryć irytację, gdy Jahandar stanął na dywanie. Skłonił się i dotknął ręką czoła.

– Jahandar-*efendi*.

– Tarik-*dżan*. – Jahandar z nadzieją spojrział w srebrne oczy, ale dostrzegł w nich tylko powagę, więc na jego twarzy odmalowało się smutne zażenowanie.

Gdy wszyscy usiedli, Reza ponownie zaczął dopytywać:

– Mówiłeś o słabościach króla młokosa.

Tarik westchnął przeciągle.

– Tak, wuju.

Grymas na twarzy Rezy pogłębił się w odpowiedzi na wyraźną konsternację Tarika.

– Tarik-*dżanie*, co...

– Szahrzad – rzucił młodzieniec. – Zależy mu na Szahrzad.

Oblicze Rezy pozostało bez wyrazu.

– To dobrze?

– Nie wiem. Wiem tylko, że zależy mu jedynie na niej. I że chciałbym ją stamtąd wydostać. Jak najszybciej.

Reza uniósł brwi na te słowa.

– Coś się tam stało podczas twego pobytu?

– Szahrzad, będąc w pałacu, każdego dnia naraża się na niebezpieczeństwo.

Nie mogę na to dłużej pozwolić.

– Taki bohaterski. – Omar zaśmiał się cicho.

Reza wziął filiżankę z herbatą i upił łyk.

– Rozumiem twoje obawy, ale...

– Proszę, wuju. Pozwól mi to zrobić. Pomóż mi.

Reza spojrzał na siostrzeńca ze spokojem.

– Przepraszam, Tarik-*dżanie*, ale dopiero zbieramy nasze siły. Nie zaczęliśmy nawet przygotowań do oblężenia takiego miasta jak Rej. Emir Karaju obiecał nam spore zapasy broni, a także siedmiuset wojów. Wkrótce powinni się oni zjawić. Jego przyjaciel z północy przysłał dodatkowych dwustu. Jestem też w kontakcie z kilkoma moimi przyjaciółmi, ludźmi handlu, którzy mają dosyć rządów okrutnego tyrana. Króla młokosa, który zabija bez powodu. Są gotowi zjednoczyć się pod sztandarem Białego Sokoła. Są gotowi dla ciebie walczyć.

– Zatem, gdybyś dał mi kilku...

– Nie. Jeśli wszyscy ci mężowie gotowi są walczyć, musi istnieć większa przyczyna niż twoja miłość, Tariku. Nie możesz wmaszerować do największego miasta Chorasanu z raczkującą armią, by ratować jedną dziewczynę. Bądź prawdziwym przywódcą. Zachowaj spokój. Musisz poczekać. Gdy nadejdzie właściwy czas, twoja cierpliwość zostanie sowicie wynagrodzona. Zaufaj mi.

Tarik zamknął oczy i zacisnął dłonie w pięści, próbując odzyskać kontrolę nad wzbierającą falą uczuć.

– Omarze...

Omar westchnął.

– Ach, przyjacielu. Liczysz na moją słabość do historii miłosnych. Niestety jestem starcem bez braci i synów, ostatnim ze swojej linii. Nie będę walczył. Trudno zmyć krew ze starej szabli. Wiedz jednak, że dla miłości z ochotą zaryzykowałbym moje skromne życie. Jednak życie moich ludzi i tych, którzy walczą w moim imieniu? Nie mogę ryzykować takim skarbem. Bardzo mi przykro, przyjacielu.

Tarik w ciszy popijał herbatę, podczas gdy Omar i Reza przeszli do dyskusji na inny temat. Ich słowa nie dawały mu spokoju, dźwięcząc echem w jego

uszach, unosząc się wraz z dymem... tracąc znaczenie. Gdy herbata wystygła, Tarik wstał, by odejść. Gniew bulgotał w nim niczym woda w *nargili*, a ilekroć pomyślał o młodym kalifie, widział oczy płonące niczym węgle na szczycie tego naczynia.

Szaleniec z temperamentem, lubujący się w śmierci...

I spokojna twarz Szahrzad wtulona w jego ramiona.

– Tarik-*dżanie*? – Łagodny głos zawołał go z tyłu.

– Co? – Młodzieniec się odwrócił.

Jahandar cofnął się, rozchylając usta, a końce jego kręconej brody uniósł kojący wieczorny wiatr.

Tarik westchnął ostrożnie.

– Przepraszam, Jahandar-*efendi*. Wybacz.

Starzec pokręcił głową.

– Nie, nie. To ja przepraszam, że zakłóciłem twoje myśli.

– Nic nie szkodzi. – Tarik zacisnął usta. – Powinienem nauczyć się lepiej je kontrolować.

Jahandar przytaknął. Przesunął dłonie do przodu i wsunął je za *tikkę*.

– Chciałbyś o czymś ze mną porozmawiać? – zapytał Tarik.

– Tak. – Jahandar przełknął ślinę. – Istotnie. – Wyprostował się i splótł ręce.

– Czy... czy gotów jesteś zrobić wszystko, co konieczne, by uratować moją córkę?

Tarik wytrzeszczył oczy. Przysunął się o krok.

– Wiesz, że tak.

Tęczęwki Jahandara zabłysnęły w świetle otaczających ich pochodni.

– Pozwól więc, że ci pomogę.



## KTOŚ, KTO WIE



Obudził ją stłumiony zgrzyt drzwi. Szahrzad rozpoznałaby go nawet we śnie. Jednak tym razem coś było nie tak.

Ktoś był w jej komnacie. Ktoś zuchwał.

Obserwowała ją niepożądane oczy. Gęsia skórka pokryła jej kark, a pobudzona przez strach krew szybciej popłynęła w jej ciele.

Szelest zbliżających się kroków zmusił ją do podjęcia natychmiastowej decyzji.

Otworzyła oczy i krzyknęła, wypełniając ciemność dźwiękiem przerażenia. Kroki zbliżyły się pospiesznie, więc rzuciła się na drugą stronę posłania, próbując uciec. Szarpnęła cienką jedwabną zasłonkę, przeklinając jej bezsensowne istnienie.

Serce niemal nie wyskoczyło jej z piersi na widok otwierających się po drugiej stronie komnaty drzwi do pokoju Despiny.

– Szahrzad?

Olbrzymie cienie zaczęły poruszać się po sypialni – cienie spowite w coś więcej niż noc.

*Boże, Despina!*

Szahrzad złapała za krzesło stojące obok jej łóżka i ponownie krzycząc, starała się odpędzić cienie od swojej służki. Gdyby Despinie udało się czmychnąć z komnaty...

Gdy czyjaś ręka sięgnęła w kierunku Szahrzad, ta zamachnęła się krzesłem.

– Szahrzad! – zawołała Despina.

– Uciekaj! – nakazała młoda królowa.

Służka ruszyła w kierunku podwójnych drzwi, a dwa cienie podążyły za nią. Udało jej się otworzyć jedno skrzydło i wybiec na marmurowy korytarz pałacu. Z jej gardła wydostało się tylko jedno napędzane lękiem słowo:

– Dżalalu!

Jeden z cieni podszedł do Szahrzad, drugi chwycił ją od tyłu. Gdy

przyciągnął ją bliżej, para wściekłych męskich oczu błysnęła pod czarną maską. Kalifa rozbiła napastnikowi krzesło na głowie. Ten złapał za nie, klnąc pod nosem, i wierzchem dłoni uderzył Szahrzad w policzek.

Upadła na marmurową posadzkę, a do jej oczu napłynęły łzy od piekącego bólu. Gdy kolejny cień spróbował ją podnieść, wyciągnęła rękę i złapała za materiał zasłaniający twarz wroga. Mężczyzna podniósł ją, trzymając za szyję, i popchnął na ścianę.

– Kim jesteś?! Czego chcesz?! – krzychała, wyrywając się.

W korytarzu przy jej pokoju rozbrzmiało więcej kroków.

Z bolesnym protestem otworzyły się podwójne drzwi, odsłaniając postać ze smukłą szablą.

*Chalid.*

Napastnik zaśmiał się cicho i okrutnie, wzmacniając ucisk na jej szyi.

Chalid nie zadawał pytań. Nie próbował negocjować. Jego *szamszir* błysnął w ciemności, a cień znajdujący się przy drzwiach upadł na posadzkę, bulgocząc i dławiąc się. Chwilę później przez próg sypialni wpadł Dżalal z biegnącym tuż za nim radżputem.

– Zabierz stąd Chalida! – krzyknął kapitan do radżputa.

Przepychając się bezczelnie, radżput minął Dżalala i uniósł *talwar*.

Chalid, wywijając szablą, ruszył naprzód. Cienie gęstniały na jego drodze. Łącznie z tym, który przyciskał Szahrzad do ściany. Było ich co najmniej osiem.

W komnacie rozległ się zgrzyt wyciąganych z pochew szabel, a mężczyzna trzymający Szahrzad za szyję przyciągnął ją plecami do siebie, dusząc przedramieniem.

Radżput dołączył do walki z cieniami, Chalid i Dżalal osłaniali go po bokach. W pomieszczeniu panowała śmiertcionośna cisza, słysząc było tylko szcęk uderzających o siebie ostrzy szabel, pozostawiających jedynie krew i nienawistną wściekłość.

Cienie przegrywały.

Napastnik zaczął ciągnąć Szahrzad ku wyjściu na taras. Rozluźnił rękę, więc udało jej się wyrwać. Wzięła zamach i uderzyła go pięścią w twarz. Trafiła prosto w szczękę, jednak siła ciosu sprawiła, że obróciła się. Mężczyzna rzucił się na nią, jedną ręką chwytając ją za ramię, a drugą za kark.

– Zabiję cię za to – warknął jej do ucha.

– Powiedział trup – wychrypiała.

– Jeszcze nie. – Wsunął dłoń w jej włosy i zacisnął palce przy skórze, trzymając ją przed sobą niczym tarczę. Szahrzad zdusiła jęk, gdy łzy napłynęły jej do oczu.

– Chalidzie Ibn al-Raszidzie!

Kiedy znów mogła coś zobaczyć, zauważyła, że Dżalal i radżput stoją na wyciągnięcie ręki z bronią gotową do użycia.

Chalid po raz ostatni ciął szablą, krew trysnęła z nagiej piersi jego przeciwnika, którego twarz stała się ciemnoczerwona. Gdy przemierzał komnatę, z jego oczu biła wściekłość, a srebrna szabla ociekała szkarłatem.

Cienie, które ich zaatakowały, leżały teraz cicho w bezruchu.

Gdy Chalid się zbliżył, palce na włosach Szahrzad zacisnęły się jeszcze bardziej. Oprawca pociągnął ją mocno, więc z jej ust wymknął się jęk.

Dżalal zaklął, a ostrze jego bułatu błysnęło jasno w poświacie księżyca.

Chalid zatrzymał się w pół kroku.

Wróg zaśmiał się, a dźwięk ten przypominał uderzenie kamienia o metal. Drugą ręką przycisnął do szyi kalify niewielki sztylet.

– Ani jednej skargi? – szepnął jej do ucha.

– Nie błagam – odparła. – Zwłaszcza trupów.

– A potężny kalif Chorasanu? – powiedział napastnik w ciemność. – Czy Król Królów chciałby się na coś poskarżyć?

Chalid ponownie zbliżył się do nich w brutalnej ciszy, trzymając uniesiony *szamszir* blisko ciała.

– Nie ruszaj się, synu dziwki! – wykrzyknął oprawca. – Albo wytnę dziurę w jej gardle. Będiesz mógł przyglądać się, jak umiera, tak jak przyglądałeś się swojej matce.

Chalid zamarł. Szahrzad obserwowała, jak wyraz jego twarzy się zmienia. Bursztynowe oczy zaszyły mgłą na odległe wspomnienie. Wyblakły z bólu. Surowe cierpienie piętnujące jego duszę pozbawiło ją tchu. Zakrwawiony *szamszir* opadł do boku.

– Zabiję cię za to – rzuciła Szahrzad przez ramię.

Śmiech zadudnił przy jej plecach.

– Czego chcesz? – zapytał cicho Chalid.

– Rzuć broń.

Ostrze z ostrym brzękiem wylądowało na marmurowej posadzce. Bez najmniejszego wahania.

Napastnik zadrwił triumfalnie:

– Powiedz im, by też rzucili swoją.

– Przerwij to! – zawołała Szahrzad.

*Spójrz na mnie, Chalidzie. Proszę! Nie słuchaj tej bestii.*

Napastnik zabrał rękę z włosów Szahrzad i chwycił ją za podbródek, unosząc jej głowę i dociskając sztylet do jej skóry.

– Dżalalu. Wikramie. Zróbcie, jak mówi. – Głos Chalida był ciężki. Przyzwalał bezwolnie.

– Chalidzie! – zawołała zrozpaczona Szahrzad. – Nie rób tego. Dżalalu, nie słuchaj go. Nie możecie...

– Powiedz jeszcze jedno słowo, a dopilnuję, by było twoim ostatnim. – Napastnik przesunął rękę z jej podbródka na usta.

Szahrzad ugryzła go tak mocno, jak tylko zdołała. Na języku natychmiast poczuła smak soli i potu. Oprawca ryknął i poluzował uchwyt. Wbiła mu łokieć w brzuch, a ostrze jego sztyletu prześlizgnęło się po jej szyi, pozostawiając po sobie palący ślad. Para silnych rąk szarpnęła ją na bok, przyciągając do zakrwawionej piersi.

Serce Chalida łomotało przy niej głośno i szybko. Galopowało przy jej policzku, każdym swym uderzeniem składając bezsłowną obietnicę.

W tej właśnie chwili to wystarczało.

Radżput powalił napastnika na podłogę. Dżalal kopnął go kolanem w pierś i uderzył w szczękę inkrustowaną rękojeścią szabli.

– Na jakim świecie żyjesz, sądząc, że uda ci się bezkarnie wywinąć? – grzmiał Dżalal. – Mojemu kuzynowi? Mojej rodzinie? – Nadal uderzał lśniąca rękojeścią.

– Wystarczy! – Chalid wypowiedział to słowo z taką mocą i z tak niekontrolowaną furją, że wszystkie dźwięki w komnacie zamarły. Złapał *szamszir* i ze złowrogim zgrzytem przeciągnął jego ostrzem po marmurowej posadzce.

Dżalal bez sprzeciwu odsunął się od mężczyzny i podbiegł do Szahrzad. Radżput wtopił się w pobliski cień, w wielkich dłoniach wciąż ściskając *talwar*. Jego brodata twarz była zimna i dzika w poświacie księżyca.

Chalid podszedł do przodu.

Mężczyzna leżał na podłodze, krew ciekła z jego nosa i ust. Kiedy zauważył stojącego nad nim Chalida, zaczął się ochryple śmiać.

Kalif umieścił szpic szabli na szyi mężczyzny.

– Miała rację. Jesteś trupem. Jestem jednak gotów negocjować stopień bólu.

Ochrypli śmiech napastnika tylko się wzmógł.

– Kto cię przysłał? – ciągnął dzikim szeptem Chalid.

– Ktoś, kto pragnie zobaczyć, jak cierpisz.

– Powiedz, a oszczędzę ci bólu, na który z pewnością zasługujesz.

Człowiek zakaszłał, a z jego spuchniętych warg trysnęła purpurowa krew.

– Myślisz, że się ciebie boję, chłopczyku?

– Zapytam po raz ostatni, a potem odpowiedź zostanie wyrwana z twoich ust.

– Myślisz, że zmienisz przeznaczenie? Bez względu na to, jak długo będziesz z nim walczył, zapłacisz za to, Chalidzie Ibn al-Raszidzie. – Mężczyzna posłał Szahrzad wymowne spojrzenie.

– Porzućmy słowa. – Chalid przeciągnął szablą po szyi wroga, na której pojawiła się strużka posoki. – W tej kwestii zawsze zgadzałem się z moim ojcem.

Śmiech człowieka stał się maniakałny.

– Chcesz wiedzieć, kto mnie przysłał, najjaśniejszy Królu Królów? Powiem ci – wydyszał oprawca i zaczął się dusić. – Ktoś, kto wie.

Mówiąc to, przesunął szyją po ostrzu.

Dżalal złapał Szahrzad i obrócił jej twarz w stronę swojego ramienia. Trzęsły jej się ręce, więc położył dłoń na jej policzku, chcąc ją w jakiś sposób uspokoić.

Radżput kucnął obok ciała napastnika. Spojrzeniem swoich czarnych oczu powiódł po nieruchomej sylwetce, następnie odsunął ciemny rękaw z przedramienia mężczyzny. W jasnym świetle księżyca wpadającym z tarasu Szahrzad dojrzała słaby znak wypalony na skórze wroga. Był to zarys skarabeusza.

– *Fedain*ski pies – rzucił radżput grzmiącym głosem.

Chalid przyjrzał się piętnu w milczeniu. Potem zaś się odwrócił. Klnąc pod nosem, zabrał *szamszir* i przeszedł na drugą stronę pomieszczenia.

– Co? – zapytała Szahrzad Dżalala.

– *Fedain*. Najemnik. Zabójca.

Szahrzad gwałtownie wciągnęła powietrze, a pytania utknęły jej w gardle.

Dżalal zerknął na jej szyję.

– Boże. Krwawisz. – Odsunął jej włosy.

Zanim zdołała zareagować, została uniesiona z podłogi. Chalid, nie zważając na jej protesty, wziął ją na ręce i wyniósł z miejsca masakry. Dżalal i radżput poszli za nim. Gdy znaleźli się za progiem, martwe ciała dwóch

strażników pełniących służbę pod jej drzwiami patrzyły na nią nieruchomymi, przeszkłonymi oczami. Ich poderżnięte gardła ziały otwarte. Dziewczyna stłumiła jęk.

– Wszyscy nie żyją – powiedział Chalid, nie patrząc na nią. – Każdy strażnik w korytarzu jest martwy.

Zacisnęła ręce wokół jego szyi, kiedy ją niósł. Gdy wyszli z za rogu, przez drzwi wpadli żołnierze prowadzeni przez generała al-Chouriego.

– Jest ranna? – zapytał nagłym tonem *szahrban*.

– Nic mi nie jest – odparła, zaskoczona jego troską. – Naprawdę.

– Zranili ją – wyjaśnił Dżalal.

– Ale nie bardzo – spierała się. – Postaw mnie. Mogę iść.

Kalif ją zignorował.

– Mogę iść, Chalidzie.

Ponownie na nią nie spojrzął, toteż nie można było spodziewać się odpowiedzi.

Przemierzali korytarze, a strażnicy oświetlali im drogę, otaczając ich lśniąca flanką zbroi i pochodni. Szahrzad poddała się w tej walce – oparła twarz o ramię Chalida i zamknęła oczy, bo raził ją blask, zaś mężczyzna mocniej ją przytulił.

Skręcili w kolejny, mniejszy korytarz, w którym nigdy nie była. Wyłożony był kamieniem, a jego łukowato sklepiony sufit wykonany był z gładkiego alabastru. Chwilę później zatrzymali się przed podwójnymi drzwiami z polerowanego hebanu. Ich okucia wykonane były z brązu i żelaza.

– Straże mają strzec korytarzy, a także drzwi wiodących do mojej komnaty dotąd, dopóki nie rozkażę inaczej – zakomenderował władca. – Pamiętajcie również, że jeśli ktokolwiek wedrze się do pałacu, odpowiecie bezpośrednio przede mną.

Jeden ze strażników energicznie skinął głową, po czym pociągnął za jedną z klamek z brązu. Chalid przeszedł przez wielkie hebanowe drzwi, niosąc na rękach Szahrzad. Nie postawił jej. Przemierzył ciemną komnatę i stanął przed kolejnymi, identycznymi jak pierwsze, drzwiami. Kiedy przeszli przez próg, znaleźli się w rozległym pomieszczeniu z sufitem oświetlonym w centralnej części przez połączony żyrandol. Chalid posadził Szahrzad na skraju znajdującego się na podwyższeniu łóża udekorowanego matowym jedwabiem. Następnie podszedł do ogromnej szafy z drewna hebanowego, która stała przy tylnej ścianie pomieszczenia. Wyciągnął z niej len i okrągłe

naczynie, potem zaś zabrał stojący na biurku dzban.

Uklęknął przed Szahrzad i odsunął jej włosy za ramię, by obejrzeć ranę.

– Mówiłam ci – zaczęła dziewczyna – że nie zranił mnie mocno. Mogło być o wiele gorzej. To tylko zadrapanie.

Chalid wylał odrobinę wody z dzbana na płótno, które następnie przyłożył do jej szyi, starając się oczyścić ranę.

Szahrzad przyglądała się jego twarzy, gdy ją opatrywał. Cienie pod jego oczami były teraz jeszcze bardziej widoczne. Na policzku i czole miał strużki zaschniętej krwi, które znaczyły jego opaloną skórę. Jego mięśnie były napięte, nie patrzył jej w oczy. Linie jego profilu wydawały się ostre. Nieustępliwe. Niczym krawędzie pomiętego pergaminu, wymagające wygładzenia... lub zniszczenia raz na zawsze.

Gdy zmoczył kolejny kawałek materiału, Szahrzad położyła rękę na jego dłoni i zabrała mu płótno. Uniosła je do jego twarzy i wytarła ciemną krew wrogów.

Chalid w końcu spojrzał na nią swymi tygrysimi oczami. Powiódł wzrokiem po jej twarzy, gdy zmywała ślady śmierci pewnymi ruchami zgrabnych palców. Pochyliła się, oparła czoło na jego czole i wzięła go za ręce, uspokajając drżenie ich obojga.

– Chcę cię stąd odesłać. Do miejsca, w którym nikt cię nie skrzywdzi – zaczął.

Jej serce zabiło mocniej, więc się odsunęła.

– Odesłać mnie? Jakbym była jakąś rzeczą?

– Nie. Nie o to mi chodziło.

– W takim razie o co?

– O to, że nie potrafię zapewnić ci bezpieczeństwa. W żaden sposób.

– I według ciebie najlepsze rozwiązanie to mnie odesłać? – powtórzyła ostrym szeptem.

– Moje rozwiązanie nie jest rozwiązaniem. Należy zrobić to, co konieczne. Choć to okropne, że będziesz daleko ode mnie.

– I oczekujesz, że się podporządkuję? Że pojedę gdziekolwiek rozkażesz?

– Oczekuję, że mi zaufasz.

Szahrzad zmrużyła oczy.

– Musisz wiedzieć, że nie jest mi miło, gdy traktujesz mnie jak swoją własność.

– Nigdy cię tak nie traktowałem, Szahrzad.

– Dopóki nie stwierdziłeś, że mnie odeślesz.

Chalid położył ręce na jej bokach.

– Jesteś moją żoną. Skrzywdzili cię z mojego powodu.

– Oni? Masz na myśli *fedainów*? – Zawahała się. – Kim są? Komu służą?

– Temu, kto jest w stanie opłacić ich żądania. Lojalność przychodzi i odchodzi niczym fale na morzu. Złoto tego nie robi. Ludzie, którzy ich najęli, mają poza nim niewiele do zaoferowania.

– I uważasz, że będzie lepiej, jeśli poddasz się takim ludziom?

– Nie dbam o to, co myślą, póki będziesz bezpieczna.

– A powinieneś. Czas, byś zaczął o to dbać. Nie możesz nadal rządzić tym królestwem w tak bezduszny sposób.

Uśmiechnął się gorzko.

– Mówisz, jakbyś rozumiała. Jakbyś wiedziała.

– Masz rację. Nic nie rozumiem. I nic nie wiem. Czyja to wina? – Szturchnęła go w nagą pierś, wstała z łoża i wyminęła go.

– Mówiłem ci dlaczego. – Chalid również wstał. – Nie byłoby dla ciebie bezpieczne, gdybyś wiedziała o tych sprawach. Abyś wiedziała...

– Wiedziała o czym? – Odwróciła się twarzą do niego. – O tobie? Nie wiem, czy kiedykolwiek mogłabym mieć chociaż nadzieję, że to nastąpi. Mimo wszystko, jak idiotka, chciałam się czegoś o tobie dowiedzieć. Zrozumieć, co sprawia ci ból, co przynosi radość. Jednak trzymasz mnie w nieświadomości, nawet jeśli chodzi o podstawowe rzeczy. Nie wiem, jaki jest twój ulubiony kolor. Jakie jedzenie ci nie smakuje. Jaki zapach przywołuje na myśl wspomnienia. Nic nie wiem, ponieważ walczysz ze mną na każdym kroku.

Kalif przyglądał jej się ostrożnie, z rozmyślnym opanowaniem, choć jego oczy zdradzały głębszy konflikt, którego już dłużej nie mógł ukrywać.

– Nie wiem, czego ode mnie chcesz, Szahrzad. Wiem tylko, że nie mogę ci tego dać. Nie teraz.

– To nie musi być wcale trudne, Chalid-*dżanie*. Najbardziej lubię fiolet. Woń róż sprawia, że myślę o domu, gdziekolwiek jestem. Nie lubię ryb, ale zjadam je, by zadowolić bliskich, cierpiąc przy tym w milczeniu.

Kalif pozostawał niewzruszony, lecz chaos w jego oczach narastał.

Westchnęła ciężko i odwróciła się do drzwi.

– Dobranoc.

Chalid w kilku szybkich krokach znalazł się przy niej i położył rękę



na hebanowych drzwiach, uniemożliwiając dziewczynie wyjście.

– Czego ode mnie oczekujesz? – zapytał cicho.

Nie uniosła wzroku, choć serce mocniej jej zabiło ze zdenerwowania.

– Dowodu, że prawdziwy mężczyzna nie mówi, co jest jego, tylko czyni to swoim.

– Naprawdę? Jesteś moja? – zapytał z cichą powagą.

To pytanie osłabiło jej determinację.

– Mówiłam ci, nie próbuj traktować mnie jak swoją własność.

– Nie chcę tego robić.

Obróciła głowę, by spojrzeć mu w oczy.

– Więc nigdy nie wspominaj, że chcesz mnie gdzieś odesłać. Nie jestem twoja, byś dysponował mną wedle swojej woli.

Wyraz twarzy Chalida nieco złagodniał.

– Masz rację. Nie jesteś moja. – Zabrał rękę z drzwi. – Ale ja jestem twój.

Szahrzad zacisnęła mocno palce, zmuszając się, by przypomnieć sobie czas, gdy nic dla niego nie znaczyła. Czas, w którym on był dla niej niczym, bo liczyła się tylko jej zemsta.

Niestety nie widziała już przed sobą tego samego chłopca. Teraz dostrzegąła światełko pośrodku oceanu mroku, które stawało się obietnicą czegoś więcej. Nigdy nie widziała spraw takimi, jakimi powinna je widzieć. Ból, gniew, zdrada. Zawsze bladły, pozostawiając jedynie pogardę dla samej siebie.

Nim zdołała powstrzymać dłonie, te wyciągnęły się ku niemu, jak gdyby istniały jedynie po to, by go dotykać. Odsunęła się dopiero wtedy, gdy jej palce – niczym piórko – musnęły jego policzek. Chalid zamknął oczy i lekko westchnął. Bawiła się jak trucizna z jej antidotum. Palce dziewczyny zlekceważyły ją i zaczęły działać samoistnie, badając dokładnie fakturę jego skóry, jakby nie mogły się nią nasycić. Wciąż nie miały jej dosyć. Z jego czoła prześlizgnęły się na skronie, by po chwili wsunąć się w gładkie, jedwabiste, ciemne jak noc włosy. Widziała, jak uniósł powieki, a jego oczy pod wpływem jej dotyku zamieniły się w płynny ogień. Szahrzad powiodła dłońmi po jego szyi, gdzie je zatrzymała.

– Dlaczego nie chcesz mnie dotykać? – zapytała szeptem.

Odpowiedź zajęła mu chwilę.

– Ponieważ jeśli zacznę, nie będę mógł przestać.

– A kto prosi, byś przestał? – Poglaskała jego pierś.

– A jeśli nie jestem w stanie dać ci odpowiedzi, których pragniesz?

Ponownie spotkała się z pustką.

Mimo to w ogniu jego oczu było wszystko.

– Daj mi zatem to. – Stała na palcach i pocałowała go w usta. Kiedy nie odpowiedział, powiodła językiem po jego dolnej wardze, co sprawiło, że jego dłonie powoli odnalazły drogę do jej talii. Pomyślała, że ją odepchnie, lecz on przyciągnął ją do siebie. Pocałował, przemieniając pustkę we wszystko. Szahrazad objęła go rękoma za szyję, a on przycisnął ją plecami do hebanowych drzwi. Oddychali w równym rytmie, tak samo biły ich serca.

– Chalidzie. – Chwyła go za ramiona, gdy jego wargi musnęły wrażliwą skórę pod jej podbródkiem. Jej serce biło tak głośno, że początkowo nie rozpoznała pukania do drzwi.

– *Sajjidi*.

– Chalidzie – powtórzyła, chwytając go za nadgarstki.

– Tak? – Jego odpowiedź była cicha i groźna.

Strażnik skłonił się w szczelinie uchylonego skrzydła drzwi.

– *Szahrban* pragnie z tobą mówić, panie. Kapitan al-Chouri ustalił prawdopodobnie, jak intruzi znaleźli się w pałacu.

Chalid skinął krótko głową i zamknął drzwi. Podrapał się po podbródku, nim zwrócił się w stronę Szahrazad.

Opierała się o drewno z rękoma założonymi za plecy.

– Idź – powiedziała cicho.

Stał nieruchomo, zastanawiając się.

– Ja...

– Nie martw się, zostanę tutaj.

– Dziękuję. – Złapał za klamkę, lecz przystanął na chwilę i uśmiechnął się do siebie.

Szahrazad ściągnęła brwi.

– O co chodzi?

– To odpowiednia kara dla potwora. To, czego tak bardzo pragnie, trzyma w swoich ramionach, lecz nieodparcie czuje, że nigdy na to nie zasłuży. – Otworzył drzwi i wyszedł za próg, nie czekając na odpowiedź.

Szahrazad osunęła się na podłogę. Opanowane przy nim dłonie teraz drżały tuż przed jej twarzą, co dowodziło, że ponosiła równie wielką karę za własne grzechy. Została ukarana za pożądanie potwora.

Podziękowała w duchu gwiazdom, które miały wpływ na jej los, za to, że jej potwór zdawał się nie wiedzieć, jak straciła wszelki rozsądek dla jednej

chwili tchnienia.

Jak daleko uleciały jej wyrzuty sumienia.

Jak bardzo pytania paliły jej duszę.

– Ktoś, kto wie.

## CIEŃ TEGO, CO CZUJĘ



Szahrzad trwała w chaosie swoich myśli, przyglądając się promieniom światła rzucanym przez pozłacany żyrandol. Gdy zdrętwiały jej nogi, wstała z posadzki. Rozejrzała się po komnacie, uważnie przypatrując się otoczeniu niczym drapieżnik, który ocenia swoją ofiarę.

Podłoga została wykonana z czarnego onyksu, a ściany wyciosane z tego samego gładkiego alabastru, z którego powstał korytarz prowadzący do wejścia do komnaty. Wszystkie meble o ostrych kształtach wyrzeźbiono z hebanu. Każda powierzchnia była twarda i gładka. Łożu brakowało poduszek, do których nadmiaru Szahrzad przyzwyczała się, śpiąc we własnym posłaniu, gdzie czuła znajomą soczystą jaskrawość, pragnącą jej służyć.

Wnętrze, podobnie jak jego właściciel, zdawało się być zimne i odpychające – niechętnie, by ofiarować choć odrobinę pocieszenia.

*Ta komnata przypomina więzienie.*

Westchnęła cicho, a dźwięk ten uleciał wysoko pod sklepienie sufitu. Szahrzad chodziła w kółko po pomieszczeniu, jej bose stopy zostawiały ślady na błyszczącym czarnym onyksie, które po chwili znikwały niczym szept na wietrze.

Pojedynczy żyrandol na środku komnaty wyglądał wspaniale, choć samotnie. Nie zapewniał wystarczającej ilości światła, co sprawiało, że na chłodnym białym alabastrze tańczyły częściej złowrogie niż piękne cienie.

Było to zbyt smutne miejsce, by nazwać je azylem. Równie nieprzystępne, jak jego właściciel.

Im dłużej Szahrzad rozglądała się po komnacie, tym więcej zdołała dostrzec, lecz mimo to mniej rozumiała. Wszystko w tym pokoju miało swoje miejsce – wyznaczony porządek istnienia. Jedynie ona i zakrwawione kawałki lnu, leżące na skraju podwyższenia łoża, nie należały do tej przestrzeni. Żadne oznaki życia, a co się z tym wiąże – przejawy okazywanych emocji – tutaj nie pasowały.

Szahrzad podeszła do łoża i zrzuciła z niego brudny materiał. Spojrzała na czyste paski, a także niewielki pojemniczek z maścią, który Chalid wyjął z hebanowej szafy zaraz po ich przybyciu. Masywne drzwi mebla wciąż pozostawały uchylone. Szahrzad podeszła do nich z czystym materiałem i maścią w ręce. Szarpnęła za uchwyt z brązu i zerknęła do środka. Półki były tu skrupulatnie rozmieszczone i wypełnione, jak wszystko, co znajdowało się w komnacie. Dwie zawierały książki ułożone według wielkości, na kolejnej stały woskowe pieczęcie. Na półce na wysokości oczu znajdowały się słoiki różnego kształtu i rodzaju. Szahrzad odstawiła pojemnik oraz odłożyła czysty len na przeznaczone dla nich miejsce, które tam zauważyła.

Gdy zamykała drzwi, jej spojrzenie padło na skórzany futerał wypełniony arkuszami pergaminu i wciśnięty pomiędzy dwa masywne woluminy na półce ponad jej głową.

Pokrowiec zdawał się tu nie pasować. Zupełnie jak ona.

Szahrzad niby wiedziała, że powinna odejść. To nie był jej pokój. To nie były jej rzeczy.

Jednak... skórzana tuba ją przywoływała. Zbiór zwojów szeptał jej imię niczym głos zza zamkniętych piwnicznych drzwi, do których zagubiono klucz. Szahrzad wpatrywała się w niego.

Pergamin domagał się uwagi, tak jak zabiegała o nią komnata w historii o Tali i pęku kluczy Sinobrodego.

Podobnie jak Tala, Szahrzad nie mogła tego zignorować.

Stała na palcach i oburącz pociągnęła za pokrowiec, który wysunął się spomiędzy książek. Nim uklękła na czarnej onyksowej posadzce, przycisnęła go do piersi, w której galopowało oszalałe serce. Gdy sięgnęła do zwojów, wstrząsnął nią dreszcz strachu. Pergamin był odwrócony i nie można było z niego nic odczytać, więc wzięła stos i zaczęła go ostrożnie rozwijać.

Początkowo zauważyła na dole formalny podpis Chalida złożony pod czystym, schludnym pismem. Gdy przebiegła wzrokiem do końca strony, szybko uświadomiła sobie, że to list...

List z przeprosinami adresowany do rodziny w Reju.

Szahrzad obróciła następny pergamin.

Był to kolejny list z przeprosinami. Napisany do innej rodziny.

Gdy przejrzała cały stos, do jej oczu napłynęły łzy. Zrozumiała.

Były to listy z przeprosinami do rodzin dziewcząt zamordowanych o świcie okrutną ręką trzymającą jedwabny sznur.

Każdy opatrzony był datą. Każdy stwierdzał wyłączną odpowiedzialność Chalida. Żaden jednak nie przynosił nawet najmniejszego uzasadnienia śmierci. Najmniejszego usprawiedliwienia.

Po prostu przepraszał. W sposób tak otwarty i pełen skruchy, że aż zaschło jej w gardle i ścisnęło ją w piersi.

Było jasne, że listy zostały napisane bez intencji ich wysłania. Słowa Chalida były zbyt osobiste, by zdobył się na ich ujawnienie przed kimś innym niż on sam. Jednak jego wstręt do siebie ciął duszę Szahrzad jak nowo naostrzony nóż.

Kalif pisał o wpatrywaniu się w przerażone twarze i oczy pełne łez. O świadomości, że okrada rodziny z ich największej pociechy. O poczuciu, że kradnie życie z ich serc, tak jakby miał ku temu prawo. Jakby ktokolwiek je miał.

*Wasze dziecko nie jest kaprysem czy zachcianką. Wasze dziecko jest największym skarbem. Nie powinniście mi nigdy wybaczyć tego, co zrobiłem. Tak jak ja nigdy sobie tego nie wybaczę.*

*Musicie wiedzieć, że się nie bała. Gdy spojrzała w twarz potwora skazującego ją na śmierć, nie ugięła się. Chciałbym mieć choćby połowę jej odwagi i ćwierć jej ducha.*

*Wczoraj Roja poprosiła o santur. Jej gra zachwyciła strażę stojące u drzwi i mnie, gdy stałem zasluchany w ogrodzie, choć jestem zimnym, nieczułym draniem. Była to najpiękniejsza muzyka, jaką w życiu słyszałem. Melodia, przy której wszystkie kolejne stały się nijakie i bezbarwne.*

Łzy popłynęły po twarzy Szahrzad. Zaczęła szybciej obracać strony.

Dopóki nie znalazła tej adresowanej do rodziny Rezy bin-Latiefa.

*Jak można przeprosić za kradzież światła ze świata? Żadne słowa tego nie wyrażą, a jednak nieudolnie zdaję się na ich bezużyteczność. Chciałbym, abyście wiedzieli, że nigdy nie zapomnę Sziwy. Przez krótką chwilę, gdy patrzyła w twarz potwora, potrafiła się uśmiechnąć i wybaczyć. W tym uśmiechu poczułem siłę i głębokie zrozumienie, którego nigdy nie zdołałem pojąć. Odcisnęło to piętno na części pozostałej po mojej duszy. Przepraszam... Po tysiącokroć i więcej. Na kolanach. Choć nawet to nie wystarczy.*

Szahrzad załkała, dźwięk ten poniósł się po komnacie. Pergamin w jej dłoniach począł drżeć.

Chalid był odpowiedzialny. Niezależnie od powodu – to on był winien.

To on zabił Sziwę.

I to on obrabował Szahrzad ze światła.

Wiedziała o tym. Przez cały czas. Jednak w tej chwili, ściskając w palcach niepodważalny dowód, zdała sobie sprawę, jak bardzo pragnęła, by to wszystko okazało się kłamstwem. Jak bardzo chciała, żeby istniał ku temu jakiś ważny powód. Jakies gotowe wyjaśnienie. Chciała liczyć na to, że wkrótce uda jej się odkryć, że jednak nie była to jego wina.

Nawet teraz wiedziała, jak było to niedorzeczne.

To ją powoli rujnowało... Mur wokół jej serca kruszył się, pozostawiając wypalone zgliszcza i krwawiące rany. Jej szloch przybrał na sile. Szahrzad miała ochotę rzucić skórzaną tubą przez komnatę, zniszczyć jej zawartość i zaprzeczyć zgubnej prawdzie. Jednak wzięła następny zwój. I następny.

Było ich tak wiele.

Na żadnym z nich nie znalazła ani jednego wyjaśnienia.

Przerzucała pergaminy, szukając złudnej przyczyny wszystkich tych bezsensownych śmierci. Trzymając się wątlej nadziei, która nadal nie ulatywała.

W końcu jej wzrok spoczął na ostatniej ze stron, a jej serce zgubiło rytm.

List zaadresowany był do niej, datowany na feralny świt, gdy jedwabny sznur zacisnął się na jej szyi.

*Szahrzad,*

*niejednokrotnie Cię zawodziłem. Jednak istniał moment, w którym zawiódłem Cię bezgranicznie. Było to w chwili, gdy Cię poznałem. Gdy wzięłem Cię za rękę, a Ty spojrziałaś na mnie z palącą nienawiścią w oczach. Powinienem odesłać Cię do domu, do rodziny. Jednak nie zrobiłem tego. Z Twojej nienawiści była szczerłość. Z bólu – odwaga. W Twojej prostolinijności zobaczyłem własne odbicie. A raczej wizerunek mężczyzny, którym pragnąłbym być. Zawodziłem Cię więc, nie trzymając się z dala. Któregoś dnia pomyślałem jednak, że wystarczy, jeśli uzyskam odpowiedzi. Nie musiałbym się już dłużej przejmować. A Ty przestałabyś mieć znaczenie. Nadal zawodziłem, ciągle pragnąłem więcej. A teraz nie potrafię znaleźć słów, by powiedzieć to, o czym musisz wiedzieć. Aby przekazać przynajmniej tyle, ile jestem Ci winien. Kiedy myślę o Tobie, nie potrafię znaleźć powietrza, by*

List nagle się urywał.

Szahrzad przez krótką chwilę wpatrywała się w niego ze zdziwieniem.

Jak refren piosenki przywołanej z odległej przeszłości rozbrzmiały teraz wokół niej słowa ich dawnej rozmowy.

*„A jeśli już znajdziesz tę nieistniejącą osobę, skąd będziesz wiedział, że to właśnie ta?”*

*„Spodziewam się, że będzie to dla mnie jak powietrze. Jak naturalna umiejętność oddychania”*.

List opadł na posadzkę, dołączając do innych. Wszystko wokół Szahrzad zapadło się w cień i ciszę. Gorycz wiedzy i światło zrozumienia.

Nagle powróciła myślami do tamtego okropnego świtu i znów poczuła na szyi jedwabny sznur. Zmusiła się, by przypomnieć sobie każdą sekundę – srebrne światło prześlizgujące się po niebieskich źdźbłach trawy, mgłę wczesnego poranka, zawstydzonego żołnierza z umięśnionymi ramionami i starszą kobietę z trzepoczącym całunem. Strach. Udręka. Nicość. Gdy ponownie zamknęła oczy, jej umysł stworzył inny, choć równoważny świat wypełniony smutkiem. Zobaczyła młodego władcę przy swoim hebanowym biurku, który w promieniach wschodzącego za plecami słońca pisał list do umierającej dziewczyny. Chłopca z ręką zawieszoną nad pergaminem, cierpiącego z powodu niespodziewanego odczucia. Chłopca biegnącego korytarzami z kuzynem tuż za sobą i wpadającego na podwórze w srebrnoszarych szatach, z palcami poplamionymi czarnym tuszem, z palącą wewnątrz agonią...

Zastanawiającego się, czy nie jest już za późno.

Przełykając okrzyk udręki, Szahrzad rzuciła tubę wraz z pozostałą zawartością na błyszczącą onyksiem podłogę.

Świadomość obudziła się w niej niczym świt, który właśnie nastał. Niczym ołowiane słońce ukryte w wirujących burzowych chmurach. Nie wystarczało już uzyskać odpowiedzi dla Sziwy. Tak naprawdę przestało zależeć jej na zwykłej zemście, odkąd usta Chalida dotknęły jej warg w bocznej uliczce na *suku*. Chciała, by istniał jakiś powód tego szaleństwa, potrzebowała go, by mogła być z tym mężczyzną. By mogła trwać u jego boku, wywoływać śmiech na jego twarzy, snuć opowieści przy lampie i dzielić tajemnice w mroku. By mogła zasypiać w jego ramionach i budzić się, gdy nastanie lepsze jutro.

Było jednak za późno.

Był Mehrdadem z jej koszmarów. Otworzyła drzwi. Zobaczyła ciała wiszące na ścianach i nie uzyskała wyjaśnienia. Nie otrzymała żadnego



usprawiedliwienia.

Szahrzad wiedziała, co należy bez niego zrobić.

Chalid musiał odpowiedzieć za swoje podle czyny. Za szerszenie śmierci.

Mimo że był jej powietrzem.

Mimo że niewymownie go kochała.



Straże były zdecydowanie za blisko.

Ich jaśniejące pochodnie i dudniące kroki nie przynosiły ulgi jego udręczonej bólem głowie. Nie gasiły ognia przejmującego władanie nad jego oczami.

Gdy zdenerwowany strażnik upuścił szablę z hałasem mogącym zbudzić nawet umarłego, Chalid musiał użyć całej swojej siły, by powstrzymać się od wyrwania młodemu człowiekowi ręki.

Kalif przystanął w ciemnym korytarzu i przycisnął dłonie do skroni.

– Odejsz – mruknął do strażników.

– *Sajjidi...*

– Odejsz! – W głowie Chalida zahuczało, gdy to słowo poniosło się echem po ścianach.

Strażnicy spojrzeli po sobie, nim skłonili się i odeszli.

Dżalal nadal stał przy ścianie ponury i czujny.

– To było raczej dziecinne – skarcił kalifa, gdy mężczyźni zniknęli za rogiem.

– Ty również możesz odejsz. – Chalid ruszył znów do swojej komnaty.

Dżalal zastąpił mu drogę.

– Wyglądasz okropnie. – Jego oczy były jasne, a czoło zmarszczone ze zmartwienia.

Chalid spojrzał na niego spokojny i zdystansowany.

– Przypuszczam, że po tej szczerzej, choć oczywistej ocenie spodziewasz się, że ci się zwierzę. Wybacz, ale miałem ciężki wieczór, kapitanie al-Chouri.

– Naprawdę się martwię.

Chalid udał zakłopotanie.

– Niepotrzebnie.

– Jeśli nie chcesz rozmawiać o tym, co dziś zaszło, wiedz, że będę na to nalegał.

– I za każdym razem, gdy się o to upomnisz, spotka cię rozczarowanie.

– Nie, nie spotka. – Dżalal skrzyżował ręce na piersi. – Jesteś w rozsypce.

Wzdrygasz się przy najmniejszym hałasie i niemal urwałeś głowę temu biednemu chłopcu tylko dlatego, że upuścił szablę.

– Ten chłopak potykał się, dzierżąc ją obnażoną. Uważam, że miał szczęście, iż przez swą głupotę nie nadział się na własne ostrze.

– Twój sarkazm z wiekiem staje się coraz bardziej brutalny, a arogancja nie zna granic. To wcale nie jest już zabawne.

Chalid spiorunował kuzyna wzrokiem. Puls uwydatnił się na jego szyi i załomotał w skroniach. Z każdym uderzeniem obraz przed oczami rozmywał się coraz bardziej.

Przepchnął się obok Dżalala.

– Co dziś zrobiłeś, *sajjidi*? – zawołał za nim kapitan. – Zdajesz sobie sprawę, że naraziłeś całe królestwo, porzucając szablę na żądanie tego kundla? Mógł cię zabić, a ty pozostawiłbyś Chorasán bez władcy. Pozwoliłbyś najemnikom Salima zostawić nas bez przywódcy na skraju potencjalnej wojny z Partią – umilkł znacząco. – A wszystko przez dziewczynę... Jedną z wielu.

Słowa te sprawiły, że resztki opanowania Chalida odeszły w niepamięć. Napędzany furią odwrócił się do Dżalala, jednym płynnym ruchem wyciągając *szamszir* z pochwy. Uniósł zakrzywione ostrze, tak że jego końcówka znalazła się o włos od serca jego kuzyna.

Dżalal zamarł, jego spokój stawał się w tej sytuacji nienaturalny.

– Musisz ją ogromnie kochać, Chalid-*dżanie*.

Po chwili Chalid opuścił broń, jego czoło zmarszczyło się z bólu i zakłopotania.

– Miłość jest... cieniem tego, co czuję.

Dżalal uśmiechnął się, ale nie był to szczerzy uśmiech.

– Jako twój kuzyn cieszę się, że to słyszę. Jednak jako kapitan twojej straży skłamałbym, gdybym powiedział, że dzisiejsze wydarzenia mnie nie martwią. Nie jesteś odpowiedzialny tylko za tę jedną dziewczynę.

– Jestem tego świadom. – Chalid schował szablę.

– Nie jestem tego taki pewien. Jeśli planujesz zachowywać się tak nierozważnie, sądzę, że nadszedł czas wyznać Szahrzad prawdę.

– Nie zgadzam się, dlatego ta rozmowa jest skończona. – Chalid ponownie ruszył korytarzem. Dżalal dotrzymywał mu kroku.

– Należy teraz do rodziny. Jeśli jesteś gotów oddać za nią życie, czas, abyśmy powierzyli jej nasze tajemnice – nalegał cichym głosem Dżalal.

– Nie.

Kapitan położył rękę na ramieniu kuzyna.

– Powiedz jej, Chalid-*dżanie*. Ma prawo wiedzieć.

– A jak ty byś zareagował na takie nowiny? – Chalid odepchnął jego rękę. – Na wieść, że twoje życie wisi nad przepaścią, związane niestałą klątwą?

– Moje życie wystawione jest na ryzyko. Podobnie jak twoje. Coś mi mówi, że Szazi nie żyje w świecie, w którym istnieją inne zasady.

Chalid ściągnął brwi.

– To nie ma znaczenia. Nie jestem gotowy, by jej powiedzieć.

– I nigdy nie będziesz. Ponieważ ją kochasz, a my walczymy, by chronić tych, których kochamy. – Dżalal zatrzymał się w korytarzu prowadzącym do komnaty kalifa, a Chalid pospieszył ścieżką z marmuru i kamienia, nie oglądając się za siebie.

– *Sajjidi?* – zawołał za nim kapitan. – Wezwij dziś fakira. Głowa zaraz ci pęknie.

Chalid przeszedł przez pierwsze drzwi swojej komnaty i zbliżył się do wejścia do sypialni. Zatrzymał się, skinął głową strażnikowi, który pociągnął za klamkę z brązu i otworzył polerowane skrzydło.

Przekroczywszy próg, Chalid znalazł się w nieskazitelnie cichej komnacie. W miejscu zawieszonym w próżni, gdzie ruch nie istniał. Tym, co nie współtworzyło teraz jego stałego porządku, były jedynie zakrwawione kawałki lnu, dzban z wodą stojący przy podwyższeniu...

Oraz dziewczyna śpiąca w jego łóżu.

Szahrzad leżała na boku. Jej czarne włosy rozsypane były na matowym jedwabiu, a kolana nakryte jedyną poduszką, która znajdowała się na pościeli. Wachlarze czarnych rżęs spoczywały na jej policzkach, a dumny, szpiczasty podbródek ułożony był na pozwijanym obok jej dłoni jedwabiu.

Chalid usiadł ostrożnie i powstrzymał się od zbyt długiego spoglądania na nią. Starał się również poskromić pragnienie dotyku.

Była niebezpieczną dziewczyną. Zarazą. Magnetyczną Górą, która wyrywała żelazo ze statków, zatapiając je bez namysłu w wodnych grobowcach. Z uśmiechem na ustach i zmarszczonym nosem.

Jednak mimo że o tym wiedział, poddawał się sile jej przyciągania. Ulegał prostej potrzebie bycia przy niej. Wypuszczając powoli powietrze, odłożył *szamszir* na podłogę i położył się obok niej. Spojrzał w sufit, w samotny płomień złotego żyrandola nad sobą. Choć dawał słabe światło, zapiekły go oczy. Zamrugnął, starając się odpędzić zmęczenie i zapomnieć o nieustającej

męce spętanej łańcuchem bestii, która ryczała w jego głowie.

Szahrzad przesunęła się we śnie i obróciła w stronę Chalida, jakby przyciągana przez niewytłumaczalną moc. Położyła dłonie na jego piersi i z cichym westchnieniem oparła czoło na jego ramieniu.

Wbrew rozsądkowi Chalid otworzył rozpalone oczy i po raz kolejny na nią spojrział.

Ta niebezpieczna dziewczyna leżała tuż przy nim. Urzekająco piękna.

Niszczycielka światów i twórczyni cudów.

Pragnienie, by jej dotknąć, pokonało logikę, więc ją objął. Wsunął nos w jej włosy i poczuł woń bzu, tę samą, która, drażniąc zmysły, dochodziła zza okna. Niewielka, zgrabna dłoń na jego piersi przesunęła się wyżej – na jego serce.

Niezależnie od tego, jak ogromne czekało go cierpienie, musiał je znieść. Niezależnie od tego, jak wielkie zło miało nadejść, musiał stawić mu czoła.

Nie było nic, co mogłoby się teraz bardziej liczyć.

Nagle z odległego kąta pomieszczenia dobiegł jakiś szelest.

Chalid zamrugał, starając się skupić. Napiął mięśnie w gotowości, gdy zobaczył przed oczyma jakiś rozmazany ruch. Zacisnął mocno powieki, walcząc o obraz, o to, by przeniknąć spojrzeniem cień i mgłę. Ból między skroniami wzmógł się, zaś puls przyspieszył w odpowiedzi na niespodziewane zjawisko.

Kolejny rozmyty cień pojawił się w komnacie, tym razem w jej przeciwległym rogu.

Kalif zdjął rękę z Szahrzad i sięgnął po dzban z wodą.

Gdy jeszcze jeden ruch, tym razem przy biurku, zwrócił jego uwagę, Chalid rzucił dzbanem w tamtym kierunku i poderwał się na równe nogi, chwytając uprzednio swą szablę.

Huk upadającego na hebanowe biurko dzbana zbudził Szahrzad, więc usiadła z okrzykiem zaskoczenia.

– Chalidzie? Co się stało?

Chalid nie odpowiedział, przyglądając się nieruchomej przestrzeni wokół biurka. Ponownie zamrugał z trudem. Jego oczy płonęły ogniem tysiąca słońc. Przycisnął dłoń do czoła i zagryzł zęby.

Szahrzad wstała z łoża i podeszła do niego.

– Coś cię... boli?

– Nie. Wracaj spać. – Nawet dla niego zabrzmiało to okrutnie.

– Okłamujesz mnie. – Wyciągnęła rękę i objęła drobnymi palcami jego

nadgarstek. – Co się stało?

– Nic. – Ból ponownie przeszył jego słowo, sprawiając, że odpowiedź była ostrzejsza, niż zamierzał.

Pociągnęła go za rękę.

– Kłamca.

– Szahrzad...

– Nie. Powiedz prawdę albo stąd wyjdę.

Chalid milczał, a bestia w jego głowie ryczała z niewypowiedzianą siłą.

Szahrzad zdusiła szloch.

– Znowu i znowu... – Odwróciła się i pospieszyła ku hebanowym drzwiom.

– Czeka! – Chalid próbował pójść za nią, lecz huk dochodzący z jego głowy i rozmazany przed oczami obraz uniemożliwiły mu to. Bełkocząc nieskładnie, upuścił szablę i opadł na kolana, ściskając głowę.

– Chalidzie! – krzyknęła Szahrzad. Podbiegła i kucnęła przy nim. – Co się dzieje?

Nie mógł odpowiedzieć.

Słyszał, jak pobiegła do drzwi, by je otworzyć.

– Pani? – zapytał strażnik.

– Znajdź kapitana, nie, generała al-Chouriego – powiedziała pospiesznie. – Natychmiast.

Czekała przy drzwiach. Chwilę później rozległo się ciche pukanie.

– Pani? – zaczął wuj Chalida. – Czy wszystko...

– Jego głowa. Błagam. On... cierpi. – Dźwięk jej słów zdenerwował Chalida. Bardziej, niż chciałby to przyznać.

– Zostań z nim. Zaraz wrócę.

Drzwi ponownie się zamknęły.

Szahrzad wróciła do niego. Chalid oparł się plecami o łożo, wsparł łokcie na kolanach i przycisnął obie dłonie do czoła z siłą zdolną wywołać widok gwiazd pod powiekami.

Kiedy drzwi ponownie się otworzyły, Szahrzad zeszywniała. Chalid poczuł, jak się do niego przysuwa, próbując go chronić.

– *Sajjidi*. – Zabrzmiął nad nim głos fakira.

Chalid westchnął, nie otwierając oczu.

– Pani – powiedział jego wuj. – Pozwól ze mną.

Znieruchomiała powtórnie, gotowa na walkę.

– Ja...

- Szahrazad-*dżan* – powiedział niebywale łagodnie wuj. – Proszę.
- Nie – wysapał Chalid. Wyciągnął do niej rękę. – Ona zostaje.
- Chalid-*dżanie*...

Chalid z trudem otworzył oczy i spojrzał w górę na wuja.

- Moja żona zostaje.

## AVA



Szahrzad nie wiedziała, jak się zachować.

Dziwny starzec odziany na biało nie chodził jak normalny człowiek. Nie mrugał. Zdawało się, że nie oddycha.

Przyglądał się dziewczynie tak intensywnie, że żołądek ścisnął jej się w ciasny supeł.

– *Sajjidi* – powtórzyła dziwaczna postać, przysuwając się do Chalida.

Kalif bez słowa pochylił głowę. Mężczyzna położył dłonie na jego skroniach i zamknął oczy. Szahrzad poczuła, jak powietrze w komnacie nieruchomieje. Swoiste mrowienie zebrało się wokół jej serca, przyprawiając ją o dreszcze.

Kiedy obcy mężczyzna ponownie otworzył oczy, biło z nich tak białe światło, jak oślepiające centrum płomienia. Spomiędzy dłoni przybysza rozchodziły się po całym czole Chalida kręgi ciepłego, czerwono-pomarańczowego ognia.

Niezwykłe uczucie w piersi dziewczyny przerodziło się w palący ból i Szahrzad stłumiła jęk. Przypomniało jej się popołudnie w zeszłym tygodniu... z latającym dywanem.

Pierścienie światła wokół głowy Chalida pulsowały żółto, jaśniejąc, nim zawinęły się spiralnie ku ciemności, by zaraz potem zniknąć z powrotem w szponiastych dłoniach starca.

Mrowienie w jej piersi również osłabło.

Chalid odetchnął ostrożnie. Przygarbił się, a napięcie zdawało się opuszczać jego ciało.

– Dziękuję – szepnął do mężczyzny, a jego głos był ochryply i surowy.

Szahrzad wpatrywała się w nieznanego maga, który znowu patrzył na nią z osobliwym wyrazem twarzy.

– Dziękuję – powtórzyła Szahrzad.

Starzec ściągnął brwi, a w jego nieruchomych oczach widać było dezorientację.

– *Sajjidi...*

– Zawsze doceniam twoje rady. Jestem też świadom twoich obaw – przerwał mu cicho Chalid.

Starzec milczał przez chwilę.

– Pogarsza się. I proces ten będzie postępował.

– Rozumiem, naprawdę.

– Wybacz bezczelność, *sajjidi*, ale nie rozumiesz. Ostrzegałem cię już wcześniej, zaś teraz spełniają się moje najgorsze obawy. Nie możesz dłużej przeciągać tej farsy. Jeśli nie znajdziesz sposobu, by zasnąć...

– Proszę. – Chalid wstał.

Starzec odsunął się i skłonił z naturalną gracją.

– Jeszcze raz dziękuję. – Chalid odpowiedział ukłonem i z szacunkiem dotknął palcami czoła.

– Nie dziękuj mi, *sajjidi* – odparł mężczyzna, podchodząc do hebanowych drzwi. – Moje usługi mają dać nadzieję wielkiemu władcy. Wykorzystaj szansę i spraw, bym miał rację. – Chwycił za klamkę z brązu, lecz zatrzymał się jeszcze na chwilę, by po raz kolejny spojrzeć na Szahrzad, nim zniknął w ciemności, pozostawiając ich samych.

Chalid usiadł na skraju łoża, a jego przekrwione oczy i ostre rysy twarzy zdradzały napięcie.

Szahrzad usiadła obok niego. Milczała, a cisza wokół nich stała się ciężka od niewypowiedzianych myśli.

Po chwili obrócił ku niej głowę.

– Zanim...

– Nie możesz spać? – przerwała mu cicho.

Wypuścił powietrze przez nos.

– Nie.

– Dlaczego?

Chalid pochylił się, a czarne włosy opadły mu na czoło.

Wzięła go za rękę.

– Powiedz.

Zerknął na nią z ukosa, a ból na jego twarzy sprawił, że oddech uwiązł jej w gardle.

Szahrzad objęła jego dłoń swoimi dłońmi.

– Chalidzie, proszę.

Skinął krótko głową.



– Zanim zacznę, musisz wiedzieć, że bardzo chcę cię przeprosić.

Jej serce zgubiło rytm.

– Za co?

– Za wszystko. Jednak przede wszystkim za to, co zamierzam ci powiedzieć.

– Nie...

– To wielki ciężar, Szazi – powiedział ochryłym szeptem. – Ta tajemnica jest wielkim obciążeniem, którego zawsze pragnąłem ci oszczędzić. Kiedy ją poznasz, nie będziesz mogła zapomnieć. Cokolwiek się stanie, jej zimne konsekwencje pozostaną z tobą. Strach, troska, wyrzuty sumienia... To wszystko stanie się twoje.

Szahrzad oddychała ostrożnie.

– Nie powiem, że rozumiem, bo tak nie jest, ale jeśli to twój problem, jeśli sprawia ci ból, chciałabym wiedzieć, o co chodzi.

Chalid wpatrywał się w czarną onyksową posadzkę przed sobą.

– Miała na imię Ava.

– Ava?

– Moja pierwsza małżonka. Poślubiłem ją niedługo po tym, jak skończyłem siedemnaście lat. To było zaaranżowane małżeństwo. Zgodziłem się na nie, by uniknąć dużo gorszego losu. Jednak myliłem się, postępując w ten sposób.

Chalid splótł palce ich dłoni.

– Nigdy nie myślałem, że będę władać Chorasaniem. Mój brat Hassan wychowywany był na następcę tronu. Kiedy zginął w walce, było za późno, by ojciec naprawił lata spędzone na karaniu mnie za występki mojej matki. Między nami nie było relacji, nic prócz wspomnień krwi i snów o karze. Po jego śmierci byłem tak nieprzygotowany do rządzenia krajem, jak tylko pełen nienawiści chłopiec mógł być. Jak sama kiedyś powiedziałaś, byłem przewidywalny. Przewidywalnie wściekły. Przewidywalnie zniszczony.

Szahrzad przyglądała się, jak zmęczone oczy Chalida bledną w skupieniu.

– Byłem gotów robić wszystko, co odrzucał ojciec. Przed śmiercią chciał, bym poślubił Jasmine, aby zjednoczyć królestwa Chorasanu i Partii. Po jego śmierci doradcy naciskali na mnie w tej sprawie. Nawet wuj Aref uważał to za mądry, choć niefortunny plan. Byłem nieugięty, gdy odmawiałem. Do tego stopnia, że odsunąłem od siebie doradców ojca i poszukałem sobie własnych.

Wyraz twarzy Szahrzad stężał.

– Tak bardzo gardziłeś Jasmine?

Chalid pokręcił głową.

– Jasmine nie jest bez winy, ale nigdy nie żywiłem do niej uczuć. Zresztą nie chciałem dobrowolnie połączyć mojego rodu z rodziną Salima Ali el-Szarifa. Kiedy żyła matka, sułtan traktował ją jak bogacz prostytutkę i nigdy nie zmarnował okazji, by po jej śmierci źle o niej mówić. Już jako chłopiec pamiętałem, jak bardzo wyczekiwałem dnia, kiedy będę tak silny, by ukarać go za jego słowa. – Kącik ust Chalida uniósł się w gorzkim rozbawieniu.

– Nie przewidywałaś zemsty? – zapytała cicho Szahrzad.

– Nie. Zemsta nigdy nie zastąpi tego, co straciłem.

Szahrzad przełknęła ślinę, odwracając wzrok.

– Salim musiał być bardzo zły z powodu twojej odmowy poślubienia Jasmine.

– Nigdy nie odmówiłem. Nigdy się na to nie zdobyłem. Gdy zaczął mocniej naciskać na mój ożenek, żeby zacieśnić więzi między naszymi królestwami i ugruntować moją słabą pozycję jako młodego kalifa, postanowiłem, że najlepszym sposobem, by uniknąć zniewagi, będzie poślubienie kogoś innego. Ava pochodziła z dobrej rodziny z Reju, była dobra i bystra. Po ślubie próbowałem być dla niej atrakcyjny, ale było to trudne. Wciąż musiałem się wiele nauczyć o byciu władcą, no i nie wiedziałem, jak być mężem. Podobnie jak ja, Ava niechętnie dzieliła się przemyśleniami i odczuciami, więc chwile spędzane wspólnie często upływały w milczeniu. Zaczęła się oddalać... była smutna. Mimo to nadal nie poświęcałem czasu, by poznać przyczynę jej zachowania. Po kilku miesiącach małżeństwa zamknęła się w sobie tak bardzo, że nasze relacje ograniczyły się do minimum. Szczerze mówiąc, nieporadność sprawiała, że jeszcze bardziej unikałem kontaktu z nią. Przy bardzo niewiele okazjach próbowałem z nią rozmawiać, ale zawsze zdawała się być gdzie indziej, zagubiona w świecie, którego nigdy nie starałem się zrozumieć.

Im dłużej mówił, tym bardziej jego twarz stawała się wynędzniała i zmęczona.

– Wszystko się zmieniło, gdy Ava odkryła, że jest w ciąży. Zmieniła się. Znowu zaczęła się uśmiechać. Planowała przyszłość. Myślałem, że wszystko będzie dobrze, i jak głupiec cieszyłem się z tego.

Chalid na chwilę zamknął oczy, a potem kontynuował:

– Kilka tygodni później straciliśmy dziecko. Ava była niepokieszona. Przez wiele dni nie opuszczała komnaty, jedząc jedynie tyle, ile potrzebowała, by przeżyć. Odwiedzałem ją, ale nie chciała ze mną rozmawiać. Jednak nie była na mnie zła. Była bardzo smutna, jej spojrzenie rozrywało moją duszę.

Pewnego wieczoru, gdy przyszedłem do niej, usiadła na łożu i w końcu zaczęła ze mną rozmawiać. Zapytała, czy ją kocham. Skinąłem głową, ponieważ nie byłem w stanie powiedzieć jej prosto w oczy, że było inaczej. Potem poprosiła, bym jej to choć raz powiedział, ponieważ nigdy tego nie mówiłem. Jej oczy rozdzierały mnie, przepełnione mrokiem i smutkiem. Skłamałem więc. Wypowiedziałem te słowa... a ona się do mnie uśmiechnęła.

Zadrżał, przyciskając ich złączone ręce do czoła.

– To były ostatnie słowa, które do niej powiedziałem. Kłamstwo. Kłamstwo w najgorszym stylu, choć wypowiedziane w dobrej intencji. Kłamstwo, którego używa tchórz, by uzasadnić swoje słabości. Nie spałem dobrze tamtej nocy. Coś niepokoiło mnie już podczas naszej rozmowy. Następnego ranka poszedłem do jej komnaty. Kiedy nikt nie otworzył drzwi, napałem na nie. Jej łoże było puste. Zawołałem ją, ale nie odpowiedziała.

Chalid umilkł, na jego twarzy odmalowała się burza wspomnień.

– Znalazłem ją na tarasie z jedwabnym sznurem owiniętym wokół szyi. Była zimna. Odeszła. Nie pamiętam wiele z tamtego poranka. Mogłem myśleć jedynie o tym, że umarła samotnie i nikt nie chciał jej pocieszyć, nikt jej nie ukoił. Nikt, komu by na niej zależało. Nawet jej małżonek.

Oczy Szahrzad piekły od wstrzymywanych łez.

– Po jej pogrzebie dostałem zaproszenie od jej ojca, byśmy spotkali się w jego domu. Wiedziony wyrzutami sumienia, chcąc oddać jej rodzinie należny szacunek, udałem się do niego, choć doradcy sprzeciwiali się temu. Nie byli pewni, o czym jej ojciec mógłby rozmawiać ze mną na osobności. Jednak zignorowałem ich obawy. – Wziął głęboki wdech. – A niestety okazały się one słuszne.

Zabrał rękę i umilkł.

– Chalidzie...

– „Sto istnień za jedno, które odebrałeś. Jedno życie, jeden świt. Jeśli któregoś ranka zawiedziesz, obrócę wniwecz twoje marzenia, a twoje miasto zrównam z ziemią. I po tysiackroć odbiorę ci istnienie”.

Szahrzad słuchała, jak recytuje z pamięci te słowa, a jego oczy zatracają się w ich sensie.

Wtedy zrozumiała. Uderzyło to w nią niczym błyskawica w szczyt góry.

– Klątwa? – szepnęła. – Ojciec Avy... cię przeklął?

– Oddał życie dla tej klątwy. Na moich oczach wbił sobie sztylet w serce, własną krwią opłacając magię, by ukarać mnie za to, co zrobiłem jego córce.

Za to, że tak bardzo zlekceważyłem jego największy skarb. Chciał mieć pewność, że inni poznają jego ból. Że będą mną gardzić tak okrutnie, jak on mną gardził. Poleciał mi zniszczyć życie stu rodzinom w Reju. Poślubić ich córki i złożyć je o świcie w ofierze, jak zrobiła to Ava. Odebrać im obietnicę jutra i pozostawić ich rodziny bez odpowiedzi. Bez nadziei. Bez niczego prócz nienawiści, która będzie utrzymywać ich przy życiu.

Szahrzad otarła gorące łzy spływające jej po policzkach.

*Sziwa.*

– Początkowo odmawiałem. Nie chciałem się podporządkować. Nawet gdy zdałem sobie sprawę, że zaprzedał duszę najmroczniejszej magii, by rzucić tę klątwę, nawet mając za sobą wiele bezsennych nocy, nie mogłem tego zrobić. Nie mogłem zapoczątkować tak wielkiego cyklu śmierci i zniszczenia. Wtedy ustały deszcze. Studnie wyschły. Zniknęły koryta rzek. Mieszkańcy Reju cierpieli z powodu chorób i głodu. Zaczęli umierać. A ja zacząłem rozumieć.

– „Twoje miasto zrównam z ziemią” – mruknęła Szahrzad, przypominając sobie katastrofalną suszę, która w ubiegłym sezonie zniszczyła plony w ich zbiorach.

Przytaknął.

– „I po tysiącokroć odbiorę ci istnienie”.

To właśnie była motywacja.

Powód wszystkich nieuzasadnionych śmierci.

*Dlaczego nie czuję się ani odrobinę lepiej?*

Szahrzad patrzyła na profil Chalida oświetlony słabym światłem żyrandola wiszącego nad nimi, a kalif nadal wpatrywał się w podłogę.

– Ile świtów zostało? – zapytała.

– Niewiele.

– A co jeśli... Co jeśli nie spełnisz wymogów?

– Nie wiem. – Jego postawa wskazywała, że jest świadom zarówno wielkiego ciężaru, który na nim spoczywa, jak i przegranej.

– Ale... padało. Przez dwa miesiące, odkąd jestem w pałacu, padało kilkakrotnie. Może klątwa straciła swą moc.

Obrócił do niej głowę i uśmiechnął się smutno.

– Jeśli tak, nie ma nic, o co bardziej mógłbym prosić niebiosy.

W jej wnętrzu zaczęła kiełkować dokuczliwa świadomość.

– Chalidzie, a jeśli...

– Nie. Nie zadawaj tego pytania. – Jego głos był szorstki i pobrzmiwały

w nim nuty przestrogi.

Jej serce zgubiło rytm przez wzrastający w niej nowo odkryty strach.

– Więc nawet nie rozważałeś...

– Nie, nie będę tego rozważał. – Obiema dłońmi objął jej twarz. – Nie ma możliwości, bym rozpatrywał coś takiego.

Pokręciła głową, a jej ramiona drżały, gdy wbiła paznokcie w skórę dłoni.

– Jesteś śmieszny, Chalidzie Ibn al-Raszidzie. Jestem tylko zwykłą dziewczyną. A ty jesteś kalifem Chorasanu i ciąży na tobie odpowiedzialność za królestwo.

– Jeśli ty jesteś zwykłą dziewczyną, ja jestem zwykłym chłopakiem.

Szahrzad zamknęła oczy, nie mogąc znieść jego intensywnego spojrzenia.

– Słyszałaś, co powiedziałem, Szahrzad al-Chajzuran?

Nie odpowiedziała. Poczowała na czole muśnięcie warg.

– Spójrz na mnie – powiedział Chalid tak cicho i blisko, że ciepło obietnicy i chłód desperacji owiały jej skórę.

Otworzyła oczy.

Oparł głowę na jej czole.

– Zwykły chłopak i zwykła dziewczyna.

Szahrzad posłała mu pełen bólu uśmiech.

– W takim razie nie ma nic innego, o co mogłabym prosić niebiososa.

Chalid objął ją i położył się na plecach. Szahrzad oparła policzek na jego piersi.

Leżeli w bezruchu przytuleni, aż srebrny świt odmalował się na horyzoncie.

## ZAPOMNIENIE



Chalid przeglądał plany leżące przed nim na biurku.

Nowy system akweduktów kierujących słodką wodę z pobliskiego jeziora do podziemnych zbiorników miasta miał być kosztownym i czasochłonnym przedsięwzięciem. Doradcy byli przeciwni takiemu rozwiązaniu nie tylko z tych powodów.

Było to zrozumiałe.

Nie niepokoiła ich zbliżająca się susza.

Chalid powiódł dłonią w poprzek pergaminu, przyglądając się starannie wyrysowanym liniom i ozdobnym napisom stworzonym przez najznamienitszych uczonych i inżynierów Reju.

Tak wielkie umysły do dyspozycji. Tak ogromna inteligencja w zasięgu ręki.

Był kalifem Chorasanu. Rzekomym Królem Królów. Dowodził licznymi zastępami żołnierzy i od dwunastu lat trenował z najlepszymi wojownikami w królestwie. Dwanaście lat spędził, szlifując swój warsztat, by stać się jednym z najlepszych szermierzy w Reju. Wielu uważało go również za dobrego stratega.

Mimo tych pozornych umiejętności wciąż nie potrafił ochronić tego, co miało znaczenie...

Ludzi.

Królowej.

Nie potrafił tego pogodzić. Nie bez ogromnego poświęcenia.

Na Chalidzie odbijały się konsekwencje egoistycznego zachowania. Jak zostanie zinterpretowana jego niechęć do poświęcenia życia jednej dziewczyny wobec tak wielu innych? Czy zostanie osądzony?

Przez tę klątwę wiele młodych dziewcząt oddało już swoje życie. Umarły, ponieważ Chalid nie dostrzegł głębokiego cierpienia swojej pierwszej małżonki. Musiały umrzeć, ponieważ mu na niej nie zależało.

Jakie miał prawo decydować, które życie jest bardziej wartościowe? Kim

był, by to robić?

Młodym, osiemnastoletnim władcą. Zimnym, nieczułym draniem.

Potworem.

Zamknął oczy. Zacisnął palce na brzegu pergaminu.

Nie mógł pozwolić, by kaprysy pogrążonego w smutku szaleńca kierowały dłużej jego działaniem.

Musiał podjąć decyzję. Nawet jeśli byłaby ona bardzo egoistyczna. Nawet jeśli zostałyby za nią oszczędzony i ukarany na wieki.

Nigdy już nie będzie mężczyzną, który zawodzi. Chciał walczyć, by za wszelką cenę chronić to, co było mu drogie.

Uratować choć jedno. To, co najważniejsze.

Chalid podpisał dekret stanowiący o rozpoczęciu budowy nowego akweduktu. Przesunął go na bok i zaczął rozpatrywać kolejną sprawę. Kiedy przeglądał dokument, drzwi do jego sypialni otworzyły się bez słowa ostrzeżenia i jego kuzyn wpadł do środka.

Chalid uniósł wysoko brwi. Gdy chwilę później na progu stanął jego wuj z wyrazem twarzy bardziej ponurym niż zwykle, władca westchnął i oparł się o poduszki.

Oblicze Dżalala było... zaniepokojone.

– Zakładam, że to coś ważnego. – Chalid skupił wzrok na kuzynie.

Kiedy Dżalal milczał, kalif wstał.

– *Sajjidi...*

– Musi istnieć wyjaśnienie. – Kuzynowi załamał się głos i pobiełały knykcie, gdy ścisnął palce wokół trzymanego w lewej dłoni białego zwoju.

– *Dżalal-dżanie...*

– Proszę, ojczy – rzucił kapitan przez ramię. – Pozwól mi mówić!

Chalid się wyprostował.

– A co chcesz powiedzieć?

– Przymknij, że dasz jej szansę na wyjaśnienie. Wiem, że nie złamiesz danego słowa. Obiecuj więc.

– Daj raport. – Wuj, zaciskając mocno zęby, zbliżył się do syna ze zmęczeniem, które malowało się na jego twarzy.

– Nie, póki nie złożysz przysięgi. – Upór Dżalala był wręcz maniacki.

Chalid wyszedł zza biurka, jego postawa wciąż była sztywna.

– Niczego nie obiecuję, póki nie powiesz mi, o co chodzi.

Dżalal się zawahał.

– Kapitanie al-Chouri?  
– Szazi... i ten chłopak – powiedział ledwo słyszalnym szeptem.  
Chalid poczuł ucisk w gardle. Wyciągnął pewnie rękę.  
– Daj ten raport.  
– Przrzeknij, Chalidzie.  
– Nie wiem, dlaczego uważasz, że jestem ci winien w jej imieniu jakkolwiek obietnicę. – Jego głos był stanowczy mimo opanowującego go chłodu.  
– Więc przrzeknij jej.  
– To, co przrzekam Szahrzad, nie jest twoją sprawą. Daj mi raport.  
Dżalal odetchnął powoli, po czym podał zwój. Chalid rozwinął go, a mroczny ciężar osiadł na jego sercu jak zapowiedź zagłady nad poszukującymi schronienia.  
Przerzucił wzrokiem pismo, rejestrując słowa w odległej części umysłu. Jego spojrzenie przesunęło się ponownie ku górze pergaminu.  
Powtórzył to raz jeszcze.  
– Przykro mi, Chalid-*dżanie* – powiedział z troską wuj. – Bardzo mi przykro. Nawet ja zacząłem wierzyć, chciałem wierzyć, że to coś więcej.  
Dżalal pokręcił głową i przysunął się do Chalida.  
– I z pewnością tak właśnie jest. Proszę, daj jej szansę na wyjaśnienie.  
– Wyjdźcie – rozkazał cicho Chalid.  
– Nie pozwól, by strach i nieufność to zniszczyły.  
Wuj złapał syna za ramię.  
– Ona cię kocha! – ciągnął Dżalal pospiesznie. – To nie tak, jak się wydaje. Może na początku tak było, ale założę się o własne życie, że teraz jest inaczej. Ona cię kocha. Proszę, nie popadaj w nienawiść. Nie jesteś własnym ojcem. Stać cię na więcej. Ją stać na więcej.  
Chalid odwrócił się plecami do kuzyna i zgniół pergamin.  
Jednak w jego ciele rozpętała się burza, zaciemniając wszystko na swojej drodze.  
Niszcząc potępioną już duszę.



Szahrzad stała przy balustradzie na swoim tarasie, wpatrując się w morze gwiazd na bezkresnym niebie o barwie indygo.

Nie mogła wytrzymać samotnie w swojej komnacie. Choć wszystkie ślady



rzezi zniknęły, było za wcześnie, by przebywać wśród tych ścian, po których w słabym świetle skradały się cienie.

Szahrzad westchnęła, obserwując jasną wiązkę światła przecinającą ciemne niebo.

Dzień spędziła, spacerując samotnie po ogrodach. Porzuciła towarzystwo Despiny, by w ciszy i spokoju zastanowić się nad poznaną nocą tajemnicą.

Niestety prawda nie okazała się tak piękna, jak w to wierzyła.

Była odrażająca, pusta i skażona znacznie większym okrucieństwem, niż mogła sobie wyobrazić.

Jej przyjaciółka została zamordowana w imię zemsty – okropnej, mętnej zemsty szalonego człowieka, który przez niefortunny obrót wydarzeń stracił dziecko. I postanowił ukarać innych za swój ból.

Ukarał za niego Chalida.

A Chalid ukarał mieszkańców Reju.

Szahrzad wzięła głęboki wdech.

Wszystko ulatywało w niekończącą się ciemność z powodu udręki jednego człowieka.

Przyglądała się swoim dłoniom opartym o kamienną poręcz.

To samo pragnienie zemsty sprowadziło ją do tego pałacu. Przywiodło do młodego władcy, którego obwiniała o powszechne cierpienie.

Teraz stała nad przepaścią.

Chalid wciąż był odpowiedzialny za śmierć Sziwy. Wydał rozkaz. Siedział przy biurku i pisał list do jej rodziny, gdy żołnierz na dziedzińcu za pomocą jedwabnego sznura pozbawiał ją powietrza. Kalif nie powstrzymał go przed jej zabiciem, jak zrobił to w przypadku Szahrzad. Pozwolił, by się dokonało.

Nic w tym względzie się nie zmieniło.

Mimo to obraz sytuacji wyglądał inaczej.

Szahrzad wiedziała już dlaczego. Mimo że było to przerażające i niemal niepojęte, po trosze rozumiała, że nie miał wyboru.

Pewnego dnia będzie musiał podjąć tę samą decyzję w stosunku do niej.

Z zamyślenia wyrwał ją jęk zawiasów przy drzwiach do jej komnaty. Szahrzad mocniej ścisnęła tasiemki *szamli* i obróciła się na tarasie. Zeszła z niego i stanęła pośrodku swojej sypialni. W rogu paliły się świece pachnące ambrawą.

Chalid stał przy drzwiach, a jego twarz częściowo skrywał cień.

Uśmiechnęła się do niego niepewnie.

Pozostał nieruchomy jak posąg.

Ściągnęła brwi.

– Witam? – Jej głos wydał się dziwny nawet jej samej, było to bardziej pytanie niż powitanie.

– Witam – padła oschła, wręcz groźna odpowiedź, która przywiodła jej na myśl czas, gdy łączyły ich jedynie opowiadane nocą historie. Czas, gdy żywiła nadzieję, że nadal będą je dzielić.

Szahrzad natychmiast się zaniepokoiła.

– Coś się stało?

Chalid wyszedł z ciemności i zbliżył się do dziewczyny.

Bez wątpienia coś musiało się stać.

Jednak choć wyraz jego twarzy był zimny i odległy, z jego tygrysiich oczu biły czyste emocje.

– Chalidzie? – Jej serce zgubiło rytm.

Odetchnął z nienaturalną starannością.

– Od jak dawna?

– Słucham?

Zbliżył się do niej o kolejny krok.

– Od jak dawna jesteś zakochana w Tariku Imran al-Zijadzie?

Nim zdołała się powstrzymać, wciągnęła gwałtownie powietrze. Jej serce skurczyło się w piersi i poczuła, jak kolana uginają się pod nią.

*Skłam. Okłam go.*

Tygrysie oczy wpatrywały się w jej twarz... obserwując i czekając.

Wiedział.

Lękał się?

– Od gorących letnich miesięcy, gdy skończyłam dwanaście lat – powiedziała łamiącym się głosem.

Zacisnęła dłonie w pięści i wrócił w cień.

– Mogę to wyjaśnić! – podbiegła do niego. – Mogę...

Kiedy się odwrócił, słowa zamarły jej na ustach.

W prawej ręce trzymał sztylet.

Cofnęła się przerażona.

Jego wzrok tkwił wbity w marmurową posadzkę pod nogami.

– Za hebanową szafą w mojej sypialni znajdują się drzwi z dużym mosiężnym pierścieniem. Klamka nie jest zwyczajna. Musisz obrócić ją trzy razy w prawo i dwa razy w lewo, następnie znów trzy razy w prawo, nim

puści zamek. Klatka schodowa prowadzi do podziemnego przejścia, którym dojdiesz bezpośrednio do stajni. Weź mojego konia. Nazywa się Ardeszir.

Dezorientacja przyćmiła panikę Szahrzad.

– Nie...

– Proszę. – Podał jej sztylet.

Pokręciła głową, wciąż się cofając.

– Weź go. – Włożył jej do ręki rękojeść broni.

– Nie rozumiem.

– Na zewnątrz czeka Wikram. Zaprowadzi cię do mojej komnaty. Nikt cię nie zatrzyma. Weź Ardeszira... i jedź – powiedział Chalid ledwo słyszalnym szeptem.

Szahrzad zacisnęła palce na rękojeści sztyletu, ściągając brwi, jej serce dudniło w piersi...

Chalid opadł przed nią na kolana.

– Co... Co robisz? – wydyszała. – Nie...

– Sziwa bin-Latief – wypowiedział jej imię z szacunkiem. Jak modlitwę. Potem pokonany zamknął oczy i zwiesił głowę.

Powietrze opuściło płuca Szahrzad, gdy zrozumiała. Zachwiała się na nogach, po czym opadła na posadzkę, wciąż ściskając mocno rękojeść sztyletu.

– Wstań – powiedział cicho Chalid.

Jej pierś uniosła się gwałtownie.

– Wstań, Szahrzad al-Chajzuran. Nie powinnaś klękać przed nikim. A już na pewno nie przede mną.

– Chalidzie...

– Zrób to, po co tu przybyłaś. Nie jesteś mi winna wyjaśnień. Nie zasługuję na żadne.

Szahrzad wymknął się zdławiony szloch, gdy Chalid chwycił ją za ramiona.

– Wstań – powiedział łagodnie, choć stanowczo.

– Nie mogę.

– Możesz. Dla Sziwy. Nic cię nie ogranicza. Nie ma nic, czego nie mogłabyś zrobić.

– Nie mogę!

– Możesz.

– Nie. – Pokręciła głową, zalewając się łzami.

– Zrób to. Nie jesteś mi nic winna. Bo ja jestem niczym.

*Jak możesz tak mówić? Jesteś...*

Szahrzad mocniej pokręciła głową. Rozluźniła uchwyt na sztylcie.

– Szahrzad al-Chajzuran! – Zacisnął zęby. – Nie jesteś słaba. Nie jesteś niepełna. Jesteś silna. Nieokrzesała i nadzwyczaj zdolna.

Przełknęła ślinę, prostując się, szukając w sobie nienawiści, krzyczy gniewu... czegokolwiek.

*Sziwa.*

Chalid upierał się przy swoim.

– Odebrałem ci ją. Żadne moje słowo, żaden mój czyn nie naprawi już tego, co zrobiłem. Jeśli któreś z nas może wybierać, wybór ten nie powinien należeć do mnie, *dżanam*.

*Moje życie.*

Szahrzad podniosła się na kolana i położyła dłoń na jego piersi.

– I oczekujesz, bym to ja go dokonała? – zapytała.

Skinął głową, jego oczy nadal płonęły.

Złapała mocno jego *kamiz*.

– Naprawdę oczekujesz, bym oddychała na świecie bez powietrza?

Chalid wziął gwałtowny oddech i mocniej złapał ją za ramiona.

– Oczekuję, że będziesz silniejsza.

Wyraz twarzy Szahrzad złagodniał.

– Ale... nie ma nic silniejszego od tego.

Upuściła sztylet, który zadzwięczał na podłodze, i położyła obie dłonie na jego piersi.

– Nienawiść. Osąd. Odwet. Jak mówiłeś, zemsta nigdy nie zastąpi tego, co straciłam. Tego, co straciłeś również ty. Mamy tylko teraźniejszość. I obietnicę lepszego jutra. – Wsunęła palce w jego włosy. – Nie ma nikogo, z kim wolałabym oglądać wschód słońca bardziej niż z tobą.

Chalid zamknął oczy. Czują, jak szybko bije jego serce. Kiedy był gotów ponownie na nią spojrzeć, objął jej twarz, gładząc kciukiem jej policzek z pieśczołą ciepłą jak letni wiatr.

Kłęczeli zwróceniami twarzami do siebie i milczeli. Przyglądali się sobie. Naprawdę się zauważali – bez iluzji, bez masek. Po raz pierwszy Szahrzad udało się dostrzec każdy szczegół jego twarzy, sama zaś nie bała się, że jego bystry wzrok przedrze się przez jej pajęczą zasłonę i złoto...

I ujrzy prawdę.

Miał maleńką, ledwie zauważalną bliznę pod lewym okiem. Ciemne,

złowrogo wyglądające brwi, pod którymi błyszcząły oczy niczym jeziora płynnego bursztynu. Środek ust zdobiła idealna bruzda.

Gdy dostrzegł, że przygląda się jego wargom, powoli wypuścił powietrze.

– Szazi...

– Bądź ze mną tej nocy – szepnęła. – Tak jak to tylko możliwe. Bądź mój.

Jego oczy znów zmieniły się w płynny ogień.

– Od zawsze jestem twój. – Położył palce na jej podbródku. – A ty zawsze byłaś moja.

Nachmurzyła się i zaczęła protestować.

– Nie. – Posłał jej identyczne spojrzenie.

– Twoja zaborczość... może stanowić problem. – Ściągnęła brwi.

Kąciki jego ust uniosły się odrobinę.

Szahrzad wzięła go za rękę i poprowadziła w stronę łóża. Choć każda komórka jej ciała pozostawała doskonale świadoma wysokiej, umięśnionej sylwetki tuż za sobą, dziewczyna nie czuła zdenerwowania. Czuła spokój. Niezwykłe poczucie słuszności.

Chalid usiadł na łóżu, więc stanęła przed nim.

Oparł czoło na jej brzuchu.

– Nie będę prosił o przebaczenie, ale bardzo mi przykro – powiedział zwięźle, jak się tego po nim spodziewała.

Pocałowała go w miękkie, ciemne włosy.

– Wiem.

Unióś głowę, więc usiadła okrakiem na jego kolanach. Zdjął *kamiz*, a ona pogłaskała go po umięśnionym torsie. Zatrzymała palce na cienkiej białej linii biegnącej wzdłuż obojczyka.

– Wikram – wyjaśnił.

Zmrużyła oczy.

– Radźput? On cię zranił?

– Dlaczego to cię dziwi? – zapytał, niemal się drocząc. – To cię niepokoi?

Zmarszczyła nos.

Chalid przysunął się bliżej.

– Czasami się zdarza. Jest lepszy ode mnie.

– Nie dbam o to. Ale nie pozwól, by ponownie cię zranił.

– Postaram się. – Unióś jej podbródek. – A to co? – Musnął kciukiem starą bliznę pod jej podbródkiem, przez co dreszcz przebiegł jej po plecach.

– Spadłam z muru, gdy miałam trzynaście lat.

- Dlaczego weszłaś na mur?
- Próbowałam udowodnić, że umiem się wspinać.
- Komu?

Kiedy nie odpowiedziała, Chalid się spał.

– Rozumiem – mruknął. – A ten głupiec po prostu przyglądał się, jak spadasz?

– Nie dałam mu wyboru.

Na jego ustach pojawił się cień uśmiechu.

– Mimo wszystko czuję do niego odrobinę sympatii... pośród tego morza nienawiści.

– Chalidzie. – Szturchnęła go w pierś.

– Szahrzad. – Złapał ją za rękę, a wyraz jego twarzy zmienił się pod wpływem istniejącej między nimi napiętności. – Naprawdę tego chcesz?

Wpatrywała się w niego, zaskoczona przebłyskiem wrażliwości na jego obliczu.

Potężny kalif Chorasanu. Król Królów.

Jej piękny potwór.

Szahrzad przysunęła się i pocałowała go w usta. Objęła dłońmi jego twarz i smakowała ogrzanego słońcem miodu.

Jak powiedział – nie mieli wyboru.

Chalid położył jej rękę na plecach, więc dziewczyna wygięła się, przywierając do niego. Tasiemki jej *szamli* zostały rozwiązane i wkrótce chłodne powietrze osnuło jej ciało. Potem ogarnął je żar jego dotyku, odczucie jego skóry tuż na jej własnej.

Kiedy przesunął usta na jej szyję – ostrożnie, by nie dotknąć rany po sztylcie *fedaina* – Szahrzad podjęła decyzję.

– Kocham cię – powiedziała.

Chalid uniósł głowę.

Położyła rękę na jego policzku.

– Niewymownie.

Wciąż wpatrując się w jej twarz, położył ją na pościeli i ułożył się na niej, całując wewnętrzną stronę jej nadgarstka.

– Moja dusza jest odbiciem twojej.

To było wszystko, nim zatraciła się w bursztynie i prawdzie.

Nim, wraz z pocałunkiem, pozwoliła sobie się zakochać.

Zakochała się w chłopcu, który był niemożliwie, nieprawdopodobnie pełen

kontrastów. W chłopcu, który spopielił jej życie, by ukazać jej świat, którego nigdy wcześniej nie знаła.

Jutro będzie martwić się o lojalność. Jutro będzie przejmować się ceną zdrady.

Dzisiaj liczyło się dla niej tylko jedno.

Ich palce splecione ponad jej głową. Jego cichy szept przy jej uchu.

Zwykły chłopak i zwykła dziewczyna.

To zapomnienie.



Szahrzad obudziła się wśród zapachu róż.

Zapachu domu.

Złote słońce wpadało przez drewniane okiennice wychodzące na jej taras. Na widok jasnego światła skrzywiła się i obróciła na bok.

Na poduszce przy jej głowie leżała jasnofioletowa róża i kawałek pergaminu. Szahrzad uśmiechnęła się do siebie. Podniosła różę i przysunęła ją do twarzy.

Była idealna. Jej płatki wyglądały cudownie, w barwie zaś finezyjnie równoważyły się subtelność i żywiołowość. Wdychając intensywny zapach kwiatu, dziewczyna sięgnęła po pergamin i położyła się na brzuchu.

*Szazi,*

*spośród wszystkich barw, które istnieją na świecie, najbardziej uwielbiam kolor niebieski. Zapach bzu w twoich włosach jest dla mnie źródłem niekończącej się męki. Nie lubię fig. Zaś do końca życia nie zapomnę wczorajszej nocy...*

*Nic – ani słońce, ani deszcz, ani nawet najjaśniejsza gwiazda na ciemnym niebie – nie może się równać z twoją cudownością.*

*Chalid*

Szahrzad przeczytała list czterokrotnie, zapamiętując wszystkie słowa. Jej uśmiech rósł z każdym przeczytanym wersem, aż stał się tak szeroki, że sprawiał jej ból. Roześmiała się nieprzytomnie, za co natychmiast się skarciła. Położyła różę i pergamin na stoliku obok łóża i sięgnęła na podłogę po zapomnianą szamlę.

*Gdzie jest Despina?*

Wiążąc koronkowe tasiemki, podeszła do drzwi wiodących do pokoju służącej i zapukała. Kiedy nikt nie odpowiedział, złapała za klamkę i zerknęła

do środka. Sypialnia Despiny była ciemna i pusta. Szahrzad zmarszczyła brwi i wróciła do siebie.

Jej grymas się pogłębił. Wykąpała się i ubrała w spodnie, które dopasowała do Inianego *kamizu* bez rękawów w kolorze żywego szkarłatu. Małeńkie perły, miedziane i złote ozdoby wszyte zostały na jego rękawach i wzdłuż dolnej krawędzi.

Gdy skończyła czesać się grzebieniem z kości słoniowej, otworzyły się jedno z podwójnych drzwi, by po chwili zamknąć się z ogłuszającym trzaskiem.

Szahrzad podskoczyła ze zdławionym piskiem.

– Tęskniłaś? – droczyła się Despina.

– Gdzie byłaś cały rano? – Szahrzad popatrzyła groźnie na służkę, przerzucając wciąż wilgotne włosy za ramię.

Despina przechyliła głowę na bok.

– Chyba sobie żartujesz, smarkata kalifo. Wolałabym zjeść własne ekskrementy, niż wrócić do tej komnaty zbyt wcześnie. I co gorsza narazić się na gniew władcy.

– O czym ty mówisz?

– Nie bądź taka skromna. Cały pałac już o wszystkim wie.

Szahrzad się zarumieniła.

– Wie o czym?

Despina wyszczerzyła zęby w uśmiechu.

– Kalif Chorasana poszedł o świcie sam do ogrodu. Wrócił zaś z pojedynczą różą. – Wskazała kwiat leżący na stoliku obok Szahrzad. – Myślę, że każdy wie dlaczego.

Policzki młodej królowej płonęły.

Despina jęknęła.

– Zamierzasz zaprzeczyć? Co za banał!

Szahrzad myślała przez chwilę.

– Nie, nie zamierzam. – Uniosła wysoko podbródek.

– Dzięki bogom. Myślałam, że będę musiała ścierpieć po raz kolejny ohydnie sztuczną nieśmiałość.

– To ty jesteś w tym doświadczona.

– Słucham?

Szahrzad oparła dłonie na biodrach i uniosła brwi, naśladując minę swojej służącej.



- Miałaś udany wieczór, Despina-*dżan*?
- Oczywiście, że tak – rzuciła służka przez ramię. – Całkiem dobrze spałam.
- Dobrze słyszeć. A czy w końcu zebrałaś się na odwagę i wyznałaś ukochanemu prawdę?
- Ukochanemu? Chyba uderzyłaś się w głowę. Może zbyt wiele niepohamowanego...
- A teraz kto jest paskudnie wstydlivy? Prawdę mówiąc, irytuje mnie, że ciągniecie te gierki i ignorujecie uczucia. On musi wiedzieć, że ci na nim zależy. I zdecydowanie powinien wiedzieć o dziecku. Może mogłabym...
- Szahrzad! – Despina odwróciła się gwałtownie, na jej twarzy odmalowało się przerażenie. – Nie możesz! Nie wolno ci!
- Despino...
- Nie rozumiesz! On nie może wiedzieć... o niczym. – Ręce Despiny drżały, gdy położyła je na brzuchu.
- Szahrzad rzuciła jej zdumione spojrzenie.
- Masz rację, nie rozumiem. Jest dobry. Musi... cię kochać. Nie kocha?
- Nie... nie wiem. – Po raz pierwszy dumny i wyniosły głos Despiny się zawahał. Dziewczyna zgarbiła się, podeszła do nóg łoża Szahrzad i usiadła na podłodze, opierając się o nie. Młoda królowa bez słowa przeszła po posłaniu, a następnie zajęła miejsce obok służącej na białym marmurze.
- A poza tym i tak nie może wziąć mnie za żonę – powiedziała cichym, skruszonym tonem Despina. – Jestem posługaczką. On jest kuzynem kalifa. Pewnego dnia zostanie *szahrbanem*. Jego ojciec poślubił księżniczkę Chorasanu. Dżalal musi wziąć sobie kogoś z dobrej rodziny, a nie służkę z Teb.
- Nawet jeśli ją kocha?
- Despina zamknęła błękitne oczy.
- Nawet jeśli ją kocha.
- Uważam, że to absurd. Rozmawiałaś z nim o tym?
- Pokręciła głową.
- Myśli, że go nie kocham. Powiedziałam mu to.
- Despino! – Szahrzad spiorunowała ją wzrokiem.
- Tak jest łatwiej. Jeśli będzie uważał, że to zauroczenie, które szybko minie, łatwiej nam będzie później powrócić do swojego życia.
- Dlaczego chcesz sobie coś takiego zrobić? Dlaczego chcesz go okłamywać?

– Wierzę, że jeśli naprawdę kogoś kochamy, chcemy dla niego jak najlepiej.  
– To nie tylko absurd, lecz także arogancja.  
– A ja uważam, że to zabawne słyszeć takie słowa z ust kogoś równie aroganckiego jak ty.  
– Ja jestem arogancka? – warknęła Szahrzad. – To nie ja twierdzę, że wiem, co jest lepsze dla dorosłego mężczyzny, nie rozmawiając z nim uprzednio.  
Despina uśmiechnęła się ze smutkiem.  
Szahrzad szturchnęła ją ramieniem.  
– Rozumiem, jak trudno oddać własne serce w czyjeś dłonie, jednak jeśli tego nie zrobisz... jak zdołasz tak naprawdę poznać tę jedyną osobę?  
Despina przyciągnęła kolana do piersi.  
– Jego ojciec mną wzgardzi. Wszyscy będą uważali, że wrobiłam go w małżeństwo. Że jestem dziwką i intrygantką.  
– Własnymi rękami pobiję do nieprzytomności tego, kto ośmieli się kiedykolwiek powiedzieć o tobie coś złego.  
Despina, powątpiewając, uniosła brwi.  
– Nie drwij ze mnie. Może jestem mała, ale kiedy ktoś zajdzie mi za skórę, potrafię uderzyć z zaskakującą siłą. – Szahrzad pociągnęła nosem. – Jeśli mi nie wierzysz, zapytaj Dżalala.  
– Uderzyłaś Dżalala? – Despina zmarszczyła czoło.  
Szahrzad pokręciła głową, a niewielki uśmiech odmalował się na jej twarzy.  
– Chalida.  
– Co? – sapnęła Despina. – Uderzyłaś... kalifa?  
– W twarz.  
Despina nakryła usta dłonią, lecz i tak wymknął się z nich chichot.  
Dwie dziewczyny siedziały na podłodze, rozmawiając i śmiejąc się. Przerwało im pukanie do drzwi. Słyszając je, wstały. Podwójne drzwi otworzyły się, do środka zaś wszedł Chalid, a tuż za nim Dżalal. Cały oddział strażników pozostał w korytarzu. *Szahrban* czekał cierpliwie razem z nimi.  
Chalid jak zawsze poruszał się z gracją godną władcy. Jego ciemna *rida* umocowana była na wymyślnym srebrno-złotym kirysie. Rękojeść *szamszira* wystawała zza czarnej *tikki*, którą przewiązane miał szczupłe biodra. Wyglądał groźnie i niedostępnie – jakby dzieliło go od niej tysiąc lat, tysiąc istnień i tysiąc opowieści.  
Jednak Szahrzad wiedziała lepiej.  
Spotkała się z nim pośrodku komnaty.

Spojrzenie jego oczu było ciepłe. Jej serce rosło na ten widok.

Despina skłoniła się Chalidowi i nie zatrzymując się, przeszła do mniejszych drzwi w pobliżu tych głównych... przy których jak zwykle bezceremonialnie przechadzał się Dżalal.

Oboje daremnie próbowali okazywać obojętność.

Dla Szahrzad było to nieme świadectwo prawdy. Trwało zaledwie chwilę. Potem już na siebie nie patrzyli. Mimo to młoda królowa zastanawiała się, jak ktokolwiek mógłby przegapić ten moment – subtelną zmianę w ramionach Dżalala, lekkie przechylenie głowy Despiny.

Szahrzad uśmiechnęła się znacząco.

Chalid czekał, aż drzwi wiodące do sypialni służącej się zamkną.

– Dobrze spałaś? – Jego niski głos przywiódł wspomnienia szeptanych w mroku słów.

– Tak.

– Cieszę się.

– Dziękuję za prezenty. Były doskonałe.

– Zatem były trafione.

Uniosła smukłą brew i kącik ust.

– Mam dla ciebie coś jeszcze – powiedział.

– Co to takiego?

– Daj rękę.

– Ma znaczenie którą?

Pokręcił głową.

Wyciągnęła prawą dłoń, a on wsunął na jej palec serdeczny złotą obrączkę. Była identyczna jak jego.

Szahrzad powiodła lewym kciukiem po wygrawerowanych dwóch skrzyżowanych szablach. Herb al-Raszida.

Jej herb.

Kalify Chorasanu.

– Chciałabyś ją nosić? To...

– Najlepszy z prezentów. – Spojrzała mu w oczy.

Uśmiechnęła się, a uśmiech ten przyćmił słońce.

Za jego plecami poruszyli się strażnicy.

– *Sajjidi?* – przerwał Dżalal, przepraszając spoglądając na Szahrzad. – Powinieneś ruszać.

Chalid krótko skinął głową.

– Dokąd się wybierasz? – zapytała Szahrzad z widocznym zmartwieniem.

– Na granicy Chorasanu i Partii zbiera się niewielka armia pod nowym sztandarem. Emirowie w tym regionie stali się nerwowi i chcą omówić strategię na wypadek wszczęcia rozruchów.

– Och. – Ściągnęła brwi. – Jak długo cię nie będzie?

– Dwa, może trzy tygodnie.

– Rozumiem. – Szahrzad przygryzła wargę, próbując zachować milczenie. Jego uśmiech powrócił.

– Zatem dwa tygodnie.

– Nie trzy?

– Nie trzy.

– Dobrze.

Przyglądał jej się z niewielkim rozbawieniem.

– Cieszę się.

– Wolałabym, byś na siebie uważał, nie zaś się cieszył. I wracaj bezpiecznie

– ściszyła głos. – Albo zostaniesz przywitany tacą fig.

Jego oczy zajaśniały złotym kolorem.

– Moja królowo. – Skłonił się, dotykając ręką czoła, nim przesunął ją na serce.

Szacunek. I uczucie.

Kiedy skierował się do drzwi, w sercu Szahrzad zaczęło kiełkować rozczarowanie.

Nie takiego pożegnania chciała.

– Chalidzie?

Odwrócił się do niej twarzą.

Podbiegła do niego, chwyciła z przodu jego *ridę* i przyciągnęła go do siebie, by pocałować.

Zamarł przez chwilę, ale objął ją w talii i mocniej przytulił.

Strażnicy w korytarzu nerwowo przestąpili z nogi na nogę, ich szable i broje zagrzechotały. Śmiech Dżalala poniósł się echem od podwójnych drzwi.

Szahrzad nie zwróciła na niego uwagi.

Pocałunek krył wiele znaczeń. Był pocałunkiem zrozumienia.

W małżeństwie bez iluzji. I w miłości bez reguł.

Chalid położył dłoń na jej plecach.

– Dziesięć dni.

Zacisnęła palce na jego *ridzie*.

– Przyrzekasz?

– Przyrzekam.

## ŻYWIÓŁ BURZY



Jahandar wjechał na grzbiecie łaciatej klaczy na szczyt wzgórza, z którego rozciągał się widok na Rej.

Niebo było ciemne i bezgwiazdne.

Idealne.

Wziął głęboki wdech i zsiadł z konia. Sięgnął do swojej skórzanej sakwy i wyciągnął zniszczoną antyczną księgę.

Żarzyła się pod wpływem jego dotyku.

Z ostrożnością uklęknął przed górą kamieni i położył wolumin na płaskiej powierzchni jednego z nich. Chwycił czarny klucz wiszący na szyi i wsunął go w zardzewiały zamek znajdujący się pośrodku księgi. Gdy tylko otworzył okładkę, ze stron powoli zaczęło promieniować srebrne światło.

Był wdzięczny, że już nie parzyło jego rąk.

Jahandar przerzucał poźółkłe strony, aż dopóki odnalazł zaklęcie. Słowa były wyryte w jego pamięci, ale magia księgi wspomagała go swą mocą w tym trudnym zadaniu. Zamknął oczy i pozwolił, by srebrne światło spowiło jego twarz i ręce, napełniając go mocą. Następnie wyciągnął sztylet z pochwy i przeciągnął jego czubkiem po świeżej bliźnie na lewej dłoni. Gdy tylko jego krew spłynęła na ostrze, metal zaczął jaśnieć białoniebieskim światłem.

Jahandar wstał i obrócił się w stronę łaciatej klaczy. Zarzuciła grzywą i parsknęła spłoszona, wytrzeszczając brązowe oczy. Mężczyzna zawahał się przez chwilę.

Ludzie spodziewali się po nim wielkich rzeczy.

Nie chciał nikogo ponownie zawieść.

Zagryzł zęby, podszedł do klaczy i jednym płynnym ruchem przesunął sztyletem po jej szyi. Ciepła krew trysnęła szkarłatnym strumieniem na jego dłoń. Klacz upadła na kolana, walcząc z nieuniknionym. Niedługo potem przewróciła się, a jej oddech, początkowo płytki, zaraz ustał.

Krawędź ostrza była ogniście czerwona, w środku płonęła intensywniej niż

wcześniej.

Jej moc stała się potężniejsza i jeszcze bardziej przerażająca.

Jahandar odsunął się od martwego konia i odetchnął przez nos. Dotknął sztyletem rany na swej dłoni.

Ogromna siła przeszła go aż do szpiku kości. Na szczycie usypanych kamieni srebrne światło księgi roztaczało blask jaśniejszy niż gwiazda.

Mężczyzna wciągnął gwałtownie powietrze i upuścił sztylet, gdy magia wraz z całą swą mocą zgromadziła się w jego piersi. Ziemia zadrżała pod jego stopami.

Zaczął się śmiać.

Wzniósł zakrwawione ręce ku niebu i wypowiedział starożytne słowa. Obserwował przez chwilę, jak chmury zbierają się na jego rozkaz. Cieszył się, gdy spełniły jego żądanie.

Strony księgi zatrzepotały. Poderwana wiatrem broda uderzyła o jego szyję.

Nigdy już nikogo nie zawiedzie.

Dzisiaj raz na zawsze dowiedzie swej wartości.

Uratuje córkę. I królestwo.

Był Jahandarem Wielkim.

Jahandarem Wszechpotężnym.

Jahandarem... Królem Królów.



Spadły pierwsze krople deszczu.

Tarik zignorował rosnące uczucie niepokoju.

Stał pod osłoną ciemności oparty plecami o mur z wypłowiałego kamienia. Brama pałacowa widniała w oddali za jego ramieniem. Ciągnęła się wysoko, wykonana z solidnego drewna i kutego żelaza. Uzbrojeni wartownicy, strzegący pałacu zarówno na górze, jak i na dole, stali z pochodniami na murach.

Młodzieniec odetchnął, starając się uspokoić.

Próbował zdusić wątpliwości.

– Naprawdę nie powiedział, jak zamierza sforsować bramę? – Rahim naciągnął za czoło kaptur brązowej *ridy*.

– Powtarzam ci, że chce odwrócić ich uwagę.

– I ty mu ufasz?

– Nie – przyznał Tarik. – Ale jeśli zawiedzie, nie znajdę się wcale w gorszej

sytuacji.

– Właściwie to nieprawda. Nie zostałeś jeszcze oskarżony o działalność wywrotową.

– Jahandar-*efendi* by nas nie zdradził. W tym ufam mu bezgranicznie.

– Żałuję, że nie jestem tak wielkim optymistą – wymamrotał Rahim.

– A gdybyś był?

– Byłbym idiotą.

– Lepiej być idiotą niż łamagą.

– Lepiej być żywym niż martwym.

– Wracaj do domu, Rahim-*dżanie* – powiedział Tarik. – Słyszę, że matka cię woła.

– Nadęty głupek.

Tarik wyszczerzył zęby w uśmiechu, jednak serce mu się ścisnęło.

Wynajęci żołnierze stojący w cieniu za Rahimem milczeli, czekając na rozkaz Tarika.

Gdyby tylko sam wiedział, co mają robić.

Westchnął. Pewnie doprowadzi to do czegoś głupiego. Mimo wszystko Jahandar al-Chajzuran nie zawsze był niezawodny. Pograżony w smutku po śmierci małżonki nie był dobrym ojcem dla swych córek. Następnie zawiódł króla jako jego doradca i został za to zdegradowany. Zawiódł również Szahrzad, gdy pozwolił jej zaryzykować życie w imię zemsty.

Jednak Tarik musiał spróbować.

Deszcz padał coraz mocniej. Lał się już ciurkiem z fasady powyżej, przez co przesiąknięta *rida* przywarła do skóry mężczyzny.

Rahim odsunął się od najbliższego strumienia wody.

– Nie sądzisz...

Niebo przecięła błyskawica, po której rozległ się grzmot.

– Jedno jest pewne, burza nam nie pomoże – stwierdził Rahim.

Tarik oparł się o mur i zamknął oczy.

Rahim zaklął przy następnym grzmocie, który był tak głośny, że zagrzechotały zęby Tarika.

Ludzie zaczęli wybiegać na ulice. W oknach pozapalały się lampy.

– Tariku! – ostrzegł ostro Rahim.

Tarik obrócił głowę w kierunku pałacu i z przerażeniem obserwował, jak piorun uderza w jedną z marmurowych wieżyczek. Kilka kamieni rozpadło się na kawałki, uderzając w ziemię z gigantycznym hukiem.



Strażnicy przy bramie zaczęli bić na alarm.

– Miłosierny Boże. – Westchnął Rahim.

W pobliżu uderzył kolejny piorun, podpalając budynek. Ryk grzmotu przeszył Tarika do szpiku kości.

W tej chwili deszcz lał się z nieba strumieniami, zapowiadając potop.

Pierwsze krzyki rozległy się, gdy kolejny piorun uderzył w dach domostwa, posyłając płonące kawałki desek i gruz w kierunku nieba.

Dom natychmiast stanął w płomieniach.

Spanikowane wrzaski przybrały na sile.

Kolejna błyskawica uderzyła w pałac, rozrywając na strzępy marmurową ścianę. Tarik odsunął się od muru.

Rahim chwycił go za ramię.

– Co robisz?

– Nie będę się przyglądał, jak pałac równany jest z ziemią. W środku jest Szahrzad.

Rahim pociągnął go do tyłu.

– I co zamierzasz? Pokornie poprosić o wstęp?

– Nie – rzucił Tarik półgłosem. – Zamierzam...

Piorun uderzył w sam środek bramy, oślepiając ich i wyciskając powietrze z ich płuc. Drewno, metal i popiół mieszały się z deszczem.

Wokół nich panował chaos. Krzyki uciekających w popłochu ludzi ginęły w rozdzierających dźwiękach burzy. Żołnierze rozpierzchli się od bramy, próbując zapanować nad paniką i utrzymać porządek.

– To pomysł Jahandara na odwrócenie uwagi?! – wykrzyknął przerażony Rahim.

Tarik zdjął kaptur *ridy*.

– To niemożliwe. Jahandar-*efendi* nie jest zdolny do czegoś takiego. Z trudem udaje mu się sprawić, by rozkwitł kwiat.

– W takim razie co to jest, na Boga!?! – Rahim skulił się, gdy kolejny zygzakowaty błysk przeciął niebo i uderzył w serce miasta.

Zewsząd buchały płomienie.

Tarik zmarszczył brwi i zdusił okropne przeczucie.

– Nie wiem, ale jestem pewien, że nie zostawię tam Szahrzad. – Naciągnął kaptur na głowę i zdjął łuk z pleców.



Szahrzad obudziła się przy pierwszym uderzeniu pioruna. Serce podeszło jej do gardła, gdy zbliżyła się do drewnianych okiennic i zerknęła przez ich szczeliny.

*To tylko burza.*

Wróciła do łóża, usiadła na jego krawędzi. Zaczęła bawić się złotą obrączką na palcu.

*Tylko burza.*

Ogłuszający grzmot i dźwięk pękającego kamienia sprawił, że ponownie poderwała się z miejsca.

Coś uderzyło w pałac.

Kiedy przed drzwiami jej komnaty zabrzmiały kroki, Szahrzad sięgnęła po sztylet leżący obok łóża i kucnęła za podwyższeniem.

Drzwi bezceremonialnie stanęły otworem.

– Szahrzad? – Znajomy głos Dżalala rozdarł ciszę.

Odetchnęła z ulgą.

– Tutaj. – Położyła sztylet obok zaschniętej róży i wstała. Dżalal stał na środku komnaty, za nim znajdował się radżput i dwóch strażników.

– Coś ci się stało? – zapytał Dżalal. Jego kręcone włosy były zmierzwione, a jasnobrażowe oczy rozglądały się na wszystkie strony.

– Nie. – Zawahała się. – Dlaczego pytasz?

– W pałac uderzył piorun. Płonie wieża i część ogrodu.

Puls dudnił głośno w jej uszach.

Zacisnęła dłonie w pięści.

– Dżalalu, czy...

– To tylko burza, Szazi. – Chcąc ją pocieszyć, podszedł bliżej. – Nie...

Tym razem od uderzenia zadrżały ściany pałacu. Jej łóżo podskoczyło, a drewniana szafa runęła na podłogę. Grzmot przeszył ciało Szahrzad, przez co jej niepokój wzrósł.

Pobiegła niewielkim korytarzem do pokoju służącej i otworzyła drzwi.

Sypialnia była pusta.

– Gdzie Despina? – zapytała po powrocie do swojej komnaty.

Dżalal wzruszył ramionami.

– Nie wiem.

– Przestań! – powiedziała. – Gdzie ona jest?

Uniósł gładko brwi. Zbyt gładko.

– Jestem pewien, że nic jej nie jest. Prawdopodobnie...

Złapała go za rękę i przyciągnęła bliżej.

– Wystarczy tych dziecińczych gier. Proszę, odszukaj ją. Martwię się, podejrzewam, że ty również.

Spiął się, jego mina stężała, gdy powiódł wzrokiem po jej twarzy.

– Powtarzam, jestem pewien...

W powietrzu rozległ się kolejny huk. Marmur zadrżał pod ich stopami i zatrzęsły się drewniane okiennice.

– Rozkazuję ci stąd wyjść i ją znaleźć!

– Zrobię, co każesz, pani, lecz będzie to wbrew rozkazom kalifa. Wolę nie wyjaśniać Chalidowi, dlaczego...

– Ona jest w ciąży!

Zesztywniał i chwycił ją za ramiona.

– Coś ty powiedziała?

*Przepraszam, Despino.*

– Jest w ciąży. Proszę, znajdź ją, zanim stanie się coś złego.

Dżalal zamrugał, a po chwili z jego ust popłynęła wiązanka soczystych przekleństw, z których wiele skierowanych było również w stronę Szahrzad.

– Później będziesz się na mnie złościł – nalegała – a teraz idź i znajdź ją. Zostanę tutaj.

Z dzikim spojrzeniem Dżalal rzucił przez ramię kilka rozkazów i ruszył do wyjścia.

Zatrzymał się jednak na progu.

– Szazi?

– Tak?

– Dziękuję. – Zniknął w korytarzu, nie czekając na odpowiedź.

Szahrzad wróciła do łoża, zostawiając w pokoju radżputa i strażników. Ponownie zaczęła bawić się obrączką na prawej ręce. Wtem na zewnątrz zabrzmiał kolejny grzmot, sprawiając, że jej skóra stała się jednocześnie gorąca i zimna.

*Pada. Klątwa osłabła.*

*To tylko ogromna burza. Nic więcej.*

Przy następnym ogłuszającym grzmocie okiennice wychodzące na taras otworzyły się, ukazując żywioł. Zdesperowana, by coś zrobić, Szahrzad poderwała się, chcąc je zamknąć, lecz radżput wyciągnął rękę i ją powstrzymał. Szybkim ruchem głowy wysłał jednego ze strażników, by się tym zajął.

Nim mężczyzna zdążył dotrzeć do okiennic, prosto w pierś trafiła go strzała. Żołnierz opadł na kolana, po czym przewrócił się na podłogę.

Radźput złapał Szahrzad za rękę i pociągnął za siebie. Następnie z przenikliwym zgrzytem dobył *talwar* z pochwy.

Na tarasie pojawiły się dwie zakapturzone sylwetki.

Szahrzad potrzebowała zaledwie chwili, by rozpoznać postać trzymającą łuk.

– Nie! – zawołała, gdy Tarik oparł na cięciwie kolejną strzałę i wypuścił ją w stronę radźputa. Szahrzad szarpnęła swojego strażnika w tył, lecz strzała i tak ugodziła go w ramię, tuż nad zamierzonym celem. Radźput nawet nie drgnął.

Drugi z żołnierzy wyciągnął bułat, lecz Tarik powalił go jednym strzałem. Młodzieniec umieścił w łuku kolejną strzałę, po czym naciągnął cięciwę tuż przy uchu, powoli posuwając się do przodu.

Radźput chrząknął z wściekłości, wymachując szablą.

– Odsuń się – nakazał ostro Tarik.

Zamiast spełnić polecenie radźput przyjął bojową pozycję.

– To twoja ostatnia szansa. – Srebrne oczy Tarika błyszczały w ciemności.

Radźput roześmiał się bez humoru. Uniósł szablę i skierował się w stronę Tarika.

– Wikram! – błagała Szahrzad. – Nie rób tego!

Radźput zignorował ją i wyrównał *talwar*, przygotowując się do ataku.

Tarik bez wahania wypuścił strzałę, która trafiła mężczyznę w środek piersi.

– Tarik! – krzyknęła Szahrzad. – Proszę!

Radźput zatoczył się do przodu, jego twarz wykrzywiła się w niedowierzaniu.

Tarik uderzył przeciwnika łukiem w tył głowy, przez co mężczyzna upadł na podłogę.

Szahrzad stłumiła szloch.

Młodzieniec spojrzał na nią z ponurą ostrożnością.

– Szahrzad...

– Jak mogłeś? – zapytała ledwie szeptem.

Ściągnął brwi.

– Zabiłby mnie.

Miał rację, ale dziewczyna nie wiedziała, co powiedzieć, widząc, jak przeszłość niszczy jej nadzieje na przyszłość.

- Szazi? – zapytał Rahim cicho, przechylając głowę.
- Co tu robicie? – Szahrzad wpatrywała się w swoją pierwszą miłość.
- Przyjechałem, by zabrać cię do domu – odparł Tarik.
- Nie musiałeś tego robić. Ja...

Spojrzał na nią ostrzej.

- Nie wyjdę bez ciebie.

Piorun uderzył w pobliżu. W suficie pojawiła się ciemna szczelina. Sytuacja pogorszyła się, gdy do wszystkiego dołączył huczący grzmot.

– Cały pałac zaraz runie nam na głowy – zauważył Rahim. – Musimy się stąd wydostać i znaleźć Jahandara.

- Babę? – Szahrzad zmarszczyła czoło. – Co robi tu mój ojciec?

Rahim potarł kark.

- Długa historia.

Przed komnatą w korytarzu rozległy się kroki, na co Tarik szybko zareagował, wyciągając kolejną strzałę z kołczanu. Zajął pozycję między Szahrzad a drzwiami. Stał tak, aż dźwięk umilkł.

- Chodźmy – polecił Rahim.

Szahrzad wzięła głęboki wdech.

- Tariku...

– Nie wyjdę bez ciebie! – Odwrócił się i przyciągnął ją do siebie. – To nie jest twoja walka! I nigdy nie powinna nią być!

Wraz z następnym hukiem kawałek sufitu upadł na podłogę. Niemal powalił Rahima.

- Wychodzimy. – Tarik trzymał ją mocno. – Teraz.

Przytaknęła. Kiedy będą bezpieczni poza pałacowymi murami, zbierze się na odwagę i powie mu, dlaczego nie mogła odejść.

Dlaczego nie chciała odejść.

Młodzieniec chwycił ją za rękę i zaczął ciągnąć do drzwi.

– Czekaj! – Szahrzad uwolniła się i pobiegła do szafy, by wyciągnąć płaszcz i dywanik od *Musy-efendi*. Nie chciała, by spłonął w pożarze. Zarzuciła płaszcz na ramiona i podbiegła do stolika przy łóżku, by zabrać list od Chalida i sztylet.

Na widok martwej jasnofioletowej róży stanęło jej przed oczami nagle wspomnienie... Przypomniała sobie inną różę, którą dostała nie tak dawno temu, i to, co się z nią stało. Choć ofiarowany w prezencie kwiat zwiędł, a jego płatki osypały się na marmurową podłogę...

Burza huczała i trzaskała za jej plecami.

*To niemożliwe. Baba... nie mógłby...*

Na chwilę zacisnęła mocno powieki. Zaraz potem włożyła pergamin i sztylet do kieszeni płaszcza i pospieszyła do drzwi.

Tarik chwycił za klamkę, a Szahrzad złapała go za przedramię.

– Jak zamierzasz wyjść niezauważony?

– Ostrożnie.

Westchnęła zirytowana. Wciągnęła go do środka i wyjrzała przez uchylone drzwi.

– Milczcie i idźcie za mną. – Wyszła na ciemny korytarz.

Szahrzad z pochyloną głową przemierzała pałacowe korytarze, mając nadzieję, że nikt nie zwróci uwagi na jej nowych strażników.

Liczyła na to, że nie wpadnie na Dżalala.

Mijali kolejne korytarze, nim skręcili w mniejszy o łukowatym suficie z białego marmuru.

Serce przestało jej bić.

Przed komnatą Chalida stał strażnik. Wyprostował się, gdy podeszła, ale jego oczy natychmiast skupiły się na jej towarzyszach, wyraźnie się zwięzając.

– Pani – zaczął, kłaniając się. – Jak mogę pomóc?

Uśmiechnęła się do niego ciepło.

– Chciałam zwrócić ten pakunek do komnaty kalifa. – Wyciągnęła w jego stronę zwinięty latający dywan.

– Z przyjemnością pomogę. Jeśli zostawisz mi go...

Szahrzad pokręciła głową.

– Wolałabym zrobić to sama.

– Oczywiście. – Przytaknął i odsunął się na bok.

Kiedy Tarik i Rahim ruszyli, by jej towarzyszyć, wyciągnął rękę.

– Przepraszam, pani, ale nie mogę pozwolić im wejść.

– Możesz, jeśli ja tak mówię. – Jej uśmiech stał się ostry.

– Bardzo mi przykro, pani, ale tylko kapitan al-Chouri może wchodzić do komnaty kalifa podczas jego nieobecności.

– Wierzę, że dzisiejsza noc stanowi wyjątek od reguły. – Szahrzad chwyciła klamkę z brązu.

– Pani! – Sięgnął, by złapać ją za rękę.

Spiorunowała go wzrokiem.

– Zatem masz zamiar mnie zatrzymać? Jeśli tak, będziesz musiał użyć siły.

Wierzę, że wiesz, co się stało z ostatnim strażnikiem, który dotknął królową wbrew jej woli. Jednak, jeśli chcesz, możesz próbować. Jestem pewna, że mój małżonek ucieszy się na wieść o naszym spotkaniu. Jak brzmi twoje imię?

Strażnik pobladł.

– Pani!

– To nie jest twoje imię. – Skrzywiła się. – A teraz, jeśli miłe ci życie, pozwól nam przejść.

Z galopującym sercem ponownie złapała za klamkę i otworzyła drzwi.

Jej puls wciąż był zbyt szybki, gdy Tarik i Rahim wchodzili do komnaty Chalida. Nie zatrzymując się, przeszli do jego sypialni. Dopiero gdy drzwi się za nimi zamknęły, Szahrzad pozwoliła sobie na głęboki oddech.

Rahim zaśmiał się oschle.

– Jesteś dobrą kalifą. – Oparł szczupłą rękę o alabastrową ścianę.

Zignorowała go i podeszła do czarnej szafy.

– Muszę przyznać, że ten mordujący szaleniec ma całkiem niezłą komnatę. – Spojrzenie ciemnoniebieskich oczu Rahima prześlizgnęło się po onyksie i marmurze. – Jak na bezdusznego potwora...

Szahrzad siłą zdusiła ripostę. Czuli, że Tarik jej się przygląda.

– Pomóż mi przesunąć tę szafę. – Położyła dłonie na czarnym drewnie.

– Dlaczego? – zapytał Tarik.

– Nie mam czasu na wyjaśnienia! – Zacisnęła usta. – Chcesz, żeby strażnik wezwał Dżalala?

Oczy Tarika błysnęły, lecz odsunął dziewczynę, potem zaś zaparł się i chrząkając, przesunął mebel.

Ich oczom ukazały się tajemne wrota, o których wspominał Chalid zaledwie dwa tygodnie temu. Szahrzad chwyciła mosiężny pierścień i obróciła go trzy razy w prawo, dwa w lewo, a potem ponownie trzy razy w prawo. Zaraz potem naparła ciałem, by otworzyć drzwi.

– Boże – powiedział Rahim. – Skąd o tym wiedziałaś?

– Chalid mi powiedział. – Próbowała zignorować dziwne spojrzenie, które jej posłał. – Jest ciemno, więc stąpajcie ostrożnie. – Ukrywając niepokój, zeszła schodami wiodącymi do przejścia.

Cała trójka przyłgnęła do kamiennej ściany. Poruszali się niczym podziemne robactwo. Na końcu tunelu znajdowała się niewielka drabina prowadząca do drewnianej kłapy. Szahrzad spróbowała ją otworzyć, ale ta ani drgnęła. Rahim przyłożył obie ręce do ociosanej powierzchni i odrzucił ją na bok

z głośnym hukiem.

Wyszli stamtąd i znaleźli się w ciemnym kącie pałacowych stajni.

Głośny grzmot zatrzęsł ziemią pod ich stopami. Konie zarżały i zaczęły miotać się w boksach.

– Wybierz któregoś – powiedziała Szahrzad.

Rahim gwizdnął.

– Naprawdę? Powiedziano mi, że szaleniec posiada czarnego *al-Chamsa* pochodzącego z pierwszej piątki. Ten koń to bezcenny skarb.

Szahrzad odwróciła się do niego.

– Nie. Ardeszira. Możesz wziąć każdego konia ze stajni z wyjątkiem tego.

– Dlaczego?

– Nie weźmiesz jego konia i już! – W jej głosie dało się słyszeć groźbę.

Rahim uniósł obydwie dłonie na znak, że się poddaje.

– Co się z tobą dzieje, Szazi? – Na jego twarzy odmalowała się troska.

– Nawet go tu nie ma – zauważył cicho Tarik stojący w cieniu. – Konia tu nie ma. Podobnie jak jego pana.

– Co? – Rahim zwrócił się do Tarika.

– Gdzie on jest, Szahrzad? – zapytał Tarik, podchodząc do niej.

– W drodze do domu, Tariku Imran al-Zijadzie – odparł męski głos za ich plecami.

*Dżalal.*

Kiedy kapitan straży wysunął się z cienia, posłał Tarikowi złowieszczy uśmiešek.

– Na twoim miejscu uważałbym się za szczęściarza – ciągnął. – Gdyby to Chalid znalazł cię z Szahrzad, śmierć byłaby ostatnim z twoich zmartwień.



Tarik sięgnął po łuk, chcąc włączyć się do akcji.

Jednak Szahrzad rzuciła się, zagrządzając mu drogę i chwytając go za obie ręce.

– Nie! – Jej twarz pozorowała przerażenie.

Ból Tarika wzrastał. Teraz broniła nawet rodziny króla młokosa. Broniła ich przed nim.

Kapitan al-Chouri wyciągnął bułat. Był sam. Tarikowi wystarczyłaby zaledwie jedna strzała, aby pozbyć się problemu.

Gdy arogancki kuzyn kalifa podszedł bliżej, Szahrzad zwróciła ku niemu



twarz, wciąż mocno trzymając Tarika za nadgarstki.

– Dżalalu – powiedziała. – Mogę wyjaśnić.

– Nie ma potrzeby.

– Nie...

– Powiedziałem, nie ma potrzeby – powiedział stanowczo. – Ufam ci.

Jej uścisk na rękach Tarika stał się mocniejszy.

– Nie ufam zaś synowi Nasira al-Zijada. – Kapitan uniósł broń. Jej krawędź zalśniła.

– Możesz mu zaufać.

– Nie – przerwał Tarik. – Nie może.

Szahrzad zerknęła przez ramię, rzucając ostrzegawcze spojrzenie.

– Co tutaj robisz, Tariku Imran al-Zijadzie? – Kapitan zbliżył się o krok, trzymając szablę w gotowości.

– To chyba oczywiste. Przyszedłem po Szahrzad.

Kapitan al-Chouri prychnął.

– Tak? I uważasz, że tak po prostu opuścisz miasto z kalifą Chorasanu? Z małżonką mojego kuzyna?

– Szahrzad tu nie zostanie. Nie zostawię dziewczyny, którą kocham w rękach potwora.

– Zabawne. A może należałoby się najpierw zastanowić, czy ta dziewczyna nie ma w tej sprawie czegoś do powiedzenia.

– Chyba żartujesz – powiedział Rahim ponuro. – Naprawdę sądzisz, że wybrałaby szaleńca, a nie Tarika?

– Wystarczy, Rahimie – uciął Tarik.

– Zapytaj ją – powiedział cicho kapitan. – Zapytaj, czy naprawdę planuje opuścić z tobą Rej. Wiem coś, czego ty nawet nie zauważasz, bo jesteś na to albo zbyt głupi, albo zbyt ślepy.

– O czym on mówi? – zapytał ostro Rahim.

– Morderca, potwór, szaleniec... Możecie nazywać Chalida, jak wam się podoba, lecz nie zmienia to faktu, że jest kochany. Przeze mnie i mojego ojca. Przede wszystkim zaś przez Szazi. To dzięki niej mógł poznać miłość, którą sam obdarza.

Szahrzad zaczęła drżeć przed Tarikiem. Uchwyt na jego nadgarstkach słabł.

– To prawda? – zapytał Rahim oburzony słowami kapitana.

Szahrzad ponownie spojrzała przez ramię, a w jej oczach zalśniły łzy. Jeszcze chwila i spłynęłyby strużkami po policzkach.

– Tariku...

Nie. Nie mógł słuchać jej słów. Nigdy nie wysłucha takich słów.

Opuścił łuk i przyciągnął dziewczynę do siebie.

– Wiem, że to nie ty. Wiem, że coś musiało się wydarzyć, ale możemy to naprawić. Ja mogę to naprawić. Wróc ze mną do domu. Każdy dzień naszej rozłąki jest dniem bliższym śmierci. Dniem straconym na nierealne marzenia o tym, jak pięknie mogłoby być. Nie mogę tego dłużej znieść. Wróc do domu.

– Ale... – szepnęła. – Ja jestem w domu.

– Szazi! – Rahim skrzywił się, niedowierzając. – Jak możesz tak mówić?

– Przepraszam. Nigdy, przenigdy nie chciałam skrzywdzić żadnego z was. Tylko...

– On zabił Sziwę! – wybuchnął Tarik. – Jak możesz pragnąć mężczyzny, który zabił twoją przyjaciółkę? Jak możesz pragnąć zimnego drania, który zabił dziesiątki młodych dziewcząt i zniknął w chwili, gdy jego miasto płonie?

– Co powiedziałaś? – Jej głos był śmiertelnie cichy. – Miasto... płonie?

Tarik ściągnął brwi.

– Błyskawice... Kilka budynków, w które uderzyły, stanęło w płomieniach.

Na tę wiadomość Szahrzad odsunęła się od Tarika i pobiegła do wyjścia ze stajni. Uchyliła drewnianą bramę.

Upadła na kolana na widok, który roztaczał się przed jej oczami.

Połowę miasta ogarniały płomienie. Kłęby dymu rozświetlane srebrnymi piorunami wznosiły się ku niebu. Woń spalenizny i popiołu mieszała się z zapachem krzewów różanych rosnących nieopodal.

Kapitan al-Chouri schował szablę i przykucnął obok Szahrzad.

Widząc jej ogromne cierpienie, Tarik zamarł.

– Dżalalu... co myśmy zrobili? – Na jej twarzy odmalował się nieopisany ból.

– Nie, *delam*. To nie twoja wina. W niczym nie zawiniłaś. – Kapitan obiema dłońmi objął jej twarz.

– Musisz... – Szahrzad wypuściła drżący oddech. – Musimy to przerwać. Zanim umrze ktoś jeszcze.

– Nie zrobię tego – odparł kapitan.

– Co myśmy uczynili...? – Z jej ust wyrwało się żałosne, bolesne błaganie.

Kapitan al-Chouri pomógł dziewczynie wstać.

– Nic. Nic nie zrobiłaś.

Pokręciła głową z ponurą i zagubioną miną.

– Chalid... będzie musiał...

– Nie. Nigdy tego nie zrobi.

– Ale jakbyśmy mogli z tym żyć? – załkała. – Nie mogę. On nie może.  
Tarik nie mógł dłużej tego znieść.

– O czym wy mówicie?

– Tariku Imran al-Zijadzie. – Kapitan wpatrywał się w Szahrzad, mówiąc do niego. – Mam prośbę.

– Odpowiedź brzmi: nie.

– Nie chcesz jej najpierw wysłuchać?

Tarik milcząco spiorunował go wzrokiem.

Kapitan obrócił głowę, by spojrzeć Tarikowi w oczy.

– Zabierz Szahrzad z Reju.

– To właśnie zamierzałem.

Oczy Szahrzad błyszczały.

– Dżalalu...

– Zabierz ją ze sobą. – Kapitan chwycił Szahrzad za ramiona.

– Nie. Nie mogę odejść. – Walczyła, zaciskając usta. – Nie odejdę. Nie...  
boję się.

Kapitan al-Chouri spojrzał jej w twarz.

– Posłuchaj. Chociaż raz. Błagam.

Szahrzad zaczęła protestować. Nagle owionął ich podmuch gorącego powietrza. Niósł ze sobą dziwną woń słodkich róż i ostrego dymu. Zacisnęła mocno powieki i położyła dłoń na sercu.

– Tariku, gdzie jest mój ojciec? – zapytała ochryple.

– Poza miastem – odparł. – Czeka... na szczycie wzgórza.

Szahrzad otworzyła oczy i spojrzała na Tarika z niezwykłą, nowo odkrytą pewnością.

– Zabierz mnie do niego. – Nie czekając na odpowiedź, wyminęła kapitana i wróciła w głąb stajni, by osiodłać konia.

Tarik obrócił się, obserwując, jak jej sztywna postać szybkim krokiem znika w mroku. Zaczął przetwarzać niespodziewaną prośbę, gdy kapitan al-Chouri chwycił go za ramię.

Tarik odtrącił rękę aroganckiego młodzieńca.

– Co...

– Nadal ją kochasz? – zapytał pospiesznym szeptem.

– Nie twoja sprawa.

– Odpowiedz, głupcze. Kochasz ją?

Tarik zagryzł zęby, posyłając kapitanowi królewskiej straży zacięte spojrzenie.

– Niezmiennie.

– Upewnij się więc, że nigdy tu nie wróci.

## ŻAR



Dwaj jeźdźcy spotkali się pod ciemnym niebem na środku pustyni.  
Jeden z nich siedział na grzbiecie zwykłego szarego rumaka, drugi zaś – na wspaniałym białym ogierze.

Za każdą z postaci stały legiony uzbrojonych żołnierzy.

Jeździec siedzący na białym koniu odezwał się pierwszy:

– Powiedziano mi, że mamy wspólnego wroga. – Jego głos był głęboki, choć fałszywy.

Drugi mężczyzna odwzajemnił jego intensywne spojrzenie.

– Na to wygląda, panie.

Pierwszy uśmiechnął się leniwie.

– Jesteś taki, jak o tobie mówią, Rezo bin-Latiefie.

– Podobnie jak ty, panie.

Sułtan Partii się roześmiał.

– Uznam to za komplement.

– To miał być komplement, panie. Wybacz, że nie podzielałam twojego nastroju, ale nie umawiałem się na spotkanie tylko po to, by uciąć sobie z tobą pogawędkę.

Śmiech sułtana poniósł się echem w noc.

– Szczery człowiek. Cieszy mnie to. Zatem może skończymy z uprzejmościami i przejdziemy od razu do rzeczy?

– Z wielką przyjemnością, panie.

– Jakie są twoje zamiary odnośnie do tego bękarta, mojego siostrzeńca?

– Chcę zadać mu cierpienie, a potem go zniszczyć.

Oczy sułtana błysnęły wojowniczo.

– Rozumiem.

– A twoje?

– Chcę go upokorzyć... a potem zniszczyć. Być może moglibyśmy pomóc sobie w realizacji wspólnego celu?

– Moja pomoc zależeć będzie od tego, co masz do zaoferowania, panie.  
– Na razie mogę zaproponować pieniądze i broń. Gdy zostaną zabezpieczone granice oraz wzmocnione istniejące już siły, przyślę wsparcie. Jednak do tego czasu nie mogę ryzykować w obawie przed nagłym gniewem chłopaka.

– To zrozumiałe.

Sułtan wskazał za siebie, na co żołnierze przynieśli zapieczętowaną skrzynię.

– Gest dobrej woli. Gdy wyczerpią się te środki, daj znać, a zapewnię więcej.

Reza skinął głową. Spojrzał przez ramię na swoją świtę i nakazał dwóm zakapturzonym postaciom podejść i odebrać złoto.

Gdy jedna z nich pochyliła się, by unieść wieko, niebieska poświata księżycy oświetliła skórę jej przedramienia.

Widniał na niej znak skarabeusza.



*Szahrzad,*

*niejednokrotnie Cię zawodziłem. Jednak istniał moment, w którym zawiodłem Cię bezgranicznie. Było to w chwili, gdy Cię poznałem. Gdy wziąłem Cię za rękę, a Ty na mnie spojrzałaś z palącą nienawiścią w oczach. Powinienem odesłać Cię do domu, do rodziny. Jednak nie zrobiłem tego. Z Twojej nienawiści biła szczerłość. Z bólu – odwaga. W Twojej prostolinijności zobaczyłem własne odbicie. A raczej wizerunek mężczyzny, którym pragnąłbym być. Zawodziłem Cię więc, nie trzymając się z dala. Któregoś dnia pomyślałem jednak, że wystarczy, jeśli uzyskam odpowiedzi. Nie musiałbym się już dłużej przejmować. A Ty przestałaś mieć znaczenie. Nadal zawodziłem, ciągle pragnąłem więcej. A teraz nie potrafię znaleźć słów, by powiedzieć to, o czym musisz wiedzieć. Aby przekazać przynajmniej tyle, ile jestem Ci winien. Kiedy myślę o Tobie, nie potrafię znaleźć powietrza, by oddychać. Teraz, choć Cię tu nie ma, pozostała głęboka wdzięczność. Bez bólu czy strachu.*

*Gdy byłem mały, matka mówiła, że najpiękniejsza w życiu jest świadomość niedokończonej historii. Ta nasza być może dobiegła końca, ale Twoja nadal może być opowiadana.*

*Spraw, by była Ciebie warta.*

*Zawiodłem Cię po raz ostatni. Przede mną szansa, by to naprawić.*

*To nieprawda, że nigdy tego nie czułem. Obiecałem sobie, że nigdy tego nie wypowiem. A mężczyzna jest nikim, jeśli nie potrafi dotrzymać danego słowa.*

*Wysyłam je zatem ku niebu...*

*Kocham Cię po tysiackroć. I nigdy nie będę za to przepraszać.*

*Chalid*

Kalif stał na dachu przy balustradzie tarasu, obserwując wschodzące nad czystym horyzontem słońce.

Jego zniszczony pałac z marmuru i kamienia wciąż się tlił. Dym rozchodził się w różnych kierunkach.

Miasto stało się gruzowiskiem ciemnych ulic i zgliszczy. Straconych obietnic i złamanych serc.

Władca, patrząc na tę ruinę, zamknął na chwilę oczy.

Trwało to tylko moment.

Było to przecież jego miasto. Jego wybór. Jego odpowiedzialność.

Nie miał zamiaru ponownie się przed nią uchylać.

Obierając nowy cel, wziął kawałek pergaminu i przytknął go do migoczącej pochodni.

Róg stronicy zmienił się w popiół, płomień w odcieniach błękitu i pomarańcu lizały jej boki.

Chalid przytrzymał przed sobą płonący list.

Po chwili zaś wypuścił żarzący się pergamin na wiatr.

W stronę chwalebego świtu.

## PODZIĘKOWANIA



Usłyszałam kiedyś, że jednym z najbardziej nadużywanych słów opisujących twórczy wysiłek jest wyraz „podróż”.

Po namyśle doszłam do wniosku, że nawet „odyseja” nie zabrzmiałaby dobrze. Słowo to nie pomieściłoby pełni sensu tego zjawiska, nie wspominając już o homeryckich powiązaniach.

Jednak to tylko dygresja.

Ta podróż nie byłaby możliwa, gdyby nie mnóstwo fantastycznych osób. Postaram się przywołać każdą z osobna, jednak, jeśli mi to nie wyjdzie, proszę, pamiętajcie, że nie zrobiłam tego specjalnie i że w niedalekiej przyszłości sownie wynagrodzę skrzywdzonych. Zapewne nie oddam im mojego pierwotnego – to już zrobiłam.

Niewątpliwie książka ta pozostałaby zaledwie mglistym pomysłem błakającym się w mojej głowie, gdyby nie wsparcie i prowadzenie mojej agentki Barbary Poelle. B., byłaś przy mnie, zanim zdążyłam wcisnąć pierwszy klawisz. To Ty dałaś mi odwagę, bym spisała tę historię. W obliczu tego wszystkiego zwykła wdzięczność wydaje się być płytka... Niemniej dziękuję Ci po tysiąckroć.

Gdy gonił nas termin i wymienialiśmy e-maile po północy, powiedziałam Jej: „Istnieje na tym świecie osoba, która poświęciła tym słowom niemal tyle samo czasu, ile ja sama”. Dziękuję mojej redaktorce – Stacey Barney – za tak wielkie oddanie. Już od samego początku pokochałaś tę książkę i bardzo w nią uwierzyłaś, by wkrótce zmienić ją w opowieść, którą jest teraz. Uczyniłaś tę historię nieskończenie lepszą. Cenię Cię i szanuję bardziej, niż jestem w stanie to wyrazić.

Dziękuję niezwykłemu zespołowi Penguin – kowalowi słowa i nadzwyczajnemu frankofilowi Kate Meltzer; mojemu wspaniałemu wydawcy Marissie Russel; Bri Lockhart za cały entuzjizm i wsparcie; Vanessie Carson; Jen Besser; Theresie Evangelista za cudowną okładkę; Maricce Tamura, Carze



Petrus, Anie Deboo, Annie Heausler i Cindy Howle za troskę o to, by odpowiednie słowa idealnie odzwierciedlały niecodzienne inspiracje.

Dziękuję mojej drużynie pisarskiej, w skład której wchodzi: Ricki Schultz, Sarah Henning, Joy Callaway, Sarah Lemon, Steph Funk, Alison Bliss, J.J. i Sarah Blair. Dziękuję Wam bardzo za wszystko. Cenię każdego z Was.

Specjalne podziękowania składam kolegom i koleżankom debiutantom z 2015 roku – to wielki przywilej móc dzielić z Wami tę podróż. Jestem pełna podziwu dla Was. Dziękuję także Sabiie Tahir za to, że zawsze jest sobą.

Dziękuję niesamowitemu zespołowi z We Need Diverse Books – każdego dnia na nowo zadziwia mnie nasza zbiorowa pasja. Dziękuję za wszystko, co robicie. To dopiero początek.

Dziękuję Marie Lu za to, że zaopiekowała się mną. Jesteś jedną z najbardziej wyjątkowych postaci, które kiedykolwiek miałam zaszczyt poznać. Twoja zapowiedź na okładkę bardzo mnie wzruszyła. Zawsze będę Cię podziwiał. Zawsze.

Dziękuję Carrie Ryan – mojej najlepszej na świecie towarzysze, z którą ubóstwiam spędzać przerwę na lunch. Jestem pewna, że J.P. i Vic nieustannie zastanawiają się, o czym tak długo rozmawiamy. Ja też tego nie wiem. Wiem jednak, że powinniśmy robić to co tydzień. Dziękuję, dziękuję, dziękuję. Za wszystko.

Dziękuję Heather Baror-Shapiro za przedstawienie Szazi z werwą i stylem niemal całemu światu. Po dziś dzień nie mogę uwierzyć, że moja książka zostanie przetłumaczona na tak wiele języków. A wszystko to dzięki Tobie.

Dziękuję mojej siostrze Erice, która przeczytała tę historię jako pierwsza. Jestem wdzięczna za najbardziej inspirujące notatki i projekt listów Chalida. Jane Austen byłaby z Ciebie dumna (Knightley rządzi). Dziękuję Elaine. Jesteś moją mistrzynią, największą przyjaciółką i najbardziej wytrwałą fanką. Bardzo Cię kocham, dziecinko. Dziękuję bratu Ianowi za obietnicę, że przeczyta moją książkę, gdy ta „w końcu” zostanie wydana. Za tydzień oczekuję pełnego sprawozdania. Dziękuję bratu Chrisowi za żarty, uściski i nieprzyzwoite GIF-y. Dziękuję mamie za to, że nie pozwalała nam oglądać telewizji, przez co pokochałam książki i świat wyobraźni. Dziękuję ojcu za baśnie czytane na głosy, gdy byliśmy mali. Dziękuję teściom za możliwość bliższego poznania ich kultury. Za miłość, jedzenie i wspólne żarty. Kocham niezmiernie Was oboje.

Wreszcie dziękuję Tobie, Vic. Nadajesz sens wszystkiemu, co zdarza się

w moim życiu.

Pewnego dnia wyślę te słowa ku niebu...

## SŁOWNIK



*al-Chamsa* – pustynne konie czystej krwi arabskiej, ich nazwę, opierając się na legendzie, można tłumaczyć jako „piątki”; koń Tarika; Ardeszir – koń Chalida

Amardha – największe miasto w Partii, w którym rezyduje Salim Ali el-Szarif

astragale – kości do gry pozyskane z kości kłykciowych lub skokowych zwierzęcia, kształtem zbliżone do czworościanu, początkowo wykorzystywane w astragalomancji, sztuce wróżenia za pomocą kostek

Beduini – koczownicze plemię pustyni, kontrolowane przez szejka

bułat – rodzaj szabli orientalnej z krótką, krzywą głownią o szerokim piórze, rozszerzającym się ku końcowi; szabla Tarika; szabla Dżalala

Chorasán – bogate państwo, obecnie rządzone przez osiemnastoletniego kalifa z morderczą przeszłością

czagatajski – martwy język pochodzenia środkowo-azjatyckiego

*delam* – pieszczotliwe określenie, oznaczające „moje serce”

dinar – waluta, moneta wykonana ze złota

*efendi* – tytuł grzecznościowy odnoszący się do wysokich urzędników, poprzedzający nazwisko, aktualnie odpowiednik słowa „Pan”

emir – wódz, dowódca, książę, tytuł dostojników państwowych; Nasir al-Zijad – dostojnik Chorasanu, jeden z dowódców wojskowych kalifa

fakir – uczony w magii i mistycyzmie

*fedain* – najemnikznaczony znakiem skarabeusza na wewnętrznej części przedramienia

*dżakesz* – obraźliwe słowo oznaczające rozpustnika, dziwkarza lub alfonsa

*dżan* – pieszczotliwe określenie dołączane do imienia, oznaczające „mój drogi” lub „moja droga”

*dżanam* – pieszczotliwe określenie oznaczające „moje życie”, „moje istnienie”

kaftan – luźna szata okrywająca ramiona, zwykle wykonana z wyszukanego materiału, jak np. adamaszek, zazwyczaj noszona przez władców

kalif – władca Chorasanu, synonim słowa „król”; Chalid Ibn al-Raszid

kalifa – żona władcy, synonim słowa „królowa”; Szahrzad al-Chajzuran

kalifat – region zarządzany przez kalifa; Chorasán

*kamiz* – luźna tunika z długim rękawem, noszona częściej przez mężczyzn, ale i przez kobiety, zazwyczaj wykonana z lnu

karwasz – skórzany szeroki pas zapinany na przedramieniu od nadgarstka aż po łokieć, wykorzystywany w sokołnictwie

*kamanche* – instrument strunowy przypominający skrzypce

kirys – zbroja ochraniająca korpus, składająca się z dwóch części: napierśnika i naplecznika, połączonych za pomocą rzemieni i klamer

*kohl* – kosmetyk do malowania oczu, tradycyjnie otrzymywany ze sproszkowanego minerału galeny

koń achał-tekiński – rasa koni pustynnych słynących z sierści o złotym połysku; koń Rahima

*lawasz* – tradycyjne cienkie płaty pieczywa, placki chlebowe

mag – czarodziej; Musa Zaragoza

malik – władca Asyrii, synonim słowa „król”

*marg-bahr* – przekleństwo, życzenie śmierci lub zniszczenia kogoś lub czegoś

*nargila* – fajka wodna

*nej* – instrument dęty przypominający flet

Partia – mniejsze królestwo sąsiadujące z Chorasaniem, zarządzane przez Salima Ali el-Szarifa

radżput – członek klasy wojowników; Wikram

Rej – największe miasto królestwa Chorasán; miejsce urodzenia Szahrzad

*rida* – peleryna noszona na ramionach, zakrywająca górną część ciała, może posiadać kaptur, by zakryć twarz

*sahib* – tytuł grzecznościowy często oznaczający wyższą pozycję społeczną

*sama* – rytualny taniec wirowy derwiszów

*santur* – chordofon, instrument strunowy uderzany, na którym gra się przy użyciu dwóch drewnianych pałek

*sajjidi* – słowo oznaczające wyraz szacunku przy zwracaniu się do kalifa, może być tłumaczone jako „mój panie”, „mój władco”

*szahrban* Reju – najwyższy rangą generał w Chorasán, ustępujący rangą

jedynie kalifowi; generał Aref al-Chouri

*szamla* – haftowana tunika zakładana w sypialni lub coś na wzór szlafroka

*suk* – targowisko

sułtan – władca Partii, synonim słowa „król”; Salim Ali el-Szarif

*szamszir* – smukła, zakrzywiona, ostra szabla, z racji swego kształtu zwana *ogonem lwa*; broń Chalida

szarawary – szerokie spodnie, noszone zarówno przez mężczyzn, jak i kobiety, zebrane przy kostkach i związane w pasie szarfą

szejk – przywódca Beduinów; Omar al-Sadik

*tabarzin* – topór wojenny o szerokim, czasem podwójnym ostrzu

Talekan – twierdza emira Nasira al-Zijada, czwarta najbogatsza twierdza w Chorasanie; dom Tarika

*talwar* – szabla indyjska o zakrzywionej głowni; szabla radźputa

Teby – duże miasto w środkowej Grecji

*tikka* – długa ozdobna szarfą wiązana wokół bioder, noszona zarówno przez mężczyzn, jak i przez kobiety

Tirazis – miasto w Chorasanie słynące z kamieniołomów

*tonbak* – drewniany bęben w kształcie kielicha, umieszczany w poprzek tułowia, opierany na udzie

wezyr – doradca kalifa

GNIEW i ŚWIT

II tom serii w przygotowaniu

# RÓŻA i SZTYLET

*Im ciemniejsze niebo, tym jaśniejsze gwiazdy*



# SPIS TREŚCI



Okładka

Karta tytułowa

Dedykacja

Cytat

PROLOG

ROZMYŚLANIA O JEDWABNEJ ZASŁONIE I ZŁOCIE

TA JEDYNA

ZA WOALEM

MAGNETYCZNA GÓRA

DESPINA I RADŹPUT

NAPIĘTA CIĘCIWA

PRZY ŚWIETLE ŚWIECY

ALADYN I CUDOWNA LAMPA

POCZĄTEK JEST KOŃCEM

SZAMSZIR

JEDWABNY SZNUR I WSCHÓD SŁOŃCA

PRAWY OGIEŃ I NIESPOKOJNY DUCH

TAM, GDZIE PRAGNIE BYĆ SERCE

STARZEC I STUDNIA

OBIETNICA JUTRA

NIEDOTRZYMANE PRZYSIĘGI

HONOR ZDRADY

ZADAĆ MROCZNĄ RANĘ

[BRUTALNA PRAWDA](#)

[BZY I SZALEJĄCA BURZA PIASKOWA](#)

[MEHRDAD SINOBRODY](#)

[RZUT KOŚCIĄ](#)

[SOKÓŁ I TYGRYS](#)

[SKRZYŻOWANE SZABLE](#)

[TANIEC NA TARASIE](#)

[ŚWIADOMOŚĆ PONAD WYJAŚNIENIA](#)

[LATAJĄCY DYWAN I NADCHODZĄCY PRZYPLÝW](#)

[KTOŚ, KTO WIE](#)

[CIEŃ TEGO, CO CZUJĘ](#)

[AVA](#)

[ZAPOMNIENIE](#)

[ŻYWIÓŁ BURZY](#)

[ŻAR](#)

[PODZIĘKOWANIA](#)

[SŁOWNIK](#)

[Reklama](#)

[Karta redakcyjna](#)



Tytuł oryginału: The Wrath and the Dawn

Copyright THE WRATH AND THE DAWN© 2015 by Renée Ahdieh

Copyright for the Polish edition © 2017 by Wydawnictwo FILIA

Wszelkie prawa zastrzeżone

Żaden z fragmentów tej książki nie może być publikowany w jakiegokolwiek formie bez wcześniejszej pisemnej zgody Wydawcy. Dotyczy to także fotokopii i mikrofilmów oraz rozpowszechniania za pośrednictwem nośników elektronicznych.

Wydanie I, Poznań 2017

Projekt okładki: Theresa M. Evangelista

Zdjęcie na okładce: Michelle Monique Photography/iStock

Przekład: Katarzyna Agnieszka Dyrek

Redakcja, korekta, skład i łamanie: Editio

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej:

„DARKHART”

Dariusz Nowacki

darkhart@wp.pl

eISBN: 978-83-8075-116-3

# FILIA

Wydawnictwo FILIA

ul. Kleeberga 2

61-615 Poznań

wydawnictwofilia.pl

kontakt@wydawnictwofilia.pl

1. MIEJSCE NA LIŚCIE BESTSELLERÓW „NEW YORK TIMESA”  
NAJLEPSZA POWIEŚĆ YA 2016 ROKU WG AMAZON



*Sto istnień za jedno, które odebrałaś.  
Jedno życie, jeden świt.*



# GNIEW i ŚWIT

RENÉE AHDIEH

